DAN

Delegata

EX LIBRIS
CZY
TEL
NiK
SPÓŁDZIELNIA
WYDAWNICZA

WĘDRÓWKI DELEGATA

PISMA
JORDANA
(Juliana Wieniawskiego)

TOM I.

WĘDRÓWKI DELEGATA

WĘDRÓWKI DELEGATA

SZKICE

HUMORYSTYCZNO-OBYCZAJOWE

PRZEPISAŁ

JORDAN

(Julian Wieniawski)

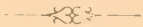

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW

NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI

1894

BIBLIOTEKA PODRĘCZNA
ANULOWANO

475039

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowski

Słówko od autora.

Ktokolwiek z pracowników pióra przypomni sobie pierwsze kroki stawiane na literackiej niwie, będzie miał w żywej pamięci trudności z jakiemi walczył, i wrażenia przez jakie przechodził, nim zdołał ujrzeć nareszcie wypieszczone myśli swoje, odziane w szatę żywego słowa lub druku.

Szczęśliwy, komu los zsyła w pomoc dobrego powiernika, pełnego wyrozumiałości i dyskrecyi... pobłażania i szczerości, zdrowego bezstronnego sądu, oraz tego delikatnego taktu, który daje ludziom wielką naukę mówienia prawdy, bez zadraśnięcia nawet miłości własnej... owej nieodłącznej od natury ludzkiej słabostki.

Tylko przy takiej życzliwej pomocy ośmiela się młody autor powierzyć ogółowi to, co w ciszy i osamotnieniu, w tajemnicy przed światem i najbliższem otoczeniem wysnuł z siebie... cząstkę swej duszy... swych wierzeń i przekonań, swych trosk i uciech, swych ideałów i rozczarowań, swych łez tajonych i tłumionego śmie-

chu — słowem to wszystko z czego się życie składać zwykło.

Drugim... równie dlań ważnym czynnikiem zachęty, jest spotkanie się z organem literackim, który nie rządząc się wyłączną zasadą gromadzenia pod swoim sztandarem znanych tylko powag, odważa się pierwszy na przyjęcie do swego grona, skromnego jeszcze adepta, nie zniechęcając go zbyt surową prac jego oceną, i dając mu możność wypróbowania sił swoich, w obranym przezeń kierunku.

Oszczędzając mu przez to upokorzeń, rozczarowań i zawodów bez liku, pismo takie nawiązuje z nowym swym współpracownikiem stosunek tak serdeczny i trwały, że go już w następstwie, ani zdobyte powodzenie, ani materyalne pokusy, zachwiać nie są w stanie.

Dziś... po ćwierćwiekowej blizko pracy na skromnym literackim zagonie, równie gorąco jak w początkach mego zawodu odczuwam to wszystko, com winien dyskretnemu memu powiernikowi Edwardowi Lubowskiemu, i ówczesnemu Redaktorowi „Tygodnika Illustrowanego“ czcigodnemu Ludwikowi Jenikemu, który pierwszy mym słabym utworom, szpalty swego pisma otworzył.

Czy się to Redakcyi materyalnie opłaciło, nie wiem — to tylko żywię przeświadczenie, żem poważnego tego organu nie skalał ani myślą wsteczną, ani dążnością nieuczciwą, ani hołdowaniem kierunkowi, któryby targnął się na to, co nam zawsze świętem było, i drogiem zostać powinno.

Kiedym po raz pierwszy wziął pióro do ręki, pracowałem wyłącznie na twardej choć żyznej roli naszej. Po dniu ciężkiej znojnej pracy, wytchnieniem mi były te chwile ciszy i osamotnienia, podczas których myśli w innym kierunku biegnące, na papier przelewać poczynałem.

Spędziwszy najpiękniejsze chwile młodości wśród grona ogorzałych i jak ja zapracowanych ziemian, nic dziw żem z tego światka i z tej nieprzebranej skarbnicy, wyłączne czerpał materyały.

Tam jeszcze ludzie najbardziej *sobą* pozostają — tam zachowują najdłużej odrębne niejako cechy i właściwości... cnoty i wady, słabostki i śmiesznostki, bo ich strychulec wielkomiejskiego *konwenansu* pod jedną nie sprowadza miarę.

Z tą warstwą cichych pracowników zrosłem się był wonczas całą duszą, jak gdybym z jej krwi i kości był powstał. Nie związki ciała, ale ducha, najściślej ludzi z sobą łączą; — pierwsze będące dziełem trafu, rozluźniają się niekiedy, często zacierają nawet zwolna, jeśli się z niemi jedne i też same dążenia, jednakie zadań życiowych pojęcia nie łączą. Drugie... będące właśnie wytworem wspólnych na świat i ludzi poglądów, jednych i tych samych pragnień, jednakich wierzeń i dążności, spajają ludzi ogniwem moralnej natury, tak silnie, że tego związku ani siła czasu, ani żadne późniejsze wpływy, zniweczyć nie są w stanie.

W tem też tkwi może tajemnica pewnego optymi-

zmu, który mi niekiedy w traktowaniu mych bohaterów zarzucano — zaś w warunkach pomyślnych w jakich się podówczas rolnictwo nasze rozwijało, czerpał swe źródło pierwiastek pewnego niefrasobliwego humoru, jakiego się w mych pismach i zbyt łaskawi czytelnicy, i zawsze pobłażliwa dla mnie krytyka — dopatrywały.

Jeżeli rzeczywiście z pewnego rodzaju optymizmem kreśliłem wiejskie obrazki, to chyba dlatego, żem na drodze życia, złych i przewrotnych ludzi spotkał niewielu, a poznawszy oderwane takie jednostki, odwracałem się od nich ze wzgardą, nie lubując się nigdy w wyprowadzaniu na światło dzienne typów wstrętnych lub czynów niecnych, które w ciemnej wolałem pozostawić pomroce. Natomiast nie byłem ślepym na wady i ułomności, które nas już podówczas raziły i były może w części dzisiejszych następstw przyczyną.

W *Wędrówkach Delegata*, biczem satyry smagałem zbytek i blagę w *Blichtrowie* — egoizm *w Sobkowicach* — orgie *w Kuflewie* — manię naśladownictwa *w Przemysłowicach* — chorobę pieniactwa *w Wichłaczewie.*

Z miłością w sercu wyśmiewałem w *Przygodach Marka i Agapita*, ogólną wadę naszej łatwowierności, która nas nieraz na manowce wiodła, czyniąc igraszką ludzi podstępnych, przebiegłych, a o wiele od nas sprytniejszych. Jeżeli w naszkicowaniu bohaterów moich grzeszyłem czasem przesadą, niech ją tłómaczy forma humorystyczna, w którą myśli moje przyoblekałem, wiedząc niestety z doświadczenia, że w tej szacie utwór lekki

liczniej i skwapliwiej się czyta, od najpiękniejszego traktatu, przyobleczonego w togę powagi.

Od owej pory, społeczeństwa wogóle spoważniały — nowe warunki życia, nowych prądów stały się hasłem; że jednak na przeszłości, i teraźniejszość i przyszłość zwykły się poniekąd budować, może nie bez pewnej korzyści dla dzisiejszego pokolenia przesuną się przed oczyma czytelnika, ponownie wydane obrazki minionej doby, w których niejeden odnajdzie to, czego mu już chwila obecna dostarczyć nie będzie w możności.

Nowe pokolenie i czytelników i krytyków, o wiele więcej wymagające, nową już skalą mierzyć będzie zapewne literacką wartość mych prac. Będzie to w zupełnym porządku, i przed sądem zdrowego ogółu a bez namiętnej krytyki, każdy autor uprawiający wedle swych sił, sztukę dla sztuki, czoła kornie uchylić powinien. Jedno tylko zastrzedz sobie ma prawo.

Niechaj nikt nie paczy myśli przewodniej jaka mu zawsze przyświecała — niech pod powłoką śmiechu i nie gryzącej satyry, dojrzeć zechce to co autor uwydatnić pragnął, inaczej bowiem miałby on prawo mniemać, że zdania uderzające niesłusznie w samą tendencyę jego utworów, albo ferowane były lekkomyślnie, albo krzywiły prawdę, której wszyscy ludzie uczciwi hołdować zawsze powinni.

JORDAN.

WSTĘP.

Przed oberżą małego miasteczka spotkałem parę lat temu ex-sąsiada mego pana Piotra, którego bryka ciężko ładowna dowodziła, że w daleką wybrał się drogę. Zagadniony przeze mnie o cel podróży, pan Piotr, ruszając ramionami, odrzekł:

— A cóż, sąsiedzie... jak zwykle *pro publico bono.* Wydelegowano mnie dla sprawdzenia wartości majątków przystępujących do nowej pożyczki — i oto ruszam w drogę.

— Daleko? — zapytałem.

— Ba... i przez miesiąc cały nie wiem czy zdołam objazd swój skończyć. Mam być w Blichtrowie, Sobkowicach, Kuflewie, Chudowoli, Przemysłowicach, Wichłaczewie... et caetera!... Czyż to można spamiętać całą tę litanię?!

— A wiesz, panie Piotrze, że ci tej wędrówki serdecznie zazdroszczę...

— A to dlaczego?

— Najprzód jedziesz w missyi tego rodzaju, że cię wszyscy z otwartemi rękoma witać będą; równie pożądanego gościa dwory nasze dawno nie witały. Spadniesz

im, jak manna Żydom, jak lekarz przybywający ratować od grasującej ogólnie choroby... biedy.

— A wiesz, sąsiedzie, że mi to na myśl nie przyszło — dodał, zacierając ręce, pan Piotr. — Może cygarko pozwolisz? (u pana Piotra oznaczało to, że był rad spotkaniu).

— Dziękuję, przed obiadem nie palę. Wracając do twojej wycieczki, zazdroszczę ci jej i dlatego, że przewiduję, jak się nieraz mimowoli ubawisz. Samo pierwsze wrażenie, jakie wywoła zjawienie się twoje i wiadomość o zatwierdzonej pożyczce, ileż to różnych wyrodzi objawów! Wreszcie w kochanym kraju naszym na typach jeszcze nie zbywa... poznasz tu i owdzie oryginałów co nie miara.

— Ale dalibóg na myśl mi to wcale nie przychodziło — wtrącił, coraz silniej zacierając ręce uradowany pan Piotr. — Może choć papierosikiem mogę służyć?

— I papierosów przed obiadem nie palę...

— Ot co może spotkanie!... — ciągnął dalej pan Piotr. — Wyjeżdżałem zły z domu... zburczałem gospodynię, złajałem ekonoma, pisarzowi też się coś oberwało — nawet jakąś gęś swojską na oziminie, wbrew mojej miękkiej naturze, zaszczułem. Teraz, kiedyś mi przedstawił jasną stronę mej czynności, pojadę wesoły — bo nareszcie przyznasz, że samo oglądanie ziemi, lasów, wołów i baranów niekoniecznie zabawne.

— Tembardziej, jeśli z tymi ostatnimi i w codziennem życiu dość się często niestety spotykamy.

— Jeśli to pod alegoryą, toś złośliwy, panie Jordanie — dodał śmiejąc się pan Piotr. — Może choć tabaczki?

— Dziękuję, nie zażywam...

— No, cóż u dyabła, niczemże ci służyć nie mogę?

— Ha!... owszem... przychodzi mi myśl dawno pieszczona... mógłbym przyjąć od ciebie grzeczność.

— Jaką?... jaką?... — zapytał pan Piotr, trwożliwie macając się po kieszeniach.

— Nie obawiaj się o przymówkę do czułego serca, lub czulszej jeszcze... kieszeni.

— Ale sąsiedzie, sąsiadku, sąsiadeczku... obrażasz mnie...

— Pozwól, panie Piotrze, niech skończę. Prośba moja jest następująca. Jedziesz w świat nasz wioskowy, wstępując zarówno w wysokie progi pałacowe, jak i do skromnych dworów i skromniejszych jeszcze futorów. Nie bez tego, żebyś nie miał popaść na jakie typowe figury, lub na epizody z życia mniej lub więcej śmieszne i wesołe.

— No, więc cóż.

— Otóż zbieraj wrażenia swoje w postaci, w jakiej zechcesz, bądź to w obrazkach, bądź w szkicach, bądź wreszcie w formie zwykłych notatek i te mi za powrotem swym ofiaruj.

— Wiesz przecie, że piórem nie władam.

— Właśnie dlatego cię o nie proszę; będą tem cenniejsze dla mnie.

— A cóż z niemi zrobisz?

— Przeczytam, przepiszę, a może za pośrednictwem czyjem i drukiem ogłoszę.

— A uchowaj Boże!... byłoby to nieuczciwie z mej strony...

— Czemu?... przecież ani nazwisk wsi, ani nazwisk

ludzi zamieszczać nie potrzebujesz, a jeśli rzecz sama, skreślona na tle prawdy, mogłaby wyjść na pożytek lub zabawę czytających, cóż w tem złego?

— Zaczęliby ludzie dopatrywać siebie w obrazkach i z obrazków wyrodziłyby się *obrazy*.

— Nie wierz temu — minęły już te czasy, kiedy książki i druk podnosiły polemiki, wywoływały domysły i t. p... Świat zmądrzał i spoważniał. Kto się w tych szkicach pozna, uda, że ich nie czytał, byle prawdy nie brać do siebie; kto zaś drugich tam pozna, pewno się z tem przed nikim więcej nie wyda, żeby sobie nieprzyjaciela nie zrobić. Zresztą osobistościom *pax*, to warunek *sine qua non*.

— A nie zdradzisz mego autorstwa?

— Masz na to moją rękę. Wreszcie cóżbym w tem mógł mieć na celu? Wszak sławy ci kilka obrazków nie da, a co do honoraryum, sądzę, że tak prostodusznego wydawcy nie znajdziemy. Nie miej więc o to kłopotu.

— Kiedy tak, to zgoda — jadę. W dzień taksuję, wieczorem bazgrzę, a jak wszystkie czynności biurowe po powrocie załatwię, to ci swoje szkice nadeszlę. Bądź zdrów. — Jazda!

— Jedź z Bogiem, panie Piotrze, a słowa dotrzymaj.

Tuman kurzu zasłonił mi w jednej chwili pana Piotra, którego deresze z miejsca tęgim ruszyły kłusem.

Zapomniałem już nareszcie o tem spotkaniu, gdy niedawno odbieram z poczty sporą paczkę... a w niej notaty pana Piotra.

Słowo się dało, dotrzymać należy. Nadając więc

porozrzucanym tym obrazkom ogólny tytuł „Wędrówek delegata,“ puszczam je w bieg *in crudo,* tak, jak je delegowany pan Piotr nakreślił.

Blichtrowo.

Mrok zapada... Droga, którą jedziemy, prowadzi nas przez obszerne jary, a na nich zboża tak bujne, że wyleganiem grozić się zdają. Wjeżdżamy w szereg chat włościańskich, błyszczących śnieżną białością. Zdala piętrzy się wśród angielskiego parku olbrzymich rozmiarów pałac, którego kominy jak smoki buchają całymi słupy czarnego dymu. Miła perspektywa dla nas zgłodniałych. W oknach już światła tu i owdzie migać się zaczynają — dowód bytności państwa w domu.

Naraz konie w miejscu stanęły, uszami zastrzygły... parsknęły dwakroć chrapami — jesteśmy przed zamkniętą bramą, szeroką, jakby razem cztery działa Krupa wjeżdżać w nią miały — wysoką, że końca prawie nie dojrzysz, z dwiema basztami i herbem, błyszczącym w pomroce srebrną ostrogą na złocistej tarczy.

Po chwilce próżnego czekania, Grześko zsiadł z bryki, próbując otworzyć.

— A bodajże cię wciornascy — stękał, mocując się nadaremnie. — Toć, wielmożny panie, chwestunek a nie wrota, żeby je miało grzeszne człeczysko otworzyć. Ale tu wej jakieś kółeczko na żelaznym drągu dynda

— Ciągnij za kółeczko, pewno to dzwonek.

W rzeczy samej silny dźwięk spiżu zadrgał wśród wieczornej ciszy, a z ostatniem jego drgnieniem stanął przed bramą człowiek barczysty, w trójgraniastym kapeluszu, z czerwoną wstęgą przez piersi i kijem w ręku, złotą gałką zakończonym.

— Kto tam? — z wysoka zapytał.

Nasz Grzesio, jakby go kto ukropem zlał — czapka w rękę i wyprostował się jak trzcina.

— A to, proszę, jaśnie jenerała, nie mogiemy wrót otworzyć. (W rzeczy samej, militarną miał postawę ów pompatyczny szwajcar).

Ucieszony zakłopotaniem Grzesia nie przerywałem rozmowy.

— Posesor czy dziedzic? — zapytał szwajcar.

— Co jaśnie jenerale?

— Posesor czy dziedzic?

— Nie wiem, jaśnie...

— A dokąd to jedziecie?

— A dyć do tego wej dworu, jaśnie jen...

— To nie dwór, tylko pałac, kpie jakiś. A wiesz, kto tu mieszka?

— Nie wiem, jaśnie jenerale, ale mi tu paniczek mój kazali zajechać.

— A skąd to jesteście?

— Ze *Starej Chałupy,* jaśnie...

— Ze starej chałupy?... Cóż to, chłop, czy okupnik?

— Nie chłop i nie okupnik, ino mój pan.

— A kto twój pan?

— A no pan ze *Starej Chałupy.*

— A cóż to u dyabła za stara chałupa? Wieś jaka, czy co?

— A dyć folwarek.

— Jeden folwark?

— Nie, jaśnie jenerale, pół folwarku.

— Jakto, pół folwarku? A któż mieszka na drugiej połowie?

— A to siedzą stary jegomość, ojcowie mego pana.

— A jak się twój pan zwie?

— Mego pana to zwią paniczkiem, a starego jegomością.

— A to bydlę z pod ziemi! — W którejże stronie mieszkacie?

— A to się stąd jedzie prosto, potem bierze się na ksóbkę... jak wej jest karczma, przekłada się na odsibkę... potem ciągle prosto, aż znowu jest trzy trakty...

— No dosyć, dosyć, gapo! Za czemże tu jedziecie, za trzodą, czy za gęśmi?... Do ekonoma bo z tem!

Ten ostatni argument już mnie z cierpliwości wywiódł.

— Hej szwajcar, otwieraj żywo! — krzyknąłem.

Na te moje słowa, Grzesio, omyłkę zmiarkowawszy, czapkę na głowę nacisnął, podpierając się w boki (co u chłopa oznacza, że *rezonu* nabiera), a tymczasem niezmieszany dobitnym wykrzykiem, trójgraniasty szwajcar ów zbliżył się wprzód do mnie, obejrzał brykę i przekonawszy się, że to... tylko bryka... otworzył boczną bramkę, znacznie węższą.

— A czemuż mi tej wprost nie otwierasz? — zapytałem — mamże nawracać drugi raz?

— Ta jest tylko dla karet i powozów, dla bryczek zaś tędy jest miejsce.

O blago! nieszczęśliwa blago! — pomyślałem.

Ile było korowodów, nimem się nareszcie dostał do pierwszej pałacowej komnaty, trudnoby tu było wypowiedzieć, gdyż co krok powtarzała się poniekąd scena z pod bramy.

Pierwszy lokaj meldował mnie drugiemu lokajowi, przekręcając naturalnie nazwisko, odbierał tłomok z bryki; drugi lokaj już lepiej przekręcone nazwisko moje głosił trzeciemu, zdejmując mi kalosze z nóg, trzeci wydzwonił takowe czwartemu pod większą jeszcze trawestacyą, odbierając mi płaszcz; czwarty już do niepoznania wykoszlawione podał panu kamerdynerowi, szybko zdejmując mi palto; tak, że kiedym wszedł do przedpokoju pałacowego, byłem już bez kaloszy, płaszcza i palta, a co gorsza... bez nazwiska, w pierwszej bowiem komnacie brzmiało przez gardło kamerdynera zupełnie inne, które mnie niby *anonsować* miało.

Wszedłszy do pierwszego salonu, *a giorno* oświetlonego, z oczyma zmrużonemi od bijącej łuny, zacząłem kłaniać się tuż przy drzwiach jakiemuś panu, z równą atencyą mnie się kłaniającemu; gdym się wyprostował, i on się wyprostował... postąpiłem krok naprzód, postąpił i on... posunąłem się znów kilka kroków, kłaniając się grzecznie, posunął się i on ku mnie, czyniąc toż samo. Zmieszany, już miałem się cofnąć, gdy wtem pan ka-

merdyner, cicho w kamaszkach przybyły, szepnął mi do ucha, żebym szedł dalej.

Otworzyłem lepiej oczy, już do blasku przywykłe, i spostrzegłem... żem dotąd sam jeden był tylko w komnacie... że osoba, co wyszła niby naprzeciw mnie, była najprostszem odbiciem mojej *jaźni,* w źwierciedle całą ścianę okrywającem. Zawstydzony, poprosiłem kamerdynera, aby mi pozwolił przyjść nieco do siebie z zimna wieczornego i po upływie dopiero dobrych pięciu minut zaledwie odważyłem się przestąpić próg bawialnego salonu, którego podwoje, jak bajeczny *Sezam,* rozstąpiły się przede mną.

W salonie, pąsowym adamaszkiem obitym, stał na środku fortepian palisandrowy Erarda, otoczony gajem pysznych drzew, kwiatów i krzewów egzotycznych; przed nimi dwa pufy, złocistemi owieszone frendzlami, a za nim alabastrowa *Melpomena* w dwóch rękach dźwigała dwie płyty czarnego marmuru, za etażerki do nut służące.

Dwie ogromnych rozmiarów kanapy, wraz z całym garniturem w guście odrodzenia, błyszczały u wezgłowia srebrną ostrogą na złotej tarczy. Cztery złocone nogi stołowe (pomimo w przysłowie już weszłej głupoty swojej), dźwigały na marmurowym blacie stosy rozumów ludzkich, arcydzieła literatury zagranicznej, keepsaki angielskie, albumy Włoch i Szwajcaryi, między któremi, jak niedojrzany pierwiosnek, błąkała się śpiewka Lenartowicza i tomik Syrokomli z nierozciętemi dotąd kartkami.

W czterech zagłębieniach salonu, a raczej w półokrągłych jego rogach, czterech atletów z podniesionemi w górę pięściami (szczęście, że marmurowych), zda się czekać tylko hasła gospodarza domu, by niesfornego gościa wykreślić z liczby żyjących. Dalej na dwóch misternych konsolkach zebrały się w liczne grono wszystkie fraszki, za które przemysł Zachodu potrafił wyłudzić w zamian zboże, wełnę i surowe produkty Polski. Więc obok bajaderki cudnej piękności, sławny niegdyś dr. Eisele opowiadał dziwy swych podróży uczniowi swemu Beisele. Obok groźnego Spartanina, mniej surowych zasad Don Juan prawił dwom swoim przyjaciółkom bajkę o Alibabie i 40 zbójcach. Faun leśny wyciągał kosmatą swą dłoń do wygalantowanego swego przyjaciela, dandysa bulwarów. Był tam i okręt rozbity podczas burzy, i poeta marzący o przyszłości, i paw z rozwianą kitą, i filantrop z gazetą, w której dar jego szumnie ogłoszono, i astronom gwiazdy mierzący, i Chińczyk jakby na urąganie łbem ustawicznie kiwający... słowem całe rapsody... sielankowo-fantastyczne, których pióro nie skreśli.

Na to wszystko półświatło rzucały wspaniałe lampy, kunsztownemi umbrelami okryte; jaśniejszem światłem tryskał tylko kominek dziwnie pięknych kształtów. Ujęty w żelazne ramy, jakoby baszty forteczne tworzące, błyszczał on tu i owdzie rozrzuconemi strzelnicami, malakitem i opalem obwiedzionemi, ponad czem znowu srebrna ostroga na złotem wznosiła się polu. Most zwodzony, misternego wyrobu, stanowił galeryjkę, zatrzymywać mającą wybuchy żarzących się głowni, a przy nim dwóch spiżowych rycerzy, odpowiedniej doń wielkości, dzierżyło w że-

laznych dłoniach armatury, w które, miasto lanc i chorągwi, haczyki i szczypce utkwiono. Była to całość tak harmonijna, a razem tak szczytna w pomyśle, iż mimowoli ubolewałeś nad funkcyą, do jakiej ją losy przeznaczyły.

Wreszcie wspomniane już kwiaty i krzewy podzwrotnikowe tak niezwykle silną woń roztaczały dokoła, że nos mój demokrata, do geranii i róży przywykły, zaczął się profan kurczyć... a kurczył póty, póki głośno przeciw tej woni nie zaprotestował. Ocknąłem się wtedy z powtórnego mego zagapienia i od olbrzymów, herbów, nóg stołowych, zwróciłem się do osób otaczających kominek.

Było ich siedm... a raczej siedm posągów, różniących się tylko od głazu frakami czarnymi i jedwabnemi strojnemi sukniami (które bezwstydne posągi dotąd za zbyteczne uważały)... drganiem powiek i rękami objawiającemi życie młynkiem, za pomocą pierwszych palców wykonywanym. Oczy ich, zdziwione nieco, zwrócone były na mnie, usta wyraz jakiś szyderczego półuśmiechu przybrały, a ręce, nie zmieniając położenia swego, młynkiem się dalej bawiły. Za zwróceniem się mojem powstał wysoki człowiek, na wysokich korkach, z wysokimi kołnierzykami, wysokim czubem i wysoko wykręconymi wąsami — mina w gruncie pocieszna, udająca powagę. Domyśliłem się gospodarza domu.

— Czy z panem Hannibalem X... mam szczęście?...

— Tak jest, panie — z kimżeż?...

— Jestem... ten a ten... stąd a stąd... upoważniony od dyrekcyi Towarzystwa kredytowego do sprawdzenia taksy majątku pana dobrodzieja, w razie jeśli...

— W jakimże celu, jeśli wolno spytać? — przerwał zmieszany.

— Towarzystwo podnosi pożyczkę do połowy wartości dóbr.

— Czy być może?!...

— Tak, panie dobrodzieju, a ponieważ szczegółowa detaksacya stanowi wstęp niezbędny do dalszych czynności Towarzystwa, a mianowicie skalę dodać się mającej pożyczki, zatem...

Wysoki pan nie dał mi już dokończyć.

— A bracie, sąsiedzie, z nieba jesteś!... — wołał, chwytając mnie w objęcia. — Słyszysz Ifigenio?... Towarzystwo daje podwyższoną pożyczkę.

Przeraźliwe *pst!* rozległo się po salonie.

— I z czegóż ta radość, mój Hannibalu?... — odparła szybko napiętrzona koronkami dama, nie zmieniając *położenia,* czyli raczej *postawy.* — Wszakżeż dla nas to zupełnie obojętna wiadomość — ciągnęła dalej, patrząc znacząco na męża. — Mojem zdaniem obciążanie dóbr *bez potrzeby,* przy *leżących* kapitałach dla córek, jest fałszywem wyrachowaniem; bo i cóż. wreszcie robić z pieniądzmi?...

Obejrzałem się na resztę osób siedzących. Przy starej ciotce, prototypie ciotek-rezydentek, były dwie młode panienki, do wypiętrzonej damy podobne, widocznie jej córki, i dwóch młodzieńców, na konkurentów wyglądających. Cel komedyi nie był mi już tajnym.

— Może pan zajmie miejsce?... — zawsze jednym głosem rzekła pani domu.

— A prawda, co też ja robię! — krzyknął wysoki pan. — A koniki wyprzężone?

— Sądzę, że jest to czynność naszego marszałka — wtrąciła szybko pani.

— A prawda... jest to czynność naszego marszałka — odrzekł, ocierając pot z czoła, pan domu.

Zasiedliśmy tedy do kominka.

— Zapomniałem panów zapoznać. Panowie Juliusz i Eugeniusz bracia N... — rzekł, prezentując mnie również gospodarz.

— Może wkrótce szwagrowie — dorzuciła ciotka-rezydentka, w roli swata.

Dwie siostry oczy spuściły, dwaj bracia, udając zmieszanie, zaledwie mi się ukłonić raczyli, wypiętrzona zaś pani Ifigenia, niby gniewnie zestrofowała ciotkę za ten żarcik niedyskretny.

— Owóż tedy... — zaczął, wracając do ulubionego tematu, gospodarz — Towarzystwo z pewnością podwyższa pożyczkę?

— Z największą pewnością — już mamy sankcyę monarszą.

— Bo luboć nas to mało obchodzi — ciągnął dalej — miło jednak usłyszeć wiadomość tak zbawienną dla ogółu obywatelstwa naszego. Gospodarstwo *racyonalne* stało się dziś zatrudnieniem tak kosztownem, że gdyby nie kapitały, nie forsa i nie sztuczne podtrzymywanie gotówką, ze źródeł pewnych czerpaną, nicby z goła przynosić ono nie mogło.

— I było to dla nas rzeczą bardzo szczęśliwą — wtrąciła zimno pani Ifigenia — tym jedynie sposobem

mógł stan obywatelski do dawnej wrócić świetności. Pozbyliśmy się tych zagonowych demokratów, którym się wiecznie roi dawne przysłowie o szlachcicu i wojewodzie; pozbyliśmy się owych bryczkowych sąsiadów, pogranicznych szkodników, jarmarcznych krzykaczy, zagorzałych myśliwych, głębokich polityków, głupio-szczerych przyjaciół, a obywatelstwo zostało w sferze *dobrego tonu,* w jakiej właściwe dlań miejsce. *N'est ce pas, messieurs de...*

— *Certainement madame de...* — odrzekł jeden z zagadnionych braci. — My naprzykład otoczeni jesteśmy tak szaraczkowemi sąsiedztwami, że drżę na samą myśl, w jaki świat wejśćby musiała towarzyszka mojej przyszłości, jeśli mi ją kiedy niebo dać zechce...

— Dobrze robisz, panie Eugeniuszu, że wcześnie ostrzegasz...

— Ciociu, ciociu — mówiła dąsając się pani domu.

— Babcia ma upodobanie w żenowaniu nas — szepnęła jedna z panienek.

— Trzeba więc zrobić wybór taki — ciągnęła pani Ifigenia — żeby żona poprzestać umiała na towarzystwie męża, i nawzajem mąż żeby znalazł wystarczające *resursa* w osobie żony.

— Albo co lepiej — dorzuciła szybko ciotka — żeńcie się obaj jednocześnie i tak, żeby żony wasze dawna łączyła z sobą przyjaźń... koligacya... powinowactwo... kuzynostwo... lub wreszcie...

— Nie, ciociu, *cela surpasse tout...*

— *Au contraire, madame* — pochwycił drugi z młodzieńców, zachęcony spojrzeniem brata. — Ciocia do-

brodziejka mówi tak, jakby w głąb serc naszych zajrzała.

— No i o cóż chodzi? wszakżem znawczyni na serca ludzkie. A cóż wy na to, panienki?...

Silny rumieniec okrył oblicza panien. Pan domu, strosząc czuba i poprawiając kołnierzyków, mrugał oczyma zadowolenia na ciocię, ciocia na panią Ifigenię, a dwaj bracia, ciągnąc się z tyłu krzeseł za poły, czekali wypadkiem niby spowodowanej odpowiedzi, gdy wtem... przez gardło kamerdynera zabrzmiało w salonie: „Waza na stole“ i znowu, jak bajeczny sezam, rozwarły się podwoje... na dwoje.

W dębowej sali jadalnej, z dębowym bufetem, dębowym stołem, dębowemi krzesłami, czterech jak dęby lokajów, w żabotach, trykotach, wygantowanych, obnosiło dymiące *potaże,* paszteciki, sztufady, majonezy, jarzyny, zwierzyny, kompoty, szarloty i t. p. specyały gastronomiczne, naturalnie w przerwach różnych, ale tak jednostajnych i tak do siebie podobnych, że wolimy z góry wszystko razem wymienić.

Obiad odbywał się w jak największem milczeniu (warunek konieczny dobrego trawienia); ledwie wypocząć zdołałeś, nowe arcydzieło sztuki kucharskiej nęciło cię do siebie kuszącymi powaby. Za każdem daniem jeden z siedmiu kieliszków przed tobą stojących napełniał się nowym gatunkiem wina, które gastronomia uznawała za stosowne, zdrowe i przyzwoite po tej lub owej potrawie.

Gdy na zakończenie podano w niebieskich wazkach wodę letnią, miętowym olejkiem zaprawną, każdy płukał usta strudzone milczeniem i ciągłem przeżuwaniem... maczał koniec paznogci w ciepłym płynie, a pociągnąwszy *in concluso* naparstek *chasse-caffé*, wstał od stołu, nie kłaniając się nikomu, tak jakby za obiad z góry był już zapłacił.

Odeszliśmy parami napowrót do kominka: pan domu z panią, coś mu tajemnie szepczącą, panowie młodzi z pannami, a ja biedny kończyłem orszak z ciocią-rezydentką, która, nie mogąc powstrzymać korcącej ją żyłki swatania, szepnęła mi półgłosem:

— Co za dobrane pary!

W rzeczy samej, i wzrostem, i maryonetkowem usposobieniem, i sztywnością w ruchach odpowiadały one sobie zupełnie.

Strudzonemu podróżą, pozwolono iść wcześniej na spoczynek. Znalazłem się więc w obszernym gościnnym pokoju, nader gustownie urządzonym, gdzie trzy łóżka przy ścianach stojące ostrzegły mnie zawczasu, iż w towarzystwie młodych konkurentów noc spędzę. Po egzaminie przed lokajem odbytym, co pijam z rana, jak pijam (w szklankach, czy filiżankach), z czem pijam, co jadam przy śniadaniu i w jaki sposób jadam — zasnąłem był tak błogo, jak w Starej Chałupie zasypiałem, myśląc o ekonomie i czeladzi, którzy w mej nieobecności słodkiego *farniente* używać rozkosznie musieli.

Zaledwie pierwszy sen na szarych swych skrzydłach przeniósł mnie w sfery zamglonych światów, gdzie wrażenia dnia ubiegłego pod zupełnie innemi postaciami przemykały mi nad głową, — usłyszałem kroki na korytarzu, a za chwilę zbudzony zostałem na dobre, wejściem dwóch moich nocnych towarzyszów.

— Czy śpi?... — zapytał jeden zcicha...

— *Probablement oui — au pis aller parlons français... Nous pouvons être sur de rester incompris... un animal de bourgeois, ça n'a pas l'air de connaître des langues.*

— Panie, czy pan śpisz?... — szeptał mi do ucha mniej dowierzający.

Naturalnie udawałem jak najmocniej śpiącego, a bracia konkurenci francuską zaczęli rozmowę.

Błogosławiona francuszczyzno! Tyś mnie z *animal de bourgeois*, zrobiła wówczas w mém przekonaniu człowiekiem wielkim, tyś mnie spotęgowała w dwójnasób: zaspokoiłaś ciekawość i wtajemniczyłaś mnie we wnętrze tych obojętnych na pozór istot, które pięknym światem zowiemy, a których życie tak pełne jest wrażeń żywszych przy powierzchownym spokoju, barwniejszych przy pozornej bezbarwności; tyś mi dozwoliła być słuchaczem tej odwiecznej komedyi, którą świat zwany wielkim, bezustannie z sobą odgrywa. Cześć ci i hołd na wieki!

— *Enfin nous voilà fiancés* — zaczął jeden.

— Ale zaręczeni tylko dzięki starej ciotce, która nam te głupie preludye mistrzowsko ułatwiła.

— Czyś jej co obiecał?

— Uchowaj Boże — zrobiłem jej prezent z malakitowego różańca...

— A ja z pinczera i papugi.

— No to ma dosyć... ma się do kogo wygadać i z kim popieścić.

— Jakżeż interesa swoje uregulowałeś?

— Dziś stoją prawie al pari. Rewers mój na 25.000 rubli płatnym jest na 1 lipca, a że zaliczka na posag także nam się koło św. Jana dostanie, spłacę więc żyda, jeśli mnie przyciśnie, i zostanę z kilkoma tysiącami rubli.

— A pan Gelbfisch?

— O tego się nie boję, to nadto ambitny i ucywilizowany żyd, żebym go do wierzycieli miał liczyć. Oddam mu wkrótce wizytę, poproszę do siebie na polowanie, a toast na jego zdrowie i ściśnięcie ręki znowu go na rok uspokoi.

— Żebyś się tylko nie zawiódł, bo on ma obligów naszych tyle, że prawie wartości Jarzębin dorównywają.

— Sacramento!.. Juliuszu co ci się stało, żeś dziś taki rachunkowy? Cóż to, zapominasz, że się przecie żenimy... Panny bogate, gospodarstwo widać ładne, urodzaje szalone... w domu szyk co się zowie, a wreszcie Hannibalowa powiedziała wyraźnie, że mają kapitały dla córek; choćby więc tylko po 30.000 rubli tymczasem, to i tak gębę Gelbfischowi zatkam.

— Mój Eugeniuszu, jeszcze nie wiemy co dadzą. Stary ma prawda dobra ładne, ale wydatki jeszcze ładniejsze; a czy mało kosztuje go rocznie sama stajnia?

— A bestya stary, wyrwał mi prawie z rąk Ham-

leta; anim wiedział, że on go także targuje. Dawałem za niego 300 luidorów, wprawdzie na niżej podpisanego, on dał 250 tylko...

— Ale gotówką...

— Wielka sztuka jak kto ma... dość że mnie podkupił.

— No przecież i Kohinoor na sprzedaż... równie ładny, a w steeple chasse jeszcze ci lepiej pójdzie, bo nie tak się w cugiel kładzie.

— Nie wierz temu... ty nie uważałeś *maniery* w Hamlecie. Jechałem na nim małego kentra... powiadam ci, niech się wszystkie Flattererry schowają! O muszę Hamleta wykpić od starego w posagu... prędzej mu córkę na gruncie zostawię, jak tego konia.

— Ha! ha! to ci się udało! Ale dajmy nateraz pokój szkapom, bo tu sprawy ważniejsze. Możesz się więc żenić, bez obawy o termin wekslu?

— Mogę dziś nawet. A ty?

— Otóż widzisz, ze mną gorzej; mam drobnych wekslów na 15.000 rubli, a tu termin za pasem.

— Głupstwo!.. podpiszemy we dwóch nowy weksel choćby na podwójną sumę, i spłacimy stare; jak nowy wyekspiruje, podpiszemy jeszcze nowszy i spłacimy nowy; i tak dalej. Pieniądze zawsze będą... aż przy ostatnim wekslu zaskoczy nas...

— Leszno...

— Albo gloria in excelsis.

— Jedyna głowo!.. czemuś ty nie został ministrem finansów tureckich?.. Śpij jak sułtan po hatszisz'u za tę

myśl wzniosłą. Jutro zatem możemy jechać po prezenta ślubne...

— A jedź sobie dokąd chcesz... ja mam jutro wyścig z przeszkodami u Lola; stawka 20 luidorów... zwycięstwo podwójne... panowie jeżdżą sami. Dobranoc ci.

— Ale *à propos*... więc ty się żenisz z Cesią, a ja z Minią?

— A jak tam sobie chcesz; ty wiesz, że ja się o takie głupstwa spierać nie lubię.

— No... ale przecież zdecydować się trzeba; oświadczyliśmy się dziś obydwaj o obydwie, ale gdyby nas byli zagadnęli który o którą... urżnij połę.

— Widać domyślano się braku porozumienia naszego co do tej kwestyi.

— Albo, co pewniejsza, wzięto rzecz tę za okoliczność małej wagi.

— Naturalnie.

— *Bon gré, mal gré,* trzeba nam się jednak zdecydować, choćby dla samych zapowiedzi. Któraż ci się lepiej podoba?

— Mój drogi, wiesz, że nie daję zdania o rzeczach podrzędnych, zwłaszcza na których mniej się znam. Żebyś to mnie spytał o konia z Hannibala stajni, wiedziałbym którego wybrać. Kobiety, zwłaszcza dzisiejsze, wszystkie jak jedna... bierz więc którą chcesz.

— No, to jako młodszy, weź Cesię, a ja Minię.

— Słuszna racya — *pas un mot contre.*

— Więc zgoda?

— Ale czy to nie szkoda tylu słów na takie głup-

stwa? Śpij już, na Boga, i nie myśl o tych fatałaszkach, bo to szkoda czasu. Ja muszę być do jutrzejszego wyścigu wypoczęty, tembardziej, że dla stracenia 4-ch funtów wagi, wiesz jak się osłabiłem.

— No to śpijmy...

— O żeby mi tylko Dżalma nie zrobił jutro wstydu.

— A dawno go trenujesz?

— Dwa miesiące... to dosyć, co? Lolo swego i tyle nie trenował, a jak mu chodził w steeple chasse!

— Był pierwszy przy *hallali*.

— Szczęśliwy!

Nazajutrz co żyło w pałacu pojechało na wyścig do Lola. Laskonogie wierzchowce pod okazałemi derami prowadzone były zwolna przez gawiedź groomów i dżokei.

Sześć koni wyprowadzonych na wyścig przez pana domu i jego przyszłego zięcia, kosztowało cenę porządnej szlacheckiej wioski. Była w nich krew pełna... zato w panach zwolna jej ubywało, w miarę zbliżania się terminów św. jańskich, tak, że sądząc wówczas po bladości twarzy, panów zaledwie za półkrwi liczyć było można.

Detaksacya poszła mi szybko, gdyż oprócz pól przy trakcie, uderzających wybujałą roślinnością, reszta leżała odłogiem. Budynki wiejskie, tak z wieczora białością świecące, były stekiem nędzy zakrytej... chrustu wytynkowanego nieco z frontu; od tyłu wiatry wpadały do izb

wieśniaczych z przeraźliwym piskiem, a deszcz drobny przez szczeliny ścian trzepał niemowlę krzyczące w kołysce. Inwentarzy prawie żadnych; jedne wyzdychały z postu, drugie zastąpione zostały kilkoma vollblutami. Plac pieńków świadczył o bytności tu ś. p. boru, który dla odsłonięcia pięknej perspektywy zapewne usunięto. Jeden tylko pałac pawił się wśród tej ogólnej ruiny wyniosłością i przepychem form swoich, jak dorobkiewicz przy biedniejszej braci strojnością szat i bogactwem.

Pomimo całej chęci jak najwyższego otaksowania i pomimo wreszcie poufnego przyznania się pana Hannibala, że pożyczka, wbrew twierdzeniom żony, niesłychanie będzie mu na rękę, nie dało się wyciągnąć wielkich rzeczy.

Na trzeci dzień, podczas gdy obchodzono zaręczyny córek z niewidzianym prawie przepychem, gdy co chwila przez wielką bramę okazały cug nowych przywoził gości, a laskonogie wierzchowce nową dostarczały młodzież... wsunął się uboczną furtką jednokonny wózek, a na nim jegomość w czapce zielonym lampasem obwiedzionej, z pliką papierów pod pachą — był to sekwestrator podatków skarbowych. Gdzie go podziano... lub czem mu gębę zatkano... nie wiem — dość, że go na sali nie było, a zabawa szła ochoczo... a szampan lał się strugami... a w karty przegrywano sumy wcale poważne...

W rok od owej pory pan Hannibal X. uzyskawszy pożyczkę Towarzystwa kredytowego w ilości rubli 30,000,

tak mu niepotrzebną, wedle zdania pani Ifigenii, wyprawił niesłychanej w okolicy świetności, wesele dwóch swoich córek z braćmi Juliuszem i Eugeniuszem, dodając naturalnie ostatniemu *Hamleta* w posagu córki, jako punkt kardynalny w intercyzie zamieszczony.

W pół roku potem tenże Hamlet, zrzuciwszy przy przesadzaniu baryery nowego pana swego na wyścigach, postępował kirem okryty za orszakiem pogrzebowym, wiodącym resztki potłuczonego nieboszczyka Eugeniusza i poszarpanej jego fortuny. Wkrótce też państwo Hannibalostwo *nie mając co robić z pieniędzmi* wyjechali na zimówkę do Nizzy, z owdowiałą córką, której każdy domu kątek powodował spazmy, przywodząc jej na pamięć cienie *tak ją kochającego* małżonka.

Gdy się to dzieje — w Jarzębinach, własności pana Juliusza, ucywilizowany i potulny dotąd pan Gelbfisch, nie odbierając już wizyt dłużnika swego oddawna i nie będąc przezeń zaproszony na ostatnie polowanie, zjawił się naraz z komornikiem, wytrząsając na dziedzińcu, z oczyma zaiskrzonemi chciwością i bródką drżącą z pośpiechu, resztki subhastującej się fortuny.

. . . . . .

Upłynęły od owej pory dwa lata.

. . . . . .

W knajpie okręgowego miasteczka zapijał bawara, zatopiony w telegramach dziennika, wysoki człowiek, na wysokich choć wykoszlawionych korkach, z wysokimi choć podejrzanej białości kołnierzykami, wysokim czubem i wysoko wykręconym wąsem.

Nos jego, dawniej w górę zadarty, pokraśniał nieco

i zwisł, nakształt indyczych korali. Mina w gruncie pocieszna, choć srodze udająca powagę.

Czytelnik domyśla się w nim zapewne pana Hannibala, który po uzyskaniu pożyczki Towarzystwa kredytowego, tak mu *pomódz mającej*, i po powrocie z Nizzy, *wynicował* się tak dalece, iż w końcu ujrzał się zmuszonym zrealizować resztki ocalonych zabytków pańskich na grosz, i z takowego żyć na starość, z mniej już nieco wypiętrzoną panią Ifigenią, w małej mieścinie.

A wiecież co się działo w Blichtrowie, dawnej hannibalowskiej rezydencyi?

Oto... w salonie ponsowym adamaszkiem obitym, wśród unoszącego się dymu knastru pruskiego, przy owym idealnie pięknym kominku, nowi dziedzice tych dóbr panowie *Müller et Schultze*... piekli kartofle w mundurach!

Sic transit gloria mundi.

Sobkowice.

O milę od opisanego już Blichtrowa leży wieś Sobkowice. Wypadło mi tam z kolei zrobić sprawdzenie taksy, a że o właścicielu jej, panu Kalasantym, różni różne mi różności opowiadali, podążałem więc tem szyb-

ciej, im pilniej było mi się przekonać, ile w tych gawędach ludzkich było przesady.

Granicę wsi Sobkowic łatwo poznać mogłeś po ogromnym rowie, wodą z gór sprowadzaną zalanym. W około rowu granicznego szeroki wał, a na jego burtach ciernie, dziki agrest i kolczaste ligustry stanowiły rodzaj fortecznej palisady, którą się właściciel jakby od reszty świata odgrodził. I w rzeczy samej, kiedy z wiosny woda, bystro rowami biegnąca, zbierała dwa mostki graniczne, na dwóch jedynych zarzucone drogach, ku czemu, wedle miejscowych podań, sam właściciel nocami rozhukanemu żywiołowi pomagał, nie było sposobu dostania się na terytoryum Sobkowic, jakby chińskim murem od okolicznych wiosek odciętych.

W chwili rozpoczęcia naszego opowiadania, to jest wśród sianożęci, mosty już były, dzięki trzykrotnej egzekucyi, naprawione, komunikacya szarwarkiem jako tako przywrócona, a choć Sobkowice ze złej drogi daleko w okolicy słynęły i kto mógł wolał krążyć dokoła, byle takową ominąć — dojechać jednak nie było już niepodobieństwem, ale po drodze... o jakiej się pewno filozofom ani inżenierom nie śniło.

Wystawcie sobie, muzykalni czytelnicy, jedną ogromną klawiaturę, z pojedynczych, fantastycznie porozrzucanych i niespojnych z sobą klawiszy złożoną, po któreyby ręka szaleńca chromatyczną gammę przebiegła, a mieć będziecie małą próbkę sobkowickiej drogi. Na gruncie iłowatym i czarnym, hojna w tym razie dłoń właściciela rozpostarła pokład grubych i osikowych kołów, niczem z sobą niepowiązanych, przysypawszy to wszystko

cienką warstwą ziemi podobnież tłustej, z wązkich choć głębokich rowów wyrzuconej. Na oko wyglądało to dość pokaźnie, ale wjechawszy... zdało ci się, że mołdawskiej podpadłeś febrze. Bryka po sterczących tu i owdzie kołkach najdziwniejsze wyprawiała skoki; co chwila który z kołków, naciśnięty bryką w jednym końcu, drugim wznosił się w górę, jakby grożąc ci za przerwanie mu spoczynku; biedne szkapy jak po żarzących kroczyły węglach, a trafiając co krok między szczeliny niewypełnione faszyną, utykały na łby i wydobyte z tej istnej topieli, odpoczywać co chwila musiały. To padanie koni, trzask i łomot gruchotanych gałęzi i kołów, krzyk woźnicy, wśród ustawicznego przechylania się bryki, to na jedną to na drugą stronę, tak coś przerażającego miały w sobie,

Iż raz przebywszy taką wiorstę wściekłą,
Śmiało dziś twierdzić już mogę,
Że nim Dant swoje opisywał piekło,
Sam musiał przebyć tę drogę.

Po dwugodzinnej przeprawie jednej tej pamiętnej wiorsty, wjechałem nareszcie w dziedziniec Sobkowic, także jak twierdza jaka zamknięty; okolony żywym płotem z zajęczego głogu i ligustrów, zawierał jedyny otwór wjazdowy, furtą z ostrokołów zbrojny... naprost której bielił się dwór pana Kalasantego.

Zaledwie Grzesio zdołał skrzypiącą tę furtę uchylić, zgraja kundlów, chartów, wyżłów i przeróżnego rodzaju psiarstwa, opadła brykę dokoła, szczekając dojmująco, że cierpliwe deresze moje, pozostawiając Grześka, ru-

szyły ze mną w galopie przed dworu wystawkę, na której pan Kalasanty, przyłożywszy rękę do czoła, usiłował przy blasku słonecznym rozpoznać, kogo mu też z gości Pan Bóg czy licho nasyła. To drugie przypuszczenie zdało mi się więcej wyrazowi jego twarzy odpowiadać; niezrażony jednak ściśniętemi brwiami i skrzywionym nosem p. Kalasantego, wyskoczyłem z bryki, oddawszy lejce nadbiegłemu już Grzesiowi, i stanąłem oko w oko z człowiekiem, o którym tyle wprzód baśni słyszałem.

Pan Kalasanty, barczysty szlachcic o sumiastych brwiach i wąsach, zmierzył mnie od stóp do głowy i popatrzył w oczy tak badawczo, jakby myśl moją chciał na wskróś przeniknąć. Pragnąc ciekawość jego zaspokoić, wymieniłem mu szybko nazwisko moje i cel przybycia.

Pan Kalasanty odetchnął... wyprostował się nieco... rękę od czoła odjął i podał mi takową w milczeniu, nie spuszczając jednak ze mnie oka.

I znów staliśmy przez chwilę naprzeciw siebie.

— Czy pan dobrodziej zrozumiał cel mego przybycia? — zapytałem nieśmiało.

— Zrozumiem, jak pana przy pracy zobaczę.

— Do tego potrzebaby mi wejść najprzód do mieszkania, roztasować moje papiery, poprosić o mapę wsi, regestr pomiarowy, książki i regestra gospodarcze.

— Powoli... powoli... — odparł pan Kalasanty. — Pan dobrodziej żonaty?

— Nie panie. Ale cóż to ma do mojej czynności?

— Więc kawaler? — ciągnął dalej nie bacząc na moją uwagę.

— I nie kawaler.

— Więc wdowiec?

— Rzecz prosta.

Zamyślił się pan Kalasanty i po chwili spytał mnie znowu:

— Czy pan dobrodziej byłeś szczęśliwym w pożyciu?

Sądziłem, że mam waryata przed sobą, nie wiedziałem więc co odpowiedzieć, gdy pan Kalasanty dziwne to pytanie powtórzył raz drugi.

— Zdaje mi się — odrzekłem — że zapytanie pańskie, jako nie mające żadnego związku z celem mego przybycia, za żart chyba poczytać muszę.

— U mnie żartów niema — odparł zimno — ja, nim kogo w progi moje wpuszczę, muszę go wprzód poznać, o ile się da...

Oryginalna ta uwaga i cały sposób wzięcia się pana Kalasantego, tak mnie zaciekawiły, iż przypomniawszy sobie w dodatku obietnicę na wyjezdnem memu sąsiadowi daną, postanowiłem, bądź co bądź, dostać się do wnętrza domu tego dziwaka, i dlatego zdobyłem się na powolność w odpowiedziach.

— Długoby o mem pożyciu opowiadać trzeba — odrzekłem — lecz jeśli to pana dobrodzieja obchodzić może, postaram się ciekawości jego zadość uczynić.

— Na szczegóły mamy czas później; na razie jednak chcę wiedzieć, czyś pan szczęśliwym był w pożyciu?

— To zależy...

— Wreszcie czy nie pragniesz pan powrócić do stanu małżeńskiego?

— Według mnie człowiek raz się rodzi, raz umiera i raz się też tylko żenić powinien.

— Czy to jest szczere wyznanie wiary ze strony pańskiej?

— Jak najszczersze.

— Słowo? — zapytał wyciągając ku mnie rękę i patrząc mi bystro w oczy.

— Słowa nie zwykłem dawać, ale tym razem robię wyjątek — odrzekłem podając mu rękę.

— Kiedy mam słowo pańskie, któremu chcę wierzyć... proszę za sobą.

Weszliśmy tedy z zagadkowym dla mnie gospodarzem, do równie dla mnie zagadkowego jego dworu.

W obszernej sieni, strojnej w rogi jelenie i wieńce różnego rodzaju zboża, z zeszłorocznych dożynek, czekał nas w milczeniu wyprostowany jak trzcina stary sługa w szarej bekieszce i takichże szarawarach. Na skinienie gospodarza domu, odebrał mi rzeczy i tłomoki, poczem wolnym krokiem otworzył drzwi do pokoju pana Kalasantego.

Schludna i obszerna ta izba, na pierwszy rzut oka usposobienia i gusta pana swego zdradzała. Nic tam nie było zbytecznego, ale też i niczego nie brakło.

Na środku jej stół okrągły, z surowego starego dębu, sześcioma wygodnymi fotelami otoczony; pod ścianą

sofa obszerna, dywanem obita, z dwiema poduszkami po bokach, była zwykłem miejscem wypoczynku pana Kalasantego. Starożytne biurko dębowe, zielonem i wcale niezużytem suknem wybite, wymownie świadczyło, że pan Kalasanty piśmiennictwem bawić się nie musiał.

Na jednej ze ścian głównych wisiały dwa stare portrety, jeden ś. p. ojca p. Kalasantego w cynamonowym żupanie i pąsowym kontuszu, z ręką na karabeli wspartą — drugi matki jego nieboszczki, w żółtej bufiastej sukni, ogromnym koronkowym kołnierzem zdobnej, i w potężnej wielkości robronie. Na drugiej ścianie wisiały dwie piękne dziwierówki, skośnie się z sobą schodzące, dwa pistolety ze szuelerami, kilka kordelasów, jedna pyszna damascenka w zielony jaszczur oprawna, parę torb borsuczych, rogów do prochu i t. p. przyborów, a ponad tem wszystkiem dwa łby odyńców z ogromnymi kłami, co wszystko dawało poznać odrazu, że myśliwstwo było jedną z namiętności pana Kalasantego.

Koło drzwi, zawieszone na jelenich rożkach, klucze od stodół i śpichlerzy, z odpowiednimi napisami na tabliczkach, wreszcie niezbędny dawnych czasów zabytek, ów monitor boćkowski, *alias* harap, świadczyły, że szczegółowy zarząd gospodarstwa był w ręku p. Kalasantego, który je też w należnym rygorze utrzymywać musiał.

Zasiedliśmy razem na sofie.

Chłód jakiś dziwny, wiejący ze ścian, sprzętów, a najbardziej od samego gospodarza domu, sprawił mi dreszcz mimowolny. Spostrzegł to p. Kalasanty i raczył zapytać czy mi nie zimno.

— W istocie — odrzekłem — choć to czerwiec, sam nie wiem dlaczego mi chłodno.

— To może znużenie podróżą — odparł — drogi się nieco popsuły. Może pan zechcesz spocząć chwilę, nim do obiadu podadzą.

— A o której godzinie obiad u pana dobrodzieja? spytałem niby od niechcenia, choć straszliwie byłem głodny.

— Punkt dwunasta, bo i chłopy wtedy próżnują. Miewam u siebie codziennym gościem pana Witalisa, sąsiada mego z Brzuchowa; ale zna on moje zwyczaje i ani wcześniej, ani się później nie stawi. Zresztą nie zwykłem zmieniać porządku domu dla nikogo, i o naznaczonej godzinie siądziemy, choćby się gość mój miał spóźnić.

— Kiedy tak, to już wypoczywać niewarto, bo to po wpół do dwunastej. Wolę skorzystać z czasu i o niektóre objaśnienia poprosić.

— *Lente, lente*... mości dobrodzieju — rzekł p. Kalasanty — nasamprzód nie wiemy jeszcze, czy wogóle do czynności przystąpimy, bo się za mało znamy.

— Sądzę że jedno z drugiem nie ma nic wspólnego... znajomość znajomością, a czynność czynnością.

— Mylisz się pan bardzo... jedno z drugiem ma związek.

Ruszyłem mimowoli ramionami.

— Nie trza ramionami ruszać — ciągnął dalej p. Kalasanty — póki się rzeczy nie wysłucha, bo ja nie na wiatr nie mówię. Otóż związek jest taki, że kiedy się komu odkrywa stan majątku we wszystkich szczegółach, kiedy się komu pozwala wątpić o prawdziwości podanych szczegółów i upoważnia go się do sprawdzenia, trzeba

doń mieć pewien rodzaj zaufania, a do tego znów znać się potrzeba choć trochę.

— Przyznam się panu, że mnie ta uwaga zadziwia niepomału. Najprzód czynność moja jest przedwstępną i nie decyduje ostatecznie. Jeśliby ilość przeze mnie wyliczonej pożyczki zdawać się miała za małą...

— Ale nie o to tu chodzi — przerwał mi. — Czy ja dostanę pożyczki więcej lub mniej, to mi wszystko jedno, bo interesów... naglących nie mam. Jeśli mam panu jednak nagą prawdę odkryć, chcę sam przekonać się, czy pan będziesz robił taksę Sobkowic rzeczywiście dla użytku Towarzystwa Kredytowego, czy też masz może jaki cel inny, ukryty.

— A cóżbym mógł mieć za cel? toć wsi od pana nie kupię, bo mam swoją, nie odziedziczę, bośmy nie krewni; nie dostanę w posagu, boś pan bezdzietny.

— A to kto panu powiedział? — zakrzyknął, zrywając się z sofy.

— Nikt mi tego wprawdzie nie mówił, alem też i o istnieniu dzieci pańskich nie słyszał.

— Nie słyszałeś pan, bo nie potrzebowałeś słyszeć... Nie na to mam córkę, aby była przedmiotem gawęd ludzkich.

— Więc pan dobrodziej ma córkę?

— A panu na co ta wiadomość? — zapytał przeszywając mnie wzrokiem...

— Na co? ot tak... żeby przecież mieć o czem mówić — boć grzechu niema spytać przez ciekawość.

— Ja ciekawości nie lubię — przerwał mi. — Mam córkę... tak... i to jedynaczkę. Majątku wielkiego bo

nie ma... czasy kiepskie... tak... ale moja córka nie fyrta się jak teraźniejsze panny... ma rolę szczytną... jest *moją* córką, a zadanie jeszcze szczytniejsze... osładzać mi życie. Jej też nic innego w głowie.

— Szczytne zadanie, rzeczywiście! i pewno spełnia je z całą gorliwością?

— A niechnoby nie! — zawołał z gestem grożącym. — Zresztą jak ona dla mnie, tak i ja dla niej chcę być wszystkiem na świecie.

— A w jakim wieku córeczka? jeżeli wolno spytać.

— A ta wiadomość panu na co?

— No przecież pytam się bez celu; nie sądź pan, abym przyjechał wykradać mu córkę, której nawet nie znam. Pytam się ot tak...

— Moja córka jest pełnoletnią, a mimo to jest dziecięciem niewinniejszem od anioła. Wykradania jej się nie boję, boby się temu oprzeć zdołała, skoro ja dla niej jestem światem całym. Zresztą najszczęśliwsza to istota: ma wszelkie wygody, ma książki jakie chce, ma gazety, ma fortepian, ma do towarzystwa rzadkich przymiotów osobę, madame Gavronne, ma dwie papugi, cztery pawie, mnóstwo kanarków, ma ogród, kwiaty o jakich pomyśli, ma suknie jakich zapragnie — czegóż jej więcej trzeba?... chyba ptasiego mleka.

— A znajomych dużo?

— Znajomych ja nie przyjmuję, bo lubię systematyczne życie, a wizyty robią mi dystrakcyę... nieład, dywersyę w gospodarstwie... przewrót w zwyczajach moich i w całym trybie domowym. Jedyny bywający u mnie pan Witalis z Brzuchowa ma tę zaletę, że lubi

jeść dobrze i dużo... a jedząc, milczy. Apetyt jego dodaje i mnie apetytu; kiedy go mam naprzeciw siebie, jem daleko więcej i smaczniej... i to mi idzie na zdrowie. Zresztą to mistrz w sztuce kulinarnej... uczy mi mego kuchcika, sam dysponuje obiady, codzień odmienne... i dlatego go znoszę. Innych gości nie przyjmuję, bo ludzi nie potrzebuję... córka, fuzya i pies gończy mi wystarczają; plotek i obmów nie lubię, a od tych, żyjąc z ludźmi, uchronić się nie można.

Tę spowiedź serca (jeśli ono istniało w tym organizmie) wyrzucił pan Kalasanty jednym tchem, nie dając mi ust otworzyć.

— Jednak — wtrąciłem nieśmiało — wiodąc życie tak odosobnione, zagradza się poniekąd młodej panience przyszłość, bo juściż nie przyjmując w domu nikogo...

— Nie przewraca się dziewczęciu w głowie — podchwycił pan Kalasanty. — Córka moja, powtarzam panu, żyje dla mnie, we mnie i przeze mnie... Sobkowice dla niej całym światem, a tak szczęśliwą się czuje, iż, ręczę panu, myślą nawet nigdy po nic więcej nie sięga.

— Dobre to wszystko do czasu... ale natura ma swoje prawa. Przyjdzie chwila, że serce spragnione wrażeń...

— Romanse! — przerwał mi. — Wrażenia, pragnienia i tajone głosy serca, wszystko to idzie złym przykładem i nawyknieniami z młodu. Że tam miejskie panny, trenowane jak źrebce, wyprowadzane co niedziela na oględziny po spacerach publicznych, rzucane na łup zepsutej młodzieży, po balach i assamblach... mogą mieć zawczasu w głowie przewrócone, żadne w tem dziwy.

Moja córka, wychowana pod okiem ojca surowych zasad i osoby ze wszech miar poważnej, jaką jest madame Gavronne, — nie wie nawet że istnieją jakieś wrażenia, prawa natury, porywy serc i t. p. brednie. Zresztą jest ona taką, jaką ją mieć chciałem, wychowałem ją dla siebie na to, aby mnie, a nie kogo innego, uszczęśliwiła.

Żal mi się zrobiło nieznanej tej biednej dziewczyny, której dola mimowolne jakieś współczucie budzić we mnie zaczynała —. rzekłem więc:

— Ostatecznie jednak, cóż za koniec?

— A cóż ma być za koniec? — spytał p. Kalasanty.

— No przecież pan dobrodziej, jak my wszyscy śmiertelni, nie jesteś wiecznym.

— No więc cóż?

— Cóż się stanie z córką, gdyby ją zgon pański osierocił nagle, bez celu życia, stanowiska i jakiegoś punktu oparcia?

— Celem jej życia po mej śmierci będzie żal za mną i nadzieja połączenia się ze mną... tam... w wieczności; stanowiskiem na świecie jej sieroctwo; punktem oparcia, ten kawał ziemi, który jej po mnie na własność przypadnie. Czyż pan zresztą przypuszczać możesz, żeby po stracie ojca takiego jak ja, mogła się ona kiedykolwiek pocieszyć i przywiązać do kogokolwiek w świecie?

O ślepoto egoizmu!... pomyślałem w duszy, nie mając już na takie brednie odpowiedzi — gdy wtem turkot zajeżdżającej bryczki przerwał nam na szczęście tę dziwną rozmowę.

Pan Kalasanty spojrzał na zegarek.

— Pięć minut do dwunastej — rzekł, wstając z krzesła. — Witalis przyjechał, za pięć minut obiad.

Przybyły pan Witalis z Brzuchowa był postacią wprost przeciwną tej, jaką sobie z krótkiego opowiadania pana Kalasantego wyobrażałem. Zamiast opasłego żarłoka, wesołego, jak zwykle ludzie żołądkiem i dla żołądka tylko żyjący, ujrzałem naraz figurkę małą, nędzną, przerażającej chudości, z ogromnemi za to ustami, a tak głupiego wyrazu twarzy, iż mimo średnich już lat p. Witalisa, o małom mu w oczy śmiechem nie parsknął.

— Okropieństwo! co za droga na grobli! — odezwał się p. Witalis, kłaniając się nam obydwom. — Drżałem żeby się nie spóźnić na obiad... bo znam zwyczaje, a jestem fatalnie głodny, *antrrnu swadi* (co miało znaczyć *entre nous soit dit* i stanowiło przysłowie, a razem całą francuszczyznę pana Witalisa).

— Przyjechałeś jednak w sam czas — odparł pan Kalasanty. — Ale nim siądziemy do stołu, pozwolisz że ci przedstawię pana Piotra, delegowanego...

— Aaa — rzekł kłaniając mi się p. Witalis. — Czy na obiedzie zostaje? — szepnął gospodarzowi na ucho.

— A cóż z nim zrobić? — odparł również cicho pan domu.

— Okropieństwo!

— Czemu?

— Staśko dziś pierwszy raz robi andruty... boję się kompromitacyi.

— No, to trudno... jakoś to będzie.

— A potem — ciągnął dalej p. Witalis — *antrrnu*

swadi, nie wiem czy obiadu będzie dosyć, bom dysponował jak zwykle.

— Ha, cóż robić?... będziecie trochę głodniejsi. Ja bo się czuję przy apetycie i z mojej porcyi się nie pożywi.

— Okropieństwo!!... więc to się na mnie ma skrupić? *Antrrnu swadi* — mogę kurczów dostać jak nie dojem, bo na noc brałem dla konkokcyi Morysona.

— Bylem ja ich nie dostał — rzekł, ruszając ramionami, gospodarz.

Krótka ta rozmowa, cicho prowadzona, której jednak po zafrasowanych obliczach domyślić się mógł każdy, przerwaną została zjawieniem się we drzwiach starego sługi, z oznajmieniem o podaniu do stołu.

— Idźmyż więc — rzekł p. Kalasanty, wychodząc naprzód, i nim zdołałem powstać z sofy, już p. Witalis jednym susem był w progu jadalni, obawiając się zapewne, bym mu uprzywilejowanego nie zajął miejsca. Podążyłem za oryginałami, zaciekawiony coraz więcej tem com widział.

W sali jadalnej czekała nas wiekowa, choć wykwefiona jejmość przy stole, trzymając opasłego szpica na ręku. Była to madame Gavronne, osoba do towarzystwa panny Rozalii. Za przybyciem p. Kalasantego zapytała go zcicha, czy Rózia przyjść może do stołu. Po krótkim namyśle i ponownem rzuceniu okiem na mnie, p. Kalasanty zawyrokował: „może“. Weszła też po chwili

ze spuszczonym wzrokiem panna Rozalia, prowadzona za rękę przez ową madame Gavronne, zajmując miejsce przy stole między nią a ojcem.

Panna Rozalia była piękną, w całem słowa tego znaczeniu. Kibić jej wiotka i wysmukła, była jakoby nieco zgiętą... pod brzemieniem jarzma domowego, widocznie przez nią dźwiganego. Ślady tej niewoli wybitne były w dziwnie smutnym jej wzroku, który, zapewne dla utajenia stanu zbolałej duszy, w ziemię najczęściej zatapiała. Na jasnem jej czole lekka pręga przez środek biegnąca zdradzała brak tej pogody wiosennej, którą młodość zwykle się krasi.

Samotność i znudzenie... zniechęcenie i przesyt... rozlały na jej pięknem obliczu rodzaj pozornej przynajmniej apatyi; a jednak, przyjrzawszy jej się bliżej, bystrzejsze oko dojrzeć tam mogło w głębi jakąś walkę tajonego uczucia... jakąś myśl skrytą, co ją trapić musiała. I lekkie czoła zmarszczenie, i wzrok ten ciągle prawie skrywany, i usta po których od czasu do czasu gorzki przebiegał uśmiech, zdradzały groźny stan duszy, jakąś tajemnicę, której ani madame Gavronne, psiakiem swym zajęta, ani ojciec i Witalis, ścigający oczyma dymiącą z wazy zupę, dojrzeć naturalnie nie mogli.

Przyznać muszę, że nigdy może od pierwszego razu nic mnie tak silnem nie zdołało nastroić współczuciem, jak widok tej egzotycznej rośliny, jakby pod obce przesadzonej niebo.

Zasiedliśmy wszyscy w milczeniu koło stołu, a p. Witalis zaczął robić jak u siebie honory domu w części gastronomicznej, w którą widać wlewał całą duszę, myśl

i istotę swoją. Oczy jego, dotąd głupio nieruchome, zaiskrzyły się naraz ogniem tak silnym i tak wymownego nabrały wyrazu, jak oko wodza rozpatrującego pole bitwy, na którem go... śmierć albo sława czekają.

Pan Witalis przedewszystkiem wypalił kieliszeczek starki (nie zważając na Morysona), w ręce pana Kalasantego, który znów do mnie jej się napił, poczem ów wice-gospodarz domu, z powagą starożytnego augura, rozlał na talerze rakową zupę, z pływającymi po niej faszerowanymi raczkami, zachowując w tem zwykły przyjęty porządek, to jest pierwszy talerz panu Kalasantemu, drugi sobie, trzeci madame Gavronne i jej psiakowi, czwarty pannie Rozalii, a ostatni mnie, choć, Bogiem a prawdą, dla mnie napróżno już się trudził, gdyż zaledwie dno talerza płaskiego zupą zarumienić zdołał, tak matematycznie ilość jej obliczoną widać była.

Na sali głuche zaległo milczenie... wśród którego ciche stąpanie starego sługi, brzęk łyżek i kląskanie ust panów Kalasantego i Witalisa słyszeć się tylko dawały.

— Okropieństwo! — rzekł, skończywszy zupę, p. Witalis. — Mówiłem Staśkowi, żeby do farszu muszkatelowej gałki nie żałował, ale z tem bydłem to groch o ścianę... Ten chłopak musi mieć głowę czem innem zajętą. Czy pan tego nie znajdujesz? — dodał obracając się do mnie...

— Żeby miał głowę czem innem zajętą?

— Nie... że w farszu muszkatelowej gałki zamało.

— Nie miałem tak bardzo z czego sądzić — odrzekłem, spojrzawszy przypadkiem na pannę Rozalię, którą lekki jakiś rumieniec oblał.

— Monsieur Witalis... czy ta zupa nie będzie szkodzić Żolce? — spytała madame Gavronne...

— *Antrrnu swadi*... nie zdaje mi się, a w najgorszym razie damy jej Morysona dla konkokcyi...

Obnoszono już tymczasem paszteciki wyż opisanym porządkiem. Panna Rozalia, przez delikatność, nie brała, ale reszta biesiadników tak się jakoś gracko uwinęła, że dla mnie jeden tylko i to już rozkruszony pozostał.

— Jakżeż smakowały? — spytał łaskawy na mnie pan Witalis.

— Co?

— Paszteciki.

— Zapytaj pan w liczbie pojedynczej — odrzekłem z przekąsem, bo zaczynała mnie niedelikatność tego żarłoka niecierpliwić.

Pan Witalis udał, że mej odpowiedzi nie zrozumiał, lubo może zrozumieć jej nie chciał, i pociągnął kieliszek węgrzyna, którego całą butelkę miał przed sobą.

— Może pan piwka pozwoli? — zapytał mnie po chwili.

— Owszem, ale z tej samej co pańska butelki — rzekłem zły coraz więcej, postanowiwszy iść na przebój.

Pan Witalis zmieszał się... oniemiał... zawahał — nareszcie, rad nierad, drżącą ręką nalał mi kieliszek swego wina.

Podano tymczasem sztufadę, której także homeopatyczna dostała mi się tylko doza.

Pan Witalis, zagniewany widać na mnie o ubytek kieliszka wina, zwrócił się tym razem do gospodarza domu.

— Jakżeż smakowała? — zapytał.

— Czy nie zasłona? — odparł pan Kalasanty.

— Okropieństwo! Staśko widocznie się psuje... *Antrrnu swadi*... posolił jak zakochany. Tfy!...

Spojrzałem na pannę Rozalię, której, zapewne na ten wykrzyk niezbyt przyzwoity, coraz żywszy rumieniec występował.

— O zmyję mu dziś głowę — groził pan Witalis — bo to już nie moja wina... Zostawiłem mu wyraźny przepis.

— Monsieur Witalis... czy sztufada nie będzie za słona dla Żolki? — spytała zajęta ustawicznie swym szpicem madame Gavronne.

— Dodaj jej pani do mleka trochę siarki... to wytrawi i od nosacizny uchroni; a gdyby mimo to kichała, damy jej potem Morysona.

Z kolei krążył już wkoło półmisek różnych dość pięknie wyglądających jarzynek, ubranych przysmażaną bułeczką, w kogucie grzebienie wykrawaną. Jak zwykle dostały mi się resztki... na jeden ząb. Widząc że głodny wstanę, zacząłem pocieszać się chlebem z solą... owymi symbolami gościnności.

Panu Witalisowi i to przeszkadzało, widocznie chciał mnie zamorzyć, bo zwróciwszy się do mnie, zauważył:

— Pan dobrodziej, widzę, lubi chleb z solą...

— W braku czego innego, — odrzekłem nawpół z gniewem.

— To... to... bardzo zdrowe — odparł zmieszany. — Moryson zaleca to dla konkokcyi.

— Czemuż pan dobrodziej, zwolennik Morysona, z tej mądrej rady nie korzysta?...

— Ja... bo wolę mięso — odpowiedział mi naiwnie, odwróciwszy się już zupełnie do pana Kalasantego z zapytaniami.

— Jakżeż jarzynki?

— Dobreby były — rzekł mu gospodarz domu — tylko mi się wodniste wydają... Może jeszcze za młode.

— Nie... to wina Staśka... nie dosyć wysadził, nie dosyć wysadził, okropieństwo!... a mówiłem, mówiłem... masła nie żałować... ognia poddać... O trza mu zmyć głowę, którą widocznie traci.

Panna Rozalia zakrztusiła się nieco, silniej się przez to rumieniąc.

— Monsieur Witalis... co to znaczy, że Zolka nie chce dziś jeść jarzynek?

— Bo głupia, nie wie co dobre.

— Bardzo proszę — odparła urażona madame Gavronne — wie ona co dobre; ale właśnie dlatego, że nie je, muszą być jarzynki niedobre.

— Nie spieram się, pani dobrodziejko... Staśka nie bronię; owszem zmyję mu głowę, jak na to zasłużył.

Podano nareszcie indyka.

Pan Witalis w powietrzu go prawie rozebrał i skorzystawszy z tej operacyi, przeniósł za jednym zamachem jedną prawie połowę na swój talerz, zabierając się jednocześnie do przyrządzenia sałaty.

Mnie się, jak zwykle, kuperek indyczy dostał i to dzięki niejedzącej pannie Rozalii, ale tymczasem chleb z solą pierwszy już głód zaspokoiły.

Objadanie indyka nadziewanego kasztanami trwało najdłużej. Pan Witalis oglądał mięso, obwąchiwał, lizał, patrzył pod światło, skrobał lekko nożem, rozkoszując się tym widokiem — wreszcie, zjadłszy ogromną ową porcyę, zakonkludował.

— Indyk udany co się zowie.

— Co się zowie — powtórzył pan Kalasanty, ocierając zatłuszczone usta.

— I Żolce smakuje — dorzuciła niezmiernie uradowana madame Gavronne.

— Ciekawym bardzo andrutów — rzekł pan Witalis, unosząc się na krześle, na widok przybywającego półmiska. — Pokażno je, Hawryłko. — I przytrzymując jedną ręką, kosztował andruty pełnemi usty, zrzucając stos takowych na talerz, co też i p. Kalasanty uczynił. Dla panny Rozalii, dla madame Gavronne, Żolki i dla mnie, zostało ich raptem dwie sztuki; a że madame jedną, przypadkiem niby, na podłogę upuściła, co było czystym zyskiem Żolki, na drugą zaś miłosiernem spoglądała okiem, podziękowaliśmy więc z panną Rozalią oboje, i madame Gavronne ostatni andrut spożyła.

— Jakżeż andruty? — zapytał, składając serwetę p. Witalis.

— Tak to... ni to, ni owo — odrzekł p. Kalasanty, czyniąc to samo — coś... nakształt macek żydowskich.

— O panie, profanacya! *antrrnu swadi*... to potrawa z wielkich stołów... ale powinny być kruchsze i cieńsze. O! Staś krewi... krewi! Okropieństwo!... wi-

docznie ma coś innego w głowie... Ale dojdę... dojdę!... choćbym go miał wziąć na tortury!

Panna Rozalia w tej chwili coś z ziemi podnosiła, skutkiem czego zapewne purpurowych już prawie kolorów nabrała.

Podano tymczasem czarną kawę do pokoju p. Kalasantego, i ukłoniwszy się sobie wzajemnie, rozeszliśmy się w milczeniu... z damami i Żolką, każdy w swoją stronę.

W pokoju pana Kalasantego uroczysta cisza... Pan domu, po kawie i fajce, wyciągnął się na sofie, założywszy ręce na brzuchu. Pan Witalis, oswojony widać z tem, zasiadł w głębokim fotelu, kręcąc wytrwale młynka na potężnie wyładowanym żołądku, któremu przez odpiętą kamizelkę swobodniej na świat Boży wyzierać dozwalał. Obaj gladyatorowie, wojujący już tak z sobą od dawien dawna, wlepiwszy oczy w sufit izby, żadnej na siebie nie zwracali uwagi, zajęci jedynie... trawieniem, które dla obydwóch jednym z najuroczystszych momentów życia być musiało.

Nie wiedziałem co z sobą począć. Po odwróconych ode mnie i obojętnych obliczach obydwóch tych panów widziałem dowodnie, że najmniejszej ochoty do gawędy ze mną nie mieli; przeszedłszy więc pokój kilka razy, wyniosłem się cichaczem przed ganek domu, przemyśliwając nad tem, kiedy i jak mi tu do czynności wziąć się przyjdzie. Czułem się w tym dziwnym domu jakby

nieswoim; pragnąłem zostać, bo jakieś przeczucie szeptało mi, że się tu, pod pokrywą apatyi i obojętności, jakaś komedya czy dramat rozegrywają.

Ta córka smętnego oblicza, teroryzowana przez ojca samoluba, usunięta od świata i ludzi, dziewica której młodość, wrażeń chciwa, zamierała zwolna w tem zaskorupieniu — przedstawiała mi się mimowoli heroiną jakiejś miłosnej intrygi, której bohatera, wśród jej otoczenia, odnaleźć dotychczas nie mogłem. Jej rumieńce, nagle chwilami przebiegające po twarzy, zdradzały drgnięcie jakiejś ukrytej struny... tajoną walkę uczuć, z któremi wydać się bała. Nie mogłem przypuszczać, aby dziewczyna takiej urody i tak cudnych oczu, mogła zaskorupieć dotyla, iżby jej serce ozwać się dotąd nie miało.

Niema siły, któraby zdolną była zabronić żywej istocie kochania. Uczucie, to jak cichy wody strumyczek: póki go ciasne ściskają brzegi przy ujściu, wije się wśród nich czas jakiś, szumiąc, choć na dnie tylko. Przychodzi jednak chwila, że ciasne te ramy utrzymać go nie zdołają; wzbiera wtedy strumyk ów cichy... pieni się z rykiem gwałtownym... rozsadza brzegi z siłą, o którą niktby go przedtem posądzić nie mógł... zrywa tamy... zapory łamie i gruchoce — a z wolnego strumienia, szeroką rozlewa się wkoło rzeką.

Biada rodzicom, którzy zapoznając istnienie tej strasznej siły uczucia, tej niczem nieprzepartej potęgi młodości — sądzą że pierwszą pokonać, a drugą zażegnać zdołają! Żelazna dłoń rodzicielskiego despotyzmu wyradza następstwa tem groźniejsze, im silniej berło postrachu dzierżyła. A ileż to istot straconych, ile nadziei

rozdartych, ile przyszłości spaczonych zawdzięcza ludzkość ślepemu despotyzmowi rodziców?!...

Smutne te dumania przerwał mi naraz dziwnej urody młodzieniec, niepostrzeżony zjawiwszy się nagle.

— Może pan czego potrzebuje? — zapytał mnie łagodnie.

— A któż jesteś młody przyjacielu? — odrzekłem nawzajem, ujęty pewnego rodzaju współczuciem, jakie się w oczach młodzieńca przebijało.

— At... co to mówić — rzekł machnąwszy ręką — ot... tak sobie ... igraszka losu i fantazyi ludzkich... Przyszedłem na świat Bóg wie jak... zrobili ze mnie Bóg wie co... i skończę chyba Bóg wie czem!

— Przecież, co tu robisz? — spytałem, coraz więcej ujęty tą zagadkową odpowiedzią i dziwnie piękną a smutną postacią młodzieńca.

— A cóż pana obchodzić może sierota? Mówiłem już panu że jestem... tak jak niczem.

— Właśnie dlatego że tak sam o sobie mówisz, obchodzisz mnie więcej jak myślisz. Wiedz bowiem, mój przyjacielu, że ci co najwięcej o sobie trzymają na świecie, najmniej są warci.

— Zresztą, proszę pana — rzekł oglądając się wkoło — tu nie miejsce na jakieś zwierzenia. Niech lepiej pan powie co rozkaże... bo tak tu jakoś przed domem pan stanął smutnie, jakby mu czegoś brakło.

— A, brak mi i wielu rzeczy. Najprzód chciałbym wiedzieć, gdzie mi tu kątek jaki przeznaczą, żebym mógł papiery roztasować i spocząć trochę po tej nieznośnej drodze.

— Co do kącika dla pana, to już... panna Rozalia — odrzekł rumieniąc się mocno — obmyśliła go w oficynie.

— Poczciwa... pamiętała o mnie — rzekłem, śledząc, sam nie wiem dlaczego, dziwny blask oczu młodziana.

— O, i jaka poczciwa! — zawołał z uniesieniem rumieniąc się jeszcze bardziej. — To anioł!... ona tu jedna o każdym pamięta.

Zamilkliśmy na chwilę, on wsparłszy czoło na dłoni... ja przypatrując mu się coraz baczniej...

— A czemże więcej panu służyć? — zawołał po chwili, otrząsając się nagle z tej mimowolnej zadumy.

— Pragnąłbym także przemówić do kogo... bo tu u was milczą wszyscy jak w grobie.

— A już na to ja panu nie poradzę. Pan Kalasanty, jak zje obiad z moim opiekunem, to żeby się paliło, słowa do nikogo nie przemówi.

— A któż to twój opiekun? Pan Witalis?...

— Niestety! — szepnął cicho.

— Czemu?

— Ach panie — rzekł jeszcze ciszej, oglądając się ostrożnie — nie mówmy tu o tem.

— A gdybyś mi chciał wskazać mój kącik i towarzyszyć mi trochę — rzekłem, podając mu rękę, przeczuwam żebyśmy się z sobą nie znudzili.

— A... jeśli to pana nie obrazi — dodał po chwili namysłu — to ja z chęcią służę. Człowiek tu milczy ciągle jak głaz... nie ma do kogo dwóch słów przemówić... Jedna ona...

Nie dokończywszy, zaciął się mimowoli i bardzo silny rumieniec oblał to dziwnie piękne oblicze.

Poszliśmy tedy razem do oficyny — on milczący, choć widocznie wzburzony — ja uradowany nieskończenie z tego spotkania, bo czułem się niepojętą jakąś siłą ku temu młodzieńcowi pociągniętym.

W schludnej mojej izdebce znać było rękę kobiety, zaraz na pierwszy rzut oka. Nie było tam nic ze sprzętów, prócz łóżka, stolika i dwóch stołków; a jednak piękne lusterko, obwiedzione pnącym się nań bluszczem... klateczka ze świergocącym kanarkiem i bieluchne firaneczki u okna... wszystko to świadczyło wymownie, iż ręka kobiety to piętno wiosny życia wycisnąć tu umiała.

Niecierpliwy i coraz więcej zaciekawiony zagadkową a tak sympatyczną postacią swego towarzysza, przedstawiłem mu się zaraz na progu, czekając nawzajem odpowiedzi.

— Cóż ja panu powiem o sobie? — rzekł po chwili, siadając koło mnie. — Na imię mi Stanisław... jestem sierotą... Znaleziono mnie podobno w lasku pana Witalisa. Wszak nie mam się z czem chwalić?

— Owszem, Stasiu, wybacz najprzód że cię tak zwać będę, aleś mi szczególnie przypadł do serca!...

Stanisław za całą odpowiedź ścisnął mi dłoń podaną.

— Otóż — ciągnąłem dalej — wstydzić nie masz się czego, bo urodzenie nie jest zasługą. Niechaj rumienią się ci, co cię niemowlęciem w las rzucili, — a i ci, co znalazłszy cię, nie ogrzeli z młodu dobroczynnem ciepłem serca...

— Oj prawda... zgadłeś pan, żem ciepła serde-

cznego nie zaznał. Gdyby los był mnie przynajmniej cisnął niemowlęciem w ręce jakiejś wieśniaczej rodziny, byłbym dziś... parobczakiem, ale szczęśliwym, bo miałbym jaką taką rodzinę, nie znając tych pragnień, jakie dziś pierś moją palą.

— Jakaż więc przeszłość twoja, mój Stasiu?... Czy zebrałeś też z niej co wspomnień?

— O ile zapamiętać mogę pan Witalis, kawaler i samolub, cisnął mnie dziecięciem pomiędzy czeladź dworską i sługi. Ilem tam nieraz wycierpiał szturchańców, ostrych słów i gorzkich przydomków, to jeden Bóg wie! Gdym już lat ośmiu dochodził, spotkał mnie na pastewniku płaczącego ksiądz proboszcz. Poczciwy ten staruszek od pierwszego słowa tak dziwną we mnie potrafił wzbudzić ufność, żem mu się wyspowiadał ze wszystkich przykrości i upokorzeń, jakie znosić muszę, błagajac go o pomoc. Starzec w milczeniu przycisnął mnie do serca. Był to pierwszy uścisk jaki mię spotkał w życiu. O panie! takiej chwili sierota nie zapomina! — dodał Stanisław, ocierając łzę wdzięczności. — Ksiądz proboszcz, Panie świeć jego duszy — ciągnął Stanisław — umieścił mnie przy sobie na plebanii i zajął się mną jak własnem dziecięciem: nauczył czytać, pisać, do mszy służyć... potem trochę rachunków, i wymógł po wielu trudach na moim tak zwanym opiekunie, że mnie w dwunastym roku życia do szkół publicznych oddano. Tam to, raz zakosztowawszy nauki, byłem szczęśliwy jak nigdy. Nauka miała dla mnie taki powab, iż z gorączkową pożerałem ją niecierpliwością. Pojmowałem szybko: w parę godzin wszystkich lekcyi nauczałem się jak pacierza, a do

dnia rwałem się niecierpliwy z łóżka, nie mogąc doczekać rozpoczęcia nauk. Byłem pierwszym uczniem, i kiedy na akcie uroczystym dostałem nagrodę, myślałem że z radości oszalcję. Mój opiekun, zamiast cieszyć się tymi postępami w naukach, wprost przeciwne objawił mi zdania. Twierdził naprzykład, że ani on, ani p. Kalasanty szkół nie przechodzili, a jednak są obywatelami... że nauka przewraca w głowie i że w mojem położeniu staje się nieszczęściem człowieka. W tym ostatnim względzie miał słuszność, dziś to widzę... ale też to nieszczęście jemu tylko zawdzięczam. Póki żył poczciwy proboszcz, pan Witalis, mający go w wielkiem poszanowaniu, nie śmiał mu się sprzeciwiać. Proboszcz mię wspierał radą i pieniędzmi, opłacał wpisy (gdyż stypendya u nas najczęściej tylko dla szlachty istniały)... kupował książki i z pomocą tego zacnego człowieka skończyłem pięć klas. Ale zaledwie staruszek zawarł powieki, wpadł pan Witalis do szkoły, jako opiekun, a więc pan życia i przyszłości, zabrał mnie z sobą i cisnął tu w ten grób żywy na to, żeby ze mnie zrobić... kucharza!! Błagałem na klęczkach tego człowieka bez serca, aby mnie samemu sobie zostawił; nie żądałem niczego, tylko wolności... ale postanowienie jego było pod tym względem tak niezachwianem, iż łzy i prośby moje nic nie wskórały. Żarłoczny jak bydlę i tylko dla żołądka żyjący pan Witalis twierdził, że stan kucharza, to najszczytniejsze i najużyteczniejsze powołanie... że ci co pokarm ciału gotują, mają chleb zapewniony, kiedy tymczasem twórcy pokarmu dla ducha, mrą na poddaszach z głodu... Nie pomogły prośby i przedstawienia moje — zostałem kuch-

cikiem pod rozkazami pana Witalisa, który tu się stołuje i za to kuchnią rządzi... i oto czem do dziś dnia jestem.

— Nie mógłżeś otrząsnąć się z tego jarzma... uciec prosto w świat szeroki? Toć przecie byliby się znaleźli ludzie, którzyby ci swej pomocy użyczyli...

— Miałem tę myśl i byłbym ją święcie wykonał... ale...

Tu zamyślił się... zarumienił i oczyma załzawionemi powiódł pomimowoli w stronę dworu.

— Ale cóż?... — spytałem zcicha...

— Ale nie miałem odwagi... siły mi brakło... — dodał ciszej.

— I czemu? — spytałem cichutko, chcąc go ująć za rękę.

— To już moja tajemnica...

I z temi słowy zerwał się, jakby piorunem rażony... ręką chwycił za serce... spojrzał mi dziko w oczy i jak szalony wybiegł z izdebki.

Dramat przestał mi już być tajnym.

Niemiłą przebyłem godzinę. Myśl, żem niewczesnem zapytaniem i ugodzeniem w tajemnicę Stasia, zranił serce biednego młodzieńca, tak mnie ustawicznie dręczyła, że mimo znużenia, wybiegłem szukać go po ogrodzie i podwórzu, ale niestety, napróżno.

Powracającego z ogrodu, zatrzymał mnie przed domem p. Kalasanty. W pokoju jego zastałem już na stole mapy, regestry, księgi i szczegółowy opis dóbr — a to

mi przypominało główny cel mego przybycia i obowiązki jakie spełnić miałem. Zająłem się więc nimi tem gorliwiej, im chętniej odpędzić chciałem od siebie trapiące mnie wyrzuty sumienia. Tak jedno czasem słówko nierozważnie rzucone, stanowić może o przyszłości ludzi... ba rodzin nawet; — dowód tego miałem mieć wkrótce wymowny.

Czynność oszacowania zajęła mi godzin kilka, a sprawdzenie na gruncie do samego przeciągnęło się wieczora. Pan Kalasanty oprowadzał mnie wszędzie; inwentarzy było tylko tyle, ile ich konieczna wymagała potrzeba, — a stan ich był tylko taki, aby chodzić i pracować mogły — nic nad to.

Takie też było i uposażenie włościan. Nędzy tam nie spotkałeś, bo chłop słaby mniejby wymłócił, a i umówionego zaciąguby nie wyrobił; ale o dobrym bycie mowy być nie mogło, bo ten osiągniętym byćby musiał z ujmą intraty samoluba.

Na cyfry przeze mnie podawane, pan Kalasanty godził się zawsze, dodając ciągle: „aby prędzej... aby prędzej“ — tak mu pilno było pozbyć się mnie ze dworu.

W życiu egoistów każdy, kto bytnością swoją choć trochę codzienny ich tryb zmienia, ciężarem stać się musi. Czułem to... ba słyszałem nawet na samym wstępie, nieowijane w bawełnę, z ust samego gospodarza.

Kiedy wieczorem podano herbatę, przy której już we dwóch tylko byliśmy, bo pan Witalis po kawie do Brzuchowa zwykł był odjeżdżać, — czynność moja już prawie była skończoną.

Przyniesiono gazety z poczty. Pan Witalis przerzu-

cił ceny zboża i okowity, pomruczał coś pod nosem, a nareszcie, ciskając jedną na stół:

— Szelma żyd! — zakrzyknął — zarobi na korcu dwa złote!

— Na to też handluje — rzekłem.

— Masz filantropa! — To ja mam siać i orać, żeby on zarabiał?

— Rzecz prosta; bo gdyby tracić miał zawsze, toby go w końcu licho wzięło.

— A niechby ich wszystkich licho wzięło! Co mnie to może obchodzić?

— Gdyby ich wszystkich licho pobrało, to ktoby zboże od pana kupował?

— A no... a ten... no... tobym ja sam sprzedawał...

— Komu?

— Komu? komu? a no przecież żyd sam też mego zboża nie zjada, tylko je dalej sprzedaje.

— Prawda, — ale temu też tylko poświęca on czas swój i pracę i do tego odpowiednie posiada stosunki.

— Ho! ho! wielka mi filozofia... to niby jabym tego nie potrafił.

— Nie wątpię, ale jeden człowiek wszystkiemu nie podoła. Jeżelibyś się pan handlem zajął, toby tu kto inny musiał gospodarować i wyszłoby może na to, na co już wychodzić zaczyna, że szlachta tak gromadnie pocznie się handlem trudnić, iż żydzi, radzi nieradzi, gospodarować za nią będą musieli...

Pan Kalasanty popatrzył mi uważniej w oczy, nie

wiedząc co odpowiedzieć na aksyomat przesadzony nieco, ale w gruncie prawdziwy.

— A niechby sobie zresztą szelma zarabiał! — zakonkludował, machnąwszy ręką, byle nie na mnie... bo mnie to humor i apetyt psuje!

Na taką szczerą konkluzyę słów już pociechy nie miałem, — a że noc zapadała, pożegnałem pana Kalasantego, udając się do oficyny na spoczynek.

Była to noc czerwcowa... noc kończącej się polskiej wiosny, nad którą w świecie piękniejszej nie znajdziesz.

Na szarym błękicie nieba hojną ręką Stwórcy rozsiane gwiazdeczki, słabem migały światełkiem, jak gdyby na sen im się miało. Księżyc powędrował gdzieś za góry, ciekawy co się tam dziać mogło... a za nim i wietrzyk wieczorny szybkim puścił się lotem.

Na ziemi cisza zaległa... tylko jeszcze bocian spóźniony, ścieląc wysokie swe gniazdo, czasem zatrzepotał skrzydłem, a w dali echo roznosiło po polach i lasach chóry kukułek i żabek, w jedną harmonijną zlane całość.

Mimo znużenia, nie mogłem odważyć się jeszcze na zamknięcie w czterech murach sypialnej mej izdebki; puściłem się więc przez ogród, pijąc tę nieporównaną woń bzów rozkwitłych, akacyi i krzewów, nocną osrebrzonych rosą, której aromatowi nic dorównać nie zdoła.

Myśl moja błądziła za biednym młodzieńcem, któremu mimowoli tak dotkliwą zadałem ranę; bałem się,

aby odkryty w swej tajemnicy, rozpaczliwego nie chwycił się kroku. Teraz dopiero pojmowałem, dlaczego ugodzony przeze mnie w tajone widać uczucie, skoczył jak oparzony i z wyrazem zgrozy uciekł ode mnie.

Uczucie, to jak kwiat powoju... w ciszy i w ciemni otwiera swój kielich, pijąc nocną rosę — z brzaskiem słońca zwiera się... skupia... jak gdyby się światła lękało.

Biedny chłopiec! — pomyślałem — jakżeż on kochać musi, kiedy czując swą wyższość moralną, czując siłę ducha, w jaką umiłowanie nauki nas zbroi, — umie dotąd wytrwać na podrzędnem takiem stanowisku, z zaparciem się świata, siebie, przyszłości, miłości własnej i tej wiedzy, którą się już kochać nauczył. Czy tylko ta miłość tajona znalazła oddźwięk w jej duszy, mimo różnicy stanów jaka ich dzieli, mimo przepaści przesądów, jaka rozdziela te dwie istoty, cierpieniem tak do siebie zbliżone?

Przebiegając myślą przygody całego dnia w Sobkowicach przebytego, przypominałem sobie stopniowo pomieszanie Rozalii, ilekroć żarłoczny pan Witalis nazwisko Stasia wymieniał, odgrażając się, że mu głowę zmyje i twierdząc, iż kochać się musi, skoro sztufadę przesolił.

Czy ona go jednak kochać może prawdziwie? — pytałem siebie, biorąc na uwagę wpływy pod jakimi wzrosła: zaśniedziałego szlachcica-samoluba i zajętej swym psiakiem madame Gavronne...

Ha!... któż zbadał kiedy tajniki serca kobiety?...

Kiedy tak, krocząc zwolna, błądzę myślą po manowcach przypuszczeń, zdało mi się, że szmer jakiś sły-

szę. Przystanąłem... i po chwili szmer coraz wyraźniejszym się stawał. Ciekawość — ów szatan-doradca, powiodła mnie pod drzewo, z za którego ujrzałem... dwie postacie wsparte na sobie. Ona z chustką u oczu, pod którą się łzy jej sączyły... on, tuląc do ust jej rękę i gorącymi okrywając ją pocałunkami... Lubo noc ciemną już była, lubo twarzy rozeznać nie mogłem, odgadłem wszystko... Uspokojony, podążyłem do swojej izdebki i zasnąłem lekko, tak jakby mi ciężar jaki spadł z serca.

Jak długo spałem, nie wiem; tyle tylko pamiętam, że po podróży, całodziennej pracy i wrażeniach dnia ubiegłego, usnąłem tak smacznie i mocno, jak dawno nie bywało... gdy wtem zbudziły mnie stuk, huk i krzyki na podwórzu. Nie wiedząc coby to znaczyć mogło, zacząłem się czemprędzej ubierać, chcąc się o przyczynie tego niesłychanego hałasu dowiedzieć, gdy nagle ktoś całą siłą we drzwi mej izdebki szturmować zaczął, a kilkanaście głosów jego krzykom wtórowało.

— A mówiłem że szelma delegat! — krzyczał pan Kalasanty — przebrany uwodziciel!... złodziej na panny!... Miałem dobry instynkt!... Uciekł zbrodniarz! Hawryłko, po ślusarza... drzwi wywalić!

Widząc że wyraźnie o mnie chodzi, zacząłem wołać z mej strony, że bez ślusarza drzwi otworzę, tylko coś na siebie zarzucę... ale krzyk i gwar całej zgrai głos mój zupełnie zagłuszyły.

— A kanalia delegat! jaszczurka... żmija!! — wrzeszczał ciągle, pchając się na drzwi, pan Kalasanty. —

Jeszcze drzwi za sobą tak zamknął, żebym na jaki ślad nie natrafił.

W tej chwili odsunąłem rygiel, drzwi się nagle roztwarły, a pan Kalasanty z ostatniemi słowy wpadł całym ciężarem swoim jak bomba, zatrzymując się naprzeciw mnie w osłupieniu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali. Co to? pan tu?! ..

— A gdzież mam być? Tuście mi nocleg dali, tu jestem... Ale ja to winienem spytać pana, co znaczyły ten huk, szturmowanie do drzwi i przekleństwa miotane?

— Pogoń na wszystkie strony!... jak już dysponowałem... Marsz!... — krzyknął do obecnych za drzwiami; i zamknąwszy takowe, rzucił się na krzesło.

Twarz jego cechował straszliwy wyraz gniewu.

— Ach panie! — ciągnął dalej słabym głosem — jestem okradziony... haniebnie... z tego czegom strzegł najusilniej w życiu... jestem zdradzony... rzucony na pastwę językom!...

— Cóż to się stało?

— Porwano mi córkę... Wystaw pan sobie... uciekła z rodzicielskiego domu... nie wiem z kim i dokąd.

— A nie podejrzywasz pan nikogo?

— Ja?... jednego pana podejrzywałem. Zresztą pies u mnie nie bywał... z nikim nie żyłem... drogi psułem, mosty zrywałem... tak jakbym miał jakieś przeczucie...

— Może kiedyś dawniej kto bywał? — pytałem, udając że się nie domyślam sprawcy.

— Nikt!... chyba jeden Witalis... ale ten nie byłby zdolnym do takiego czynu.

— Ręczyć nie można... czasem pozory mylą.

— Ale kiedy jest w domu... przysłał tu w tej chwili dyspozycyę obiadu dla Stasia...

— A jest Stasio? — zapytałem naiwnie.

— Nie można go w tym chaosie znaleźć... pewno także poleciał z drugimi szukać zbiegów.

— Ten najprędzej ją znajdzie — pomyślałem w duchu.

— Ale ja tu siedzę jak dureń... konia!... — krzyknął przez okno pan Kalasanty, i wybiegł pędem na dziedziniec.

Wybiegłem i ja za nim, poleciwszy Grześkowi memu zaprzęgać czemprędzej, bo dramat był już dla mnie rozwiązanym. O schwytanie biednych zbiegów mi nie szło... a na wybuchy gniewu p. Kalasantego czekać już nie chciałem, bo wreszcie boleść ojca, choćby takiego tyrana, obojętnym nie może być widokiem.

Cała wieś była w alarmie, jakby wobec pożaru, lub nadciągającej szarańczy. Chłopi rozlatywali się po polach i lasach szukać zbiegów, na których głowy cenę trzech rubli (niezbyt wielką, ale dla chłopa dość ponętną) pan Kalasanty w swej rozpaczy nałożył.

Dworscy ludzie wyprzęgali z pługów i bron konie robocze, także do pogoni użyć się mające.

Kobiety zebrane w kupki, cicho między sobą szeptały, kiwając głowami, a w duszy może radując się temu zafrasowaniu dziedzica, który już dnia tego siano niezgrabione zostawić będzie musiał. I chłopskie dzieciaki

skorzystały, jak zwykle, z tego chaosu, wylatując na trakt przed chałupy i mnożąc gwar śmiechami, gwizdaniem, krzykiem, przewracaniem kozłów... nie wiedząc za co i na co.

Wśród tego zamętu nagle uczułem się za rękę konwulsyjnie pochwyconym. Przede mną stała... blada... z rozczochranymi włosami, madame Gavronne.

Patrzyła mi w oczy, nie mogąc słowa przemówić z przestrachu, — a i ja, szanując to jej cierpienie i pojmując wielką odpowiedzialność jaka na niej ciężyła, jej milczenia przerywać nie śmiałem.

Po chwili zdobyła się wreszcie na głos, dotąd w jej piersi zamarły, i rzekła cicho:

— Panie... czyś jej nie widział?

— Nie, pani... od wczorajszego obiadu nie miałem już sposobności.

— O feralny ten dzień wczorajszy!... przeczuwałam jakieś nieszczęście... Ona była smutną... nic prawie nie jadła...

— Jej oczy dawno już zdradzały cierpienie.

— O panie, ja to widziałam... Ale z kim tu obawy podzielić było? — Czyż to ciche stworzenie mogło się komu zwierzyć?

— Wybacz pani... ale tyś ją odgadnąć była powinna.

— Powinnam była... i odgadywałam po części.

— Rolą twoją było zastąpić jej wszystko.

— O tak — rzekła przerywając mi — ja też byłam dla niej wszystkiem, bo miałam w niej nawzajem najdroższą przyjaciółkę, nieodstępną towarzyszkę, jedyną

pociechę... Czy uwierzysz pan, że najczęściej noc całą na moich kolanach przesypiała.

— No, dzisiejszej nocy nie spędziła na kolanach pani...

— Owszem, owszem panie...

— Kiedyżby zasnęła?

— Punkt dziewiąta... bo tak ją przyzwyczaiłam.

— Jakżeż, kiedy ja sam ją znacznie później spotkałem.

— Gdzie?

— W ogrodzie.

— To być nie może!

— Ale zaręczam pani, że się nie mylę.

— W ogrodzie?... Żolkę?...

— Żolkę?... — zapytałem zdziwiony.

— A o kimżeś pan mówił?

— Ja?... ja?... — A dajże mi babo święty pokój ze swoją Żolką! — krzyknąłem zgorszony i wpadłem, drżąc z oburzenia, do swojej izdebki, pakować rzeczy czemprędzej.

Wam to, co powierzacie kierownictwo i wychowanie córek swoich przybłędom z obcych krajów, których serca, ani wewnętrznej wartości nie znacie, wam niech ta scena dziwaczna choć małą będzie nauczką.

W tej chwili tentent konia przerwał moje dumanie. Wyjrzałem oknem... był to pan Kalasanty, zbrojny w dwa pistolety, lecący w pogoń za zbiegami... a cała smycz chartów, sądząc że na łowy jedzie, pędem się za nim puściła.

Obraz ten, rzadki w swym rodzaju, przywiódł mi na pamięć przysłowie o córkach:

Czesz, pierz, strzeż... potem zapłać, komu,
Żeby zabrał z domu.

Pan Kalasanty zdawał się je *stricte* wypełniać... to też i bez zapłaty spełniło się ono na nim co do joty.

Nareszcie Grzesio, namorzywszy się także głodu i kontent z odjazdu... zajechał. Wybiegłem coprędzej z tłomoczkiem, rad iż umknę z tego piekła na sucho; ale mnie nowe czekało pożegnanie na wyjezdnem.

Zastałem przy swojej bryce zamyślonego pana Witalisa, który nie wiedząc o niczem, przybył jak zwykle na obiad, i tu się we wsi dopiero o zaszłem nieszczęściu dowiedział.

Smutny wyraz jego oblicza świadczył najlepiej, jak go ta wiadomość dotknęła. Cierpiał on silnie, ubolewał serdecznie, nietyle nad ucieczką panny Rozalii, ile nad zniknięciem także Stasia, o którym, prócz jednego ojca panny, wszyscy już we wsi szeptali.

Ponury wyraz oczu pana Witalisa zdradzał najwymowniej, ile tam było gorzko zawiedzionych nadziei. Ściskając z tyłu pasek kamizelki, jak na wygłodniały żołądek dość luźnej, przemyśliwał zapewne czem dzień dzisiejszy opędzi.

Spostrzegłszy mnie, zbliżył się zwolna, kiwając głową, a widząc faskę na bryce, spytał:

— Okropieństwo!... — Czy nie masz, delegacie, czego z sobą?

— Naprzykład?

— Ot tak... coś lekkiego... do przetarcia zębów — dodał, patrząc na faskę — jestem prawie na czczo.

— A to faska bigosu.

— W to mi graj! — zawołał z zaiskrzonemi oczyma.

— Ale już zjedzona — rzekłem, śmiejąc się.

— Okropieństwo! I czegoż mnie darmo torturujesz?

— Przechodziłem i ja to wczoraj... kwita z byka za indyka.

— Ach ta Rózia niegodna!!... I to naprawdę uciekła?

— Zdaje się że nie na żarty.

— I z kucharzem Staśkiem, jak mówią?

— Być może — odrzekłem, siadając już na brykę.

— I to jeszcze przed obiadem... Okropieństwo! — zawołał, uderzając się w czoło. Miała też z kim!... bo możeś nie uważał — dodał żarłok z wyrazem pogardy — ale *antrrnu swadi*... to... to był... nawet... kiepski kucharz.

Przez kilka lat o zbiegłej parze wszelki słuch zaginął, a jak to zwykle na Bożym świecie siła czasu najważniejsze nawet sprawy zaciera, tak i o tem zdarzeniu mówić nareszcie w okolicy zaprzestano. Pan Kalasanty tylko w duszy wściekał się na niepojętą niewdzięczność córki, która mając wszelkie wygody w rodzicielskim domu, takowy dla jakiegoś przybłędy opuściła; Witalisowi zaś żal było

elewa, w którym już pewne gastronomiczne pokładał nadzieje.

Tymczasem od powracającego z wód zamorskich podróżnika dowiedziałem się przypadkiem, że w jednem z miast uniwersyteckich w Niemczech chodził na fakultet medyczny młody Polak, żonaty, ale tak biedny, że w ciężkiej pracy ręcznej, wraz z żoną, szukać musiał zrazu środków do wyżywienia się i opłacania nauk, które nareszcie z najwyższem odznaczeniem się ukończył. Rozgadawszy się bliżej o szczegółach, przekonałem się dowodnie, że owym żonatym studentem był ex-kucharz Staś, którego przyszłość na drodze nauki była już zapewnioną, bo zaraz po ukończeniu studyów otrzymał posadę asystenta kliniki przy tymże uniwersytecie i wcale poważną cieszył się już klientelą.

Wiadomość ta serdecznie mię ucieszyła. Wkrótce też nadszedł do Sobkowic list obojga małżonków, z prośbą nie o pomoc, bo tej nie potrzebowali, ale o błogosławieństwo ojcowskie i zapomnienie winy. List ten dziwne wywarł tam wrażenie. Witalis klął, na czem świat stoi, osła wychowańca, który nie wahał się zmienić . . . kuchni polskiej na *łacińską*. Panem Kalasantym wiadomość ta wstrząsnęła do gruntu. Serce ojcowskie szepnęło mu na razie słowo przebaczenia, i już przyszła mu myśl pojechania do Niemiec i zabrania zbiegów z sobą... ale gdy rozważył, że najprzód podróż taka mogłaby go zbytecznie utrudzić i regularne rozstroić trawienie... dalej, że sprowadziwszy młodą parę do siebie, zbeszcześciłby dom szlachecki, poruszając nanowo wszystkie sąsiedzkie plotki, które już były przycichły... wreszcie gdy się nad

tym najważniejszym argumentem Witalisa zastanowił, że z przybyciem dwojga, a z czasem może i więcej ludzi w ten spokojny dom, zwykły tryb codziennego żywota koniecznejby uledz musiał zmianie, — żyłka sobkostwa przemogła u egoisty i udał, że listu nie odebrał, zamknąwszy się napowrót w swej żółwiej skorupie i zaleciwszy Witalisowi jak najściślejszą tajemnicę, która też, aż do rozstania się egoisty ze światem, święcie dochowaną została.

Kuflewo.

— Dokądże wielmożny panie pojedziemy? — zapytał mnie Grześko na granicy opisanych już Sobkowic.

— Mamy jeszcze dosyć przed sobą, mój Grzesiu, ale że to i konie głodne i nam jakoś niezbyt rażno po tem wszystkiem co się w Sobkowicach widziało, trzebaby więc gdzie najbliżej podążyć.

— A to, proszę wielmożnego pana, najbliżej mamy do Kuflewa.

— Czy tak?

— A ot, za tą górką, w dolinie, to już i Kuflewo.

— A to jedź do Kuflewa.

Grzesio kiwnął głową, a smagnąwszy biczem po piasku, poprawił się na koźle, co u chłopa zwykle zadowolenie oznacza.

— Cóżeś tak rad tej wizycie do Kuflewa? — spytałem.

— A... ot tak... proszę paniczka... grzeszne człeczysko zawdy trochę ciekawe.

— Czegóżeś ty ciekawy?

— A no... obejrzeć zblizka Kuflewo i dziedzica kuflewskiego.

— Dlaczegóż to?

— Albo wielmożny pan nie zna kuflewskiego dziedzica, pana Doliwy?

— Nie znam go wcale.

— Aha... — dodał śmiejąc się — kiedy wielmożny pan nie zna, to ja nic nie powiem, aż wielmożny pan zobaczy.

— Jak go zobaczę, to się już wtedy bez twego opowiadania obejdę.

W tej chwili przejeżdżaliśmy koło karczmy, z której dźwięki katarynki, głośne tupania tańczących chłopów i śpiewy jakieś, uszu naszych doleciały.

— Co to za hałas i tańce? — spytałem Grzesia. — Czy to wesele jakie, czy jaka uroczystość?

— To tu kuflewskie chłopy się zabawiają, jak zwykle we święto — odrzekł Grześko — ale niech ino wielmożny pan posłucha tego wyrwasa, bo to o panu Doliwie śpiewają. Ja znam tę śpiewkę.

Podszedłem pod okno karczmy, nawpół uchylone i następujący doszedł mnie śpiew chłopa prowadzącego tańce:

Niechże będzie pochwalony...
Kwestarz sobie z wozu śpiewa...
Niemasz jak kuflewskie strony,
Niemasz człeka jak Doliwa.

Dobra nasza! pan kuflewski,
To pan z panów... sieje hreczkę,
Wąs ma biały... nos niebieski,
A w brzuch leje niby w beczkę.

— Więc to o tutejszym panu tak śpiewają? — spytałem Grzesia, siadając na brykę.

— A juści... I to nietylko tu, ale na całą okolicę o nim śpiewają — odrzekł ruszając dalej.

— To on taki znany między ludem?

— Ba! jego mali i wielcy tu znają. Niema jarmarku na okolicę, żeby się bez pana Doliwy obszedł; a kiej się ino pokaże taradajką, z której nigdy nie złazi, to wnet się kupa ludu koło niego gromadzi. On każdego uraczy, z każdym się trąci, a już jak ma konia albo wołu kupić od gospodarza, to na litkup więcej wódki wyczęstuje, jak cały wół wart. Chłopy o tem wiedzą dobrze, i jak ino pan Doliwa zatarguje bydlątko, to choćby okoliczne pany dwa razy tyle dawały, nikt go nie podkupi; co da, to da... a chłop od pierwszego słowa w garść pluje i wnet z nim targu dobija.

— Proszę!.. a to musi być dobry człowiek, kiedy tak sobie ludzi zyskać potrafił.

— O to pan jakich szukaj — odrzekł Grzesio — umie najgorszego przekonać i na swojem zawdy postawi; ale broń Boże z nim złością, tylko dobrocią a trunkiem. Ot tu kiedyś zdechła mu krowa przy ocieleniu, więc kazał włodarzowi mięso z niej po 3 grosze funt, między ludzi rozprzedać. Tymczasem chłopy jak się dowiedziały że to mięso ze zdechłej krowy, nie chciały go brać

wcale, choć to bydlę było zdrowe i tylko przy ocieleniu śmierć znalazło.

Pan Doliwa widząc, że mięso drugi dzień leży i nikt go nie bierze, zwołał gromadę, dał każdemu po kieliszku wódki na przywitanie i potem najmędrszego sołtysa się spytał: kto też jest większy na świecie, czy Pan Bóg, czy Mosiek, rzeźnik z miasteczka?

— A no... juści Pan Bóg — odpowiedziała gromada.

— No, widzita moi ludzie, jacy wy głupi — odrzekł gromadzie pan Doliwa. — To jak wam rzeźnik Mosiek zabije krowę, to płacita po dwanaście groszy funt mięsa i bierzeta, a jak Pan Bóg bydlę zabił, to i darmo prawie brać nie chcecie.

Nie było co mówić — pan miał racyę. Chłopi łbami pokiwali, pokłonili mu się do nóg i wszystko mięso rozkupili.

— To i gospodarka musi mu iść dobrze, kiedy go tak ludzie lubią.

— A juści... tu w Kuflewie to Pan Bóg, stary włodarz i wódka gospodarują. Sam dziedzic, jeżeli wyjedzie taradajką w pole, to niby kataryniarz, zawsze z sądkiem wódki przed sobą. Chłopy piją a robią, a tak ogniście, że gdzie zboże niesprzątnięte, gdzie na polu porosło, a w Kuflewie już w kosy brzękają i u ostatniego snopka pępek wiążą. Ino że to wszystko zboże potem żydy z miasteczka za wino zabierają.

— A wiesz, Grzesiu, żem bardzo ciekawy widzieć tego szlachcica.

— A no już zjeżdżamy do wsi...

— Jakto, to już kuflewski folwark?

— A Kuflewo, wielmożny panie.

— Gdzież tutaj dwór? — spytałem.

— A wej, owa chałupa krzywa między krzywemi topolami, co się jak pijany chłop na stronę przechyliła.

W samej rzeczy, cofnąć się już było trudno, zajechaliśmy więc przed dworek kuflewski.

Dwór to był, jakich się dziś mało już spotyka, a trafnie przez Grzesia do pijanego przyrównany chłopa. Prawym szczytem zgiął się był mocno i zapadł w ziemię tak, że dach z okapem, na prawą przechylony stronę, istnie jak pijacka czapa na bakier zaciśnięta, wyglądał.

Z frontu mały, bo ledwie czworo okien i drzwi wchodowe liczący, w szczytach miał kilka przystawek, z których każda, w miarę powiększającej się rodziny, przybudowaną być musiała.

Stare dworki polskie bywały najwymowniejszą historyą rodzin je zamieszkujących. Szlachcic zaręczony, mając wówczas własny bór pod okiem i pańszczyznę, klecił sobie w kilka tygodni gniazdko, które z asiudżką miał zamieszkać. Nie przesądzając wyroków Bożych, budował zrazu tyle tylko, ile na pierwsze potrzeby niezbędnem mu się zdawało. Więc sień frontową, zastępującą w lecie jadalnię; więc w niej dwa schowanka: jedno na okrasę, wędliny, sery, masło, nalewki i apteczkę domową, drugie na gwoździe, kłódki, stare podkowy, pasy rzemienne, łańcuszki, uzdeczki i t. p. rupiecie go-

spodarskie. Z sieni na lewo kancelarya jegomości, dalej sypialnia z domowym ołtarzykiem, przy niej alkierzyk jejmości i izba czeladnia; wreszcie, po prawej stronie sieni izba bawialna, gdzie w zimie nie palono, a w lecie z obawy much, nie wietrzono, chyba gdy już gość we wrota wjeżdżał, — ot i wszystko.

Dał Bóg dziecię, to uprzedzał dość wcześnie, aby kilkanaście sztuk drzewa w swoim lesie na nowiu spuścić, wyrobić i przystawkę przybudować; dał drugie i trzecie, tak samo się robiło... a ilość przystawek najwymowniej o cyfrze przybytku Bożego świadczyła. Tak też stanął kiedyś dwór kuflewski; — lecz ktoby z ilości przystawek o składzie rodziny pana Doliwy chciał sądzić, myliłby się bardzo, bo dwór ten pradziady jego stawiały, a on sam (jak się później dowiedziałem) w najściślejszym żył celibacie.

Pan Doliwa nie był z natury nieczułym na wdzięki płci niewieściej, bo się z młodu o kilka starał panienek i miał mieć nawet dość szczęścia; ale gdy przychodziło do solennych oświadczyn, pan Doliwa na krok tak ważny o własnej nie mógł się zdobywać odwadze; dodawał więc sobie sztucznego animuszu, zalewając czuprynę — a kiedy jak ćwik czerwony padał na kolana (przedstawiające dlań szerszą i pewniejszą podstawę niż podeszwy chwiejących się nóg) i kiedy rozrzewniony spowiedzią serca, a więcej może jeszcze spirytualnym wpływem nektaru, wśród łez i śmiechu razem bełkotać zaczynał swoją oracyę miłosną, panna najczęściej wpół drżąca, wpół rozśmieszona, coprędzej do siebie uciekała, a rodzice, na wi-

dok człowieka pijanego w tak ważnej chwili, oburzeni i zgorszeni, suchą go odprawą pozbywali.

Tak kilkakrotnie zrażany i zniechęcany, pan Doliwa poprzysiągł sobie, zerwać z marzeniami przyszłości i matrymonialnymi projektami, zaprzestać starać się o towarzyszkę, która przez to samo, że musiała być kobietą, była dlań uosobieniem kłamstwa i fałszu — a pomny przysłowia, że *in vino veritas*, w winie poszukał sobie pociechy i... jak widać było, znalazł ją.

Miał on jednak w rodzinie swej sierotę-siostrzenicę, którą dziecięciem wziął był do siebie i pod opieką starej owdowiałej siostry na ładne dziewczę wychował, choć mimo swej wiedzy, gdyż nie troszczył się o to i ledwie raz w tydzień, gdy do kościoła pojechać wypadało, obie te kobiety widywał.

W chwili przyjazdu mego przed dwór, pan Doliwa klęczał na stołku, oparty o obiedwie dłonie, wychylając przez okno głowę o dziwnie czerwonych policzkach, z dużemi białemi wąsami i potężnie sinym nosem. Przy nim stał na oknie z jednej strony spory, nawpół już wypróżniony kufel wina, z drugiej zaś kapciuch z tytuniem i stambułka na pieprzowym osadzona cybuchu.

W głębi pokoju widać było słabe światełko migocącej w dzień biały świecy, nad którą kłęby czarnego unosiły się dymu; a gwar i hałas dolatujący przez okno, świadczyły o dosyć licznem zebraniu.

Zaledwie z bryki zsiadłem, pan Doliwa jedną rękę z pod brody wysunął, pozostałe pół kufla wychylił, a otarłszy sobie resztki wina z wąsów, zapytał mnie dość ochrypłym głosem:

— Kogóż to Pan Bóg sprowadza, mość dobrodziu?

— Piotr X... delegowany — odrzekłem.

— Ale przecież nie żaden sekwestrator? — spytał przerywając mi — bo się to tu podobno tłucze po naszych kątach.

— Nie panie — odrzekłem z uśmiechem.

— To już dobrze! — zawołał — prosimy... prosimy do siebie! Więc pan dobrodziej właściwie czem jest? — spytał mnie wchodzącego do pokoju.

— Tak samo właściciel ziemski jak pan — odpowiedziałem — tylko w charakterze...

— Ale co tu o charakterze mówić mość dobrodziu! — przerwał mi — to dopiero można poznać jak się z człowiekiem beczkę soli zje i po takowej beczką wina popije. Bo proszę pana, jakie to głupie, niedokończone przysłowie, że: „aby kogo poznać, dość zjeść z nim beczkę soli“... No proszę... czyż można zjeść bezkarnie beczkę soli, żeby potem pragnienia przynajmniej beczką wina nie ugasić?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć na ten dość logiczny argument.

— I pan dobrodziej z dalekich stron? — spytał mnie znowu.

— Siedem mil stąd.

— A godność mość dobrodziu? Niechże mi wolno będzie wiedzieć, bom ze dworu nie dosłyszał.

— Piotr X.

— Czy to nie z tych, co ich Rogalewiczówna rodzi?...

— Z tych samych.

— A no, tośmy nawet koligaci, bo moja matka rodzi się z Chlebowskiej, a Chlebowska była Rogalewiczównie rodzono-cioteczną siostrą. . .

— Przez Bułczyńskich?.. — wtrąciłem, zadowolony z mej znajomości heraldycznej.

— Ale przepraszam, mość dobrodziu — krzyczał szlachcic, pewny swego. — Najprzód nie Bułczyński miał Chlebowską, ale Chlebowski, ożenił się z córką pani Bułczyńskiej; powtóre choć Chlebowski miał za żonę córkę pani Bułczyńskiej, ale jego żona nie była Bułczyńską, bo pani Bułczyńska była drugi raz zamężną — zaś żona Chlebowskiego była tylko pasierbicą Bułczyńskiego, a zwała się po ojcu, pierwszym mężu pani Bułczyńskiej, Zakalcówną. — Rozumiesz pan teraz?

— A no to bardzo jasne — odrzekłem czemprędzej, choć mi się bułki, chleby i rogale tak z zakalcem pomieszały, żem nic nie rozumiał. — Zawsze jest jednak troszeczkę. . .

— Ale ani troszeczkę, proszę pana — odrzekł z pewnym gniewem, zirytowany moją nieświadomością szlachcic. — Toć ojczymostwo i macoszyństwo, bez prawnej adoptacyi, nie dają tytułu do najmniejszych wywodów.

— Ja się też nie spieram bynajmniej.

— No, kiedym pana przekonał, to zgoda. Teraz proszę bliżej, bo mnie się ze stołka podnieść trudno... szelma podagra!.. nogi mi też trochę brzmieją... dzieckiem kołtun mi zdjęli zawcześnie.

Podszedłem doń bliżej i cmoknęliśmy się na obie strony, tak jak na uczciwych koligatów przystało.

— Pozwólże, kochany kuzynie — ciągnął Doliwa — przedstawić cię moim najbliższym sąsiadom: pan Tłuczycki z Tłuczek i syn jego pan Damazy... pan Kropski z Kropiej Woli, syn jego pan Fabian... pan Sączewski z Sączewa, i wreszcie pan Telesfor Baryłkiewicz... obywatel, wprawdzie bez zamieszkania prawnego... ale...

— Ale jestem właśnie w trakcie kupienia majątku — szybko dodał zagadniony, prostując się i brzękając w kieszeni pękiem kluczyków od pustej zapewne walizki.

— Co mu jakoś niesporo idzie — dokończył śmiejąc się wśród kaszlu gospodarz — ale to i wszystko... A teraz prosimy siadać... Teluś, lampkę.

Pan Telesfor napełnił wypróżniony kufel pana Doliwy, który wychylając go, zawołał:

— Łaskawe przybycie kuzyna dobrodzieja!.. w ręce sąsiada Kropskiego.

Toast okrążył stół dokoła, a ja, rad nierad, wychyliłem spory kufel mocnego węgrzyna, którego na podziękowanie koligatowi odmówić nie mogłem.

Słówko o towarzyszach tej improwizowanej biesiady.

* * *

Panowie Tłuczycki i Kropski, były to sobie dwie poczesne postacie zaściankowej szlachty, jakich drobne posiadłości liczny dostarczały kontyngens. Więc obaj w długich juchtowych butach, obaj w bekieszach, obaj wąsale, obaj ogorzali, obaj dość korpulentni, z konceptów gospodarza zawsze śmiejący się razem i napozór

zupełnie w zdaniach zgodni. Baczniej jednak ich śledząc, jak niekiedy z podełba na siebie zerkali, widać tam było jakąś ukrytą zazdrość, jakieś tajone współzawodnictwo, którego cech i przyczyn trudno było dojść zrazu.

Synowie ich zato dwa zupełnie odrębne przedstawiali typy.

Pan Damazy Tłoczycki, był to sobie wyrostek o ruchach rubasznych, o tęgich już wąsach, szerokich barkach, grubych rysach twarzy i gęstym włosem poszytej głowie, którą dwoje potężnie odskakujących uszów do dzbana, a raczej do konwi podobną czyniły.

Pan Fabian Kropski, był to przeciwnie szczupły, wątły młodzieniec, o bladej twarzy, jasno niebieskich oczach, jakiegoś melancholicznego wyrazu, nieśmiały w ruchach i giestach, na ojca ustawicznie spoglądający i jego skinieniu we wszystkiem uległy. Młodzi ci ludzie od czasu do czasu spoglądali z ukosa na siebie, a kiedy rezolutny wzrok pana Damazego spotkał się z melancholicznemi oczyma pana Fabiana, ten ostatni spuszczał je w ziemię, albo zaraz odwracał się ku ojcu, jakby tam szukał pociechy, poparcia, lub dodania mu brakującej odwagi.

Ile razy Damazy zagadał, Fabian wytężał słuch, jakby po głosie Damazego chciał dojść istotnej jego myśli i intencyi zdań przezeń wygłaszanych. Jeśli się zaś pan Fabian, na znak i skinienie ojca, z czemkolwiek odzywał, pan Damazy w tej chwili przerywał rozmowę jakiem zdaniem nic wspólnego z jej tokiem niemającem. W obu tych postaciach przeczułem aktorów jakiejś ko-

medyi, w tej atmosferze dymu, w tym hałasie gwarnej rozmowy i brzęku kieliszków, rozegrać się mającej.

Piąty z kolei, pan Sączewski... była to sobie pompa ssąco-tłocząca... notabene z niegrubej wyciosana kłody. Nic nie mówił, do niczego się nie wtrącał, tylko z oczyma wlepionemi w kielich, wysączał takowy jednym tchem.

Twarz jego przeraźliwie chuda, a mimo to purpurowa, zarysowywała się w tysiące drobniuchnych niebieskich żyłek, które ją do atlasu geograficznego podobną czyniły... Klasycznie zbudowanem gardłem zwracał on na siebie szczególną uwagę. Gardło to, przy chudej i wysokiej szyi, uwydatniało się ogromną gulą, która stanowiła jakoby rezerwoar dla napojów, biegnących strugą w przepaście tego wszystko chłonącego organu. Każdy wychylony toast koncentrował się najprzód w tym rezerwoarze... wydymał gulę, która wtedy formę wzdętego baloniku przyjmowała... — a gdy zwolna krtań zaczynała węższym strumieniem rozprowadzać nagromadzony nektar, gula też zwolna objętość swoją zmniejszała, aż nareszcie do zwykłej powracała cienkości. Było to w swoim rodzaju zjawisko anatomiczno-patologiczne, nad którem doktorzy prowincyonalni raz nawet sesyę odbyli i *ex consilio* zredagowali bardzo uczony artykuł, który jednak w rękopiśmie tylko pozostał.

Pan Sączewski słynął na okolicę jako potentat, mogący jednym tchem największą przewrócić miarę, i gdy raz z panem Doliwą stanęli do zakładu, ten ostatni przegrał na łeb, ale też odtąd nabrał dla pana Sączewskiego takiego respektu, że ten stał się jego ideałem, a każde

jego słowo ewangelią, może dlatego, że jeszcze prawie żadnego z ust p. Sączewskiego nie słyszał. Pan Sączewski jednak, na zapytanie pana Doliwy, gdy szło o radę sąsiedzką, krótką dawał odpowiedź, giestem głowy bądź potakującym, bądź przeczącym; — drogi pośredniej nie znał, odpowiedzi przeto warunkowej, któraby słownego wymotywowania wymagała, nigdy nikomu nie udzielał.

Ostatnią wreszcie figurą, zamykającą biesiadnicze grono, był wspomniany już pan Telesfor Baryłkiewicz. Musimy się z nim bliżej poznajomić, bo wart tego, a i niejednokrotnie jeszcze w wędrówkach naszych spotykać z nim się będziemy.

Skąd przybył w te strony, nikt się nigdy naprawdę dowiedzieć nie mógł. Dla szlachty płockiej był on obywatelem z Kaliskiego, dla kaliskiej z Lubelskiego; w Lubelskiem miano go za mieszkańca Kurpiów, na Kurpiach za Wielkopolanina uchodził. Cały świat znał, z każdym miał kiedyś coś *sławnie ciekawego*, ze wszystkimi pijał, a czasem od niechcenia w lancusia pociągnął... i od lat trzydziestu kupował majątek ziemski, którego jakoś do tej pory znaleźć dla siebie nie mógł. Zrazu tłukła się za nim chmara faktorów i stręczycieli, z anszlagami na majątki ziemskie, jak zwykle *za darmo* nabyć się mogące; lecz gdy przez lat kilkanaście pan Telesfor ciągle wybredzał, gdy to mu było za duże, tamto za małe, tu mu woda, tam nadmiar łąki, owdzie zbyt wielka ilość zagajników przeszkadzały... słowem gdy każdemu anszlagowi zawsze coś do zarzucenia znajdował, usłużne żydki, obliczywszy się nareszcie, że te ciągłe koszta podróży nie pokryłyby się już komisowem od

milionowej nawet tranzakcyi, wypuściły Telusia ze swej opieki, czemu on także jakoś rad się być zdawał.

Pan Telesfor miał podobno lat około pięćdziesięciu — ale mógł mieć tak dobrze lat czterdzieści, jak i sześćdziesiąt. Są ludzie i usposobienia, na których ząb czasu kruszy się, im samym najmniejszej nie zadając szczerby. Do takich należał pan Telesfor.

Zmartwienia nie znał, bo był sam jeden na świecie i o nikogo ze swoich nigdy się nie dowiadywał; trosk o chleb powszedni nie miał, bo gdzie popadł, to utknął póty, póki mu baraniny z czosnkiem (której nie trawił) dzień po dniu dawać nie zaczęto. Miał wprawdzie parę koni, chłopaka do nich i psa, ale konie żyły przemysłem chłopaka, który gdzie przyjechał, kradł dla nich obrok i siano... usłużni zaś karczmarze, za znoszone garncówki owsa i żyta, suto chłopaka żywili. O psa też kłopotu nie miał, ten bowiem, wprawny gimnastyk, miał dar upatrywania stosownej chwili, i gdy nikogo w kuchni nie było, jednym susem zdobywał sobie schaby, pieczenie, a w braku takowych i gnaty. Piątka więc ta, to jest pan i pies, sługa i para koni, przedstawiały wzór gminy, pomocą własną żyjącej (self help).

Pan Telesfor musiał być kiedyś przystojnym młodzianem i dziś był jeszcze wcale pokaźnym szlachcicem. Włosów na głowie miał wprawdzie mało, ale tak sobie jakoś z nimi radzić umiał, że pustek tam znać nie było; wąs jego, po umyciu się zrana, bywał żółtawo-siwawy, ale i z tem tak sobie zręcznie radził, że przy pomocy jakiejś wody zamorskiej i odrobiny sadzy z pierwszej

lepszej rury kominowej, wychodził do śniadania z wąsami kruczego połysku.

Garderoby miał pan Telesfor zapas obfity; wyglądała ona wprawdzie jak bydlątka z różnych pozbierane obór i niekoniecznie według Telusia konturów skrojoną była; mimo to pan Telesfor uderzał zawsze zgromadzonych jakąś barwą odzieży, wyróżniającą go w tłumie, bo już to pąsowym krawatem, na zamaszysty fontaż zawiązanym, już zieloną kamizelką, na której niewolnica haremu kilka palm tureckich wyszyła, już pantalionami koloru kawy z mlekiem, migdałów lub... czegoś podobnego, — już wreszcie jakąś bonżurką oliwkową, we dwa rzędy złoconych guzików zdobną. Strój ten, uderzający szlachtę, do ciemnych szaraczków przywykłą, wzbudzał w niej podziw i uwielbienie gustu pana Telesfora, który wszędzie za *pierwszego eleganta* uchodził. Czasem, na usilne prośby parafianina, pan Telesfor (za drogie pieniądze) obdarzał go jaką cząstką tej osobliwej garderoby... Zdarzało się wprawdzie potem, że na łowickim lub łęczyńskim jarmarku, szlachcic z drugiego kąta Polski poznawał na odległym współziomku jaką kamizelkę swoją, którą przed laty Teluś od niego na pamiątkę przyjaźni był wykpił... ale na świecie, jak utworów myśli i ducha, tak i kamizelek do siebie podobnych dużo trafić się może... pokiwał więc tylko głową nad dziwnem złudzeniem pamięci... a pan Telesfor jak był, tak pozostawał poczciwym kamratem, wyrocznią mody i szyku i *pierwszym* elegantem.

Pan Telesfor kochał trzy rzeczy: konie, psy i kobiety; pierwszym dwom pasyom (jak je nazywał) był

w stanie zadość uczynić i, jak widzieliśmy, dogadzał im po części — gorzej było z trzecią. Kobiety lubiły wprawdzie pana Telesfora dla jego oryginalności... był zresztą dość dowcipnym, ruchliwym, a w potrzebie czy to do cenzurowanego, czy do innych gier niewinnych, czy też na przechodzącego w kadrylu, użyć się zawsze dawał; ale sympatye tej płci okrutnej kończyły się też tylko na tem. Ile razy pan Telesfor westchnął czasem czulej... spojrzał w oczy ogniściej... kobiety ze śmiechem i ironią odwracały się od niego, a Teluś rad nierad, musiał to wszystko w żart obracać, w myśli pocieszając się tem, że co się odwlecze to nie uciecze.

Tymczasem pchał życie przed sobą. Z miłości nie chudł... z jedzenia nie tył... z napojów nie puchł... z wiekiem się nie starzał... humoru nie tracił — słowem, był to typ szczęśliwego, wedle wielu pojęć, człowieka.

W takim tedy znaleźliśmy się komplecie.

* * *

— I cóż, mość dobrodziu, sprowadza szanownego kuzyna w nasze strony? Czy jaka tranzakcya, czy kiepski dłużnik? — zapytał mnie po pierwszym toaście gospodarz.

— Ani jedno, ani drugie — odrzekłem. — Towarzystwo Kredytowe, podnosząc pożyczkę na dobra do połowy wartości takowych...

— Co — przerwał mi gospodarz, skoczywszy na stołku — czy w istocie?

— Czy to być może?! — zawołali chórem biesiadnicy.

— Tak jest, panowie; właśnie w tym celu wydelegowanym zostałem dla sprawdzenia dawniejszych opisów dóbr pragnących przystąpić do nowej pożyczki.

— Teluś! dawaj chorążego!! — krzyknął na całe gardło uradowany gospodarz.

— Chorążego! chorążego!! — wrzasnęli za nim chórem Tłuczycki i Kropski, a Sączewski na potwierdzenie tak wymownie skinął głową, że aż nią o krawędź stołu palnął.

Pan Telesfor podskoczył na jednej nodze do kredensu i wrócił w oka mgnieniu z ogromnym puharem.

Puhar ten mieścił w sobie półtorej kwarty i był bez podstawki, duszkiem więc trzeba go było wychylić; zwał się zaś chorążym dlatego, że był bez nóg, jak jeden z antenatów Doliwy, chorąży uniejowski, któremu pod Chocimem kula armatnia obie nogi urwała.

Zadrżałem mimowoli na widok tej bani, którą wkrótce połknąć miałem; ale cofnąć się było trudno, wobec rozpłomienionych twarzy moich współtowarzyszy, z którymi żartów nie było.

— Wiwat Towarzystwo Kredytowe!! — zaintonował gospodarz, spełniając chorążego z kilku krótkimi przestankami, dla złapania tchu. — W ręce sąsiada Kropskiego! hurra!!!

— Niech żyje Towarzystwo Kredytowe!!! — wrzasnął pan Kropski, wychylając dość gładko ogromny kielich. — W ręce sąsiada Tłuczyckiego!

— Zdrowie Towarzystwa Kredytowego!! — zakrzy-

knął pan Tłuczycki, spełniając puhar tak samo. — W twoje ręce, sąsiedzie Sączewski!

Należało i Sączewskiemu krzyknąć, lecz to, jak wiadomo, nie było w jego zwyczaju; podniósł się więc tylko, a uśmiechnąwszy się do chorążego, jak do starego przyjaciela, okiem szermierza zmierzył jego wnętrze, lewą rękę ku mnie wyciągnął, prawą oparł o brzeg puhara, a wydąwszy dolną wargę swoją i nagle cisnąwszy głowę w tył, połknął za jednym zamachem całą w nim zawartą ilość wina.

Gula pana Sączewskiego wzdęła się jak pęcherz, póki głowy podnosić nie zaczął... wtedy gula, zmniejszając objętość swoją zwolna, wróciła nareszcie do zwykłych swoich rozmiarów.

— Sączesiu! aniele, mość dobrodziu!.. Brylancie pierwszej wody! — wołał rozczulony tym widokiem gospodarz. — Chodź, niech cię uściskam mój mistrzu!

Sączewski zbliżył się zwolna, opierając się już trochę o sprzęty, a gospodarz w oba purpurowe ucałował go policzki.

Przyszła niestety kolej i na mnie; chciałem zakończyć obrzydliwą tę pijatykę, będąc bowiem prawie na czczo, przeczuwałem smutne dla zdrowia swego następstwa. Odebrawszy więc chorążego, wniosłem z mej strony toast połączony, jakim się zwykle wszelkie gody zamykają:

— Na podziękowanie szanownym panom i gospodarzowi, którego zdrowie razem wnoszę!

Tymczasem na spełniony przeze mnie toast powstał

poważnie pan Kropski, za którym i syn jego pan Fabian, jak automat sprężyną tknięty, się podniósł.

— Za pozwoleniem mocibdzieju — odezwał się pan Kropski — do tego toastu jeszcze daleko...

— Racya, mosterdzieju racya! — dorzucił pan Tłuczycki.

— Mość dobrodziu! i ja, choć wdzięczen, protestuję przeciw temu toastowi, bo jeszcze nań zawcześnie — dodał ochryple gospodarz.

— Kiedym był w zeszłym roku o tej porze w Łęczyckiem na imieninach u starościca...

— Telusiu, mocibdzieju! — przerwał Baryłkiewiczowi pan Kropski — jeśli to długa historya, to ją odłóż na później, a mnie konsekwentnie poczętej myśli nie przerywaj.

— Owszem... owszem... nie mam nic przeciwko temu — odrzekł brząkając kluczami pan Telesfor — ale rezerwuję sobie na potem opowiedzenie wam tego sławnego zdarzenia.

— Na potem zgoda; a teraz — ciągnął dalej pan Kropski — do ciebie, zacny sąsiedzie i gospodarzu, mocibdzieju, tyle nam drogiego i gościnnego domu, zwracam mój toast i słowa... mocibdzieju.

Pan Tłuczycki ucha nadstawił, widząc po raz pierwszy Kropskiego do uroczystej zabierającego się perory. Damazemu uszy szerzej jeszcze od głowy odstały, a Kropski tak mówił:

— Estyma i respekt, mocibdzieju... miłość sąsiedzka i tradycyjna mocibdzieju przyjaźń domów naszych... bo przecie ani kontrowersu, ani sporów granicz-

nych... mocibdzieju, prócz tego jednego kopczyka, co to chłopy przypadkiem rozorały... ale i to się zrobi mocibdzieju, jak Bóg przykazał... a nakoniec nadzieja... mocibdzieju... bujnych owoców, jakieby z rozrosłych a zarazem splecionych gałęzi rodów naszych... mocibdzieju, zakwitnąć i dojrzeć nieomieszkały... rozwiązuje mi... mocibdzieju... usta w tej solennej chwili.

Wszyscy obecni, wraz z gospodarzem, bystre w oratora wlepili oczy. Kropski otarł czoło, na które pot kroplisty wystąpił, a zwilżywszy usta winem, dalej prawił:

— Mocibdzieju!.. Oto mój syn Fabian!—tu z dumą spojrzał na syna, który ze spuszczonemi oczyma stał blady jak więzień, gdy mu wyrok śmierci czytają, choć oczy jego jakimś szczególnym zajaśniały blaskiem. — Zrobiłem z niego mocibdzieju co mogłem, a nawet więcej jak mogłem, bo na dokończenie edukacyi jego w gimnazyum zapożyczyłem się, mówiąc nawiasem, u szelmy Abramka, który, mocibdzieju, orżnął mnie po cztery złote na korcu rzepaku.

— Bo też, mosterdzieju — przerwał Tłuczycki — rzepak nie był dobrze wysuszony i zagrzał się w sąsieku.

— Bardzo cię sądziedzie przepraszam, ale to plotka mocib...

— Żadna plotka, mosterdzieju! woziłeś go sąsiad zaraz po deszczu, żeby się nie kruszył. Łaszczyłeś się sąsiad na jedno ziarno więcej, a ja na granicy harapnikiem kiwałem i krzyczałem na całe gardło, że mokry rzepak.

— No więc cóż, mocibdzieju... ale go się w stodole dosuszało.

— A ślicznie dosuszało, mosterdzieju; jak go młócili, to się ze stodoły wrotami jak z piekła kurzyło... a chłopi od młócki wracali do domu czarni jak istne dyabły.

— Mocibdzieju kalumnia! — krzyknął pan Kropski.

— Mosterdzieju! moje rodzone oczy to widziały! — takim samym głosem wrzasnął pan Tłuczycki.

— I moje to widziały — poparł Damazy.

— No, gadajże gawronie! — zawołał zwracając się do Fabiana, pan Kropski — kurzył się rzepak choć trochę?

— A no... — bąknął Fabian z cicha — tak... niby... troszeczkę... proszę ojca... się kurzył.

— Tak?.. — zawołał rozgniewany Kropski — taki to z wasana świadek?.. Dobrze!.. siadam!..

To mówiąc, wychylił kieliszek do dna i usiadł napowrót, co też i zmieszany Fabian uczynił.

— Ale o cóż mość dobrodziu, chodziło? — zapytał Kropskiego gospodarz — nie wiemy końca.

— Już nic!.. skończyłem! — odrzekł tenże przeszywając syna piorującym wzrokiem.

— Niech pęknę, mość dobrodziu, jeśli wiem po coś zaczął gadać i dlaczegoś tak nagle uciął...

Pan Tłuczycki tymczasem, wymieniwszy z synem Damazym znaczące spojrzenie, zatarł ręce, podniósł się także, a ująwszy kielich, zwrócił się do gospodarza z następującemi słowy:

— Wielce szanowny sąsiedzie i gospodarzu, mosterdzieju!..

— Kiedym był w zeszłym roku w Łęczyckiem na imieninach starościca — począł Baryłkiewicz, który widząc siadającego Kropskiego, nie uważał, że Tłuczycki mówić począł...

— Telesiu, mosterdzieju! — przerwał mu ostatni, ja zabrałem głos, proszę mi nie przeszkadzać.

— A... nie wiedziałem... i owszem... bylem wam mógł potem ten sławny wypadek opowiedzieć.

— Potem zgoda—ciągnął dalej Tłuczycki — a teraz dolej mi Telusiu i siadaj.

— Pociągnąwszy haust węgrzyna, Tłuczycki tak dalej mówił:

— Introdukcya sąsiada Kropskiego byłaby mi bardzo przydatną, mosterdzieju... bo o ile sobie przypominam... mówił o estymie i respekcie... dla ciebie, cny gospodarzu... których i... ja mosterdzieju, jestem pełen! — dalej... o przyjaźni, mosterdzieju... jaka łączy i nasze domy od dawien dawna... nakoniec, mosterdzieju... chwytam najważniejszy ustęp sąsiada Kropskiego, na który, mosterdzieju, nacisk kładę... bo... i mnie, mosterdzieju... nadzieja bujnych owoców jakieby na splecionych z sobą konarach... lub też gałęziach... starych dwóch naszych... mosterdzieju... rodów zakwitnąć i dojrzeć mogły... bo lubo... mosterdzieju... choć to w rękach samego Boga przyszłości losy... ale... z drugiej strony... o ile przewidywania ludzkie są trafne... mosterdzieju... uśmiecha się...

— Kto się uśmiecha? — zapytał gospodarz...

— Ona się uśmiecha — odparł Tłuczycki.

— A przecież tu kobiety żadnej niema — wtrącił Kropski.

— A któż o kobiecie mówi? mosterdzieju! — odrzekł z gniewem Tłuczycki.

— A no... ona... to kobieta, mocibdzieju.

— A to wedle sąsiada Kropskiego logiki, mosterdzieju — wedle mnie ona... to nadzieja.

— Niech zginę, mość dobrodziu, jeśli słowo rozumiem! — wtrącił śmiejąc się na całe gardło gospodarz.

Śmiech powstał ogólny, któremu i ja się oprzeć nie mogłem... tylko Tłuczycki i syn jego Damazy namarszczyli brwi nawzajem.

— No więc teraz opowiem — wtrącił, korzystając z ogólnego zamieszania, pan Telesfor. Kiedy byłem w roku zeszłym na imieninach starościca w Łęczyc...

— Nie przerywaj, do milionset!... mosterdzieju! — krzyknął, uderzając pięścią w stół, Tłuczycki.

Teluś dał nura i cisza naraz nastała; Tłuczycki mówił dalej:

— Oto mój syn Damazy — tu również z dumą spojrzał na syna, — zrobiłem z niego, mosterdzieju... nie co mogłem... ale co chciałem. Chłop zdrów i silny... do konia jak przykuty... przepiórki nie chybi... a co gospodarz... mosterdzieju, mogę mu tu oddać publiczną sprawiedliwość...

— Zapewne — przerwał z ironią Kropski — szczególniej sterty ślicznie stawia.

— Może nie? mosterdzieju.

— Ale śliczne, mocibdzieju!.. a najbardziej się na nie myszy polne radują.

— Proszę! — krzyknął Tłuczycki.

— Proszę! — powtórzył Damazy.

— No przecież, mocibdzieju... ta sterta z grochem, nad moją granicą, była tak ładnie postawiona, że od góry do dołu zaciekła; groch zgnił w plastrach, a myszy sobie od dołu do góry, jak po korytarzach, harce wyprawiały.

— Sąsiedzie! mosterdzieju! kalumnia!

— Nie kalumnia, sąsiedzie mocibdzieju!.. bom się na to patrzył, i moje fornalki pomagały go wozić, śród przeraźliwego pisku myszy, jakby w mysi sądny dzień, mocibdzieju... Dlatego to pan Damazy, pod niebytność waszeci, stertę na łeb na szyję zwoził, żeby się z tem nie wydać.

Damazy zbladł jak chusta.

— Damazy! czy to prawda? — zapytał wychodząc z osłupienia Tłuczycki.

Milczenie Damazego było jego całą odpowiedzią.

— Mój groch! — jęknął Tłuczycki, uderzając pięścią w stół tak silnie, że aż szyby w oknach zadzwoniły. — Mój cały groch! — powtórzył ciszej, rzucając się z opuszczonemi rękoma na krzesło.

— No... ale jakaż konkluzya owej oracyi? — spytał Tłuczyckiego gospodarz.

— Nic!.. już skończyłem! — odrzekł tenże, ciskając piorunujące wejrzenie na syna.

— Więc teraz mogę już zacząć — wtrącił nieproszony Baryłkiewicz, a nikt mu przerywać nie myślał. — Kiedy byłem w roku zeszłym na imieninach starościca

w Łęczyckiem, a zjazd szlachty był ogromny i pijatyka jakich mało... bo to łęczyckie *piskorze* nie żartują...

W tej chwili turkot zajeżdżającej bryki rozległ się przed gankiem.

— Ktoś przyjechał — rzekł gospodarz.

— Niech go donder świśnie! — zaklął trochę rozgniewany Teluś, któremu fata jakieś sławnego wypadku w Łęczyckiem opowiedzieć nie dozwalały.

— To sekwestrator! — krzyknął gospodarz.

— Sekwestrator? — powtórzyli chórem obecni, nie wyjmując nawet... o dziwo!.. milczącego Sączewskiego... Lecz nim się opamiętać zdołali, pan sekwestrator był już w pokoju.

Jak gdy przed groźnie nadciągającą burzą poważna nastaje cisza, tak i na widok nowoprzybyłego gościa, dawniejsi jak trusie zamilkli. Snadź każdy miał tam jakieś grzeszki w powiecie, a widok chudego, sztywnego w ruchach sekwestratora, tego zwiastuna kończącej się już cierpliwości władz powiatowych, tego *momento mori* dla grzeszników nieregularnie wnoszących podatki, zwarzył całe hulaszcze grono.

Kropski wsunął nogi pod stół, tak, że mu ledwo głowę widać było, a syn jego Fabcio literalnie pod stołem się znalazł. Tłuczycki aby także nie być poznanym, zwrócił się (zapomniawszy o grochu) do Damazego. Sączewski nie spuszczał oka z kielicha, w którym coś nadzwyczaj ciekawego jakoś naraz zobaczył; obracając nim na wsze strony. Gospodarz nawet, dość zawsze rezolutny, głowę lekko zwiesił, trąc obydwiema rękami kolana, w których mu się nagle, kołtun zawcześnie zdjęty

odezwał. Jeden tylko Teluś, jako będący dopiero *w trakcie* kupienia majątku, nie mógł tem samem być jeszcze *w trakcie* niezapłacenia podatków; więc mając pod tym względem spokojniejsze sumienie, kontenansu nie stracił i wesoło powstawszy, rzucił się sekwestratorowi na szyję.

— Jak się masz, kochany radco! — (był to tytuł ogólny, którym Teluś urzędników częstował). Cóż za szczęśliwa gwiazda cię tu sprowadza?.. Właśnieśmy tu przy buteleczce wspominali przed chwilą, jaka to szkoda, że tego kochanego radcy niema... Wszak prawda?!.. — Oni... tak milczą z radości, że cię widzą... No, ale kiedyś nam tu spadł jak z nieba w sam czas, tak jakbyś nas był podsłuchał... to siadajże, radco... Widzisz... ot lampka świeżo nalana... jakby dla ciebie... a wiem że lubisz...

— Ja?.. a uchowaj Boże nadmiaru... Tak, wedle przykazania... ale najprzód obowiązki.

— Słuchaj radco — wołał ciągnąc go do stołu Teluś — nie wyłżesz mi się, boć przecie nie na jednym placu już spotykaliśmy się...

— Ale to potem — odpowiedział opierając się sekwestrator — to ma czas... obowiązek... czynność przedewszystkiem.

— O... o!.. o!.. zaraz tak prosto z mosta, brać szlachtę za kołnierz... toć przecie nie idzie — zawołał Teluś.

— Najszanowniejszy panie!.. ja na to nie poradzę — odparł sekwestrator. — Naczelnik wyprawił mnie najsurowszą instrukcyą w drogę, dodając, że skoro dziesięciokrotne egzekucye nic nie wskórały, niema co zwle-

kać i trzeba zajmować co się da... bo im bliżej przednówka, tem mniej objektów do zajęcia pozostanie na gruncie.

— Czyż to ja jeden tylko zalegam z podatkami? — zapytał ochłonięty już z pierwszego wrażenia gospodarz.

— Nietylko sam najszanowniejszy dziedzic, ale oto i ci tu przytomni najszanowniejsi obywatele, do których mam także podobnego rodzaju komisoryum.

Ciężkie westchnienia Kropskiego i Tłuczyckiego rozległy się echem w powietrzu; Sączewski kiwał głową jak Chińczyk na wsze strony; jeden tylko Baryłkiewicz, brząkając kluczykami, zawołał:

— To wszystko jedno drugiemu nie przeszkadza... Najprzód o dzień lub tydzień naczelnikowi nie chodzi. Postaramy się o pieniądze...

— Owszem — odparł sekwestrator — tu teraz o każdy dzień chodzi, i bardzo zależy nam na tem, aby zaległości obecnie na delacie będące, jak najprędzej ściągniętemi zostały. Po pierwszym bowiem przychodzą nowe bieżące podatki, nowa robota w kasie... i znów nie będzie czasu zająć się zaległościami.

Baryłkiewicz potarł czoło, jak gdyby w niem nowa się myśl uległa.

— Pojmuję ważność obowiązku twego — dodał po chwili — ale kochany radco, przedewszystkiem wypijmy chorążego, reszta się znajdzie.

— Przedewszystkiem, najszanowniejszy panie, czynność — odparł niewzruszony urzędnik.

— Tfy!.. takie androny pleść tobie — zawołał nie

tracący fantazyi Teluś. — Jużciż jak od czynności zaczniesz i za zaległości będziesz co chciał zająć Doliwie, to mu nic innego, chyba piwnicę zajmiesz, bo tam tylko jego skarby się kryją. Z czegóż więc będziemy potem pili, gdy raz pieczęcie przyłożysz?.. Osądźże sam, mój radco.

— No, przecież... aż do tego może nie przyjdzie — odrzekł sekwestrator, mięknąc już trochę na ten argument Telusia. — Toć najszanowniejszy nasz dziedzic dobrowolnie coś a conto zaległości zaliczy.

— A... sekwestratorciu, gołąbeczku... mość dobrodziu... kpij zdrów — odparł gospodarz. — Czy nie wiesz, że to przednowek niedaleko i jaki to dyable ciężki był rok? Ściśnij mnie jak cytrynę... nic prócz trochy wina ze mnie nie wyciśniesz.

— Oj rok, rok — wtrącił Kropski. — Ten złodziej Abramek na rzepaku mnie dorżnął.

— Mój cały groch dyabli wzięli! — dodał szybko, korzystając z okazyi, Tłuczycki.

— Jeszcze trochę cierpliwości, a pieniądze będą — ciągnął dalej gospodarz — bo oto szanowny mój kuzyn, a delegat Towarzystwa Kredytowego, przyjechał z nową pożyczką na dobra.

— Czy tak? — zapytał mnie sekwestrator.

— Jest już na to sankcya monarsza — odrzekłem.

— Żeby nie mój groch zgniły, byłbym mosterdzieju dawno podatki opłacił — wtrącił Tłuczycki. — Dziś przystąpię zaraz do nowej pożyczki i pierwsze listy na zapłacenie zaległości obrócę.

— Żeby nie szelma Abramek, co mnie na rzepaku

orżnął — dodał Kropski — nie byłbym wam winien i grosza. Stało się... przystąpię i ja do pożyczki i najprzód skarb pokryję.

— No widzisz, mój radco — dokończył Teluś — jak ta poczciwa szlachta myśli o należnościach skarbowych... Czyż można ich za to dusić?.. O, nie boję się o ciebie... znam cię aż nadto dobrze... nie jesteś krokodylem, żebyś biedną szlachtę miał pożreć. Zresztą — dodał ściskając go w objęciach — sam przecież jesteś dobrym szlachcicem.

Sekwestrator poprawił wykrochmalonych kołnierzy na tę doraźną legitymacyę, do której, Bogiem a prawdą, najmniejszego nie miał tytułu.

— Znałem twego ojca — ciągnął dalej Teluś, który go nigdy na oczy nie widział — dziarski był szlachcic, jak to mówią i do wybitki i do wypitki; podobno kiedyś miał być nawet majętny.

— Kiedyś... może — wtrącił rumieniąc się sekwestrator — w ostatnich czasach trochę podupadł...

— No, podupadł... jak każdy dobry szlachcic — dorzucił Baryłkiewicz — i to właśnie jego prawdziwego szlachectwa dowodzi... Dorobkiewicz żaden tego nie potrafi.

Sekwestrator, zmieszany na razie wspomnieniem o papie, który mówiąc nawiasem, nigdy szlachcicem nie był i mełł sobie do śmierci dwa numery mąki na dzierżawionym wiatraku, — widząc, że p. Telesfor o tem wszystkiem nie wie, przyszedł do siebie zupełnie, a nie chcąc zadać kłamu szlacheckiej solidarności, wziął podany sobie kielich w rękę i jednym go haustem wychylił.

— A co?.. jak trąbi karmazyn! — zawołał Teluś.

— Natura wilka ciągnie do lasu! — odrzekł ze szlachecką fantazyą sekwestrator. — Zastrzegam sobie jednak, szanowni dziedzice — dodał szybko, przypomniawszy sobie cel przyjazdu — że dziś wieczorem choć dla formy sporządzę protokólik, bo jutro rano muszę być z powrotem w powiecie.

— No, to na to mamy całą noc przed sobą; poco przerywać chwilę wesołości? Zdrowie radcy!.. naszego brata szlachcica! — zawołał śmiejąc się z ukrytą ironią gospodarz. — Daj pysia, radco!

To mówiąc, ucałował go w oba policzki.

— Zdrowie brata szlachcica! — zawołali kolejno wszyscy obecni, prócz Sączewskiego, który jednak afirmative głową skinął.

Chorąży obszedł wokoło, śród pocałunków na obie strony, które się i mnie od świeżo kreowanego szlachcica dostały.

— Ale... a moje szkapiątka? — zapytał nagle sekwestrator — czy będą co miały na zęby?

— To już moja rzecz — zawołał zrywając się Baryłkiewicz. — Wiem że to twoja słabość. Ugościmy je na równi z tobą, a i do domu coś się konikom dostanie.

— Dziękuję... najmocniej dziękuję... bo to widzi kochany pan... biedne bydlątko to nie powie, choć głodne.

— Nie bój się nic, każę je przy swoich koniach postawić; nie będą miały krzywdy.

Trzeba wiedzieć, że konie sekwestratora były dlań

wszystkiem — stanowiły nietylko jego majątek, ale jego chlubę i cel jego wszystkich zabiegów. Były to dwa ciężkie łyse kasztany, jeden z obfitym konopiatym ogonem i pręgą przez grzbiet, drugi niestety z mniej obfitym, szczurzym ogonem, oba wypasione jak wieprze yorkshirskie, bo sekwestrator gdzie zajechał, o obrok dla nich upominał się przedewszystkiem; używał zaś swoich kasztanów z taką oględnością, że choć na szlacheckie konie był biczem Bożym i wyciągniętego kazał jechać kłusa, swymi jednak kasztanami stępo, lub conajwięcej lekkim zwykł był jeździć truchcikiem, stając co karczma dla wytchnienia faworytom, które wtedy słomą ocierał, klepał, głaskał, a niejednokrotnie nawet w różowe łysiny całował. Miał też do nich chłopaka, gapę ślamazarnego, imieniem Frąsia, który do tej wolnej jazdy i do ciągłego stawania już był przywykł.

Nim pan Telesfor wyszedł na podwórze, dla ulokowania koni sekwestratora, zbliżył się do gospodarza, zapytując go zcicha, czy jest coś pośladu przynajmniej na śpichrzu?

— Nie wiem, Telusiu — odrzekł pan Doliwa — to tam włodarz ci powie... ale ci wyznam szczerze, że mi ta bestya swoim przyjazdem popsuła cały humor.

— Nie bój się nic — szepnął pocichu Baryłkiewicz.

— Żeby go tak na całą noc zatrudnić przy butelce — dodał cicho gospodarz — tobyśmy go się może bez protokółu pozbyli.

— Hm!... — mruknął Teluś, potarłszy czoło — czekaj... pomyślimy nad tem.

I zabrawszy klucze od śpichrza, wyszedł.

Cała ta krótka rozmowa odbyła się niepostrzeżenie, sekwestrator bowiem, dostawszy się raz w ręce Kropskiego, Tłuczyckiego i Sączewskiego, musiał spełniać toasty jedne za drugimi, żeby ich choć w części dogonić. Na pochwałę świeżego szlachcica dodać musimy, że się przeciw temu już nie bronił wcale.

Tymczasem słońce już zaszło... sine obłoki zaległy horyzont dokoła i drobniuchny choć gęsty puścił się deszczyk. Baryłkiewicz wrócił zmoknięty z podwórza i uspokoił sekwestratora o los jego kasztanów, które całą ćwiartkę gołego owsa na wieczerzę dostały; a że przyniósł był ze sobą nową bateryę wina, zabrano się więc na dobre do picia... wśród rozmowy o drobnych sprawach i plotkach powiatu, przerywanej brzękiem kieliszków i wybuchami śmiechu, choć Bogiem a prawdą, nie było się tak bardzo śmiać z czego.

Gdy nareszcie Teluś znalazł sposobną chwilę do rozpoczęcia niedokończonego swego opowiadania o sławnych imieninach starościca w Łęczyckiem, absorbując całą uwagę zebranych gości, skorzystałem z tego, by się wymknąć nieznacznie z tej duszącej atmosfery dymu i wina, bo czułem już okropny brak powietrza, a pragnąłem też obejrzeć się nieco dokoła.

* * *

Na przeciwnej stronie dworku, w najbardziej od gwaru i wrzawy oddalonej, schludnej izdebce, dwie kobiety rozłożoną na stole księgę z zajęciem czytały. Jedna z nich w podeszłym już wieku, surowego wyrazu twarzy,

z okularami na nosie, czytała Żywoty Świętych; druga młodziuchna jeszcze, pięknych rysów twarzy i udatnej kibici, z zajęciem każde słowo staruszki chwytała.

Gwar i krzyki nie dochodziły do tej izdebki i nie kalały tego przybytku niewinności i pokoju, gdzie miasto głupich wrzasków... myśl zdrowa i świeża — miasto rozpusty skromność niewiast chrześcijańskich, — wreszcie miasto orgii i rozkiełznanych namiętności... wstrzemięźliwość i pokora zaległy. Rzuciwszy okiem przez wpół uchyloną okienicę, na bieluchne ściany izdebki, zdobne w kilka pięknych obrazków Świętych... na schludnie usłane dwa łóżka, ponad któremi białe muślinowe kotary, szerokie rozwarły ramiona... na etażerkę pięknych różnobarwnych kwiatów, poza którymi główka dziewczęcia, jak pączek rozkwitłej róży, kraśniała, — odetchnąłem błogo i lżej mi było na sercu, bo ujrzałem tu raj mały... przeciwstawienie piekła, z którego tylko com był wyszedł.

— Społeczeństwo skażone — pomyślałem sobie, ma jeszcze warunki bytu i poprawy i mieć je będzie póty, póki kobieta z drogi religii i moralności nie zejdzie, póki ona wstydu z czoła, co jak pyłek kwiatowy zdobić ją powinien, nie zetrze. Przez kobietę odrodzić się może generacya pracy i szlachetnych dążności... przez kobietę tylko myśl zacna i uczciwa, podjętą i w czyn wprowadzoną być może. Choć rozpasanie i opilstwo, owe zabytki ostatniej epoki naszej, jak rak w organizmie toczą jeszcze społeczeństwo nasze gdzieniegdzie, jeśli tylko skażenie to nie dotknie kobiety, jeśli ona wyniesie z sobą całą godność nietkniętą, a świętość swego posłannictwa

pojmie i dzieciom swym przekaże, — wątpić o moralnem odrodzeniu się społeczeństwa nie należy.

Kto wie jak długo byłbym się napawał tym pełnym uroku obrazkiem, gdyby nie deszczyk, który coraz rzęsiściej już kropił. Niepodobna było pozostać dłużej na dworze, a że do hulaszczej kompanii nie miałem najmniejszej ochoty powracać, rad nierad musiałem przerwać spokojnym mieszkankom dworu czytanie Żywotów Świętych i lekko we drzwi niewieściej izdebki zastukałem.

— Kto tam? — zapytał mnie dźwięczny głosik dziewczęcia.

— Wybaczcie panie — rzekłem, wchodząc do izdebki — że poważam się przerwać wam czytanie zajmującej książki; ale przybyłem tu z daleka... w interesie pana Doliwy i ogółu obywateli dotyczącym, a trafiwszy na ucztę, w której dłużej uczestniczyć nie mogę, radbym poprosić panie o jakiś spokojny kącik w tym dworze, gdziebym mógł papiery rozłożyć i popracować trochę.

— Nikt nas tu nawet o przybyciu dalekiego gościa nie uprzedził — odrzekła staruszka uprzejmie, ale kącik wygodny się znajdzie. Może tymczasem pan spocząć raczy i nam chwilkę poświęci.

— Z prawdziwą przyjemnością, szanowna pani, odrzekłem. — Ten hałas, gwar i pijatyka u pana Doliwy, były już dla mnie nie do wytrzymania...

— To niestety słabość mego brata.

— Nietylko wujaszka, ale i jego gości, którzy ile razy przyjadą, tam tylko dnie i noce spędzają — dodała młoda panienka.

— Kto lubi szum i wino, — odrzekłem — komu ono

tylko wystarcza, ma tam, jak widzę, nieprzebrane źródło zaspokojenia swych pragnień.

— Niestety! — ozwała się staruszka — naszym panom sąsiadom zdaje się to wystarczać najzupełniej.

— A jeśli nawet który — dorzuciła panienka — jak naprzykład pan Fabian, ma odrazę do tego, musi rad nierad dotrzymać placu, choćby kosztem zdrowia.

— I panie się nigdy z przybyłymi nie widują? — spytałem.

— Owszem — odrzekła staruszka. — Brat mój każe nas czasem prosić do siebie. Jeśli to zaraz po przyjeździe gości ma miejsce, to idziemy z Zosią i przebywamy tam chwilkę; ale skoro tylko butelka na stół wyjedzie i szlachta rezonu nabierać zacznie, pojmujesz pan, że młodej panienki pozostawić tam niepodobna, bo u pijanego o zdrożne słowo i grzech na ustach nietrudno.

— Zresztą, przyznam się panu, że mnie nasze towarzystwa męskie bynajmniej nie tentują — dodała z wyrazem prawdziwego przekonania panna Zofia.

— A czy zgromadzeni dziś goście są jedynymi przedstawicielami towarzystwa męskiego w tych stronach? — spytałem panny Zofii.

— Niestety! — odrzekła. — Zresztą zdaje mi się, że w żadnem towarzystwie męskiem nie znalazłabym dla siebie powabu, jest ono przeciwne memu powołaniu.

— Jakież to powołanie? jeśli wolno spytać.

— Klasztorne — odrzekła z całą spokojnością.

— Czy być może? — zawołałem zdziwiony.

— A cóż w tem dziwnego, szanowny panie? — dorzuciła szybko staruszka, pod której wpływem wido-

cznie wyrobiło się to powołanie młodego dziewczęcia. — Stan zakonny, to najszczytniejsze powołanie kobiety.

— Najobszerniejsze pole do spełniania ofiar i uczynków prawdziwie chrześcijańskich — dodała Zosia. — Bo czy kształcić młode latorośle na przyszłe szczepy społeczne, czy nieść pomoc kalece, sierocie i starcowi, czy wreszcie chwile wolne od zatrudnień poświęcić chwale Boga i ćwiczeniom pobożnym, to zdaje się dość wielkie zadanie, by życie jednej kobiety wypełnić mogło.

— Zgadzam się na to — odrzekłem — że tak pojęty stan zakonny może oddać społeczeństwu przysługi dość wielkie; ale czyż rola żony i matki niemniej wiele nie przedstawia obowiązków świętych, których spełnianie sumienne, mogłoby być również miłą Bogu ofiarą?

— Stan małżeński — odparła staruszka — przez to samo, że węzłami krwi i kości łączy nas z ziemią, jest już z natury swej pozbawionym owego zaparcia się i abnegacyi chrześcijańskiej, które czyn każdy stokroć wyżej podnoszą. Nie sztuka kochać dziatki, skoro je z nami węzły krwi łączą; mniejsza zasługa kształcić młodą latorośl, jeśli ona z naszego pnia wyrosła... Pielęgnowanie w kalectwie ojca lub męża przestaje być ofiarą chrześcijanki. Z jednej strony jest spełnianie prostego tylko obowiązku, z drugiej ofiara... a ofiara ród ludzki wykupiła, ofiarą też tylko zbawienie wieczne zapewnić sobie możemy.

Milczałem na te argumenta, które napróżno byłbym się silił zbijać, gdyż zdawało mi się, że widzę w młodem dziewczęciu nie czczą jakąś teoryę szeptaną usty,

ale wyznanie wiary głęboko wyryte i wprost z duszy płynące.

— I któż, proszę pana, jest dziś z gości u wujaszka? — spytała mnie po chwili Zosia.

— Jest pan Baryłkiewicz, pan Sączewski, panowie Tłuczycki i Kropski i ich synowie. — (O sekwestratorze przemilczałem).

— To i Fabian jest? — zapytała staruszka.

— Jest, pani.

— To mnie dziwi, że nas do tej pory nie odwiedził. Poczciwe chłopczysko, skoro się tylko może wyrwać na chwilę, biegnie do nas, a choć więcej tu wzdycha, niż mówi, przecież go wolę, jak tę resztę hałaśliwej zgrai.

— Wątpię — odrzekłem — żeby się dziś mógł wydostać, bo go piorunujący wzrok ojca przykuł do stołka.

— Ach ten jego ojciec — westchnęła Zosia.

— A czy wiesz pan, że w liczbie gości dzisiejszych, znajduje się i konkurent o Zosię? — rzekła staruszka.

— Czy tylko jeden? — spytałem.

— Ja wiem tylko o panu Damazym Tłuczyckim, ciągnęła dalej staruszka — którego ojciec wybiera się podobno z oświadczynami lada dzień.

Przypomniałem sobie w tej chwili oracyę Tłuczyckiego, rzekłem więc:

— Zdaje mi się, że dziś już rozpoczynał oświadczyny.

— Czy być może? — spytała, śmiejąc się, Zosia.

— Tak, pani — odrzekłem — przypominam so-

bie pewne zwroty pana Tłuczyckiego do bujnych plonów i owoców, jakieby ze splecionych razem gałęzi dwóch starych rodów wykwitnąć mogły.

— A cóż brat mój na to?

— Pan Doliwa niewiele mógł zrazu zrozumieć, bo też, przyznam się pani, oracya pana Tłuczyckiego tak była górnolotna i taką masą mosterdziejów naszpikowana, że i ja teraz dopiero jej cel zrozumiałem.

— To i lepiej że wujaszek niczego się nie domyślał — odrzekła Zosia. — Po wyjeździe gości uprzedzę go sama o swem postanowieniu, aby naprzód wiedział, jaką ma dać odpowiedź. Tymczasem nie sądź pan, abym odmową zraniła zbytecznie serce pana Damazego; jest to sobie łowczy na posagi... pracować nie umie, więc zwyczajem niektórych z naszej młodzieży, pragnąc zdobyć sobie stanowisko obywatela, chciałby zacząć od żony, która ma mu przynieść nie serce kochające, nie duszę ożywiającą domowe ognisko, nie dobroć i przymioty moralne, ale kilkanaście włók czarnoziemu, kilkadziesiąt sztuk bydła i kilkaset baranów.

— A pan Fabian? — spytałem Zosi?

— Pan Fabian — odrzekła rumieniąc się nieco, złego... nic o nim powiedzieć nie mogę... a nawet oczy jego zdradzają serce tkliwe... ma przytem wcale nieźle w głowie... Ale cóż z tego, kiedy znów taki... jakiś... bojaźliwy, przed ojcem drżący...

— To mu się za zasługę poczytuje — dodała staruszka. — Zresztą, moja Zosiu, co ci tam opiniować o mężczyznach nam obcych.

Chciałem w tem miejscu zdradzić pana Kropskiego;

z którego oracyi także matrymonialne wnioski wyciągnąć już śmiało mogłem, gdy nagle hałas i krzyki przed domem przerwały naszą rozmowę. Przerażone kobiety sądząc że ogień, zerwały się z miejsc i ja za niemi przed dom wybiegłem.

Ognia na szczęście nie było... ale straszna przed domem rozgrywała się scena.

Sekwestrator, blady... bez czapki... mimo deszczu i mocnego zimna, tarmosił za uszy i włosy swego parobka Frąsia, wymyślając na czem świat stoi... Reszta gości, prócz wychylonego przez okno gospodarza domu i Baryłkiewicza, obstąpiła wkoło zapaśników, nie wiedząc czy chłopaka bronić, czy też wtórować na jego grzbiecie rozjuszonemu sekwestratorowi.

— Co się stało, panie sekwestratorze? — zapytałem, chwytając go za rękę. — Czemu pan tego biedaka tak bijesz?

— Ach panie!... — zawołał zagadniony — to okropne! Jestem w rozpaczy... moje konie!...

— No cóż, ochwacił je?

— Ale gdzie tam.

— Okaleczył?

— Ale gorzej jeszcze.

— No więc zabił, czy otruł?... cóż u licha.

— Skradziono mi je ze stajni!... — wystaw pan sobie!... skradziono! Czy pan słyszysz?

— Słyszę... ale cóż tu bicie pomoże? Toć on ich nie skradł, skoro tu jest.

— Ale jemu szelmie z przed nosa skradli... spał przy nich i dał je wyprowadzić.

— No jeśli spał, to cała jego wina, że się nie obudził.

— A no, to też i ja mówię...

— Ależ nie każdy człowiek obudzić się może jak chce.

— Ale co mi pan perswadujesz. Moje kasztanki! moje kasztanki! — wołał sekwestrator, puściwszy chłopaka i rwąc sobie włosy z głowy.

— Zamiast tu stać, lamentować, dręczyć chłopaka, lub swojej głowie krzywdę robić, poproś pan lepiej gospodarza domu o pogoń, a może się zguba znajdzie jeszcze.

— Prawda, najszanowniejszy dziedzicu! — wołał błagalnie sekwestrator. — Pogoń... parę chłopów na koniach...

— A skąd ja ci teraz chłopów wezmę? — odpowiedział Doliwa z okna — to wszystko o tej porze pijane i śpi jak zabite.

— To proś pan chociaż o konia lub o parę, — rzekłem do sekwestratora — i jedźcie z chłopakiem szukać zguby. Granica pruska niedaleko... toć się może znajdą jeszcze, bo złodzieje tam tylko zwykle podążają.

— Ach panie! z nieba jesteś z taką radą. Koni! koni! najszanowniejszy dziedzicu! pary koników smagłych... na miłość Boską! — wołał błagalnie sekwestrator, wyciągając ręce do okna, z którego wyglądał Doliwa.

— Owszem... mość dobrodziu! ale mi je radca zajeździsz na śmierć.

— Uchowaj Boże!... Pan wiesz jak ja koniki ochraniam. Ale, dziedzicu, ani chwili czasu nie zwlekaj... od tego mój los, moje kasztanki... moje wszystko zależy.

— Teluś! — krzyknął gospodarz — każ włodarzowi parę najlepszych koni okulbaczyć i przed dom przyprowadzić.

Jak kazał, tak się stało. Baryłkiewicz zjawił się jak *deus ex machina,* i za chwilę para koni okulbaczonych stała już przed domem.

— Ale jak my tu drogę znajdziemy? — stękał sekwestrator, wdrapując się na konia i ręką trzymając go za grzywę. Noc tak ciemna, że choć oczy wykol... i łba końskiego nie widać. Czy ty gapo dojrzysz ślad? — zapytał chłopaka.

Frąsio już ze strachu i pobicia gadać nie mógł.

— Puśćcie tylko konie prosto, a na krzyżówce ciągle zwolna kręćcie na prawo nad rowami, to konie już same ku granicy pójdą — rzekł Baryłkiewicz.

— A czy spokojne? — zapytał sekwestrator, trzymając się jedną ręką grzywy, a drugą kuli od siodła.

— Jak dzieci — dodał Teluś.

— Więc w imię Boże — rzekł sekwestrator, ruszając z miejsca truchcikiem, jak nowy Donkiszot, a jego Sancho Pansza, Frąsio, krok w krok podążał za nim po błocie.

Podążmy i my za nimi.

Deszcz padał coraz rzęsistszy, a drogi i role rozmiękły tak dalece, że konie lgnęły aż po same pęciny; co gorsza, noc była tak przeraźliwie ciemną, że dojrzeć się, choćby o dwa kroki, było niepodobieństwem.

Sekwestrator zrazu jechał truchcikiem, bał się bowiem uderzyć konia, żeby mu się w odwecie niespodzianem wierzgnięciem nie odemścił; po kwadransie jednak,

kiedy już się trochę z ruchami swego wierzchowca oswoił, targnął go trenzelką i lekko pręcikiem musnął. Poczciwy szkapa ogonem tylko machnął i nieco kroku przyśpieszył. Tem pierwszem powodzeniem ośmielony jeździec, już w pół godziny silniej konia zaciął, jednocześnie chwytając go się oburącz za szyję; ale zacny rumak silniej tylko ogonem machnął, a oglądając się na boki, coby ten gwałt znaczył, w lekkiego wpadł galopka, najmniejszej do wierzgania nie okazując skłonności. Galopek wydał się sekwestratorowi jazdą bardzo przyjemną; po ciężkim kłusie wierzchowca, bujał się on jakby w fotelu na biegunach i nie tak od siodła odskakiwał.

Po godzinie jazdy, rozgrzany powodzeniem i zupełnie już siebie pewny, jeździec okładał szkapę na oba boki, zaczem wierzchowiec, sapiąc i dysząc jak miech kowalski, zbierał nogi, ile go na to stać było.

Sekwestrator, jak powiedzieliśmy, był biczem Bożym na konie, robiąc tylko jedyny w tym względzie dla swoich kasztanów wyjątek; skoro więc już raz wprowadził wierzchowca w galop, nie bacząc na to, że szkapa nogi po błocie wyrywa, że z pod czapraka i trenzli biała wydobywała się piana, chłostał a chłostał biednego konia, który znużony nareszcie, utknął na przednie nogi, a jeździec naraz twarzą w miękkiem znalazł się błocie.

Była to chwila odpoczynku dla jeźdzców i koni. Sekwestrator, klnąc na czem świat stoi, ocierał błoto z ust i rąk, chłopak zaś, trop w trop podążający, podnosił tymczasem wierzchowca, któremu się nogi w lejce od trenzli wplątały. Ale zaledwie koń stanął na nogach, już sekwestrator siedział na nim i ująwszy go mocnie

w lejcach, dla uniknienia powtórnego salto mortale, ruszył galopem z miejsca. Jeździec sapał, szkapa chrapał... ale nie było rady... zbierać nogi musiał jak mógł, bo jeździec bata i łydki nie szczędził.

Tak przelecieli aż do świtu.

Nad ranem deszcz ustał, z poza rozsuwających się obłoków błysła jutrzenka, a z nią i zorza bladoróżowem zajaśniała światełkiem. Szkapy ustawały zupełnie i mimo bicia, ani rusz było pośpieszyć. Rad więc nierad, musiał sekwestrator jechać stępo; obok zdyszanego swego chłopaka.

Wtem spragniony wierzchowiec Frąsia, na widok wody w rowie, zarżał...

— Wielmożny panie... to takuchny głos jak naszego biczowego kasztanka.

— Bodajeś przepadł, gamoniu! — odrzekł gniewnie sekwestrator — jeszcze mi będziesz jego przypominał!

Po chwili, na widok kupki siana, odezwał się znów wygłodniały wierzchowiec sekwestratora.

— Wielmożny paniczku!... ale to takutuchny głos jak naszego licowego.

— A bodajeś zaniemiał, gapiu! — krzyknął zniecierpliwiony sekwestrator, któremu wspomnienie licowego rozkrwawiało serce do reszty; — i zaciąwszy biczem szkapę, znów go w lekki truchcik wprowadził.

— Paniczku, ja już nie mogę zdążyć... mój szkapa ustał do cna i na prawą nogę upada.

— Wal go co się zmieści, a ruszaj!

— Ale on się może schwacić i zdechnie.

— A to niech zdycha... to nie mój. Widzisz go, jaki miłosierny!

W samej rzeczy wierzchowiec chłopaka kulał już porządnie, a obydwom koniom boki tak zapadły, tak były zmarnowane, zbite, zziajane, że litość brała patrzeć.

Dzień też robić się już zaczął na dobre.

Nagle chłopak spiął się na strzemionach, żegnając znakiem krzyża świętego.

— Co tobie, gapiu? — spytał sekwestrator. — Będziesz tu może pacierze odmawiał?

— Wielmożny panie... dopuszczenie Boże, czy co!...

— No cóż znów?

— A dyć wielmożnego pana koń, to ma takuchny konopiaty ogon i pręgę bez grzbiet, jak nasz licowy.

— Co ty bajesz?

— A i łysina taka sama.

— Bój się Boga! — krzyknął sekwestrator — a i twój szkapa ma taką łysinę jak nasz biczowy... Wykręćno się, ośle... Jezus Marya! i taki sam szczurzy ogonek!... To mój koń!

— I to nasz koń! — zawołał chłopak.

Stanęli obaj jak wryci, wpatrując się w swe własne konie, na których mniemanej zguby szukali.

Trzeba bowiem wiedzieć, że cała scena skradzenia koni była prostym figlem Baryłkiewicza, który, obiecawszy panu Doliwie tak zatrudnić sekwestratora, iżby ten w nocy protokółu zajęcia sporządzić nie mógł, wpadł na myśl szatańską wyprowadzenia koni ze stajni przed nosem chrapiącego po wódce parobka, a narobiwszy pó-

żniej hałasu o złodzieja, podstawił sekwestratorowi do pogoni własne jego konie.

— Boże! moje szkapiątka... co się to z nich porobiło! — wołał, wychodząc z osłupienia, sekwestrator. Cóż to za licho się stało?.. Może się tobie, ośle, przyśniło, że ci konie skradli i narobiłeś hałasu.

— Ale wielmożny panie, przecie dokumentnie widziałem...

— Coś widział?

— No... że koni nie było.

— Jakto, czyś wstawał do nich w nocy?

— Nie wstawałem, bo to wej zaraz z północka się zrobiło.

— Więc kiedyś gamoniu nie wstawał, skądżeś się dowiedział, że skradli?

— A no ktoś mi we śpiku krzyknął nad uchem, że kasztany skradzione — ja się też zerwałem na równe nogi, oświeciłem latarkę... patrzę... koni niema.

— Cóż dalej?

— A no dalej, jak widzę, że niema koni, tak też zacząłem krzyczeć, że koni niema.

— Ale cóż dalej?

— A no, wielmożny pan przecie wie najlepiej co dalej, bo dalibóg wielmożny pan na mnie ręki nie żałował.

— Ale dlaczegożeś gapiu krzyczał, że konie skradli?

— A no, bo koni nie było.

— A skądże się gamoniu, tu wzięły?

— A no... to już jest chyba sprawa złego ducha... W imię Ojca i Syna!... Wielmożny panie, ja

już przy tych koniach nie będę służył, bo to nieczyste stworzenia.

— Ja ci tu dam nieczyste stworzenia! moje kasztanki nieczyste stworzenia! Tylko ty mi się tu rusz od koni! Przecież trzeba teraz coś zrobić z niemi, bo bydlątka, jak Bóg Bogiem pozdychają.

— A no, trza się wrócić nazad na piechotę i konie za sobą ciągnąć.

— A gdzież jesteśmy?.. ja tych dróg nie znam wcale.

— Wielmożny panie, a dyć my z granicy kuflewskiej nie wyjechali; ot tamte krzywe topole za górką...

— Co ty bajesz? myśmy może już w Prusach... co najmniej z pięć mil zrobiliśmy.

— Wielmożny panie... ja już nie wiem... ja za służbę dziękuję... to jakiś czart szkapami kręcił... Przecie to tam za groblą Sobkowice... a to tu za górką kuflewski dwór.

Sekwestrator poznał okolicę... cichaczem przeżegnał się, także nawpół ze strachem, i w milczeniu poprowadzili za sobą ledwie wlokące się konie do Kuflewa.

* * *

W Kuflewie, po całonocnej orgii, gospodarz i goście spali pokotem w pokoju pana Doliwy, dokąd przez szczelnie zamknięte okiennice najmniejszy promyk światła nie dochodził.

Ja, po bezsennej prawie nocy, zdobywszy sobie nad ranem starego włodarza, na którego głowie całe gospodarstwo spoczywało, zbierałem przy jego pomocy potrzebne dane do mego komisoryum, z którem już prawie

byłem na ukończeniu. Spieszyłem się jak mogłem z załatwieniem mej czynności, z obawy abym w ciągu dnia znów w to pijackie grono nie wpadł, gdy nagle zmoczony, zziębnięty i jak nieboskie stworzenie zabłocony, stanął przede mną sekwestrator.

— A cóż, znalazła się zguba? — spytałem go.

— Ah, panie... zguba jest... ale...

— Gdzieżeście ją odnaleźli?

— Pod sobą.

— Jakto pod sobą? — zapytałem zdziwiony.

Sekwestrator ochrypłym głosem opowiedział mi szczegóły swej nocnej wyprawy, badając mnie czy się sprawcy nie domyślam. Trudno mi było ciekawość jego zaspokoić, choć mi szepty Baryłkiewicza z Doliwą mistyfikacyę poniekąd rozjaśniły; nie mogłem jednak ukryć śmiechu na widok zziajanego Donkiszota, który całą noc urojonych gonił złodziejów.

— Pan się śmiejesz — rzekł mi z gorzką wymówką. — O... to bardzo śmieszne... nieprawdaż?... szczególniej gdy się kto wyspał pod dachem... Ale ja, com całą noc gnał po deszczu... i poco?...

— Cóż mam robić? chcesz pan żebym płakał?

— Uchowaj Boże... ale też i śmiać się niema z czego, zwłaszcza że to pan sam podałeś mi myśl puszczenia się w pogoń.

— To pan mnie za moją poczciwą radę posądzać będziesz?... Wszakże ten tylko mógł pana zmistyfikować, kto panu własne jego konie przed dom przyprowadził.

— A któż przyprowadził? — zapytał, uderzony nagle tą uwagą.

— Ja nie wiem.

— I ja nie wiem... noc była tak ciemna, że trudno było coś dojrzeć.

— Ot lepiej głowy nad tem nie łamać, co już panu ani bezsennej nocy, ani przebytego spaceru po błocie nie wróci. Cóż pan teraz zrobisz?

— A cóż... za parę godzin muszę być w powiecie... moje konie iść już nie są w stanie. Włodarzu — rzekł sekwestrator do obecnego chłopa — musicie mi kazać zaprządz parę fornalskich koni do bryki, za którąbym moje biedactwa poprowadził do domu. Oddam je zaraz weterynarzowi na kuracyę, bo przewiduję w nich zarody ciężkiej choroby... Ot panie... jakie są zyski biednego urzędnika, który dla dobra służby życie i mienie swoje naraża!

Nie widziałem wprawdzie w całej tej sprawie dobrą służby, ale poniekąd litością zdjęty, przeczyć już trenom sekwestratora nie chciałem.

Włodarz tymczasem wrócił z podwórza, donosząc że fornalki już ani jednej niema, bo po drzewo do odległego boru poszły.

— No więc cóż? — krzyknął sekwestrator — to dajcie cugowe.

— Nasz pan nie taki zbytny, żeby cugunty trzymał — odrzekł chłop.

— Otóż masz pan szlachecką arytmetykę! — zawołał zdesperowany sekwestrator. — Cugowych koni nie trzymają, bo to zbytek, a co przez dzisiejszą noc przepili... to nie zbytek, choćby za to parę koni przez pół roku wyżywił.

— Proszę pana, ma bydlę darmo zjadać, to lepiej że człowiek wypije — rzekł na to włodarz.

— Schowaj sobie teorye, a mnie konie skąd chcesz wydobądź, bo muszę być w powiecie z raportem, rozumiesz?.. Ja służbę stracę! — krzyczał zdesperowany.

— A cóż ja na to poradzę? — odmruknął włodarz.

— Ja panu w tym razie pomogę — rzekłem strapionemu sekwestratorowi. — Muszę wracać do siebie, bo pierwszą seryę mego objazdu kończę. Zabiorę pana do powiatowego miasta, przez które mi jechać wypada.

— A drogi panie! ale moje kasztanki?

— A no, trudno. Każ je pan do bryki uwiązać.

— A mój chłopak?

— Weźmiemy go na kozioł.

— A moja bryka?

— A, tej już zabrać panu nie mogę — odrzekłem.

— Brykę panu stąd przy pierwszej okazyi odeszlemy — dodał włodarz.

— No, więc się jakoś poradziło — zawołał uradowany sekwestrator, zacierając ręce. — A panie! ratujesz mnie od nieszczęścia!.. Pan nie znasz naszego naczelnika... to niby baranek... potulny... ale w gruncie — dodał ciszej, oglądając się za siebie — w gruncie to... powiadam panu... no!!.. A teraz, nie tracąc czasu, przypilnuję moich kasztanków, żeby się pożywiły; każę tymczasem pańskiemu człowiekowi zaprzęgać i moje szkapiątka do bryki przywiążę. Ale uprzedzam pana, że będziemy musieli wolno jechać, bo jeden okulał, a drugi ledwie nogi wlecze za sobą.

— I potrzebaż tak było gnać konie?

— Nie wiedziałem że moje, jak Boga kocham — odchodząc, odrzekł naiwnie.

* * *

W parę godzin Grzesio zajechał już przed szczyt dworu; na bryce siedział sekwestrator i jego chłopak, z tyłu bryki stała para kasztanów, ze spuszczonymi łbami.

Poszedłem pożegnać się z kobietami. Staruszka była jeszcze w łóżku i wstać już tego dnia nie miała, bo przerażona wczorajszym hałasem, wyleciawszy przed dom, zmokła na deszczu i przeziębiła się tak silnie, że całą noc w gorączce przebyła. Zosia tylko opowiedziała mi niektóre ciekawe szczegóły nocnej biesiady, o których się od podsłuchującej z alkierza klucznicy dowiedziała.

Otóż, gdy wypadek sekwestratora i jego odjazd na własnych koniach, opowiedziane przez Baryłkiewicza, wprowadziły napowrót w dobry humor Kropskiego i Tłuczyckiego, gdy pierwszy o Abramku i zagrzanym rzepaku, a drugi o zgniłej stercie grochu zapomniał, podpiwszy sobie co się zowie, rozpoczęli napowrót, ale już wyraźniej i prosto z mostu, oświadczyny swoich synów o rękę Zosi.

Pan Doliwa, ceniąc sobie zarówno przyjaźń jednego jak drugiego sąsiada, znalazł się z odpowiedzią w bardzo trudnem położeniu; rzekł więc obydwom, że jak Damazego, tak i Fabiana radby w grono swej rodziny policzyć, ale nie mogąc obydwom jednocześnie dogodzić, woli obydwom odmówić, żeby sobie żadnego nie narazić.

Odpowiedź ta ani ojców, ani synów zadowolić nie

mogła... sytuacya stawała się drażliwą i bez wyjścia, gdy nagle... Teluś, obfity w pomysły, zaproponował pojedynek na przepicie, między Damazym a Fabianem, w którym zwycięzca na placu boju otrzyma w nagrodę rękę Zosi. Projekt przyjęto.

Damazy zastrzygł uszami, a oczy mu się blaskiem zwycięzcy zaiskrzyły; stanął pewny siebie do walki. Fabcio zbladł jak trup, ale na rozkaz ojca także stanąć musiał do rozprawy: mimo jednak nadludzkich wysileń, mimo że go ojciec spojrzeniem i giestami zachęcał do męstwa i wytrwania, biedny Fabcio przy szóstej butelce powalił się na ziemię jak długi, a Damazy zupełne odniósł zwycięstwo, otrzymując w nagrodę od pana Doliwy przyrzeczenie ręki panny Zofii.

— A postanowienie pani? — spytałem Zosi — czyż, jak twierdziłaś, pozostanie niezłomnem?

— Pojmujesz pan — odrzekła — że po takim zakładzie, będzie ono niezłomniejszem, niż kiedykolwiek, bo szczęśliwy zwycięzca obrzydzenie tylko we mnie zrodzić zdoła.

— A zwyciężony? — spytałem, śledząc ją bacznie.

— Szczere współczucie — odrzekła, ściskając mi rękę na pożegnanie.

— To dosyć na początek — odrzekłem, a Zosia lekko się na te słowa zarumieniła. — A teraz żegnam panią, choć nie bez nadziei spotkania się jeszcze na tym szerokim świecie, jednak nie w sukni zakonnej; bo wierzaj mi pani, że wszelkie najwznioślejsze w tej mierze teorye, pozostaną zawsze tylko teoryami, Bóg przeznaczył kobietę do innych celów... zadaniem jej stworzenie

rodziny, tego posiewu świętego, przez który ludzkość się odradza, społeczeństwo uzacnia, i na którym świat stoi.

Zosia westchnęła, zamyśliła się i pod wpływem ostatnich słów moich wróciła do izdebki.

Wskoczyłem na brykę — ruszyliśmy z miejsca. Ale zaledwie się bryka potoczyła, Grzesio w prawo i lewo chwiać mi się zaczął na koźle, chwilami tak zamaszyście, że obawiałem się aby pod koła nie spadł.

— Co ci to, Grzesiu? — spytałem — czy śpisz?

Grzesio odpowiedział mi, śpiewając na całe gardło:

Wino z wódką — dobra nasza...

— Źle — pomyślałem sobie, widząc Grzesia na potęgę pijanego.

— Pański człowiek bodaj trochę cięty? — zauważył sekwestrator.

— Zdaje mi się, że nie trochę, ale co się zowie.

— Leci jak dyabeł, a moje biedne kasztanki chyba już ducha wyzioną.

— A cóż ja na to poradzę, mój radco?

— To może mój chłopak powiezie, bo jeżdżąc całą noc ze mną, nie miał się czasu upić.

— I owszem, niech próbuje — odrzekłem.

Ale z Grześkiem trudna była sprawa. Chłop pijany lejc z rąk nie wyda, broniąc honoru swego do ostatka, jak żołnierz sztandaru; chłopak sekwestratora, sięgnąwszy na rozkaz pana po lejce, oberwał od Grzesia takiego szturchańca, że mało z bryki nie zleciał.

Sekwestrator zamilkł, widząc, że to nie przelewki, i radzi nieradzi, zdaliśmy się na łaskę zwycięzcy, który batem wywijał... kiwał się na wsze strony... wyrwasy

wyśpiewywał i przez całą drogę tylko nas trzy razy obalił... i to jeszcze na stronę sekwestratora.

Czyż mogłem gromić Grzesia za te szczególne dla mnie względy?

* * *

W parę miesięcy po moim wyjeździe, poczciwa staruszka w Kuflewie zmarła, nie zdoławszy umieścić Zosi w klasztorze, choroba bowiem przykuła ją do łóżka, z którego w tak podeszłym wieku wstać już nie miała.

Zosia, pozostawiona prawie wyłącznie samej sobie, przygotowywała się do obleczenia sukni zakonnej, choć, mówiąc nawiasem, szło to jej jakoś niesporo... gdy nagle stugębna fama w powiecie rozniosła szeroko niespodziewaną wiadomość o nastąpionych zaręczynach Zosi z panem Fabianem, który na wyraźne życzenie wuja panny Zofii, zarząd Kuflewa obejmował. Pan Doliwa bowiem, wskutek nadmiaru trunków, spuchł był jak beczka i w ciężką popadł chorobę. Męczył się nieborak kilka miesięcy, a nareszcie doktorzy nad łożem jego zadecydowali, że to wodna puchlina, na którą już środków nie mają.

— Trza więc umierać!.. — mówił biedny Doliwa urywanym głosem do otaczających go przyjaciół Kropskiego i Sączewskiego. Tłuczycki bowiem, obrażony, że Damazemu pierwszeństwa do ręki Zosi, mimo wygranego zakładu, nie dano, zerwał z Doliwą zupełnie, Baryłkiewicza zaś dyetetyczna kuchnia i odór aptecznych flaszek z lekarstwami dawno już z Kuflewa wygnały.

— Muszę umierać! — jęczał pan Doliwa — przez tych osłów doktorów... którzy się na mej chorobie nie

poznali. Wystawcie sobie... wmawiają mi androny... wodną puchlinę... wodę w piersiach!.. Słyszeliście? ja mam mieć wodną puchlinę... ja wodę w piersiach, ja... com przez całe życie kropli wody nie wypił!.. O przeklęte medyki!!!

Odwiedziny.

...Było to w wieczór październikowy. Wiatr zachodni dął jak z miecha, szeleszcząc obnażonemi już gałęźmi akacyi i topoli, okalających wiejski mój dworek, i pędząc przed sobą tumany zimnego deszczu, którym od czasu do czasu w zamknięte trzepał okiennice. Niekiedy zahuczał w oddali głuchym potępieńca jękiem... to znów zasyczał w kominie, jak żmija w swej norze depnięta.

Na drodze ciemno... że choć oczy wykol; wszystko co żyło, skryło się gdzie Bóg dał. Więc nocne puszczyki i sowy w puste kościołków dzwonnice; więc czarne kruki i wrony... w dziurawe stodół strzechy; bociany... w gęsto splecione na starych brzozach swe gniazda; psy wiejskie, których miejsce za przypieckiem świeżo nasadzone kury zajęły... w najciaśniejszy kątek wieśniaczej sionki, zwinięte w krąg nieruchomy, z pyskiem pod udo zarytym. Zdawało się, że co żyło, wymarło, lub w ciężkim pogrążone było letargu, wszelki bowiem znak życia przed wyjącymi ustąpił wichrami.

W taką to pogodę, w którą zapewne Szyller swych Zbójców, Dant swoje piekło, a Szekspir Hamleta two-

rzyli, czytałem Korespondenta Rolniczego, wyciągnąwszy nogi przed moim wiejskim kominkiem!

Poczciwybo też to, ten nasz kominek wioskowy. Żadne go kaloryfery Italii, żadne *cheminées* francuskie, żadne Germanii nie zastąpią piece.

Smutno ci na sercu i umyśle, tęskno na duszy... powołaj kominek do życia, a on ci troskę i smutek, tęsknotę i zmorę rozpędzi. I kiedy przy trzasku olszyny, różowe światło kominka ściany izdebki zrumieni, powraca życie za którem goniłeś, powraca wesołość odbiegła, powraca myśl jasna, którą zmrok nocy i syki wichrów rozwiały...

A ileż to prócz tego z tym naszym polskim kominkiem łączy się jeszcze wspomnień!...

Przy czemże, jeśli nie przy nim, powstały dawne legendy i klechdy, podania i baśnie... o rycerzach w stali zakutych, o królewnach zamków zaczarowanych, o skrzydlatych smokach, ziejących nozdrzami brylantowych iskier strumienie!... Przy czemże, jeśli nie przy kominku, powstały owe dumki ukraińskich mołodyc, którym szmer warczących kółek i szepty mołojców wtórzyły... owe do matki narodu i patronów świętych religijne pienia, przez które i charakter ludu, i nastrój jego duchowy, jak słoneczko z poza chmur białych, przezierają!...

Kominek wiejski bywał powiernikiem tęskniących za sobą kochanków, których uczucie zrazu, jak płomień stosu łuczywa, ognistem błyszczało światłem. Bywał on miejscem wytchnienia strudzonych dzienną pracą małżonków, których uczucia ciche i na jedną nastrojone

nutę, tlały zwolna a równo, jak gorejące suchych brzozek płomyki... A kiedy później szron wieku zabielił wąs jegomości, a i fioczek jejmości osrebrzył, — staruszkowie, których uczucie, jak owe rozżarzone węgielki, lekkim już popiołem się pokryło, przebiegłszy myślą epokę minionej młodości, drzemali sobie oboje na wytartych siłą czasu zydelkach, z twarzami ku staremu przyjacielowi zwróconemi.

Przy takim tedy kominku czytałem Korespondenta Rolniczego, nad którym (aż mi wstyd wyznać) zasnąłem; wina to była zbyt specyalnej analizy chemicznej, w artykule o nawozach roślinnych, których pierwiastki mocno odurzające, haniebny ten skutek wywarły.

U nóg moich *Bekas* strudzony rżnął sobie także drzemkę.

Bekas był psiego rodu mieszańcem. Matka jego była najczystszą dumnego Albionu córą; za to ojciec w prostej linii od polskiego wywodził się kundysa. Mezalians ten jednak nietylko żadnej Bekasowi nie przynosił ujmy, ale nawet na zupełny wyszedł mu pożytek. *Beksio* (tak w okolicy powszechnie przezwany) łączył w sobie, może właśnie wskutek owego mezaliansu, przymioty dwóch tak różniących się psich szczepów; więc do powagi wyspiarza, wesołość dziecięcia gór naszych; więc do odwagi północy, znaną przezorność zachodu; więc do apetytu naszej ziemi, powściągliwość dobrze wychowanego yankeesa; więc do wytrwałości angielskiego turysty, spryt naszym prostaczkom wrodzony.

I kiedy postrzelonego dubelta potrzeba było w zbyt gęstych poszukać sitowiach, Beksio opływał je dokoła,

a nie znalazłszy (bo szukać nie miał ochoty), dawał parę nurków i powracał, plując wodę nozdrzami, jakby się tem chciał tłomaczyć, że straconego wiatru pochwycić nie mógł.

Za to do kuropatw stawał dobrze, a lepiej jeszcze wytrzymywał, młynkując ogonem na wsze strony i oglądając się na strzelca, którego wabił wymownie. Po strzale już był przy ptaku, a tak go delikatnie podawał, że i piórka zeń nie brakło, do czego niemało przyczyniał się brak zębów u Beksia, który nie mając w swym rodzie dentystów, sztucznymi posiłkować się też nie mógł. Chociaż więc czasem krótki kosmyk lekko postrzelonego zająca wymykał się Beksiowi z dziąseł, wypadki te bardzo się rzadko przytrafiały, a Beksio ostatecznie był psem jeszcze bardzo użytecznym.

Prócz wymienionych przymiotów, był on jeszcze do mnie jak istny pies przywiązanym, a choć chrapał na przeróżne tony chromatycznej gammy, przecież sen miał dość lekki, a za lada szelestem we dworku jedno otwierał oko... zaczem drugie... aż nareszcie z przybyciem obcej osoby na równe zrywał się nogi.

Zaległa cisza w izdebce, dzięki poważnemu artykułowi chemicznemu o składzie nawozów roślinnych... Morfeusz, w spółce z szanownym Korespondentem, dokonali na mnie dzieła uśpienia, gdy nagle Beksio zawarczał, a po chwili i łeb zwolna podniósł.

W sionce słychać było lekki szelest ręki, która nieświadoma miejscowości, klamki po całych drzwiach szukała.

— Kto tam? — spytałem.

— Czy jest pan Jordan u siebie? — odrzekł mi głos jakiś znany.

— Jestem, prosimy bliżej.

— Kiedy klamki znaleźć nie mogę; otwórzcie, sąsiedzie, bom zmókł jak pies.

Niekoniecznie trafnem było porównanie, bo pies był suchy i przy ciepłym ogniu ogrzany, z biednego zaś sąsiada, którego licho w taką szarugę poniosło, woda strugami ściekała. Nie tracąc czasu nad tą uwagą, otworzyłem drzwi coprędzej i... o dziwo! ujrzałem przed sobą szanownego delegata, p. Piotra.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknąłem mimowoli. — Cóż to sąsiada w taką okropną pogodę sprowadza?

— A cóż — odrzekł mi z uśmiechem gorzkiej ironii — literatura, literaturcia kochana... niech ją siarczyste pioruny spalą!

— Jakto literatura?... czy mi kochany sąsiad nowe przynosi obrazki?

— A... a... zaraz... nowe obrazki!... właśnie mnie to w głowie... chybabym oszalał!... Raz się tylko starego wróbla na plewy łapie.

— Nie rozumiem cię, sąsiedzie.

— A wierzę... wierzę... Siedząc tak sobie przy kominku, zdala od ludzi, nie wiedząc co się dzieje, co wygadują po świecie... to wierzę, że nie rozumiesz, ale jak się dowiesz, to zrozumiesz co mnie przypędza... A dowiesz się... dowiesz niebawem, tylko się rozbiorę... i skostniałe członki ogrzeję.

— Pozwolisz, panie Piotrze, że tymczasem samowar

nastawić każę i jaką taką przekąskę zadysponuję. Pośpieszę wkrótce z powrotem, bo mnie sąsiad ogromnie zaciekawiłeś.

— Wracaj... wracaj... panie Jordanie, bo mamy dużo do pomówienia.

Wydanie dyspozycyi zaspanej już gospodyni i kuchcie, który tylko co ze stodół po odebraniu omłotu powrócił, niewiele czasu mi zajęło. W niespełna kwadrans siedzieliśmy już z panem Piotrem przed kominkiem, na którym świeżo dorzucone drewka wesołym buchnęły płomieniem.

— Słucham teraz kochanego pana Piotra — rzekłem.

— Gdzie moje następne trzy obrazki? — zapytał mnie nagle, chwytając za rękę.

— Jakie?...

— No jakie... te com po pierwszych trzech nadesłał: Przemysłowice, Łgarzew i Wichłaczew.

— Są jeszcze u mnie, bom ich nie zdążył przejrzeć.

— Aa... chwała Bogu!... — odetchnął pan Piotr, jakby mu ciężar spadł z serca. — Oddasz mi je sąsiad, bom umyślnie po to przyjechał.

— Szkoda było twej fatygi, kochany delegacie — odrzekłem.

— Jakto?! — zawołał, zrywając się z krzesła pan Piotr — śmiałżebyś sąsiad, wbrew mej woli, rozporządzać moją własnością?

— Obrazki te były mnie darowane... przestały zatem być twoją własnością, a ja nimi wedle swego uznania rozporządzę.

— Więc może znów poszlesz do druku?...

— A poszlę, bez najmniejszej kwestyi.

— Ale ja na to nie pozwolę!... rozumiesz mnie sąsiad?

— Zastanów się tylko rozsądnie... Zobowiązałem się już niejako, wskutek naszego porozumienia się.

— To mnie nic nie obchodzi!... namyśleć się mogę i kwita.

— Redakcya Tygodnika zapowiedziała już czytelnikom drugą seryę wędrówek...

— A mnie tam dyabli do tego... ja nie pozwalam i basta! rozumiesz mnie sąsiad?

— A ja się pytać nie będę — odrzekłem zniecierpliwiony — rozumiesz mnie sąsiad?

— Ja stąd nie odjadę, bez odebrania rękopisu.

— Bardzo mi przyjemnie, że sąsiada tym sposobem zatrzymam dłużej; ale choćbyś tu siedział rok i sześć niedziel, przysłanych mi szkiców nie oddam.

— Ale to jest czysty gwałt!... istna napaść! — krzyknął pan Piotr.

— Napaść to raczej ze strony delegata — odrzekłem.

— Nie nazywaj mnie sąsiad tym potwornym przydomkiem, który mi dziś cięży na duszy, jak Kainowi krew Abla!

— Sąsiedzie — rzekłem łagodnie — nie pojmuję cię wcale... czyś ty zmysły stracił?

— Dotąd nie — odrzekł trąc czoło — ale że do tego przyjdzie, to więcej jak pewne.

— Skąd ta rozpacz?... skąd to miotanie się na siebie?

— Skąd?... i ty pytasz mnie jeszcze?... ty!... coś jedynym sprawcą moich męczarni?...

— Ja?... — a mój drogi delegacie!...

— Prosiłem cię już raz, abyś nie nazywał mnie tem ohydnem mianem.

— Ale dlaczego? cóż się stało?... skąd ten żal do mnie?

— Posłuchaj! — rzekł pan Piotr, ciskając się na krzesło — posłuchaj uważnie, a jeśli po tej spowiedzi serca nie oddasz mi rękopisu, to... to... za nic nie ręczę.

— Słucham... słucham... zastrzegając sobie jednak unikanie wszelkich odgróżek... bo, kochany panie Piotrze, będą one grochem o ścianę.

— No... no... o tem potem... słuchajże! — Otóż, kiedyśmy się spotkali pierwszy raz w miasteczku N... pamiętasz... przed oberżą... jechałem wtedy na delegacyę, z sumieniem spokojnem i czystem, bo jechałem spełniać obowiązek obywatelski i święty. Myśl moja zajętą była tylko sformowaniem sobie planu, wedle którego czynności oszacowania odbywać mi przyjdzie. Więc układałem sobie w głowie, jak sprawdzę rozległość, jak dojdę ilości wysiewów i sprzętów, jak podług tego wytworzę sobie normę wartości majątku... jednem słowem, zajęty byłem tem tylko, co z nowem mojem powołaniem ściśle wiązać się zdawało... — Licho nadało mi to przeklęte spotkanie z tobą!...

— A... dziękuję ci, kochany sąsiedzie!... Jesteś może trochę za szczerym.

— Jestem, byłem i zostanę szczerym!... Kto zresztą jak ja, ze spokojnego trybu życia obywatelskiego,

został naraz przez szatana pchnięty na drogę przepaścistą, po której rad nie rad kroczyć musi... ten ma prawo nie owijać w bawełnę swych zdań i myśli!... Rozumiesz teraz, panie Jordanie?

— Ani słóweczka... ale to nic nie szkodzi... słucham dalej.

— Otóż licho nadało to spotkanie z tobą!... skusiłeś mnie, jak czart-kusiciel Adama... namówiłeś, abym ci notował szkice pozbierane z ciekawych typów naszego wioskowego światka. Na razie myśl ta uśmiechnęła mi się, nie wiem dlaczego. Kiedym się rozstał z tobą, poważne myśli... ehe... odbiegły ode mnie. Zamiast morgów, wysiewów, sprzętów... snuć mi się zaczęły po głowie jakieś dziwaczne postacie bohaterów zaściankowych... to znów romansowe intrygi... to znów sceny mniej lub więcej śmieszne... i z tym całym chaosem we łbie, wpadam jak raz do Blichtrowa. Jak wiesz, trafiam w Blichtrowie na rujnującego się szlachcica i całą rodzinę maryonetek, które blichtrem tylko, jak szychy fałszywe błyszczały... Opisuję to... bo mi się żal zrobiło tych pięknych naszych dworów, z których powoli wszystko co nasze znikać zupełnie zaczyna, — a załatwiwszy czynności swoje, odjechałem. Już mi się jednak w drodze sumienie odzywać zaczęło; głos jakiś cichy szeptał mi wciąż: „Ej, panie Piotrze, jesteś zdrajcą!... Pod dachem pana Annibala spałeś... z jego pieca chleb jadłeś... z jego piwnicy siedm gatunków wina wypiłeś... i takież to podziękowanie twoje?!“...

Otrząsnąłem się sam na siebie, ale znów pomyślałem w duszy: szlachcic kiepsko skończy, jeśli pójdzie

dalej tym trybem... co to szkodzi że go opiszę? Nikt go się pod imieniem starożytnego wodza nie domyśli, a jeśli mu szkic mój kiedy w rękę wpadnie i sam się w nim pozna, tem lepiej!... może się opamięta i krajowi jeden syn marnotrawny powróci.

— Ślicznieś sobie rozumował, kochany delegacie, niech cię za to uścisnę!...

— Proszę mnie tem mianem nie nazywać... a za uścisk nateraz dziękuję! — rzekł ciągle zaperzony szlachcic. — Otóż tak sobie ja pomyślałem... ale byłem głupi jak but, skorom mógł tak myśleć, bo pan Annibal obrazków nie czytał i ze wsi wyleciał, a tymczasem mnie sumienie dręczyć nie przestaje.

— Ależ skąd te wyrzuty sumienia?... Najprzód, na szczęście kraju, szlachta nasza na blichtry coraz już mniej choruje... życie nad stan znika po wsiach zupełnie, częścią wskutek smutnej konieczności, częścią wskutek większej dojrzałości umysłowej naszego obywatelstwa. Jeśliby zaś w pustej mózgownicy czyjej powstała myśl naśladowania tej blagi, którą w obrazku o Blichtrowie wytknąłeś, i jeśliby ostra w tej mierze satyra choć jednego w zapędzie powstrzymać zdołała, czyż za to ma cię dręczyć sumienie?... Nie jestże to raczej zasługą przed krajem, że mu się obywatela od zatraty i ruiny ocaliło?

— Eee... — odrzekł, machnąwszy ręką, pan Piotr — to naciągane rozumowania... to ty tak sobie dowodzisz, ale nie każdy tak myśli.

— Ten tylko myśli inaczej, komu jest obojętnym los ziemian, tej głównej podpory naszego bogactwa kra-

jowego, — ten tylko myśli inaczej, kto w duszy Boga, a w sercu bratniej nie posiada miłości. Człowiek uczciwy, miłujący ziemię, która go wykarmiła i społeczeństwo, wśród którego wzrósł, myśleć inaczej nie może!

Pan Piotr zamilkł, a ja, widząc że słowa moje pewien już wpływ na nim wywarły, milczenia przerywać nie chciałem.

— Zresztą, pal dyabli blagierów! — zakrzyknął p. Piotr, ocknąwszy się po chwili — możebym się w tym jednym razie na twoje wywody zgodził... ale Sobkowice, Sobkowice! tych sobie darować nie mogę!

— A to dlaczego?

— Dlaczego? dlaczego?... no jakżeż... wystawiłem na sztych szlachcica.

— Samoluba.

— Samoluba czy nie, to mnie tam nic do tego. Wolnoć Tomku w swoim domku; wolno każdemu postępować wedle własnego przekonania.

— A no, więc wolno złodziejowi kraść, zbrodniarzowi zabijać... bo takie ich przekonanie. Ale od czegóż jest sąd ludzki, od czegóż opinia ogółu, od czegóż zasady zdrowej moralności?

— Ależ samolub, to nie złodziej przecie i nie zbrodniarz.

— Pod pewnymi względami następstwa te same sprowadza. Samolub społeczeństwo okrada, bo skarby w jego skrzyniach nagromadzone, giną bezprodukcyjnie dla ludzkości, gdy tymczasem w rękach ludzi serca i czynu dawałyby one byt i zatrudnienie licznym pracującym rodzinom.

— Ależ Kalasanty nie był kapitalistą.

— O tem my wiedzieć nie możemy, bo samolub zwykle skryty bywa.

— Całą jego winą — dodał pan Piotr — było to, że dbał tylko o siebie, a dla otaczających był despotą... toć to nie zbrodnia jeszcze.

— Przeciwnie, jest to wada rodząca smutne następstwa, jak tego postępek jego córki bardzo logicznie dowiódł. Rodzice sercem przedewszystkiem prowadzić winni młode pokolenie, bo miłość rodzi zaufanie, a zaufanie do rodziców czyni dziecię na głos ojca i matki uległem i posłusznem. Obawa i teroryzowanie wyradzają skutek wprost przeciwny... każą taić się z myślami, każą kryć serca podszepty, i biada rodzinie, która na jednym tylko rygorze moralność swoją buduje!

— To wszystko są bardzo piękne teorye, ale powiedz mi, co mnie do tego? Poco mnie, spokojnemu człowiekowi, palce między drzwi wtykać?... Ucieknie kiedy despocie córka z domu, to niech ją sobie goni!

— Panie Piotrze, inaczej mówisz niż myślisz; wierzaj mi, że ciężko grzeszy ten, co mogąc nawrócić błędną owcę, nie pogoni za nią, ale pójdzie za dziewięćdziesięciu dziewięcioma niezbłąkanemi. Nie żałuj tego coś napisał i co w świat już poszło. Wprawdzie typy egoistów są pomiędzy poczciwą naszą szlachtą zbyt rzadkie; nietylko nie grzeszy ona sobkostwem, ale owszem, tradycyjnej gościnności nie zdołał wiek XIX z pod naszych strzech wioskowych wyrugować. Przypomnij sobie jednak, panie Piotrze, że głowy rodzin grzeszyły niegdyś srogością, która młode pokolenie czyniła od dzieciństwa zależnem

i bezwłasnowolnem, przygotowując tem samem grunt życzny, na który później intryga i duch stronniczy obfite ciskały posiewy. Lubo więc dziś typy takie do rzadkich już należą wyjątków, niemniej jednak zaręczyć trudno, czy... czy... po przeczytaniu Sobkowic...

— Czy co? czy co? — zapytał zaciekawiony delegat.

— Czy właśnie w tej chwili ojciec, zimny dotąd jak twój pan Kalasanty, nie tuli do swej piersi jedynaczki córki, osłaniając ją tym sposobem przed kuszącą radą szatana, który jej wyłamanie się z pod żelaznej dłoni ojcowskiej niejednokrotnie może już podszeptywał. Małażby to była moralna nagroda?

Pan Piotr zaczął się po izbie dużymi przechadzać krokami, a z czupryny, którą gładzić poczynał, widziałem dowodnie, że mięknął zwolna; po chwili jednak zatrzymał się przede mną, a włożywszy obie ręce w kieszenie, rzekł nagle:

— Nie spieram się... bo argumentujesz jak ojciec Hyacynt... już to tobie nie hreczkę siać, mój sąsiedzie, ale za stołem gryzmolić... Powtarzam więc, że o Blichtrowo i Sobkowice już się spierać nie będę. Co do Kuflewa jednak... daruj mi... ale głośno i otwarcie wyznaję, żem się znalazł... aż pfe!

— A to dlaczego?

— Dlaczego?... To za to, że taki poczciwy szlachcic jak Doliwa przyznaje się sam do mej koligacyi, za to że na moje przybycie każe Baryłkiewiczowi wydobyć Chorążego... za to że mnie poi i raczy aż do znudzenia... ja mu się odwdzięczam... szkicem?!... Nie! to

nie po obywatelsku... już jak sobie chcesz, panie Jordanie... ja się sam przed sobą wstydzę!

— Ale mój drogi delegacie!..

— Ale cię proszę po raz ostatni, nie nazywaj mnie tem mianem, które przeklęty druk rozniósł między sąsiadami, a które, jak już rzekłem, cięży mi jak kropla krwi Ablowej.

— Tylko spokojnie... spokojnie, panie Piotrze — rzekłem do stroszącego znów czuprynę — zobaczysz, że cię przekonam.

— Ale co do „Kuflewa“, to niema przekonania... gadaj sobie co chcesz... niema dla mnie ekskuzy i basta!

— Za pozwoleniem... proszę mi powiedzieć, coś też tak złego o Kuflewie napisał?

— Jakto co złego?!.. pijacka szlachta, opisana jak węże!..

— Ale przyznajesz, że to była pijacka szlachta.

— No to cóż z tego?.. była sobie pijacka, bo... bo... lubiła winko... Ja sam za kołnierz nie wyleję, ani ty, mój panie moralisto!.. Zresztą cóż to... kryminał pić za swoje pieniądze?

— Któż mówi, że to kryminał?.. ale tych pieniędzy możnaby użyć inaczej, jak na obrzydliwe opilstwo. Małożto nędzy na świecie?.. małożto ludzi, którym wartość jednego kuflewskiego toastu zapewniłaby pożywienie na tydzień cały?

— O! o! — przerwał mi, kiwając głową pan Piotr — przesadzasz, jak Boga kocham!.. przesadzasz aż pfe!

— Za pozwoleniem... za pozwoleniem — odrze-

kłem. — Weźmy cyfry, te może cię przekonają. Ile mieścił wina ów puhar bez podstawki, Chorążym zwany?

— A no... raptem półtorej kwarty.

— Dobrze; teraz przypuśćmy, że kwarta wina kosztowała tylko 5 złotych... co? czy nie zadrogo?

— Nie, tyle już conajmniej, bo wino było czyste, wytrawne, a mimo to i obrączkę miało.

— Otóż półtorej kwarty kosztowało półosma złotego, i to każdy z was w kilka minut wychylił, by później odchorować. Tymczasem biedny chłop przy cepach młóci cały dzień, aż mu koszula do ciała przylega, i dostaje za to złotówkę, za którą siebie i rodzinę odziać i wyżywić musi. Nie jestżeto więc zmarnowaniem w jednej chwili pożywienia całego tygodnia biednej rodziny?

— No... cóż tam... że się w cyfrach niby stosuje z tem co prawisz; jednak, jak świat światem, pito, a pito lepiej niż dziś, bo za Sasa popuszczano pasa... a przecież ludzie nie wyginęli.

— Tak się to zdaje, panie Piotrze... ale zajrzyjno w archiwa akt dawnych i w księgi hipoteczne: ileż to rodzin na dawnych pozostało siedzibach?.. czy masz w powiecie choć trzy majątki, w którychby trzecia utrzymała się dotąd generacya? Odpowiesz mi może, że się do tego stosunki familijne, wyjścia za mąż, zejścia bezpotomne i tym podobne fakty przyczyniły... zgoda! — Ale że w tej peregrynacyi z siedzib ojcowskich i niejeden szlachcic na wypróżnionej beczce ze wsi wyjechał, to więcej jak pewno. Dalej cóż powie lud prosty, na którego opilstwo wyrzekamy, lud ciemny, któremu my niby za przykład mamy służyć?.. Czy wada taka u nas

nie sprowadza stokroć gorszych następstw wśród nich? Chwała Bogu, że dziś i pod tym względem społeczeństwo nasze dojrzało, że nie na tem już gościnność gospodarza jedynie polega, by gościa spoić na potęgę. Przyznaję z najwyższą radością, że znaczna większość szlachty porzuciła już te zwyczaje, które kraj ostatecznie gubiły, doprowadzając społeczeństwo do stanu niecnego zbydlęcenia. Ale jeśli są jeszcze pewne zakątki, w których tradycya złego, jak grzyb pod podłogą, utrzymać się aż dotąd zdołała, czyż nie jest obowiązkiem człowieka miłującego bliźnich i prawdę, biczem satyry chłostać te wady, z których otrząsnąć się już czas wielki?

— Ale ta satyra właśnie, to jest najczarniejsza strona moich szkiców! — zawołał pan Piotr. — Gdybym to żywcem spisał co ty mówisz, niktby mi takiego kazania za złe nie brał; ale za tę satyrę mogą się słusznie gniewać, bo nic tak do żywego nie dojmie, jak śmieszność.

— Ale też nic tak szybko i skutecznie nie podziała, jak prawda w szatę wesołej intrygi i satyry obleczona. *Ridendo castiga mores,* rzekł mędrzec; święte to słowa, i dlatego nie wyrzucaj sobie, panie Piotrze, żeś tym a nie innym poszedł torem.

— No jakto? — spytał po chwili milczenia pan Piotr — więc ty na seryo nie myślisz mi trzech dalszych moich szkiców oddać?

— Jaknajbardziej seryo oświadczam ci, że nie oddam i basta!

— Posłuchaj, panie Jordanie — rzekł znów błagalnym głosem — ostatnia to moja prośba i ostatni ar-

gument. W części masz może racyę; ale zwróć uwagę na to, że ja dziś przez ciebie stałem się nieszczęśliwym człowiekiem... Jestem jak ten złodziej, na którym czapka wciąż gore. Skoro gdzie przybywam, siedzę jak na torturach, bo choć ludzie nie domyślają się mego autorstwa, zdaje mi się jednak, że ono na mem czole wyryte... Jeśli kto fornalskiemi hetkami zajedzie, rumienię się, myśląc w duszy: oho! pewno czytał „Blichtrowo“ i wstydzi się teraz paradyerami jeździć. Jeśli który z ojców córkę przy mnie pocałuje, czerwienię się jak rak, myśląc sobie: pewno czytał „Sobkowice“ i boi się, żeby mu z domu nie uciekła. Jeśli mnie kto domowem piwkiem poczęstuje, także się rumienię, myśląc w duszy: oho! czytał „Kuflewo“ i wstydzi się z winem wystąpić... Widzisz, panie Jordanie, taki stan, to są istne tortury... Ja nie mam chwili spokojnej, jestem ciągle jak pod pręgierzem. Zdaje mi się, że mnie każdy wytykać palcami powinien, wołając: „Strzeżcie go się, bo to zdrajca! On tu z nami siedzi, je i pije, a myśli tylko o tem, jak nas skopiować“.

— To co mówisz, panie Piotrze, śmiesznem jest, doprawdy, i łatwo sam mi to przyznasz. Najsamprzód nie opisujesz faktów prawdziwych, ale kreślisz typy... nie wzierasz w tajemnice rodzin, bo zdradzanie takowych byłoby niegodnem uczciwego człowieka; chwytasz tylko śmieszną stronę typów, a na tem tle snujemy gawędkę, mogącą pójść na pożytek. Dalej, choć te małe obrazki znalazły niejakie uznanie, nie sądź jednak, aby one były tego rodzaju utworami, któreby się rozlatywały po kraju, lub któreby sobie z rąk do rąk wyrywano.

Dziewięciu ich nie czytało, lub przerzucało, nie śledząc myśli przewodniej, bo szkice te ich nie dotyczyły; a jeśli się dziesiątemu przypadkiem w rękę dostały i jeśli w nich poznał którą z wad swoich ukrytych, to połknął cichaczem pigułkę i nią się może zwolna wyleczy. Co się tyczy wytykania cię palcami i ostrzegania przed tobą, tego się nie bój; znam i ja naszą szlachtę, bo wśród niej żyję, i wiem dobrze ile tam już pełnego dojrzało ziarna, a jak mała ilość jest plewy. Uczciwi, rozumni i dobrzy, podzielą zdania nasze zupełnie, i to tem skwapliwiej i chętniej twe szkice czytywać będą, im dosadniej określisz w nich te wady i niedostatki, których resztek czas jeszcze nie zgładził, a których złe skutki i oni tak czują, jak i my. Solidarności szlacheckiej pod tym względem niema, bo zacny z przewrotnym, a mądry z głupim się nie zespolą, choćby się nawet tym samym pieczętowali herbem. Gdyby się więc z zakątków kraju głosy przeciw takim poglądom podniosły, ciesz się, panie Piotrze, bo będą to nożyce, które się za uderzeniem w stół ozwały, a cel nasz wtedy będzie zupełnie dopiętym.

Pan Piotr zwrócił się nagle, udepnąwszy przypadkiem Bekasa, który, nieciekawy naszej rozmowy, zasnął był sobie na dobre.

— Beksiu! — rzekł pan Piotr, głaszcząc skomlącego legawca, który mimo bólu, ręce mu lizał — przepraszam cię, mój Beksiu, alem to zrobił nieumyślnie. Jaki to poczciwy pies — dodał zwracając się do mnie — narobiłem mu bólu, a on mnie jeszcze liże.

— Widzisz, panie Piotrze — odrzekłem — narobiłeś mu bólu, z którego nic mu nie przyjdzie, a on cię

liże, choć to pies... Tymczasem boisz się, aby drasnąwszy miłość własną chorobliwych typów, nie wywołać gniewu ludzi na siebie... Zaco?.. zato, że życzysz im dobrze, że ich kochasz... że pragniesz ich poprawy?.. Czy ludzi niżej już od Bekasa stawiasz?..

— A niechże cię sąsiedzie donder świśnie! — zawołał śmiejąc się pan Piotr. — Może cygarko? — dodał szybko, podając mi takowe, co jak wiadomo, dobry jego humor oznaczało.

— U siebie nie przyjmuję prezentów, sam cię cygarkiem poczęstuję... ale jeden prezent przyjmę i u siebie.

— Może znowu jakie nowe szkice?

— Zgadłeś, nieoceniony delegacie.

— Zaczekasz, bratku!.. zaczekasz!.. Coś porwał za swoje, tego ci już odebrać nie mogę, choć się tu umyślnie po to w taką przywlokłem szarugę... ale co do reszty... poczekasz do sądnego dnia. Nie chcę być bocianem; nie moja to rola... jam człowiek spokojny, Bogu ducha winien...

— No, no... pogadamy o tem w swoim czasie... przyjdzie chwila może, że mi je tu sam bez proszenia przywieziesz. Z gryzmoleniem tak jak z trunkiem: zakosztujesz — wstrząśnie tobą albo i zemdli; pociągniesz drugi raz — miło... trzeci raz — błogo... czwarty — bardzo miło... piąty — jeszcze milej!.. i aniś się spostrzegł, jak ni stąd ni zowąd nałogowym zostałeś pijakiem. A tymczasem chodźmy do stołu, bo otóż pani Połetkowa przynosi nam kluski z jajecznicą w sam czas.

Do ciebie, cny delegacie! — rzekłem, wychylając kieliszek alembikówki.

— Ej, panie Jordanie, zbijasz się sam, albo chcesz mnie na pijaka, a potem na gryzmołę zacząć pasować... Daj pokój, radzę ci, bo jak się rozmacham, to się i dla ciebie w mych szkicach miejsce znajdzie.

— A pisz... abyś pisał z humorem i nadto nie łgał. Tymczasem grzmotnij kieliszek alembikówki. W naszym klimacie, przy takiej rosie z nieba i takim jak dzisiejszy zefirku, bez kieliszka wódki dawnoby nas już tu na ziemi nie było.

. . . . . .

Nazajutrz pan Piotr, zupełnie już udobruchany, w dalszą puścił się drogę, a i my pozostawione nam szkice w ślad za nim w szeroki świat puszczamy.

Przemysłowice.

Jesień dżdżysta i mglista szaremi barwy zasępiła widnokrąg. Z jednej ołowianej chmury, której początek i koniec od morza do morza sięgały, zimny, drobniuchny deszczyk rozrzedzał do gruntu przesiąkłą już ziemię, otrząsając z drzew, ciężarem spadających kropli, resztę pożółkłych liści. Zaniosło się na tak zwaną trzydniówkę... zwykły peryod jesiennych plusków, w których przez całe trzy dni ani odrobiny błękitu nieba, ani promyka słońca nie można się było spodziewać.

Śród kałuż i trzęsawisk, w jakie się drogi wiejskie

zmieniły, nie dojrzałeś nikogo... chyba skurczony na biedzie żydek wlókł się po błocie, dla przypomnienia niesłownemu dłużnikowi o terminie dostawy zboża, pewien, że go teraz w domu zastanie; — chyba otoczony na bryce stadkiem ukwestowanych gęsi, krył się pod płócienną budą laik klasztorny, przemokły do nitki, ale pocieszający się tem, że bez budy byłby więcej jeszcze przemókł; — lub wreszcie pieszy posłaniec, niosący z miasteczka w koszyku zapasy cukru i kawy, trochę lekarstwa dla czeladzi i bydła, mydło i farbkę do prania, a w dodatku... przedtygodniowe gazety, notabene, jeśli je w miasteczku pan burmistrz, pan aptekarz i pan ekspedytor pocztowy, przewertować już zdążyli.

W taką to pogodę tłukłem się i ja, niestety, na otwartej bryce, z naciśniętym na oczy kapturem sławuckiej burki, mając przed sobą Grzesia, którego kożuch odwrócony włosem nazewnątrz i głowa workiem nakształt baszłyka okryta, raczej do Eskimosa, niż do polskiego chłopa podobnym czyniły. Jechaliśmy już kilka godzin, przebywszy zaledwie pół drogi... pośpieszyć było niepodobieństwem, bo konie lgnęły w błocie po kolana, a bryka, wpadając w wyjeżdżone koleje i dziury, które woda wymyła. co chwila to na jedną, to na drugą przechylała się stronę. Zmoczeni, zziębnięci, wyglądaliśmy jak zbawienia pierwszej lepszej karczmy, gdzieby konie mogły odetchnąć, a my osuszyć się i ogrzać, gdy nareszcie, jak port ocalenia rozbitkom okrętu, zabielała nam na górce dość pokaźna karczma, ze stajnią wjezdną.

Poruszyliśmy się z Grzesiem na miejscach, jak zwykle gdy się kresu podróży dobiega. Każda ostatnia

wiorsta, każde ostatnie sto kroków wydawać się zwykły najdłuższemi; i jeśli się bez poruszenia, w apatycznem nawet milczeniu, kilka godzin przebyć umiało, to dojeżdżając do kresu podróży, każdy, choćby najflegmatyczniejszego usposobienia, niezawodnie raz przynajmniej z miejsca się poruszy i z niecierpliwością na siedzeniu bryki poprawi.

— Trzeba tu popaść koniom — odezwał się Grzesio — mamy dobrą karczmę i dobre żłoby w stajni.

— Owszem — odrzekłem — popasiemy koniom i sobie, choć my się tu pewnie nie pożywimy.

— E... lepiej się tu pożywimy, jak kaj indziej.

— Widzę, że znasz tę karczmę...

— A któżby jej nie znał, w. panie?.. nazywa się *Poczekajka*.

— Proszę... a to doskonała nazwa dla karczmy... I któż to ją tak ochrzcił?..

— A to już ją tak ludzie z dawien dawna nazywają, dlatego, że każdy przejezdny choć trochę *poczekać* musi, bo jakby mimo Poczekajki przejechał, to mu pewno w przemysłowickim lesie dyabli jaką psotę wypłatają.

— Gadaj zdrów, mój Grzesiu; już gdyby nie ta krwawa droga i gdyby nie to, żeśmy jak nieboskie stworzenia przemokli, tobym umyślnie tę karczmę pominął, dla przekonania cię, że dyabłów niema.

— A ja, w. panie, byłbym coś takiego zrobił, aby koniecznie przystanąć... w ostatku byłbym pozwolił biczowej wziąć lejc pod ogon, aby fikając przestąpiła postronek...

— Ale mój Grzesiu... toć to grzech wierzyć w dyabłów.

— A no, to prawda... ale taki jest dużo grzesznych rzeczy, którym się słaby człowiek opędzić nie może. Zresztą to co mówię o Poczekajce, to wiem dokumentnie od niejednego przejezdnego, co próbował nie stanąć i drogo to potem przypłacił. Ot co tu daleko szukać: pachciarz Mosiek, co u nas czasem skórki kupuje, przejeżdżał niedawienko tędy, a że wiózł z sobą parę indyków od kogoś wykpionych, nie chciał zatrzymać się na Poczekajce, i, jak to niewierny żyd, w nic nie wierząc, pojechał dalej. W środku przemysłowickiego lasu naraz dyabeł świsnął, a syknął z taką siłą, że indyki, które świstania nie lubią, jak oparzone zerwały się z mośkowej biedki... Żyd za indykami w las, zostawiając konia samego... Tymczasem dyabeł syknął drugi raz, ale jeszcze głośniej. Wystraszony żydowski szkapa, jak nie ruszy z miejsca, jak nie pójdzie z biedą... het traktem prosto... tak że ino się za nim ognistemi iskrami zakurzyło! Mosiek stanął jak wryty, nie wiedział za czem wprzód gonić; ale obrachowawszy sobie żydowskim rozumem, że szkapa z biedą więcej warta jak indyki, puścił indyki na stracenie, a sam, wołając: a prrr!.. prrr!.. pognał za szkapą. I cóż się stało?.. Żyd szkapy z biedą nie dognał, bo je gdzieś dyabli w świat ponieśli, a w dodatku i indyki stracił... Wrócił piechtą do domu i byłby się pewnikiem z desperacyi obwiesił, gdyby mu się drugie żydy z rabinem, na konia i biedkę nie były złożyły — a wszystko to bez Poczekajkę.

— To mu może ktoś gwizdnął na psotę, wiedząc, że indyki wiezie.

— Ale ba!.. toć gwizdanie gwizdaniu nierówne. Żyd się zaprzysięgał, że jako żyw nigdy takiego syku nie słyszał: to nie było ludzkie gwizdanie.

— Strach ma duże oczy, mój Grzesiu.

— Niech się już w. pan przynajmniej nie spiera, bo co ludzie widzieli, to widzieli. Nasz organista widział na własne oczy dyabła na ognistym wozie, jak buchał dymem i szorował przemysłowickim duktem.

Nie miałem czasu spierać się już z Grzesiem, bośmy właśnie przed Poczekajką stanęli.

Na małym dziedzińczyku, wygrodzonym żerdziami, stało kilka fur chłopskich; zmoczone i pokurczone szkapięta, strzygąc uszami, czekały kolejki dostania się do wody, którą wysoki żóraw piskliwie z łona ziemi dobywał. Z kilku zgromadzonych chłopów, jeden kubeł ze studni wyciągał, reszta rozlewała wodę po korytkach, przy których konie pojono.

— Rychło skończyta poić? — zapytał po chwili chłop u studni stojący.

— Już będzie dosyć tej wody — odrzekła reszta.

— A no, to weźta zażegnanie od Wabika — rzekł znowu pierwszy — i puściwa się w drogę bez las.

Na te słowa jeden z chłopów wszedł do karczmy i wyniósł z niej kilka gałązek z jarząbkowemi koralami, które reszta kumotrów u czapek zatknęła.

Ciekawy niezmiernie tego symbolu, zapytałem chłopa, do czego te gałązki u czapek zatykają.

— To dla przezpieczeństwa — odrzekł mi.

— A czegóż to się boicie, moi ludzie? — spytałem znowu.

Chłopi spojrzeli mi w oczy, a wzruszając ramionami, poczęli kiełznać konie; najrezolutniejszy zaś z nich, ten który pierwszy zaproponował jazdę, zbliżył się do mnie nieznacznie i szepnął mi zcicha:

— Niech i pan to samo zrobi... licho nie śpi.

To rzekłszy, siadł na wózek i zaciąwszy szkapę, pognał naprzód, a za nim reszta kumotrów drobnym puściła się galopkiem.

Coraz więcej tem wszystkiem zdziwiony, wszedłem do karczmy.

Wśród duszącej atmosfery alkoholowych napojów i dymu z najróżnorodniejszych tytuniów, za obszernym szynkwasem, obstawionym krajankami sera, butersznitami i kilku słojami marynowanych śledzi, starych pierników i czerstwych bułek, pod festonami serdelków i kiszek kunsztownie z sobą spojonych, siedział gruby oberżysta, w nieruchomej na pozór postawie, z szyfrem w ręku i tablicą na kolanie, wodząc dokoła oczyma pomiędzy gromadkami chłopów i wiejskich kobiet, głośne z sobą wiodących rozmowy.

Obok na wywyższonym piedestale stojąca dziewka, rozlewała wódkę i piwo między spragnionych gości, a pan oberżysta, za każdym wydanym półkwaterkiem, za każdym z festonu ubywającym serdelkiem, pociągał szyfrem na tablicy kreskę przy nazwisku Maćka lub Bartka, stoso-

wnie do tego, kogo za wypity trunek obdłużyć należało. Pierwsze dziewięć kresek robił p. oberżysta krótszemi; dziesiąta kreska bywała trzy razy dłuższą i z mocnym robioną naciskiem, dla ułatwienia sumarycznego rachunku. To też klientela pana Wabika (tak się zwał oberżysta), znając już ten sposób prowadzenia kontroli, piła śmiało, póki krótkie kreski na tablicy przybywały. Lecz skoro pisk szyfra oznajmiał wszem gościom, że Wabik długą pociągnął kresę, patrząc wtedy bystro w oczy temu, na czyj ona przybywała rachunek, klient zagadniony w ten sposób, dobywał węzełka i regulował należność, bo wiadomo już było każdemu, że pan Wabik ponad dziesięć półkwaterków nikomu nie kredytował. Chwalebną tę zasadę, uświęconą praktyką lat piętnastu panowania Wabika, znali wszyscy jego kundmani, i nie było wypadku, aby przy długiej kresie kiedykolwiek spór o zapłatę powstawał.

Zdarzali się wprawdzie biegli w matematyce klienci, którzy obliczywszy sobie na palcach dziewięć krótkich kresek, wynosili się cichaczem z karczmy, by przy dziesiątej, dłuższej, nie być w potrzebie rozwiązywania próżnego może supełka; ale ta sztuka na nic się nikomu nie zdała, gdyż za następnem przybyciem pan Wabik, przenoszący salda z dnia na dzień, z dokładnością bankowego buchaltera, rozpoczynał pierwszy zaraz wypity półkwaterek od zaznaczenia go długą, piskliwą kreską, a bystrym wzrokiem zmuszał klienta do uiszczenia przedewszystkiem poprzednich niezapłaconych dziewięciu.

Pan Wabik słynął między ludem jako bardzo rozumny i wszechstronny człowiek. Więc był to najprzód lekarz na wszystkie choroby bydła i ludzi; był to chi-

rurg specyalny od zdejmowania paskudnika z końskich oczów, od prostowania wybitych stawów, od składania nóg połamanych, od operowania żaby u bydła, od zażegnywania wielkiej choroby, od gubienia ograszki (febry) i kolek *pod łyżeczką,* od zapuszczania i zdejmowania kołtunów i t. p.

Wprawdzie, dzięki operacyom p. Wabika, niejeden grzeszny człowiek i niejedno bydlątko kopyta na wieczne czasy zadarli, ale wiara w niego była tak wielką, że te nic nieznaczące wypadeczki osłabić jej wcale nie zdołały.

Dalej był pan Wabik sędzią doraźnym na wszelkie między chłopami wynikające spory, a że wyroki jego najczęściej kończyły się skazaniem winnego na kupienie powodowi i świadkom tylu a tylu kwart wódki i piwa (co zresztą we własnym jego leżało interesie), strony więc zawsze z wyroków zadowolone bywały i nad wszelkie trybunały, przekładano trafne zdanie pana Wabika, na którem on sam najlepiej wychodził.

Wreszcie pan Wabik był chodzącą kroniką wszystkiego co się w okolicy działo: znał na wylot całą okoliczną szlachtę, mieszczan i chłopów, wiedział kto co ma, kto co komu winien, ile kto wziął za żoną i ile jeszcze spodziewać się może; ile kto ma roli, lasu i łąk, ile wysiał, nadsiał lub nie dosiał, jaki ma inwentarz, jakie porządki gospodarskie, jaką ma głowę, ile może wypić nim się przewróci, ile się razy przewróci nim wytrzeźwieje; — wiedział kto pobożny, a kto zbereźnik, kto reguły obserwuje, a kto posty gwałci, kto uczciwy, a kto złodziej, kto zgodny, a kto *spierny,* kto skąpy, kto rozrzutny...

Słowem była to żywa kronika, jakich dziś się mało spotyka.

Przy tak wszechstronnych wiadomościach i rozgałęzionych stosunkach, szynk pana Wabika łączył w sobie czynności banku prowincyonalnego i kantoru komisowo-informacyjnego. Więc przezeń odbywało się stręczenie parobków, dziewek dworskich, pokojówek, mamek, ekonomów, leśniczych, często dzierżawców, a niekiedy nawet nabywców na małe kolonie, lub chude szlacheckie wioszczyny.

W jego osobie koncentrowała się przedewszystkiem, pierwsza instancya miejscowej policyi śledczej... bo skradzionego konia lub bydlę, worek zboża lub jaki sprzęt gospodarski, najłatwiej za pośrednictwem wszystkowiedza Wabika odnaleźć było można; jeśli bowiem od złodzieja nie kupił on bezpośrednio skradzionego sprzętu, to przy stosunkach swoich dowiedział się niezawodnie gdzie skarb zakopano, ukryto, lub w czyje ręce się dostał.

Wszystkie te zajęcia, z których pan Wabik umiał zawsze jakąś korzyść wyciągnąć, postawiły go na takiej stopie majątkowej, że pomijając chłopów, dla których, jak się rzekło, był uosobionym bankiem co się zowie, widziano jeszcze nieraz wymykającego się cichaczem z alkierza szlachcica, który z opuszczonemi uszami wynosił pod burką pożyczonych od szynkarza miedziakami kilkaset złotych, na niezbędne wypłaty gospodarskie. Ostatecznie zaś do intrat pana Wabika przyczyniły się niemało strachy, które rozpowiadano o przemysłowickim lesie i przekonanie wpojone w lud prosty, że tylko zatrzymaniem się na Poczekajce można się było od tako-

wych uchronić. Błędne te pojęcia nieraz obijały się o uszy pana Wabika, a choć on sam może był ich pierwszym twórcą, przyjmował jednak te powieści z najnaiwniejszą wiarą i znacząco potrząsając głową, utwierdzał w nich prostaczków tem silniej.

Za przybyciem mojem, pan Wabik poruszył się z miejsca, giestem zabronił dziewce rozlewania wódki, póki kontrola zawieszoną być miała, i uprzejmie podstępując, zapytał mnie, czy pragnę się czem posilić.

— Owszem — odrzekłem, rozglądając się po tłumie, zapełniającym karczmę — ale tu miejsca chyba nie będzie.

— Aa... proszę pana dziedzica — dodał szybko oberżysta — toć tu szynk tylko. Pan dziedzic raczy pozwolić na salę... jest tam już dwóch panów z tutejszej okolicy.

— A któż są ci panowie?

— Bracia Bzdurscy z Gapiszyna; czy znani panu dziedzicowi?

— Nie mam przyjemności.

— A to ja panów zapoznam. . będzie panom weselej przy obiedzie, bo i pan dziedzic pewno pozwoli cały obiad.

— A i owszem; z czegóż on się składa?

— Na dzisiaj jest rosół z *pulpitami,* sztukamięs z *mordetelem*, sztupada i ryż z jabłkami na leguminę.

— To proszę o obiad — odrzekłem, ciekawy owego mordetelu, pulpitów bowiem i sztupady łatwiej mi się było domyśleć.

— Racz pan dziedzic za mną na salę — dodał pan

Wabik z miną zadowolenia, idąc naprzód boczkiem, jak to przyzwoitość uprzejmego gospodarza nakazywała, i otwierając przede mną drzwi tak zwanej *sali*.

Była to izba dość obszerna i czysta, obficie piaskiem usypana, przez środek której, między szpalerem kilkunastu dziurawych krzesełek, biegł stół długi, dość już ażurowym obrusem nakryty. Na ścianach sali wisiało kilka bohomazów, przedstawiających sceny, jakie się zwykle po restauracyach prowincyonalnych spotyka.

Więc na jednym młody Tell, z jabłkiem na głowie, uśmiechał się do rozkraczonego niemiłosiernie Wilhelma; na drugim wydobywało się z otwartego grobu popiersie Napoleona I, któremu z ust, w postaci lekkiego dymu, ulatywały pamiętne słowa testamentu: „Pragnę, by popioły moje... etc.“. Wprawdzie tylko bujna fantazya artysty mogła kazać mówić nieboszczykowi w ten sposób, a i ów lekki dymek, dobywający się z ust nieboszczyka, zdaleka robił wrażenie jakby palonego przezeń papierosa; ale na takie małe anachronizmy publiczność pana Wabika nie zważała, i obraz ten, sądząc po obfitem popstrzeniu go przez muchy, oddawna już ściany sali zdobić musiał.

Dalej rzucono dla efektu jakichś parę litografowanych piękności niewieścich, z których jedna w wykrzywionym prawym policzku cierpienie fluksyi zdradzała, druga zaś turkusowemi oczyma dość wyraźnego stawiała zeza. Ale bogate szaty tych dam i różnobarwność kwiatów, którymi artysta upstrzyć potrafił ich sploty, kazały o tych małych wadach fizycznych zapomnieć.

Kończył tę domorosłą galeryę obraz większych roz-

miarów, przedstawiający dwóch panów... jednego przerażająco chudego, drugiego natomiast od pięknej spaśniejszego Flory. Pod spodem obrazu czytałeś wyrazy:

„A gdzie się stołujesz, przyjacielu?“

„Na Poczekajce, mój drogi!“

Nie grzesząc zbytnią domyślnością, zapytałem najniewinniej w świecie pana oberżysty, czy to tłusty chudego się pyta.

— Przepraszam bardzo — odrzekł mi, rumieniąc się jak ćwik — moi goście tak nie chudną. Łatwo zgadnąć, że to chudy pyta się tłustego gdzie jada, że tak utył, a tłusty odpowiada mu, że na Poczekajce się stołuje.

I to rzekłszy jednym tchem, zostawił mnie pod obrazem, odchodząc gniewnie i nie przedstawiwszy mnie już nawet dwom siedzącym na sali gościom, z których jeden, na widok urażonego mojem zapytaniem oberżysty, rozśmiał się na całe gardło.

Skłoniłem się swoim poprzednikom, siadając przy stole.

— Wyborne było pańskie zapytanie! — rzekł śmiejąc się jeden.

— Niekoniecznie — bąknął drugi.

— Zrobiłem je w najniewinniejszej myśli, nie sądząc, że tak urażę miłość własną p. Wabika.

— Ależ bo ten obraz wisi tu już piętnaście lat i nikomu podobna uwaga przez myśl nie przeszła — rzekł zawsze śmiejąc się pierwszy.

— Ja to sobie nieraz myślałem — dodał drugi.

— Ty zawsze coś wymyślisz, ale poniewczasie.

— Doprawdy?.. tylko ty taki geniusz!.. proszę!

— Gdybym był wiedział — rzekłem przerywając spór — że dotknę do żywego p. Wabika, byłbym tę uwagę schował w kieszeń; gotów się zemścić na moim obiedzie.

— O to się pan nie bój...

— Przeciwnie.

— Skorzystamy tylko na tem — dodał pierwszy — bo Wabik, dbały o swoją renomę, zechce przekonać pana dobrodzieja, że to chudy tłustego się pytał.

— Przeciwnie — odparł drugi — zemści się.

— Pozwolisz, że ja Wabika znam lepiej.

— Pozwolisz i mnie znać Wabika troszeczkę.

— No, no, nie spierajmy się — rzekł ciszej pierwszy — wiesz, że ja ci zawsze ustępuję.

— Przepraszam — odparł drugi — to ja raczej tobie ustępuję.

Nie widziałem wprawdzie dotąd tego wzajemnego ustępowania sobie, ale chcąc przerwać te dziwne dla mnie waśnie, zapytałem:

— Panowie czy z tych okolic?

— My z tych stron — odrzekł pierwszy — z Gapiszyna.

— To jest właściwie ze Bzdurskiej Woli — podchwycił drugi.

— Jakto ze Bzdurskiej Woli?! — zawołał pierwszy — przecież folwark w którym mieszkamy, nazywa się Gapiszyn!

— Ale klucz nosi nazwę Bzdurskiej Woli.

— No, ale mieszkamy w Gapiszynie.

— Albo w Bzdurskiej Woli, jak kto chce.

— Aa... więc panowie Bzdurscy? — przerwałem.

— Tak jest, panie — odrzekli razem. — A pan dobrodziej? jakżeż godność?

— Piotr X... — odrzekłem.

— Bardzo mi przyjemnie... ja jestem Kosma Bzdurski.

— I mnie bardzo przyjemnie... ja jestem Damian Bzdurski.

— Panowie nie rodzeni bracia? — zapytałem, zdziwiony temi niezgodnemi usposobieniami i nie widząc najmniejszego podobieństwa, p. Kosma bowiem był wysokim, cienkim brunetem, a pan Damian niziutkim, krępym blondynem.

— Owszem — rzekł, wzdychając Kosma — jak najrodzeńsi.

— Nawet bliźnięta — dorzucił z takiemże westchnieniem pan Damian.

— I razem panowie gospodarują?

— Razem — odrzekł pierwszy.

— To jest razem mieszkamy — poprawił drugi — ale on nie gospodaruje, tylko ja.

— Proszę! — zawołał Kosma — ja załatwiam wszystkie interesa, ja robię kontrakty, ja robię sprzedaże, ja kontroluję gorzelnie i propinacyjne rachunki, ja reguluję podatki, raty Towarzystwa Kredytowego...

— Ale to wszystko nie gospodarowanie — przerwał Damian. — Ja orzę, ja sieję, ja sprzątam, ja młócę...

— To bardzo ładny rozdział pracy — wtrąciłem

czemprędzej. — Tak zgodni bracia muszą gospodarować wzorowo.

— A... a... — bąknął zmieszany tym przycinkiem Kosma.

— E... e... e... — odezwał się tak samo zarumieniony po uszy Damian.

— Cóż to za okropna pogoda! — dodałem po chwili milczenia, chcąc przerwać drażliwe położenie dwóch kogutów.

— Szkaradna, szkaradna pogoda! — rzekł Kosma.

— Tego nie powiem — wtrącił Damian — ja lubię taki deszczyk.

Spojrzałem zdziwiony na tego szczególnego amatora.

— Pan się dziwi? prawda? — spytał mnie Kosma. — No, widzisz Damciu, i pan się dziwi. Niktby temu nie uwierzył, ale niestety, tak jest... Mamy zawsze z sobą ogromny płócienny parasol... więc w lecie, kiedy najpiękniejsza pogoda, on chce parasol rozwijać, bo go słońce razi... Wtedy naturalnie, ja nie pozwalam na to.

— Zato w deszcz — dodał Damian — kiedy on chce parasol rozwinąć, to ja znów nie pozwalam. Cóż tu dziwnego? Kwita z byka za indyka... wszak mam do tego prawo.

— A... no... prawo odwetu — rzekłem, śmiejąc się w duszy z tych dwóch bliźniaków. — Ale pocóż panowie wozicie z sobą parasol, kiedy go ani w deszcz, ani w pogodę nie używacie?

— A... może mu też kiedy deszcz dobrze dokuczy — rzekł Kosma — to się namyśli.

— Albo może jemu kiedy słońce głowę przepali — dodał Damian — to także się namyśli.

Nie wiedziałem już co odpowiedzieć na te serdeczne życzenia bliźniaków, których różność zdań, usposobień i charakterów, oraz brak wszelkiego podobieństwa, były dla mnie poniekąd anomalią fizyologiczną. Zacząłem im się pilniej przypatrywać, z mocnem postanowieniem bliższego poznania tych dwóch rzadkich w swoim rodzaju egzemplarzy.

— Panowie daleko jadą? — spytałem po chwili pana Kosmy.

— Do Przemysłowic.

— Proszę! a to wybornie się składa, bo i ja tam jadę.

— Zapewne na wystawę? — rzekł do mnie p. Damian.

— Na wystawę? — odparłem zdziwiony. — Cóż tam za wystawa?

— Jakto? — wtrącił Kosma — czyż pan nie wiesz o mającej się jutro tam odbyć wielkiej wystawie przemysłowo-rolniczej?

— Nic nie wiedziałem.

— I może pan wcale nie znasz ani Przemysłowic, ani ich właściciela, pana Świderskiego? — spytał mnie Damian.

— Rzeczywiście, nie mam przyjemności... pierwszy raz tam jadę.

— No to pan nic nie znasz! — zawołał z uniesieniem Kosma.

— Winszuję panu — dodał z ironią Damian.

— Pan Świderski to geniusz! — rzekł pierwszy.

— To osioł! — dodał lakonicznie drugi.

— A wiesz co, Damciu, jesteś nieznośny!

— Dlaczego? Że się z tobą w zdaniu różnię?

— Ale proszę ja ciebie — mówił Kosma — jakżeż można tak nazywać człowieka postępowego, który wprowadził u siebie wszystko, co tylko gdzieś tam wymyślili? No, panie, osądź pan sam!

— Ale, proszę pana — dodał, zwracając się do mnie Damian — jak nazwać człowieka, który wprowadzając u siebie wszystko co gdzieś tam wynaleźli, może zostanie nareszcie bez butów? Osądź pan sam!

— Ja się spuszczam na pańskie zdanie! — rzekł Kosma.

— I ja! — dodał Damian.

Byłem w najdrażliwszem położeniu.

— Trudno mi dziś coś wyrzec — odparłem — bo nie znam ani samego pana Świderskiego, ani jego gospodarstwa; być może, że ani geniuszem nie jest, ani też z drugiej strony na przydomek zbyt może ostry nie zasługuje.

— Przepraszam pana — rzekł Kosma — jak go poznasz, to powiesz, że geniusz.

— Przepraszam... jak go pan poznasz, powiesz, że osioł.

— No, załóżmy się o 25 rubli, że go pan nazwiesz geniuszem.

— Zakładam się o 25 rubli z panem, że go nazwiesz osłem.

Był to zakład niewinny, w którym dla mnie ry-

zyka nie było, bo przegrawszy nawet do jednego, wygrywałem od drugiego; nim jednak na tę śmieszną propozycyę odpowiedzieć zdołałem, drzwi się rozwarły i wszedł z miną tryumfującą, choć jeszcze na mnie zagniewaną, pan Wabik, niosąc przed sobą wazę dymiącego się rosołu... a tuż za nim, jak wyżeł za wiatrem, ukazał się nagle... otulony, zakapturzony i przemokły... zgadnijcie kto?.. Teluś!

— Jak się macie, Syamczyki? — zawołał donośnym głosem, zrzucając z siebie burkę, z której woda strugami płynęła.

— Baryłkiewicz! — zawołali bliźniacy, rzucając mu się na szyję — jak się masz, Telusiu?

— Ale czekajcie, do stu piorunów!.. niech się rozbiorę, bom w tę psią pogodę zmókł jak nieboskie stworzenie! Wybrałem się na polowanie do Łgarzewa, a tymczasem projekta dyabli wzięli!.. deszcz na trzy dni... z polowania w taką słotę nic nie będzie, bo mokry strzelec, suchy rybak, czarny młynarz a biały kominiarz, to wszystko dyabła warte!

— A kiedyż miało być polowanie? — spytał Baryłkiewicza Kosma.

— A no, jutro.

— Nicby i tak nie było — dodał Damian — bo Pływalski będzie pewno na wystawie.

— Jakto? czy się to gdzie wystawa kłamców ma odbyć?

— Ale nie żartuj — rzekł Kosma — będzie on na wystawie rolniczo-przemysłowej u Świderskiego.

— To jest przemysłowo-rolniczej — poprawił z zasady Damian.

— Jutro? — spytał Teluś.

— Jutro — powtórzyli Syamczycy.

— A! niegodziwy Świder... nie dał mi znać.

— Nie wiedział pewno, gdzie cię szukać — rzekł Kosma.

— To nie racya... Powinien był sercem odgadnąć! Ale mniejsza o to... jestem jego przyjaźni aż nadto pewny, nie będę więc zważał na głupie formy i pojadę do niego na wystawę, tem bardziej, że jużem go dawno nie widział i lubię wystawy, a nawet znam się trochę na przemyśle. A będzie tam dużo szlachty?

— Mają być wszyscy z okolicy — rzekł Damian — chybaby może dla deszczu...

— A wy jedziecie do niego?

— Jedziemy.

— A to brawo!.. więc jadę z wami — dodał Teluś, zbliżając się do stołu. — A... pan delegat dobrodziej! — zawołał, postrzegając mnie. — Co pan tu robi?

— Jadę także do Przemysłowic.

— Czy pan również amator wystaw przemysłowych?

— Nie wiedziałem o niczem... jechałem do Przemysłowic, dla załatwienia czynności Towarzystwa Kredytowego.

— To pan dobrodziej jest delegowanym od Towarzystwa? — zapytali razem Syamczycy.

— Nie wiedzieliście o tem? — podchwycił Teluś. —

On to sieje na prawo i na lewo pożyczki i pieniądze! On to jest owym rogiem obfitości, z którego listy zastawne się sypią, owym posłem z nieba, co was ma z żydowskiej niewoli wykupić!

— Aa... panie, — rzekł Kosma, ściskając mi ręce — czemużeś nam tego nie powiedział?

— Ja się zaraz domyśliłem tego — bąknął Damian — ale nie chciałem powiedzieć...

— O, tyś zawsze domyślny, jak ci kto powie.

— Proszę... a ty toś geniusz domyślności!

— No, no! zgoda, Syamczyki! Nie kłóćcie się — rzekł Teluś — bo rosół stygnie.

Pan Wabik podczas tej sceny rozjaśnił trochę oblicze, a gdy się z rozmowy dowiedział o celu mej bytności w okolicy, uprzejmie zbliżył się do mnie i na dowód szczególnych względów, położył przy mem nakryciu trzymaną dotąd pod pachą serwetę, czego inni goście nie dostąpili.

— Czy i dla pana dziedzica nakrycie? — spytał Baryłkiewicza.

— Ja... nie... dziękuję... — odparł Teluś, połykając ślinę. — Nie jestem głodny... nie mam apetytu.

— Ale możeby ci co gorącego nie szkodziło na takie zimno? — zapytał Kosma.

— No, jeśli koniecznie prosicie, to mniejsza... nie umiem się wymawiać, kiedy kto serdecznie prosi. Ale każcie dać wódki przedewszystkiem.

Po tęgim kieliszku szpagatówki, zasiedliśmy do obiadu, przy którym niegłodny i nie przy apetycie be-

dący Teluś, celebrował uroczyście, zmiatając, *jako przymuszony*, dwie pełne wazki rosołu z pulpetami, czubaty talerz sztuki mięsa z mordetelem (którem to mianem pan Wabik ochrzcił zwykły sos *à la maître d'hôtel*), potężną porcyę sztufady i czubatą miseczkę ryżu z jabłkami.

— Kawa! — wrzasnął, rozgospodarowawszy się już, Teluś.

— Ale, kawa! kawa! — powtórzyli Syamczycy.

— A wiecie, że ten parzygnat wcale nieźle warzy! — zakonkludował Teluś, ocierając usta w obrus.

— To rzecz wiadoma — rzekł Kosma — czy nie mówiłem panu? — dodał, odwracając się ku mnie.

— Byłoby jeszcze lepiej — bąknął Damian — gdyby nie obraz . . .

— Było i tak bardzo dobrze — odrzekłem. — Nie spodziewałem się podobnego popasu w tak lichej karczmie.

— Pan tej karczmy za byle co nie miej . . . ciągnął dalej Teluś. — Ten Wabik . . . taka figurka niepozorna, jak ją widzicie — rzekł, klepiąc po brzuchu wchodzącego z kawą oberżystę — jest wszystkiem co pan zechce . . . doktor, jurysta, konował, sędzia, policmajster, adwokat, bankier. . .

— Wolne żarty pana dziedzica dobrodzieja — rzekł, kłaniając się niziutko, Wabik.

— No, słuchaj Wabik. . . mnie się nie sumituj . . . znam ja twoją kabzę lepiej, niż swoją własną kieszeń, — dodał Teluś, wyciągając się na krześle i brząkając kluczykami. — Od czasu jak Świderski wsadził lokomobilę

do lasu niedaleko traktu i cóś tam rznie na parze, małoś przytem zarobił, hę?

— Ja? — odparł zmieszany karczmarz — a uchowaj Boże! Cóż to? czy ja z maszynistą mam jakie konszachty na drzewo?

— Tego ci nikt nie zarzuca; ale jużciż to mi wiadomo, że teraz żaden chłop Poczekajki nie ominie, takiegoście im Piotra napędzili.

— Ja?.. ja... panie Baryłkiewicz — bełkotał Wabik.

— Mój Wabisiu! ja całe życie tłukę się po świecie, i jak ty wiesz co się w waszej okolicy dzieje, tak ja wiem co gdziekolwiek w Polsce zaszło. Wystawcie sobie — ciągnął dalej, śmiejąc się, Teluś — zwąchali się z maszynistą od lokomobili, i ile razy chłopy obce jadą przez bór, maszynista puszcza parę z kotła z takim sykiem, że i dyabli w piekle lepiej nie potrafią... a głupi lud, co nigdy maszyny parowej nie widział, wierzy, że to czarcie sztuczki i po talizmany od nich do Wabika na Poczekajkę wstępuje.

Wabik zbladł jak chusta, a mnie się opowiadanie Grzesia i gałązki u chłopskich czapek przypominały.

— No... ale ja ci tego nie ganię! — dokończył Teluś — każdy sobie radzi jak może... Dość powiedzieć, że Wabik potrafił podnieść intratę tej karczmy z 200 złotych, na cztery tysiące!.. czy uwierzycie?

— To tylko moja zaradność i troskliwość, panie dziedzicu — odezwał się, przychodząc do siebie, Wabik. — Że tam zazdrośni plotą bajki, to ja na to nie

zważam . . . ale, że taki edukowany człowiek jak pan Baryłkiewicz to powtarza, to mnie bardzo dziwi.

— No, dosyć! dosyć! . . . — rzekł, śmiejąc się Teluś — jesteś zuch, masz fidusa we łbie i basta. Czy tam potem, przy śmierci, dyabeł ci za te sprawki w ucho nie syknie, jak ta parowa maszyna, to inna rzecz. Tymczasem jesteś panem, masz pieniądze i niejednego szlachcica byś ze wsi wykupił.

Wabik, strwożony na wspomnienie dyabła i śmierci, przeżegnał się cichaczem i sprzątał talerze, złorzecząc w duszy Telusiowi, który wydobytą fajeczkę zapalał, puszczając kłęby dymu w powietrze.

W tej samej chwili wszedł fornal z Gapiszyna, kłaniając się czapką do ziemi.

— Proszę wielmożnych panów — rzekł do braci Bzdurskich — obroku mi trzeba dla koni.

— A przecież miały z domu całą ćwiartkę — rzekł Damian.

— A no . . . miałem na bryce . . . i ledwiem wyszedł po wodę, ktoś mi obrok ściągnął.

— Taki to tu ład, panie Wabik? — rzekł Damian. — Masz złodziei w domu?

— A to coś nowego! — krzyknął Kosma.

— Przepraszam panów dziedziców . . . z moich ludzi żaden tego nie zrobił, za to ręczę i odpowiadam . . . prędzej który z przejezdnych — dodał Wabik, złośliwe ciskając wejrzenie na Telusia.

Ale Teluś jeszcze większy kłąb dymu puścił w powietrze, zasłaniając tym sposobem nieznacznie uśmiechniętą twarz swoją, domyślił się bowiem zaraz, że to była

sprawka jego chłopaka, członka gminy Self-help... własnym przemysłem żyjącej. Nie było więc rady; pan Damian kazał chłopu wziąć miarę owsa, upominając go surowo, aby stał przy żłobie, póki konie obroku nie zjedzą, i zaraz potem zaprzęgał.

W godzinę niespełna byliśmy już w drodze do Przemysłowic. Że deszcz nie ustawał, bracia Syamczycy musieli i dalszą drogę na jednej odbywać bryce, żaden z nas bowiem nie miał ochoty zrzekać się osłony parasola, dla fantazyi pana Damiana, który lubował się tą obfitą rosą z nieba, strugami spływającą.

Dla zabicia czasu w nudnej tej i powolnej drodze, zabrałem był na swoją brykę Telusia, którego inwentarz nie zdążył spożyć jeszcze całej ćwiartki gapiszyńskiego owsa, a remanentów chłopak pana Telesfora nie miał w co zesypać, bo worek gapiszyńskiego fornala, mogący w danym razie służyć za corpus delicti, zagrzebał w mierzwie stajennej, dla zatarcia wszelkich możliwych poszlak.

— Jakżeż się panu Syamczycy podobają? — zapytał mnie po chwili pan Telesfor, wskazując na jadących przed nami Bzdurskich.

— Szczerze panu wyznam, że mnie dziwnie uderza ta ich wzajemna niezgoda i ustawiczna różność zdań, tembardziej, że u bliźniąt przywykliśmy widywać usposobienia mniej lub więcej podobne. Tu ten przydomek Syamczyków na oczywistą ironię zakrawa.

— Przydomek ten nie datuje od dziś, bo obecne niezgody i swary od niedawnego między nimi poczęły się czasu. Pamiętam ich już dość dawno, jeszcze kiedy uczęszczali razem do instytutu w Marymoncie. Tam to koledzy przezwali ich Syamczykami, bo jak gołębie, byli zawsze razem, potakiwali sobie nawzajem i jeden bez drugiego był zerem, choć . . . Bogiem a prawdą, obaj razem wzięci niewiele większą cyfrę reprezentują.

— I cóż ich tak poróżniło? — spytałem.

— Co? — a zgadnij delegacie, jeśliś domyślny.

— Może interes materyalny?. . . nierówne działy?..

— Nie to; działów wcale nie robili między sobą i na wspólną rękę, choć kiepsko gospodarują, dzieląc się dochodami jak najskrupulatniej.

— Więc może jaka zazdrość ukryta?

— Zgadujesz pan trochę, ale o co?

— O powodzenie w świecie . . . o rozum . . .

— Tem się żaden z nich nie poszczyci; rozumu się tam pan nie domacasz, bo ich głowy świecą pustkami, jak stodoły na przednowku.

— No, więc może zazdrość o kobietę?

— Zgadłeś pan — rzekł, śmiejąc się, Teluś — i to jest właśnie najśmieszniejsza strona tej ukrytej rywalizacyi; jeden łże przed drugim, że o tej kobiecie nie myśli . . . a jeden drugiemu jak może w drogę włazi, i wyjdzie na to, że obaj, nie mogąc się żenić jednocześnie (nawet wedle praw tureckich), a obstając uparcie przy tej samej pannie, nie ożenią się nigdy.

— Któż jest ta szczęśliwa bohdanka, która po-

trafiła podbić dwa tak różne na pozór serca i usposobienia?

— Nie powiem panu, musisz ją odgadnąć.

— A czyż ją zobaczę?

— Zobaczysz z pewnością w Przemysłowicach.

— A to z podwójną przyjemnością tam jadę.

— A ja myślisz pan nie? — rzekł Teluś. — Co mnie tam obchodzi wystawa rolnicza lub przemysłowa? to kpiny!... Niech tam sobie Świderski niszczy lasy na zapałki... niech paskudzi najpiękniejsze pszenne ziemie na cykoryę... niech marnuje kartofle na mączkę... niech piecze rogale, których nikt nie zjada, bo takie zakalcowate, że raz mego psa o mało nie struły... mnie to nic nie obchodzi. Ale jadę, bo lubię wesołość, zmianę miejsca, towarzystwo większe, a zwłaszcza ciekawym też widzieć Syamczyków u dzieła, dotąd bowiem wiem tylko o tem z ludzkich gawęd.

— A któremuż z nich owa bogini palmę pierwszeństwa daje? Trudnoż przypuścić, aby obydwóch razem kochała.

— Ona najpewniej ani z jednego ani z drugiego nic sobie nie robi, boć to ludzie nie do kochania;... powierzchowności żadnej, ogłady prawie żadnej, rozumu ani za trzy grosze. Dziś już przynajmniej trochę ich ludzie okrzesali, ale w Marymoncie byli oni przedmiotem żartów całego instytutu. Siostrzeniec mój Jacek, Panie świeć mu...

— Jakto czy umarł?

— Nie wiem czy umarł czy żyje, bo ja nic o swojej rodzinie nie wiem, ale jeśli jeszcze nie umarł, to może

umrzeć; więc, dlatego ile razy mówię o którym z członków swej rodziny, wolę dla ostrożności dodać: „Panie świeć mu“. To żyjącemu nie zaszkodzi, a umarłemu może przynieść pożytek. Otóż Jacek opowiadał mi różne psoty jakie im płatano. Między innemi mają oni pasyę zakładania się o byle co.

— Uważałem to, bo i mnie zakład proponowali.

— A no, widzisz pan! — Otóż obaj Bzdurscy sławnie pływali (nie mówiąc tego pod alegoryą) i słynęli tem, że po pięć minut nurka pod wodą dawać mogli. Raz tedy, przy pogawędce, spierali się oni z kolegami, że nikt dłużej od nich pod wodą nie wytrzyma. Siostrzeniec mój, Panie świeć mu, który, nawiasem mówiąc, kiepskim był pływakiem, ale kuty na cztery nogi, zaczyna się im sprzeciwiać i chwalić, że on dłużej pod wodą wytrzyma. Bzdurscy pewni siebie i swej sztuki, proponują zakład o poncz na Kaskadzie, dla całego instytutu, a była to historya dwustu szklanek ponczu. Jacek zakład przyjmuje i idą natychmiast, w towarzystwie wszystkich kolegów, na marymonckie stawy, dla rozstrzygnięcia zakładu. Gdy już szermierze weszli w wodę, a koledzy dali hasło: raz, dwa, trzy!... dalej-że wszyscy z głowami pod wodę. Ale mój siostrzeniec kanalia, Panie świeć mu, głowę zaraz z pod wody wydobył i śmiejąc się do rozpuku, dał znak zebranym nad brzegiem kolegom, aby go z sekretu i podejścia nie wydali. Słynną była wtedy solidarność marymonckiej młodzieży, to też koledzy wszyscy słowem się zaraz związali, że tego spłatanego figla nie wydadzą.

Mija pięć minut... Bzdurscy duszą się pod wodą,

a mój Jacek najspokojniej łeb sobie nad wodą trzyma. Gdy nareszcie po sześciu minutach tworzące się bańki wody i drobne kręgi, na powierzchnię stawu wybiegające oznajmiły, że jeden z nurków głowę wytknie, mój siostrzeniec, zatkawszy sobie nos i uszy, dalej z głową pod wodę.

Wytyka łeb Kosma... pluje w koło siebie... ociera wodę z oczu... nareszcie rozgląda się, ale niestety! Jacka niema. Zbladł nieborak, widząc przegrany zakład ze swej strony, ale jeszcze nadziei nie traci, sądząc, że Jacka przynajmniej brat jego Damian przetrzyma. Po chwili jednak wyłazi z wody druga głowa... a strumienie z niej spływające nie dozwalały zrazu poznać kolegi... Niestety!... to głowa Damiana. Kosma zachwiał się na nogach, tak, że go ledwie żywcem wydobyto, a gdy po chwili trzeci z kolei Jacek tylko co zanurzoną wydobył głowę, ogólny oklask kolegów ogłosił go zwycięzcą, a biednego Damiana ta przegrana także tak silnie dotknęła, że mu do wyjścia z wody Jacek dopomódz musiał. I tak biedni Bzdurscy musieli dwieście szklanek ponczu na Kaskadzie zapłacić, za przebytych sześć minut pod wodą i za opicie się takowej nosem, uszami i ustami...

— No, i nie spostrzegli się wcale na podejściu?

— Do dziś dnia żaden z nich się niczego nie domyśla, a Jacek w ich przekonaniu pozostał najpierwszym nurkiem na świecie.

— A wiesz pan, że to sławne... I jakżeż oni gospodarują?

— Całe dnie łażą po izbie z założonemi na tył

rękami. O Kosmie mówią, że kształci sobie okresy . . . o Damianie, że myśli nad projektem opalania dróg publicznych. Zresztą, ciągnął dalej Teluś — gospodarują jak Bóg da; długów nie robią, bo sknery, byle czem życie opędzają. Spostrzegłeś pan może, jak się drapali w głowy, gdy przyszło dziś płacić parę złotych za ten marny obiad, do którego mnie tak zapraszali i prawie gwałtem zmusili.

Spojrzałem z boku na Baryłkiewicza, zdziwiony jego czelnością, ale mówił o tym mniemanym przymusie z takiem silnem przekonaniem, że nawet rozśmiać się już nie mogłem. Ludzie tej kategoryi, o własnym przemyśle a z cudzego chleba żyjący, dochodzą z czasem do takiego cynizmu, że to ich drugą naturą się staje, a przymówienie się o cóś mając dla siebie za rzecz najnaturalniejszą; bez zarumienienia się przez świat przechodzą. Była to zresztą jedyna może wada Telusia, którą zapewne stan jego finansów i niezdolność do jakiejkolwiek pracy wyrodziły. Pieczeniarzy takich liczyła każda okolica po kilku. Szlachta ich nietylko znosiła, ale poczciwa sercem, przyjmowała nawet dość chętnie; oni zaś, wywdzięczając się za udzieloną im gościnność, przynosili z sobą w ofierze wesołość, ploteczki, nowinki miejscowe, zwietrzałe koncepta, przestarzałe wiadomości polityczne, a często gęsto i usługę jakąś oddać bywali w możności.

Mijaliśmy właśnie las przemysłowicki, w głębi którego szum jakiś huczał jednostajny.

— Co to słychać? — zapytałem Baryłkiewicza.

— To zakłady przemysłowe Świderskiego . . . zwiedzimy je jutro zapewne, gdyż Świder nie omieszka za-

produkować zebranym gościom wynalazków obcych, które u siebie powprowadzał.

— Cóż to za człowiek ten pan Świderski? — spytałem.—Bzdurscy dziwnie się o nim wyrażali; Kosma nazwał go geniuszem, a Damian natomiast . . . aż mi wstyd powtórzyć . . . osłem!

— Nie jest on ani pierwszym, ani drugim — odrzekł Baryłkiewicz — ale jeżeliby koniecznie przyszło go porównać z jakiem stworzeniem, to chyba z jedną tylko... małpą; Świderski bowiem głupim nie jest, ma pewne wiadomości, skończył nawet jakąś wyższą szkołę techniczną gdzieś zagranicą; ale to właśnie stało się poniekąd jego nieszczęściem i kto wie do czego w rezultacie doprowadzi. Jest to sobie szlachcic na rozum i na innowacye chorujący, a jak zwykle tacy ludzie, co to cóś niby liznęli, choruje on rzeczywiście na brak zdrowego rozsądku, na brak praktyczności i wreszcie na brak jakiegokolwiek rachowania się z kieszenią i siłami.

Dzieckiem będąc, okazywał szczególniejszą pasyę do majstrowania;... więc wiecznie cóś strugał, wiercił, heblował, lub kleił... a gdy brakło do tego materyału, to umyślnie popsuł sprzęt jakiś, żeby módz go potem naprawić.

Rodzice, zamożna choć trochę ciemna szlachta, zaślepieni w jedynaku, upatrywali w tej zwykłej zresztą dzieciom pasyjce, jakieś ukryte zdolności do zawodu technicznego, jakiegoś przyszłego *Bajrona* czy *Kopernika*... czort ich tam wie!... Utwierdzał ich w tem przekonaniu stary bakałarz, Niemiec, któremu zachciało się wrócić nieswoim kosztem do swojej *„liebe Auguste“*... i który,

prawiąc rodzicom niestworzone rzeczy o genialnych zdolnościach *Pafnusza* do mechaniki, robił im perspektywę, że z ich rodu wyjdzie twórca najwznioślejszych wynalazków, mających kiedyś przewrócić do góry nogami świat cały.

Stary Świderski kiwał na to głową i jakoś w prognostyki Niemca niebardzo wierzył; ale żona jego, Papuzińska z domu, baba próżna i głupia, wodząca męża za nos, a pragnąca jeśli nie przez męża, to przynajmniej przez syna zajaśnieć w okolicy czemś nadzwyczajnem, póty gderała, póty mężowi głowę suszyła, aż nareszcie szlachciura znudzony, dla miłej zgody, przystał na wysłanie młodego Pafnusia za granicę.

Pafnuś bawił tam lat sześć z okładem. Co robił, nie wiem, tyle tylko wiem, że się zaraz w pierwszym roku swego Niemca-bakałarza pozbył, a po trzech latach do rodziców na trzy dni przyjechał, narobiwszy w całej okolicy hałasu swoim rozumem; wszystko bowiem co zastał po wsiach nazwał zacofanem, zapleśniałem, zaśniedziałem, a pod niebiosa wynosił tylko Niemcy, ich przemysł, ich wynalazki i ich postęp rolniczy.

Mama rosła w pychę, ojczysko głową kiwał a kiwał, ale synowi przeczyć nie śmiał, bo syn widział na własne oczy to, o czem ojciec nigdy nie słyszał, a mama każde słowo Pafnusia wynosiła pod niebiosa, chlubiąc się przed ojcem, że to tylko dzięki jej namowom jedynak wyrobił się na takiego wielkiego człowieka.

Nareszcie, po sześciu latach pobytu, Pafnuś wrócił z zagranicy, jako skończony człowiek, ale w Przemysłowicach nikogo już nie zastał; ojczysko bowiem, zamo-

czywszy nogi na kaczkach, powędrował na dolinę Józefata, a w ślad za nim poszła (nie mając już na kogo gderać) i matka, Papuzińska z domu, przekazawszy tylko przez księdza proboszcza błogosławieństwo swoje synowi, o którego pobycie, jak na złość, nikt z domowników nie wiedział.

Zabrał się więc zaraz pan Pafnucy do dzieła, a zabrał tem skwapliwiej, że oczy całej okolicy były nań ciągle zwrócone i szlachta ciekawa, pod różnymi pozorami zajeżdżała do niego, aby zobaczyć zblizka, jak też to *wielki człowiek* wygląda.

Przedewszystkiem należało się ożenić, aby o gospodarstwie domowem myśleć nie potrzebować; że zaś Pafnusiowi na konkury czasu nie stało, tak miał głowę ważniejszymi pomysłami zajętą, ożenił się więc zaraz po skończonej żałobie, z pierwszą z brzega, t. j. z kuzynką swoją po kądzieli, także Papuzińską, z której jedną ma córkę. Zrobiwszy to pierwsze głupstwo, wziął się coprędzej do następnych.

Reformy zaczął Pafnuś od tego, że najprzód sprzedaż zboża skasował i wiatrak rozebrał;... natomiast wystawił za znalezioną po rodzicach gotówkę młyn parowy i piekarnię parową... i kiedy Przemysłowice dawniej sprzedawały do tysiąca korcy pszenicy i prawie tyleż żyta, mądry Pafnuś jeszcze drugie tyle zboża dokupywał, byle tylko młyn nie stanął. Jak on tam na tem mieleniu wychodzi, nie wiem... ale to wiem, że rogale piecze od siedmiu boleści i choć Wabik jak może, tak je chłopom w gębę wtyka, nie pojmuję, że dotąd całej okolicy nie wytruli, kiedy mój pies, porwawszy raz pół

tuzina tych rogali, o mało się z kurczów nie skręcił, takie były zakalcowate, i byłby mi zdechł niezawodnie, gdybym go był siarką z mlekiem nie wyleczył. Koniec końcem, Pafnuś na swojem postawił... młyn jęczy a miele, rogale się pieką a picką... a szlachta dziwi się, że brat szlachcic z dziada pradziada nie wstydził się zostać naraz i młynarzem i piekarzem... Ale cóż-bo na tym świecie, wielkim ludziom nie uchodzi!

— Wiesz pan — rzekłem na to — że jak dotąd, nic jeszcze w tem szalonego nie widzę; znam ludzi bardzo rozsądnych i dobrze się obliczających, którzy młyny parowe za jedną z najlepszych spekulacyi uważają.

— Za pozwoleniem, posłuchaj-no pan dalej — odparł, rozgadawszy się na dobre, Teluś — nie koniec na młynie i rogalach. Była w Przemysłowicach gorzelnia, do której grunta folwarczne dostarczały odpowiedniej ilości kartofli. Pan Pafnucy, zostawszy gdzieś tam za granicą członkiem honorowym jakiegoś towarzystwa wstrzemięźliwości, uważał wyrób wódki za zbrodnię i kryminał, tak jakby to polski chłop w naszym klimacie mógł jaką *waserzupką* albo *bajriszbirem* zalać polską glistę. Skasował więc przedewszystkiem gorzelnię, a żeby z kartofli coś przecie zrobić nowego, bo jemu tylko o to chodziło, urządził w gorzelniczym budynku fabrykę mączki kartoflanej... No... pytam się pana, na licha nam mączka kartoflana, kiedy my własnej mąki pszennej przejeść nie możemy!... Narobił tego tysiące worków i wysłał za granicę. Co tam z nią zrobili, nie wiem... jak na tem wyszedł, także nie wiem; tyle tylko wiem, że gdy raz u niego zjadłem talerz klusków z tej mąki kar-

toflanej, tom potem przez całe trzy doby pił rzymski rumianek z cytryną, bo myślałem, że mi kto żołądek kamieniami wybrukował... a przecież bywało, żem w poście zjadał po cztery mędle pieczonych kartofli ze śledziem i nic!.. Ale że to mączka kartoflana, niemiecki wynalazek, więc wolno nią truć ludzi bezkarnie.

Teluś westchnął i otrząsnął się, zapewne na wspomnienie rzymskiego rumianku z cytryną... Ja mu dość oryginalnie poczętego opowiadania przerywać nie chciałem.

— Czy myślisz pan, że to koniec?.. — zagadnął mnie Teluś po chwili — gdzietam! Na rowach i burtach gruntów przemysłowickich rosła dziko cykorya, jak zwykle na dobrej pszennej ziemi. Pafnuś wpadł na myśl plantowania cykoryi na wielką skalę; zasadził tego kilkanaście morgów, zregulowawszy ziemię z ogromnym nakładem, i zebrał kilka tysięcy centnarów korzeni cykoryi, które wysłał zagranicę. Ale nim doszła gdzie dojść miała, mróz ją chwycił, cykorya zgniła na mierzwę i grosza za to nie dostał.

Rozgniewany tem niepowodzeniem, Pafnuś dalej do Wabika na naradę, i w ciągu jednego lata postawił fabrykę cykoryi, która go kosztowała ze czterdzieści tysięcy złotych i, jak mówią, resztę gotówki po rodzicach wyssała. I co pan powiesz?.. robi cykoryę... jakem szlachcic... prawdziwą cykoryę w paczkach! Co on tam z niej ma, nie wiem, ale to wiem, że od czasu jak cykoryę fabrykuje, ile razy kawy się u niego napiję, tyle razy to dobrze odpokutuję... już się pan domyślasz... Bo że tam Niemiec znosi cykoryę bez złych skutków, to nie dowód, żeby i polski żołądek bezkarnie ją znosił.

— I czy dobrą cykoryę robi? — spytałem.

— Ale proszę ja pana — odrzekł z oburzeniem Teluś — czy to można dobrą cykoryę robić? Ja, jak trochę cykoryi w kawie poczuję, to ledwo kwartą piołunówki jej działanie zniweczyć jestem w stanie. Ale na tem jeszcze nie koniec pomysłów pana Pafnucego. Widział on tam gdzieś plantacye tytuniu, dalej więc sadzić tytuń... ale niby jakiś najszlachetniejszy gatunek, z Hawany, z Kuby czy z Maćka... czort ich tam wie! Nasadził tego tyle, że kto przejeżdżał koło tej plantacyi, to kichał aż go kolki spierały. Nareszcie zebrał tego masę, wysuszył i zawiózł do Warszawy. Co pan powiesz? łuta nikt od niego nie chciał kupić, pomimo tego, że się nawet z ceną nie drożył. Pafnuś, rozgniewany, wrócił z tytuniem do domu, klnąc tabaczników na czem świat stoi... a że sam nie pali, a nikt z sąsiadów ganić mu jego produktu nie śmiał, więc na złość warszawskim fabrykantom, urządził przy fabryce cykoryi, fabrykę tytuniu i cygar, notabene zapożyczywszy się już grubo u Wabika. I cóż pan powiesz? Naturalnie, że cykorya śmierdzi tytuniem, a tytuń cykoryą. Jak on tam na tem wychodzi, nie wiem. Wabik wprawdzie wkręca chłopom cygara i jakoś tamten handel idzie; ale co do mnie, jak raz wypaliłem przez grzeczność jedno cygaro Pafnusiowej fabrykacyi, to zdawało mi się potem przez całą noc, żem na okręcie podróż morską odbywał.

Teluś splunął, otrząsając się znowu.

— Zaczynam wierzyć nareszcie — rzekłem — że p. Świderski posuwa manię przemysłu do przesady. Tru-

dno, aby jedna wieś posiadała wszystkie warunki do tylu odmiennych fabrykacyi.

— Czekaj pan, to jeszcze nie koniec — ciągnął dalej Teluś. — Przy tylu fabrykach i aparatach, ciągłych reparacyi było trzeba. To kocioł pękł, to rura się rozlutowała, to mutry, nity albo panewek brakło; trzeba więc było majstrów. Dobra kuźnia lub ślusarnia byłaby temu poradziła... ale że kuźnia to polski wynalazek, a Pafnuś lubi wszystko zagraniczne i grandioso, założył więc tak zwane warstaty mechaniczne, w których nietylko reparacye do swoich fabryk dokonywał, ale w których zaczął także wyrabiać niestworzone rzeczy. Więc jakieś siewniki... które, nawiasem mówiąc, siać nie chciały, to znów żniwiarki... które nie żęły, konne grabie, co nie grabiły, żelazne pługi, w które orać ani rusz... nareszcie płuczki, tłuczki, drapacze, siekacze, garnki, tarki, konewki, panewki... słowem, co tylko gdzie było narysowane w jakiej niemieckiej gazecie, on musiał zrobić u siebie koniecznie. Zebrały się tego stosy!.. istny Pociejów!.. Ale czy co z tego ma, nie wiem; tyle tylko wiem, że ja, co mam sen mocny i jak się najem, rżnę śpika dwanaście godzin na jednym boku, u niego w tym przeklętym huku, jak w piekle, oka zmrużyć nie mogłem i całą noc wiłem się jak wąż na posłaniu! Słyszane to rzeczy?!.. Wprawdzie szlachta głowami kręci, że karmazyn na kowala wyszedł, i żebym ja to zrobił, toby mnie nikt w dom nie wpuścił; ale jemu wszystko uchodzi, bo to *wielki człowiek!*

— Tak to — wtrąciłem, przerywając filozoficzną uwagę Telusia — jedna niekonsekwencya drugą rodzi.

Musi mieć jednak znaczne zasoby pieniężne, by tylu fantazyom podołać.

— Otóż dochodzimy do końca — odrzekł Teluś, poprawiając się na bryce. — Jak już panu wspomniałem, zapożyczył się on grubo u Wabika, jak mi bąkano, to coś z górą sto tysięcy; ale to nic. Pomoc pieniężną znalazłby w lesie, bo las śliczny, trzydzieści włók starodrzewiu, którego rodzice nie tknęli. Kiedy go też fabryki dobrze poderwały, a Wabik zaczął stękać, że goły i że mu pieniędzy potrzeba, Pafnuś ruszył po koncept do głowy i za radą Wabika, postanowił w las uderzyć. Ale cóż! każdy zwykły szlachcic zawołałby sobie Żyda, wytargowałby się... wykłócił, wytarmosił go za brodę, a objechawszy las, sprzedałby ryczałtem połowę, za coby najmniej ze trzykroć sto tysięcy dostał. Pafnusiowi nie wypadało jednak starym obyczajem sprzedać części lasu ryczałtowo, bo to zacofane, zaśniedziałe i Żydy się na tem bogacą. Ma on przy sobie doradcę, buchaltera, Niemca, który się światu nie pokazuje, a jest tak biegły w cyfrach, że o zakład obliczy panu na pamięć, ile ziarnek może się w korcu maku znajdować.

— I nie chybi? — spytałem, śmiejąc się.

— Ani o jedno, jakem szlachcic — odrzekł seryo Teluś.

— Czy go też kiedy kto sprawdzał?

— Ja... nie... bo ja się tam w takie rzeczy nie bawię; ale to rzecz wiadoma. Otóż Niemiec obliczył Pafnusiowi, że wyrabiając ze swego drzewa zapałki i wykałaczki do zębów, weźmie za jedną włókę tyle, ile mu Żydy za połowę lasu dawali. Pafnusiowi w to graj!..

Przeglądał przez tydzień rachunki... ani słowa. Niemiec mu obliczył jak najdokładniej, ile zapałek z jednej sosny wyrobi, ile wykałaczek i t. p. Dalejże zakładać w lesie fabrykę zapałek i wykałaczek do zębów... Sprowadził lokomotywę... urządził budynki... tartaki... hałas w lesie jak w piekle... smród z siarki taki, że się wszystka zwierzyna z boru wyniosła... ale zapałki i wykałaczki się robią... Pafnuś na swojem postawił! Jak on tam na tem wychodzi, nie wiem... ale to wiem, że już z pięć włók lasu wypaskudzili, a Wabik przyznał mi się w sekrecie, że jeszcze grosza nie odebrał... Pięć włók, to historya stu tysięcy! No i cóż pan powiesz na to?

— Ha! — rzekłem — godzę się z panem, że takie małpie naśladownictwo może pana Świderskiego bardzo drogo kosztować, jeśli nie ma jeszcze innych jakich resursów w gospodarstwie.

— Ale co może czynić gospodarstwo, z którego się nic nie sprzedaje?

— A jakże mu idzie gospodarstwo rolne?

— Zobaczysz to pan sam najlepiej. Ja zresztą tem opowiadaniem swojem nie chcę dyskredytować poczciwego Świdra, bo pożyczka Towarzystwa Kredytowego byłaby mu może na rękę... a choć to dziwak, choć ma lichego kuchtę i gorszą jeszcze piwnicę, mimo to wszystko człowiek z niego wcale zacny i uczciwy.

— To też te jego śmiesznostki na przyznanie mu pożyczki wpływać nie będą, byle miał dobrze uregulowaną hipotekę i niezbyt zrujnowane gospodarstwo.

— Wszystko to pan sam sobie osądzisz, bo jako rolnik, z jednego rzutu oka na szczegóły, poweźmiesz

przekonanie o całości. Ja panu więcej opowiadać nie chcę i nie mogę... raz żem się zmęczył, a powtóre, że już wjeżdżamy na terytoryum folwarku Przemysłowic.

* * *

Zaraz za lasem, na obszernem wzgórzu, otoczonem kilkunastu tu i owdzie rozrzuconemi wiejskiemi sadybami, wznosił się folwark przemysłowicki. Zdaleka wyglądał on wcale pokaźnie, raczej nawet na miasteczko, niż na wieś, bo strzelające w górę kominy fabryczne, jak wieże kościołów sterczały. Zato wjeżdżającemu w dziedziniec folwarczny znikało pierwsze wrażenie, ustępując miejsca rozczarowaniu, na widok nieładu i zamieszania, jakie się na każdym kroku przebijały. Może przyczyną tego był, w części przynajmniej, wpływ fatalnej pogody; może szykująca się wystawa powydobywała z zakątków śpichlerzy i lamusów przeróżne graty i sprzęty gospodarskie, o. które co krok potrącałeś... może liczniejszy niż zwykle zjazd gości zgromadził tam na obszernem podwórzu po kilka bryk, landar i taradajek, dla których pod dachem miejsca już brakło; dość, że wjeżdżając przed dom, trzeba się było noga za nogą posuwać, aby nie zawadzić o jaką brykę lub wózek, o jaki pług lub bronę, kosiarkę lub walec, bo groziło co chwila uszkodzenie cudzej własności, lub okaleczenie własnej szkapy.

Dowlekliśmy się nareszcie przed dom, a w sieni zastaliśmy już na krótko przed nami przybyłych Syamczyków, którzy zdążywszy się przebrać, gładzili przed

lusterkiem wąsy i czupryny, by się tem pokaźniej dość już licznie zebranym gościom przedstawić.

— Któż przyjechał z sąsiedztwa? — pytał lokaja pan Kosma.

— O już jest kilkoro państwa — odpowiadał sługa. — Jest pan Pływalski ze Łgarzewa, są państwo Kopytowscy z panienkami; pan sędzia z Tututowa, pan Pieniacki z Wichłaczewa ze synem...

— Jakto, jest młody pan Pieniacki? — zapytali nagle obaj Bzdurscy.

— O, już tu bawi od tygodnia.

— Słyszałeś? — zapytał brata z przerażeniem pan Damian.

— Kiedyś ty słyszał, to czemuż ja nie miałem słyszeć? — odparł bliźniaczek — wszakżem nie głuchy.

— Ale nie masz się o co obrażać — rzekł pierwszy.

— Bo pytasz się mnie, jak żebym był głuchy — odmruknął drugi.

— No, no... nie spieraj się, wiesz, że ja ci zawsze ustępuję.

— Przepraszam cię, to ja ci zawsze ustępuję.

— A kogóż się jeszcze spodziewacie? — spytał lokaja rozbierający się z burki Teluś.

— A nie wiem kto jeszcze będzie... Jadła nawarzyli na czterdzieści osób, bo miało być tyle, ale bez ten plusk może się więcej nie zjedzie.

— Jakto?.. — wtrącił ciszej trochę zmieszany Teluś — a panna Honorata nie przyjedzie?

— Podobno nie... posłaniec co od niej wrócił, powiada, że powóz popsuty.

— A niechże dyabli wezmą! — krzyknął Teluś, któremu widać bardzo na przyjeździe panny Honoraty zależało. — To ta babska oszczędność, kupować używane powozy, które się co chwila potem psują!.. No... niema co robić — dodał, pocieszając się szybko. — Znieśże tymczasem rzeczy do zielonego pokoiku w szczycie, gdzie zawsze staję... urządzisz nam tam obydwom łóżka... Marsz!

I tak zakomenderowawszy, popchnął lokaja z rzeczami naprzód, krocząc ze mną na schody z taką pewnością siebie, jakby mnie do własnego wprowadzał domu.

Baryłkiewicz był rzeczywiście jak u siebie, i to nietylko tu, ale wszędzie gdziekolwiek zajechał. Leżało to już w jego usposobieniu, czasem dziwnie czelnem i graniczącem prawie z niedelikatnością. W każdym domu miał swój pokój gościnny, który sobie zrazu prawem kaduka był przywłaszczył, a potem trzydziestoletniem bezspornem posiadaniem cywilnem, w pewien rodzaj własności emfiteutycznej zamienił. Dalej w każdym dworze znał po imieniu lokaja, którego przez lat tyle ze zwyczajami i potrzebami swemi obeznać potrafił; znał każdą kawiarkę, która wiedziała raz na zawsze, że Teluś cykoryi w kawie nie znosi; — znał każdego kucharza, który pod zagrożeniem guzów lub tuzów, nie śmiał podczas bytności Telusia podawać baraniny z czosnkiem, chyba, że go sami państwo, dla pozbycia się z domu gościa, do sporządzenia tej potrawy gwałtem prawie zmusili; — wreszcie znał pisarza prowentowego, który znów wiedział, że konie Telusia goły owies mieć muszą, a i to wiedział, że jeśli obroku poskąpi, to sobie chło-

pak Telusia poradzi, choćby miał wszystkim fornalom paki od obroków w drobne potrzaskać kawałki. Może tam zrazu szlachta za złe to brała, a bardziej jeszcze służba dworska szemrać na to mogła... gdy jednak Teluś przez lat trzydzieści dyktatorskiego swego sposobu traktowania ludzi nie zmienił, gdy wreszcie każdy znosił cierpliwie ten despotyzm, za który on wypłacał się wesołością, humorem i drobnemi przysługami, — ludzie przywykli w końcu do tego, tak, że z przyjazdem Telusia przybywał służbie nowy pan, którego rozkazy z najściślejszem spełniano posłuszeństwem.

— Przygotujesz nam tu drugie łóżko! — rzekł Teluś, wchodząc do owego zielonego, wcale schludnego pokoju. — Tylko zapowiedz Kownackiej, żeby mi pościel nie śmierdziała szarem mydłem, jak to ostatni raz było.

— Kownackiej już niema, jaśnie panie — odrzekł lokaj.

— A gdzież się podziała?

— Poszła za mąż, za organistę do Wichłaczewa.

— Co?! za tego durnia? no, proszę!.. za takiego niedojdę, co przez nos beczy jak baran!.. A któż jest na jej miejscu?

— A jest niejaka Pieprzycka.

— Pieprzycka... Pieprzycka... czekajno, czy ona nie z Babic?

— Z Babic, jaśnie panie.

— Taka mała, krępa... rumiana... chodzi w szafranowej chustce na głowie, bo wiecznie na zęby chora...

— Ta sama, jaśnie panie.

— No to znam ją... znam wybornie!.. ona już wie jaką ja pościel lubię... tylko jej powiedz, że *ja* tu jestem z moim przyjacielem... rozumiesz?.. wyraźnie jej powiedz, że *ja* tu jestem — dodał Teluś ze znaczącym uśmiechem. — Urządzi nam spanie jak w raju!

Lokaj tymczasem wypakowywał spory tłumok Telusia i nie pytając wcale, wyjmował z niego te rzeczy, o których wiedział, że do większej uroczystości będą jaśnie panu potrzebne. Więc frak granatowy z żółtymi guzikami, niebieski krawat w białe centki, jasną kanarkową kamizelkę w różne kwiatki, z bursztynowymi guziczkami, perłowe pantaliony z cynamonowym lampasem, haftowany półkoszulek, kołnierzyk i mankiety... porozstawiał na komodzie wszystkie Telusiowe szczotki i szczoteczki, grzebienie i grzebyki, pomadę i butelkę wody zamorskiej... wreszcie, przygotowawszy nam dwie miednice wody i dwa ręczniki, odszedł, zostawiając nas samych.

— Wszakżem tego durnia dobrze wytresował? — rzekł do mnie, ubierając się Teluś.

— Musi to być dawny pański lokaj — odpowiedziałem.

— Nie... ja nie trzymam lokaja, bo wszędzie gdzie przyjadę, służba zna moje zwyczaje i jest już przeze mnie wytresowaną. Tego Marcinka upatrzyłem raz na polu przy trzodzie... podobał mi się chłopak i namówiłem Świderskiego, aby go wziął do służby pokojowej. Przez tydzień popracowałem nad nim, i ot widzisz pan jaki teraz kamerdyner.

— Więc on panu karyerę swoją zawdzięcza?

— Tylko mnie... ale to nie on jeden. W każdym prawie dworze zastaniesz pan ludzi przeze mnie wyrobionych... bo ja lubię komfort i wiem czego się od służby wymagać powinno. Czy myślisz pan, że szlachta miałaby o tem pojęcie, gdyby nie ja?

Nie miałem odpowiedzi dla dumnego ze swej roli Telusia; śpieszyłem się też z ubraniem, które szło u niego piorunem. W kwadrans byliśmy obaj gotowi.

— A teraz zejdźmy już na dół — rzekł Teluś — bo się tam beze mnie niecierpliwić będą. Bzdurscy oznajmili już pewno moje przybycie, a i pańskie także, — nie można dawać czekać na siebie.

Zeszliśmy tedy na salę.

Była to obszerna izba, w jasno-niebieskie pomalowana pasy, z białym sufitem, alias pułapem, którego wystające belki, także na niebiesko pomalowane, nadawały całości pozór jakiegoś namiotu, neseserki lub pudełka od cukierków.

Na perkalikowej kanapie siedziała pani Kopytowska z gospodynią domu... obie potężnie wykrochmalone (bo krochmal na wsi nic nie kosztuje) i choć na pozór zdala od siebie będące, stykały się jednak sukniami, tak że tam więcej miejsca nie było. Pani Kopytowska była to sobie tęga co się zowie bruneta, o purpurowych, lśniących jak wosk policzkach, wesoło uśmiechnięta; natomiast pani domu, szczupluchna i wątła, stanowiła najzupełniejszy kontrast sąsiadki, twarz jej bowiem, przy chorobliwej cerze, jeszcze jakiś szczególniejszy wyraz nudów, lub raczej znudzenia i znużenia zdradzała.

Obok stołu, na okrągłych taborecikach, jak dwie

świeczki w lichtarzach, siedziały wyprostowane dwie panny Kopytowskie, do matki całkiem podobne, więc jak ona brunetki, jak ona rumiane, choć mniej błyszczące, i jak matka okrągluchne dziewoje, bawiąc się w milczeniu skubaniem chusteczek od nosa, które na kolanach trzymały. Przy nich panna Petronela Świderska, jedyna córka pani, a tem samem i pana domu, dość piękna, choć nadto może szczupła dziewica, dziwnie melancholicznego spojrzenia, którem od czasu do czasu to po obecnych, to po niebieskich belkach salonu wodziła.

Za krzesełkami tych trzech gracyi stało w milczeniu trzech młodzieńców, więc znajomi nam już bracia Bzdurscy i pan Artakserkses Pieniacki junior, szczupły, wątły, konopiastego koloru włosów i blado-niebieskich oczu, które jak raz podówczas razem ze wzrokiem panny Petroneli w niebieską się belkę utkwiły.

Koło pieca, przy zielonym stoliku, pan Pływalski ze Łgarzewa, pan Kopytowski z Czepca, pan Justynian Pieniacki z Wichłaczewa i pan sędzia z Tututowa, do skromnego zasiedli sobie preferka.

W salonie dość uroczysta panowała cisza, przerywana tylko szelestem sukien poprawiających się na taboretkach panienek, cichą sąsiedzką rozmową pani Kopytowskiej z gospodynią domu o strasznej epidemii *pypcia*, grasującej w pierzastem królestwie kur i kapłonów, oraz licytacyą grających w preferansa, którzy się jednak, jak dotąd, wyżej prostego bez atu nie zapuszczali, a i to po długich namysłach, — gdy nagle zjawił się ze mną Teluś. Przybycie Baryłkiewicza, tego meteora o błyszczą-

cych barwach, było iskrą elektryczną, która całe to spokojne grono do żywego poruszyła.

— Teluś!! — wrzasnęli chórem grający, zrywając się razem z krzeseł.

— Pan Telesfor! — krzyknęła silnym kontraltem pani Kopytowska...

— Pan Baryłkiewicz — ozwała się melancholicznie pani domu, deklamując niezbyt dramatyczne to nazwisko — jakaż miła niespodzianka dla nas!

— Tak... to ja... kochani sąsiedzi... i łaskawe moje panie — odrzekł, kłaniając się dokoła pan Telesfor. — Widzę, żeście na mnie zawsze łaskawi... choć na dziś mnie nie proszono.

— Jakto?.. sąsiadka przy dzisiejszej okoliczności nie prosiłaś pana Telesfora?! — zapytała pani Kopytowska gospodyni domu.

— To mój mąż rozsyłał inwitacye.

— Ale to nic, ja się nie obrażam — dodał Teluś. — Najlepszy dowód, że choć nieproszony, przyjeżdżam.

— Zaręczam panu — podchwyciła szybko pani Świderska — że mąż mój, przy ważnych swoich zajęciach, nie mógł się dowiedzieć gdzie zaproszenie posłać... Pan jednak wie jak nam jest zawsze upragnionym gościem... Ale któżto jeszcze przybył? — dodała, spostrzegając mnie.

— A bodaj cię!.. — zawołał Teluś, uderzając się w czoło. — Zapomniałem przedstawić państwu mego przyjaciela... Pan Piotr X... delegowany Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

— Czy tak?! — zapytali chórem grający, kładąc karty na stół i szybko podbiegając ku mnie.

— Tak jest — odrzekłem — ale przepraszam bardzo, że zjeżdżając na komisoryum w przedmiocie nowej pożyczki i nic nie wiedząc o jutrzejszej wystawie, przeszkodziłem może sąsiedzkiemu zebraniu.

— Bardzo nam przyjemnie — rzekła gospodyni domu.

— O i owszem, to nic nie przeszkadza — dodali razem gracze.

— Męża mego tylko co patrzeć — ciągnęła dalej pani Świderska. — Proszę nie brać mu za złe, że panów sam nie przyjął, ale on taki zajęty, tyle ma ważnych rzeczy na głowie, że kto go zna bliżej, obrażać się na niego nie może.

Chciałem odpowiedzieć pani domu i zapewnić ją, że żalu nie żywię, ale mnie tymczasem szlachta z pod pieca ścieśnionem kołem obległa.

— I pan dobrodziej będziesz istotnie dawał pożyczki na dobra? — zapytał mnie pan Kopytowski.

— To jest... ja mam sprawdzać taksę dóbr, a w ślad za tem Towarzystwo Kredytowe będzie wysokość pożyczki przyznawało.

— Ale czy Towarzystwo już ma prawo dawania nowych pożyczek? — zapytał niedowierzająco pan Pieniacki.

— Na żartby mnie tu nie delegowano — odrzekłem — ma ono prawo najzupełniejsze.

— I jakież jest to prawo? — zapytał znów pan Pieniacki.

— Jakie?.. no, rozporządzenie władzy rządzącej.

— Czy to tylko prawda, kochany panie? — wtrącił z lekkim uśmiechem pan Pływalski, który widać mało komu wierzył.

— Prawda — odparłem nietyle urażony, ile rozśmieszony temi zapytaniami niedowiarków — mamy już sankcyę monarszą.

— A... nnno... jjjak mmają... sssankcyą mmonarszą — dodał, jąkając się, pan sędzia z Tututowa — to już pprawo, bo ukaz wwejdzie pprzez rządzący sssenat.

— A cóż senat ma do tego? — zapytał pan Justynian Pieniacki — przecież to nie sprawa cywilna, żeby po senacie wędrowała.

— Kakakażde popostanowienie... kokonkluduje się ssłowami: rządzący sssenat nie zzzaniedba wwproprowadzić w wywykonanie nininiej. . .

— No, ale jeśli to dopiero do senatu pójdzie, to mamy czas nogi zadrzeć — zauważył posępnie pan Kopytowski.

— Aaale nnie rrrozummiecie... — wołał pan sędzia z Tututowa.

— Powiedziałem już panom... — wtrąciłem.

— To co innego — przerwał mi pan Pieniacki, zwracając się do obecnych. — Gdyby to była apelacya w sprawie cywilnej, to godzę się, że przetrwałaby długo... chyba wskutek szczególnych starań... skróconego terminu... *in petitorio*...

— Ja dostanę przynajmniej dwakroć sto tysięcy!.. słowo honoru!.. — zawołał uradowany pan Pływalski.

— Tymczasembym ci za nie i piętnastu nie dał — rzekł, zbliżając się do nas Baryłkiewicz.

— Co? myślisz, że przesadzam?!.. Więc jakem szlachcic, najmniej sto tysięcy dostanę.

— A jabym ich i za dziesięć nie kupił — wtrącił pan Kopytowski.

— Proszę... a jabym, jak Boga kocham, i za trzydzieści nie spuścił.

— Mężu!.. — zagrzmiała pani Kopytowska, wskazując na nas — nie pozbawiajcie nas *przyjemności* z *obecności* tych panów... Siądźcie sobie napowrót do kart, do tej waszej największej *namiętności*... i grajcie sobie w *spokojności*, bez *zawziętości*.

Pan Kopytowski, na tę ościstą alokucyę swej magnifiki, pomknął z kopyta pod piec do zielonego stołu, za nim pan Pływalski, a w ślad za tymi pan Pieniacki i pan sędzia z Tututowa, który właśnie skończył był streszczenie formułki konkludującej rozporządzenia rządowe. My z Telusiem zasiedliśmy koło dam.

— Ale cóż to za flaga! — zauważyła pani domu — popsuje nam może na jutro wszystkie nasze plany.

— Mimo *okropności* pogody, nikt nie ominie *sposobności* do uczestniczenia w jutrzejszej *uroczystości* — rzekła amatorka *ości*.

— Zgadzam się pod tym względem z sąsiadką dobrodziejką — i ot ja pierwszy daję dowód, że mnie ta niepogoda powstrzymać nie zdoła, choć przybyłem nietyle dla wystawy, ile dla powitania jednocześnie zebranego sąsiedzkiego grona.

— Dowody *grzeczności* i *łaskawości* pana Baryłkie-

wicza — odpaliła pani Kopytowska — nie należą do *osobliwości*. A panienki czy przypomniały się pańskiej *znajomości?*

Obie purpurowe jagódki dygnęły na krzesełkach.

— Do mnie to należało — zawołał Teluś, podbiegając ku panienkom i ściskając kolejno pulchne ich łapki. — Ale jak porosły!.. A panna Petronela czy mnie też poznaje?

Ciche westchnienie, nieznaczny dyg na taborecie i lekkie skinienie głowy, były odpowiedzią wyrwanej marzeniom panny Petroneli.

— Nie widzieliśmy się co prawda, dość dawno — ciągnął dalej Teluś — ostatni raz, kiedy grając w gry niewinne, budowaliśmy most. Panna Petronela zrobiła mnie wtedy kafarem... czy to pamięta?

Wszystkie trzy panny, nie wyłączając panny Petroneli, parsknęły śmiechem na to przypomnienie. Artakserkses Pieniacki westchnął głęboko i nachyliwszy się do ucha zagadnionej w ten sposób, szepnął jej cichutko:

— O czemużeś *mnie* wtedy, okrutna, na kafara nie wybrała?

— Od tej minionej *przeszłości* — odezwała się pani Kopytowska — zmieniły się *okoliczności*. Moje córki podczas *bytności* w naszej okolicy panny Trykot, Paryżanki... francuskiej *narodowości*, nauczyły się tańczyć wedle wszelkich reguł *zgrabności*, *układności* i *giętkości*.

— Jeżeli ta baba na tyle *ości* nie udławi się kiedy, to będzie cud Boży — szepnął mi do ucha Baryłkiewicz.

Uwagę tę, zupełnie słuszną, podzielałem całkowi-

cie. Pani Kopytowska, córka zbogaconego ekonoma, wszedłszy przez męża w stosunki obywatelskie, pragnęła kwiecistą wymową zatrzeć wspomnienia przeszłości i zarzuty niezbyt świetnie odebranej edukacyi.

— Szkoda, że niema pośród nas jakiej muzykalnej *osobistości* — rzekła znów pani Kopytowska — muzykalność dodaje wiele *rozmaitości* zabawie... a przy tej *sposobności* panienki mogłyby w tańcu dać dowody swej *zręczności* i *układności*.

— Moja córka co zagra, skoro sobie panie tego życzą — dodała gospodyni domu. — Trunieczko... zagraj co aniołku.

— Ale coś do tańca — rzekł Kosma, uderzając obcasami hołupca — naprzykład walczyka.

— Nie, pani — zaoponował dla zwyczaju Damian — polkę... poleczkę...

— A pan czegobyś żądał? — zapytała zcicha Artarkserksesa panna Petronela.

— O pani!.. — odrzekł zagadniony, wznosząc tak przeraźliwie wzrok w górę, że mu tylko białka od oczów widać było — ja, jeśli prosić mogę, to o coś smętnego... rzewnego...

— Naprzykład *La prière* panny Bądarzewskiej.

— O tak pani... tak... coś w tym rodzaju...

Panna Petronela siadła uroczyście do fortepianu fabryki ś. p. Buchholtza, którego klawisze, ze starości pożółkłe i mocno wyżłobione, nosiły na sobie widome ślady licznie oddanych już usług... i wypłynęła z pod jej palców melodya rzewna, choć fałszywie odegrana. W najsmętniejszej chwili poematu, kiedy właśnie dzie-

wica wznosi głos (nateraz nieco ochrypły) do Pana zastępów, błagając Go o... zdrowie dla kanarków... o kwiatki dla pszczółek, o rosę ożywczą dla dyń i ogórków... o promyczek słońca dla słoneczników i rododendronów, — pod piecem przy zielonym stoliku powstał gwar.

— To ja mam rękę — zawołał pan Pływalski — jak honor kocham.

— Przepraszam, to ja na rączce — odparł pan Pieniacki — skoro sędzia karty dawał.

— No to karty źle leżały, słowo honoru!.. — wołał pierwszy. — Sąsiad Kopytowski powinien był karty tasować i przy sąsiedzie, a nie przy mnie położyć.

— Ja za to nie odpowiadam — dodał z zimną krwią Pieniacki. — Wszak sędzia dawałeś karty?

— Ja... ja... jaja dddawałem.

— A... no... dawaj sobie sąsiad przed ręką co chcesz, byle nie karty! — zawołał rozgniewany Pływalski.

— Ppppanie sssąsiedzie!..

— Ale... o... dajcie pokój — mitygował pan Kopytowski, główny sprawca tej katastrofy, który już sobie na boku obliczył, ile pomaganych na Pływalskiego zapisze.

— Sąsiad Pływalski raczy dorzucić kartę — rzekł słodziutko pan Pieniacki — ja już zagrałem.

— Ale jak Boga kocham, byłbym nie grał siedmiu bez atu, gdybym nie był na ręku — wrzasnął zdesperowany gracz.

— Co tu sumitowanie się pomoże? Zadeklarowałeś sąsiadeczek siedem bez atu i kwita — odrzekł z tą samą

zimną krwią Pieniacki — a że ja pomogłem i sąsiad Kopytowski pomaga, więc wychodzę.

— Ale na rany Boskie!... ja mogę ani jednej lewy nie zrobić, bo mam z rzędu siedm czerwieni i nic więcej!

— Otóż właśnie o to nam chodzi, żebyś sąsiad dobrodziej ani jednej lewy nie zrobił.

— No więc to jest podejście!... gwałt!... jak Boga kocham!

— Gwałt?... podejście?.... z czyjej strony, sąsiadeczku? — zapytał słodziuchno Pieniacki.

— A co mnie tam z czyjej strony... dość, że słowo honoru, myślałem ciągle, iż jestem na ręku.

— Święte słóweczka nieocenionego sąsiada dobrodzieja — odrzekł tym samym głosikiem Pieniacki — ale za omyłki się płaci; kto nie dołoży okiem, to dołoży workiem.

— No to niema gry! ja rzucam karty!... jak mi Bóg miły!

— I owszem, i owszem, tylko sąsiadeczek zapisze płatkę.

— A to piszcie sobie ile chcecie! ja się rozbieram, jak Boga kocham.

— Nie można się rozbierać — oponował miluchnym głosikiem Pieniacki — bo nikt jeszcze nie ma plusów.

— A no więc to jest rozbój! — wrzasnął Pływalski.

— Rozbój?... a z czyjej strony, jeśli wolno wiedzieć? — zapytał znów łagodnie Pieniacki.

— Pppapanowie — wtrącił sędzia — nie kkkłóćcie się... nic nie słychać mmumuzyki.

— A dyabli nadali muzykę! — zawołał Pływalski — to przez to przeklęte brzęczenie tak wpadam! — dodał ciszej.

— Mój kochany sąsiedzie, możesz się jeszcze odegrać — pocieszał go Kopytowski, zapisawszy już pomagane, gdy tymczasem Pieniacki obliczał płatkę i smarował 1400 punktów do puli, a 200 za pomoc.

— Zapewne — rzekł do Kopytowskiego pan Pływalski — jeśli sąsiad tak będziesz kładł karty, to ja tu koszulę przegram.

— Bbbasta... ppanowie!

— A cóż znów sędzia zapisujesz do puli? — zapytał ciągle jeszcze zaperzony Pływalski.

— To nie do ppupuli... to za kkonsolacyę... bbebez ssied...

— Ale już wiem, że bez siedmiu, już wiem! tylko dalej!

— Sssąsiad Piepieniacki ddaje.

I gra się znowu zaczęła, a tymczasem ostatni jęk Buchholtza i dobrze już wymodlonej dziewicy, wsparte dzielnie huczącym pedałem, rozlały się w przestworzu.

Rzęsisty oklask słuchaczów, z których (jak zwykle po wsiach) nikt ani jednej nuty nie słyszał, był nagrodą panny Petroneli. Jeden tylko Pływalski nie dzielił ogólnego uniesienia, bo go to przeklęte brzęczenie sporo kosztowało, choć grali 10 punktów za 3 grosze.

— Dużo jest w tym śpiewie *rzewności*, *tkliwości* i *melancholiczności* — zauważyła pani Kopytowska, podnosząc się z kanapy.

— O jakżeż on przemawia do... za pozwoleniem serca — szepnął pannie Petroneli delikatny Artakserkses.

— Córka pani ogromne zrobiła postępy — zauważył Baryłkiewicz, który miał pretensyę za konesera uchodzić.

— Rzeczywiście, odrzekła z dumą pani domu — w ostatnim roku miała sławną nauczycielkę, pannę Rzempolińską, patentowaną przez Instytut... brała po dwa złote za godzinę.

— O to widać... widać... w każdej nutce... — dodał Teluś, wyciągając się na fotelu. — Ten tusz... to miękkie takie... tego... jedwabne uderzenie... zresztą ta siła... taka ten... że aż huczy fortepian... oho... znam ja to... znam!... Słyszałem Liszta!... Czy dacie państwo wiarę?... jak wyrżnął w fortepian... to jeden jegomość, siedzący koło mnie, spadł z krzesła... a notabene był głuchy jak pień.

— Kto?... Liszt?... — zapytała ciekawie pani Kopytowska.

— Nie, ten jegomość, co koło mnie spadł z krzesła.

Pani Kopytowska, zażenowana nieco niezręcznem zapytaniem, przechadzała się po pokoju, a chcąc błąd poprawić i popisać się także z muzykalnością swoją, rzuciła nieznacznie okiem na rozrzucone po fortepianie nuty i wyczytawszy naprędce nazwisko kompozytora, zapytała panny Petroneli:

— Czy pani nie gra co Ferdbeyera?

— Kogo? łaskawa pani — spytała nawzajem zagadniona.

— Ferdbeyera — powtórzyła rezolutnie pani Kopytowska, spojrzawszy po raz drugi na nuty.

— Nie znam tego kompozytora — odrzekła panna Petronela, nie domyślając się, że *Ferdbeyer,* miało znaczyć Ferdynand Beyer, którego imię zwykle przez skrócenie drukowanem bywało.

— To może pani gra jakiego walczyka? — zapytał Kosma.

— Albo polkę-tramblantkę — dodał Damian.

— Przepraszam bardzo! — odrzekła mocno urażona panna Petronela — ja tańców nie grywam.

— Moja córka gra tylko *do słuchu* — szybko dodała mama, która podzielała ogólne przekonanie sąsiadek, że grać do tańca, to najniższy szczebel artyzmu. — Zresztą i dawniej nigdy moja córka tańców nie grywała, bo panna Rzempolińska surowo jej tego zabraniała.

— Czy pan dobrodziej muzykalny? — zapytała mnie gospodyni.

— Troszeczkę, łaskawa pani.

— To może nam pan zagra co do słuchu?...

— Przepraszam bardzo... ale ja nic nie gram do słuchu, tylko tańce... i to bardzo miernie.

— Aaaa... tańce... — szepnęła pani, z pewnym wyrazem pogardy.

— To dowód wielkiej *skromności* i *cierpliwości* — dorzuciła pani Kopytowska. — Granie do tańca musi męczyć, z powodu swej *jednostajności* i *monotonności*...

Nie czekając końca *ościstej* tyrady, zacząłem grać jedną z tych Straussowskich polek, które się nigdy nie starzeją. Obaj Bzdurscy podbiegli do panny Petroneli, prosząc ją jednocześnie do tańca.

— Przepraszam.... ale jestem zamówioną przez

pana Artakserksesa — odrzekła, wspierając się czule na ramieniu tego ostatniego i puszczając się z nim drobnymi kroki po sali.

Bzdurscy spojrzeli po sobie, namarszczyli brwi i jakby przez zemstę, porwali w tan obie panny Kopytowskie, wytrząsając niemi bez miłosierdzia.

Zabawny-bo też to był ten taniec!... Artakserkses, wlepiwszy jasno-niebieskie swe oczy w omdlewający wzrok panny Petroneli, zdawał się mówić do niej: „O gdyby tak żyć i umierać!“ a pragnąc przedłużyć błogie to zetknięcie, drobił kroczki, jak wróbel na nitce skaczący. Kosma Bzdurski, trzęsąc pannę jak w mołdawskiej febrze, tupał nieborak, dla pochwycenia taktu, co mu się jednak w żaden sposób udać nie chciało, bo od połowy taktu zacząwszy, już się z muzyką zrównać nie mógł. Na domiar złego, ile razy był już blizkim taktu, zawijając damą na lewo, tyle razy Damian, przez wrodzoną żyłkę sprzeciwieństwa, skręcał ze swoją tanecznicą na prawo, z czego naturalnie karambul i nowe stracenie taktu następowały. Przechodziło to jednak wszystko bez ważniejszych wypadków, gdy nagle znów pod piecem powstał szmer.

— Bez dwóch — rzekł słodziutko Pieniacki, biorąc kredkę do ręki.

— Jakto bez dwóch?!... bez jednej!... — wrzasnął Pływalski.

— Mamy 4 lewki... a sąsiadeczek grałeś ósemkę...

— Ale siedem żołędzi grałem!... słowo honoru!...

— Ósemkę... ósemeczkę... sąsiaduniu... — najspokojniej pisząc pomaganą, odrzekł Pieniacki.

— No kiedy mówię słowo honoru, że grałem siedem żołędzi, to jak Boga kocham nie mogłem grać ośmiu.

— Najświętsze słóweczka nieocenionego sąsiadka dobrodzieja... i o prawdzie intencyi któżby wątpił?.. — odparł coraz słodszym głosikiem Pieniacki — ale przypadkiem może zadeklarowałeś sąsiadek ósemkę... świadczę się tu oto przytomnymi sasiadami.

— Dddeklarowałeś... o... o... o...

— O... o... o!... — przerwał, przedrzeźniając sędziego, rozwścieczony Pływalski — no to przypuśćmy, że mi się wypsło z gęby!

— Nie powinno się nic wypsnąć... najdroższy sąsiadeczku.

— No ale jeśli się stało przypadkiem... to cóż?... kryminał?... zbrodnia?...

— A a... Boże uchowaj!... — pocieszał go uprzejmie Pieniacki — to nic więcej, tylko się za to płaci.

— No, ale w tym harmidrze grać nie można, jak honor kocham! — krzyczał Pływalski. — Tam klepią na klawikordzie, że aż w uszach dudni!... tu znów tupią i sukniami wiatr robią, że aż świece gasną i w oczach się dwoi!... Ja nie gram!... ja się rozbieram!..

— Nie można się rozbierać, sąsiadeczku — przerwał uprzejmie Pieniacki — bo jeszcze nikt nie ma plusików.

— No więc cóż?!... — chcecież mi już koszulę zabrać?!... — wrzeszczała ofiara omyłek...

— Ja się nawet dziwiłem — zauważył Kopytowski, skończywszy zapisywać pomaganą z konsolacyą —

dziwiłem się, powtarzam... że sąsiad grałeś osiem... boś sąsiad nie miał trzeciej damy żołędnej, oddawałeś dwie małe dzwonki.

— Kiedy sąsiada dziwiło, to czemuś mnie sąsiad pod stołem nie szczypnął?... Sąsiad zawsze mądry po szkodzie!

— Nnno... no... nnie kłócić się! — zakonkludował pan sędzia z Tututowa — odegrrasz się ssąsiad zzaraz, ot dddawaj kakkarty!

— A tak... najlepiej się odegram, dając karty, — dodał ciszej Pływalski, uspokoiwszy się nieco i rozdając.

Polka zbliżała się do końca, bo znużeni tancerze, zrobiwszy kilkanaście razy krąg sali, zaczęli ustawać i sadzać damy kolejno. Przestałem też i ja grać na chwilę.

— Chwała Bogu! — ozwał się głos jakiś z pod pieca

Był to głos Pływalskiego, który za roztargnienie spowodowane muzyką, dość już drogo zapłacił. Miałem szczerą ochotę podziękować mu za to naiwne westchnienie.

— Poleczka *śliczności!* — zauważyła pani Kopytowska, podchodząc do mnie. — Chciej pan przyjąć wyraz mej *wdzięczności*...

— Pan grasz jak sam Rajczak!... — zauważył koneser Baryłkiewicz, sądząc, że mnie najwyższym obdarzył komplimentem — dziękuję panu serdecznie.

— I ja! — dodał Damian z tryumfem, zadowolony, że jego żądaniu zadość się stało; gdy tymczasem Kosma,

szepnąwszy coś pannie Petroneli na ucho, namarszczył się na mnie w kącie, że nie od walca zacząłem. By go zato pocieszyć i urażoną miłość własną złagodzić, zacząłem walca, także jednego z tych Straussowskich, których melodye nad wiele szumnych reminiscencyi i ckliwych nokturnów przekładam.

Obaj bracia Bzdurscy podbiegli znów jednocześnie do panny Petroneli... lecz tym razem Kosma otrzymał palmę pierwszeństwa, gdyż zaraz po skończonej polce zamówił ją był do walca. Damian brwi zsunął... czuba nastroszył... a w oczach jego chęć zemsty ku bliźniakowi zawrzała; pochwycił więc w lot pierwszą obok siedzącą pannę Kopytowską, a Artakserkses z drugą jej siostrą zawinął.

Walcujące pary puściły się znów pędem po sali; ale z walcem niebezpieczniej było, niż z polką, którą tancerze drobili więcej w miejscu, ograniczając się na radykalnem wytrzęsieniu siebie i panien. Walc sięgnął szerszych rozmiarów i potoczył się prawie aż pod same ściany salonu. Rodziła jeszcze pewne obawy i ta okoliczność, że każdy z tancerzy inaczej walca pojmował. Więc Artakserkses tańczył go jak galopadę na *dwa pas*, Kosma na trzy, Damian zaś, może na złość bratu, wywijał niezręczne jakieś ósemki w prawo i w lewo, jakie zwykle w oberku się robią.

Zaraz z początku Kosma, swoim zwyczajem, zaczął walca od połowy taktu i do ładu z panną Petronelą, uczenicą panny Trykot, dojść nie mógł; gdy po pierwszych kilkunastu zwrotach niezgoda w takcie między nim a tanecznicą wzrastała, zatrzymał się zrozpaczony

na chwilę, przytupując sobie nogą, by zacząć z panną jednocześnie. Na nieszczęście stanął niedaleko stolika, przy którym zatopieni w kartach czterej gracze bez przerwy rzemiosło swoje wiedli.

W jednej chwili wpada na Kosmę, jak koń rozhukany, Damian wywijający ósemkę... i uderza w stojącą parę z taką siłą, że Kosma, wraz z panną Petronelą, przewraca się na Pływalskiego, który spadając z krzesła, pociąga za sobą cały stolik, obalając go wraz z lichtarzami i kartami na podłogę.

Zamieszanie powstało ogromne... na domiar bowiem klęski trzeba wiedzieć, że Pływalski grał właśnie *totusa bez atu*... szczęśliwy, że się choć trochę wymaże.

— Co się stało?!... — zawołała pani domu, podbiegając na widok leżącej córki.

— *Okropności!*...—krzyczała pani Kopytowska.— Czy Petrunia nie złamała *kości* przy tej *zręczności?*

— Nie... nie... — uspokajał nadbiegły Baryłkiewicz — upadła szczęśliwie.

— Podnoścież się, do milionset kroć tysięcy!...— wołał z pod stołu przyciśnięty Pływalski — a to słowo honoru... niesłychane rzeczy!... Sąsiedzie, nie pomieszaj kart... bo ja gram totusa bez kozery!... — wrzeszczał dalej, trzymając kilka pozostałych mu zmiętych kart w ręku.

— A kto tam teraz, sąsiadeczku, czego dojdzie?— bąknął z zadowoleniem Pieniacki.

— Już ja dojdę, dojdę, jak Boga kocham!... —

ciągnął dalej z pod stołu — miałem sześć dzwonek od tuza i cztery obce tuzy.

— Pppopostawcie ssstolik na nnnogi! — przerwał Pływalskiemu sędzia, i na to hasło stojący dotąd w osłupieniu, rzucili się na ratunek leżących.

Panna Petronela, przy pomocy nadbiegłego ze łzą w oku Artakserkesa, podniosła się z ziemi, nie poniósłszy szwanku na zdrowiu, ale z oberwaną suknią, co ją do opuszczenia sali wraz z mamą zmusiło. Kosma, kulejąc trochę, poczołgał się zawstydzony w najciemniejszy kącik salonu, ciskając piorunujące wejrzenie na bliźnika, uradowanego z dokonanej zemsty. Wygramolił się też wreszcie i Pływalski z pod stołu, który na nogi postawiono;... lecz niestety!... nowe czekało go rozczarowanie, bo zrzucone karty wszystkie się z sobą pomieszały, ku czemu (mówiąc nawiasem) i pan Pieniacki nieznacznie się przyczynił.

— Dawaj sąsiadku jeszcze raz — rzekł do Kopytowskiego pan Pieniacki.

— Dobrze! - zawołał, prostując się, Pływalski — niech sobie daje jeszcze raz, ale ja mego totusa bez kozery zmażę.

— Sąsiadeczek nieoceniony żartuje — słodziuchno zauważył Pieniacki.

— No przecież grałem totusa, jakem szlachcic! wy wszyscy jesteście świadkami... już miałem pięć wziątek na stole.

— Pięć wziąteczek, to nie dosyć — rzekł Pieniacki — trzeba mieć wszystkie dziesięć.

— No, ale nie mogłem zrobić więcej lew, skoro mnie pod stół przewrócono.

— A cóż my temu winni — poparł Pieniackiego pan Kopytowski.

— No, więc ja jestem winien temu, że mnie przewrócono?!

— Nikt nie winien, sąsiadeczku — dodał Pieniacki — jest to siła mocniejszego... niemniej jednak gra za nic.

— Jakto, u milionset!!... to niedość wam jeszcze żem spadł pod stół!... żem się potłukł, mamże się jeszcze w dodatku dać zrabować?!...

— Komu zrabować?... sąsiadeczku... komu?... komu?... podpytywał słodziuchno Pieniacki, który chciał gwałtem jakieś słówko krzywdzące ze zrozpaczonego Pływalskiego wydobyć. Ale Pływalski znał widać ptaszka, zacisnął więc tylko pięście i zrywając się z krzesła, krzyknął:

— Kiedy tak gracie!... kiedy ja, mając w ręku sześć dzwonek od tuza i cztery obce tuzy...

— Przecież pięciu tuzów w talii niema — zauważył Pieniacki.

— No więc miałem jednego tuza z królem... dość że kiedy ja po trzykrotnem przeliczeniu kart, mając oczywistych dziesięć lew i grę wygraną, muszę ją sobie dać wydrzeć!... to nie gram więcej, jak Boga kocham!... rozbieram się, jakem szlachcic, i słowo honoru nie gram nigdy więcej!

— Aaale ssąssiedzie!...

— Powiedziałem, że nie gram i basta!

— Zastanów się sąsiedzie — wtrącił pocieszająco Kopytowski — toż totus może ci przyjść jeszcze drugi raz...

— Mnie?!! kpisz sąsiad!... Jak gram pięćdziesiąt lat w preferansa, nie miałem jeszcze totusa bez kozery.

— Ale preferansa przed pięćdziesięciu laty nie grano — rzekł spokojnie Pieniacki.

— Co mi tam sąsiad kontrujesz?! Pięćdziesiąt lat czy czterdzieści, to na jedno wychodzi!... dość, że dziś grałem pierwszy raz totusa, miałem murowaną kartę... cztery razy przeliczyłem... dziesięć wziątek jak obszył... i to wszystko mam stracić?... Oho! dość tego... nie gram!

— Ale ssąssiedzie, zazastanów się...

— Nie gram, słowo honoru!... nie gram, jak Boga kocham!... jakem szlachcic!!... — wrzeszczał crescendo Pływalski. — Co to?... wjedzie który na plusy... i mnie rozciągną jak barana.

— Nie rozbierzemy puli... — rzekł pocieszając go Kopytowski.

— Zgramy ją do końca — dodał łagodnie Pieniacki.

— Sssłyszysz sąsiedzie... — dorzucił sędzia — nnie rorozbierzemmy pupuli...

Pływalskiemu w tej chwili błysła myśl jakaś w głowie, gdyż wyraz szalonej, dzikiej rozpaczy, nagle w jakąś pogodę ducha się zmienił.

— Nie rozbierzecie puli? — zapytał spokojnie grających.

— Nie rozbierzemy — odrzekli chórem.

— Słowo honoru? — spytał znów, wyciągając rękę.

— Słowo honoru! . . . — powtórzyli grający, podając mu dłonie nawzajem.

— To gram — odrzekł Pływalski — siadając, jakby nic nie zaszło, do kart i zapominając o tylko co dokonanych przysięgach . . . a nikt z obecnych właściwego celu tej zręcznie zastawionej zasadzki nie pochwycił.

Tymczasem podano wieczerzę, a że to i noc już zapadała i grono gości, zwarzone wypadkiem panny Petroneli, nie okazywało ochoty do ponowienia tańców, gospodarz zaś, zajęty niezmiernie czynnościami przygotowawczemi do jutrzejszej wystawy, ani na chwilę pokazać nam się nie mógł, — wymknąłem się, pod pozorem znużenia, do zielonego pokoju na spoczynek, pozostawiając Telusia przy starszych damach, Artakserksesa przy pannie Petroneli, Syamczyków przy siostrach Kopytowskich, a czterech graczy przy zielonym stoliku pod piecem, gdyż pula, miasto dobiegać do końca, ustawicznie jeszcze wzrastała.

* * *

Nadszedł nareszcie oczekiwany dzień wystawy rolniczo-przemysłowej. Drobny deszczyk padał sobie noc całą i ustawać nie myślał . . . a jednostajnie z dachu i liści spadające krople, cichym szmerem usposabiały do najprzyjemniejszego snu na świecie.

Nigdzie-bo też tak się nie śpi, jak na wsi w brzydką jesienną szarugę, kiedy pośnięte muchy dokuczać już przestają, a szum topoli, syk wiatrów i lekki szmer de-

szczu szepcą ci u wezgłowia monotonną pieśń . . . jak piosenka mamki nad kolebką. Spałem też jak może nigdy jeszcze, gdy nagle zbudził mnie huk i łoskot puszczonych w ruch fabryk pana Pafnucego.

Zapomniawszy na razie gdzie byłem, mimowoli schyliłem głowę, bo zdało mi się, że groźna burza zawyła naraz nad domem, łamiąc drzewa i krusząc w kawałki zawieszoną nad oknem strzechę. Oprzytomniałem jednak po chwili, gdy widok chrapiącego obok Telusia przypomniał mi miejsce pobytu i wszystkie dnia ubiegłego wrażenia.

O powtórnem zaśnięciu i mowy już być nie mogło, bo dla nieprzyzwyczajonego, sen w tym piekielnym chaosie czystem stawał się niepodobieństwem. Z mocnego chrapania Telusia wnosiłem, że do późnej nocy z gośćmi zabawiać się musiał, i nie myśląc błogiego przerywać mu spoczynku, począłem ubierać się zwolna, gdy nagle... świst lokomobili wypuszczającej parę, jak syk tysiąca wężów lub gadów piekielnych, rozległ się echem dokoła. Teluś, jak automat sprężyną tknięty, z zamkniętemi jeszcze oczyma, w jednej chwili usiadł na łóżku.

— Jezus Marya!! — krzyknął zaspany — co się stało?! . . .

— Nic, panie Telesforze — odrzekłem mu przystępując do łóżka.

— Kto jesteś, zły duchu?! . . . Kto jesteś dyable z piekła rodem?! — wołał, machając rękami w powietrzu.

— To ja, Piotr X. towarzysz noclegu.

— Ha... teraz pojmuję — rzekł, ochłonąwszy nieco

i otwierając oczy zaspane — przepraszam za mój wykrzyk . . . ale mi się całe piekło przyśniło! . . . Czy słyszysz pan ten huk i łoskot? . . . Jakiś syk dyabelski wpadł mi w prawe ucho i aż dotąd jeszcze w nim dzwoni.

— W samej rzeczy — odrzekłem — musiano puścić parę z kotła.

— No proszę ja pana — ciągnął dalej Teluś, ziewając i przecierając oczy — czy nie miałem racyi, uprzedzając pana, że od czasu tych genialnych pomysłów Pafnusia, spać teraz u niego nie można?

— Wistocie, i mnie huk maszyn obudził . . . ale ja się przynajmniej wyspałem; pan musiałeś znacznie później powrócić.

— Zgadujesz pan . . . siedziałem do trzeciej rano... bo nie wiesz wcale co zaszło.

— No, cóż nowego? czy znowu przewrócił kto pana Pływalskiego z totusem bez atu?

— Ale gdzie tam . . . spełnił się dziś w nocy fakt ważny. Przypominasz pan sobie owego melancholicznego Artakserksesa, o konopiastej grzywie?

— I jasno-niebieskich oczach? . . . przypominam sobie . . . kogóżby taka postać albinosa nie uderzyła? . . . Zdaje mi się, że się z panną Petronelą mają ku sobie.

— Zgadłeś, kochany delegacie. Otóż wczoraj, po wyjściu pańskiem, gdyśmy sobie w najlepsze herbatę z araczkiem zapijali, pan Artakserkses, który tu już od tygodnia bawi, wyniósł się cichutko z panną Petronelą do osobnego pokoju . . . i zgaduj pan co zrobił? . . .

— No . . . spodziewam się, że nic złego.

— Ha... jeśli oświadczenie się złem nazwać nie można, to rzeczywiście...

— Jakto?... oświadczył się pannie Petroneli?..— przerwałem Telusiowi...

— Oświadczył się, wedle wszelkich reguł, pannie i mamie Świderskiej.

— I?...

— I został przyjętym.

— A cóż ojciec?... czy go wcale o to nie pytano?

— Pafnuś zajęty był całą noc obliczaniem ilości zębów potrzebnych do jakiejś tarki czy płuczki (bo teraźniejszym maszynom, tak jak starym babom, zęby wprawiać muszą). Gdy więc pani Świderska, wraz z Pieniackim i młodą parą, przyszła oznajmić ojcu o zaszłym w familii ewenemencie, Pafnuś zaraz z góry zgodził się na wszystko, pod jednym warunkiem, żeby się natychmiast wynosili z jego pracowni, bo on nad bardzo ważną rzeczą przemyśliwa.

— A to wyborne!... — zawołałem mimowoli.

— Nie koniec jeszcze... — ciągnął dalej Baryłkiewicz. — Gdy już we czworo wrócili od ojca i gdy uradowana pani Świderska oznajmiła zebranym gościom o otrzymanem pozwoleniu dla młodej pary, obaj Bzdurscy jak oparzeni wyskoczyli na środek pokoju.

— To być nie może! — zawołał Kosma — ja miałem zamiar oświadczyć się pannie Petroneli...

— Przepraszam cię! — wołał Damian — to ja miałem zamiar oświadczenia się pannie Petroneli...

— Ty mi zawsze włazisz w drogę!

— Przeciwnie, ty mnie włazisz w drogę!

— Więc to panna Petronela — spytałem Telusia — była ową bogdanką, w której się obaj bracia kochali?

— Ona... ona... Ale słuchaj pan dalej. Powstała tedy, od słowa do słowa, kłótnia między Syamczykami, którzy w zawiści ku sobie tak zaślepli, iż nie widzieli tego, że im ktoś wlazł w drogę i pannę zdmuchnął z przed nosa, a zamiast zwrócić się z wyrzutami do wtulonego w ciemny kącik pokoju albinosa, przyskakiwali jak koguty do siebie.

Pan Pieniacki, ojciec narzeczonego, powstał wtedy, oświadczając bardzo grzecznie Bzdurskim, że skoro syn jego odebrał już zezwolenie od panny i rodziców, to on sam, jako ojciec i należący odtąd do rodziny Świderskich, w nieobecności pana domu uprasza panów Bzdurskich, aby swe żale wzajemne i zbyt głośne obelgi powstrzymali, albo sobie niemi gdzieindziej miotali. Bzdurscy widząc, że to nie przelewki, pochwycili wtedy za czapki, wybiegając pędem przed dom, dla natychmiastowego odjazdu; ale tu nowa, pocieszna zdarzyła się scena. Rozdrażnieni na siebie bracia, nie chcieli razem jechać na jednej bryce; a że konie były własnością Damiana, bryka zaś Kosmy, przeto Damian, amator deszczyku, siadł z chłopakiem na konie i popędził oklep do domu; Kosma zaś, nająwszy we wsi parę szkap chłopskich, powlókł się za nimi na swojej bryce... i tak zakończył się dramat tej nocy.

— A pula, czy skończona? — spytałem Telusia!

— Gdzie tam... te wszystkie wypadki przerwały grę, o co się nawet Pływalski nie gniewał. O ile wiem przepisali pulę, by ją rozegrać później, bo zresztą do

końca było jeszcze daleko. Pływalski miał szczególne nieszczęście...

— Czy tak?...

— Biedak... ile razy pula dobiegała do końca, tyle razy, jakby na domiar nieszczęścia, wpadał ogromnie.

— Domyślałem się tego... będzie to *perpetuum mobile.*

— Co pan powiada? — spytał mnie Teluś, niebiegły w łacinie.

— Nic... nic...—odrzekłem, zachowując spostrzeżenie swoje dla siebie.

Tymczasem nadszedł też Marcinek, przynosząc nam rzeczy, i po chwili, ubrani, zeszliśmy z panem Telesforem na kawę.

Na wsi ludzie wcześniej niż w mieście wstawać zwykli: zwłaszcza też w przemysłowickim harmidrze o zaspaniu mowy być nie mogło. Wchodząc więc na salę jadalną, zastaliśmy już całe wczorajsze grono, z wyjątkiem naturalnie Syamczyków.

Pani Kopytowska z córkami i panią Świderską, w rannych negliżykach, zajęte były spożywaniem kawy, którą panna Petronela, przy pomocy swego narzeczonego, rozlewała. Panowie Kopytowski, Pieniacki i pan sędzia z Tututowa rozprawiali jeszcze o wczorajszej nieskończonej puli, ubolewając nad nieszczęściem Pływalskiego, który napozór smutny, a z pod wąsa złośliwie uśmiechnięty, przysłuchiwał się niewinnie tej rozmowie, bębniąc palcami po stole... gdy nagle drzwi się z łoskotem rozwarły, a w nich ukazał się nareszcie pan Pafnucy.

Pan Pafnucy Świderski mógł mieć około lat pięć-

dziesięciu, wyglądał jednak na więcej. Wysoki, zgarbiony, chudy, żółty jak cytryna... o spiczastej głowie, z wierzchołka której fabryki mączki, cykoryi, tytoniu i zapałek resztę już włosów wygnały, pan Pafnucy przedstawiał skończony typ abnegata... typ męczennika nauki... ofiary wiedzy... która się pod ciężarem pracy umysłowej zgina przed czasem i w zasuszoną przemienia mumię.

Pan Pafnucy przedewszystkiem był abnegatem, bo abnegacya nadaje piętno oryginalności, wyróżniania się od tłumów, piętno wielkości i wyższych, szlachetniejszych popędów. Znaliśmy ludzi *pseudo-wielkich*, a w gruncie plewą społeczną będących, którzy niezaprzeczonej swej wielkości li tylko kosmykami włosów w kołtuny zwiniętych i brodą na cztery strony świata rozwianą dobić się zdołali; a jednak w ten sposób zdobyta wielkość, była o wiele trwalszą, niż cichej pracy zasługa, tę ostatnią bowiem lada język złośliwy, lada słóweczko w niwecz obrócić zdołały, gdy pierwsza trzymała się abnegata tak silnie, jak silnie trzymało go się Boże poszycie i zarost pierwotnych apostołów.

Pan Pafnucy tedy tem się na pozór różnił od wspomnionych wielkich ludzi, że fantastycznych kudłów na głowie nosić nie mógł, bo był jak kolano łysym; natomiast samopas puszczony zarost twarzy, do tytułu wielkiego człowieka pełne nadawał mu prawo.

W odzieży swej pan Pafnucy poszedł tak daleko, jak abnegat zajść może, jeśli przypadkiem ma córkę, i dla przyzwoitości wobec niej od najkardynalniejszej zasady odstępuje. Więc wytarty i zatłuszczony surdut, niegdyś brązowym się mieniący, okrywał kamizelkę

spiętą na dwa guziki, reszty bowiem brakło; między kamizelką a kusemi pantalionami zarysowywała się biała poprzeczna pręga... była to część koszuli, której zbyt krótka odzież zasłonić nie była w możności.

Na półaksamitnym niegdyś kołnierzu surduta, rozłożył się fantastycznie podejrzanej białości kołnierzyk od wymiętej i wygniecionej koszuli, bo pan Pafnucy chustki na szyi nie znosił, nie dojrzawszy tej części stroju na żadnym z obrazów, przedstawiających starożytnych mędrców.

Wyraz twarzy pana Pafnucego odpowiadał zupełnie roli, w której już był przywykł *pozować;* więc duże, wypukłe oczy, różową otoczone obwódką, przebiegały zwolna po otaczających, nie zatrzymując się długo na przedmiotach ni ludziach, którzy uwagi tak mocno zajętego umysłu zwracać na siebie nie mogli. Usta jego, zawsze wpół otwarte, rzadko kiedy poruszała rozmowa, bo rzeczy potoczne przechodziły mimo uszu pana Pafnucego... a więc i odzywać się o nich nie widział potrzeby. Zato, gdy była sposobność mówienia o sobie, o swych projektach... o przyszłych wynalazkach, nad którymi ślęczał... o rzeczach, które już stworzył i pomysłach, które w życie wprowadził... panu Pafnucemu rozwiązywał się język i naraz z zasuszonej mumii, w ciągle gadającą przemieniał się machinę. Wtedy oczy jego raczyły spoczywać dłużej na cierpliwym słuchaczu, któremu swe plany rozwijał... wtedy usta jego rozwarte poruszały się z taką szybkością, że twarz grała tysiącem ruchów, a broda jak w febrze się trzęsła... wtedy kościste jego ręce, zwykle na krzyż złożone, rozchodziły się z sobą,

biegając w różne strony, jak gzygzaki spadającego pioruna... O, ktoby go widział wtedy zdaleka, nie słysząc szczegółów rozmowy, mimowoli stanąćby musiał w podziwie, przekonany że powstał na nogi... duch Sokratesa, Newtona, lub conajmniej Dyogenesa.

W takich warunkach i śród otoczenia w jakiem żył, nie dziw, że wielkością swoją robił pan Pafnucy na sąsiadach ogromne wrażenie. Prócz jednego Telusia, który mu kawy z cykoryą i zakalcowatych rogali do śmierci darować nie mógł, nikt nigdy z najmniejszym nie śmiał się odezwać przekąsem, zwłaszcza w przedmiotach specyalności pana Pafnucego dotyczących. Za jego też ukazaniem się we drzwiach, sąsiedzi z miejsc się podnieśli, jak studenci na widok wchodzącego na katedrę profesora; pan Pafnucy zaś, skinąwszy głową na wsze strony i powiódłszy wzrokiem dokoła, usiadł do nalanej już kawy z rozwartemi ustami, które dopiero pierwszy kęs rogala własnej roboty, do funkcyi śmiertelnikom zwykłej powołał. Przy stole, po gwarnej przedtem rozmowie, uroczyste zaległo milczenie, a nikt z gości przerywać go nie śmiał, wobec zajętego ważnemi myślami gospodarza domu. Pani Kopytowska ucięła tylko co rozpoczęte opowiadanie swego dzisiejszego snu, który nie obiecywał być tak pięknym jak *Sen letniej nocy*, bo też w jesienną przypadł szarugę. Mimo to, umiała ona z niego wyprowadzać wnioski, dotyczące *przyszłości* różnych *osobistości* z jej licznych *znajomości*.

Pan sędzia z Tututowa, obliczający z Kopytowskim i Pieniackim ilość pozostałych jeszcze *bebetów w pupuli*, zaciął się w dalszej rachubie na widok wielkiego czło-

wieka, który w głębokiej zadumie przypatrywał się rozłamanemu rogalowi własnej inwencyi, studyując jego kolor, połysk, stopień wypieczenia i ilości zawartych w cieście dziurek. Nawet Teluś w pierwszej chwili stracił zwykły swój kontenans, bo i na jego fantazyę ta postać zamyślonego abnegata, ta atmosfera powagi i ciszy oddziałać w części musiały. Dopiero w chwili, gdy mu uprzejma panna Petronela z uśmiechem i wdziękiem filiżankę kawy podała, drgnął na wspomnienie cykoryi i zapominając o otoczeniu, zawołał:

— Jeśli to kawa z cykoryą... to... dziękuję... a o herbatę proszę.

Pan Pafnucy, na tę obelgę sobie wyrządzoną, ocknął się i spojrzał groźnie, jak lwica, której młode pocisk myśliwca zadrasnął.

— Kawa jest z cykoryą — rzekł — ale z cykoryą mojej fabryki.

— Aha!... z twoją?... — odrzekł poprawiając się Teluś — tak... to co innego... to co innego... Tylko... że ja rzeczywiście dziś nie jestem przy apetycie.

— Moja cykórya doda ci apetytu... tylko sprobuj.

— A przecież znam ją wybornie... sławna!... znakomita! — ciągnął Teluś, kręcąc się na stołku jak mucha w rosole. — Ja twoją cykoryę przekładam nad... czekoladę... tylko dziś... jestem niewyspany... taki jakiś nieswój... miałem sny trapiące.

— Cóż za sny? — spytała żywo pani Kopytowska, ogromna snów wszelkich amatorka.

— Ee... — bąkał Teluś — już tak dokładnie nie

pamiętam... ale... były tam okropne rzeczy... jakiś ogień...

— Ogień to złodzieje!... — przerwała mu — pilnuj się pan!

— Pilnuj się — dodał małżonek Kopytowski. — Szukasz majątku do nabycia, więc nie bez tego, żebyś gotówki nie woził... to niebezpieczne!

— O ja się dobrze strzegę — odparł Teluś, wyciągając się na krześle i brząkając w kieszeni historycznymi swymi kluczykami. — A ty jakeś spał, Pafnusiu? — dodał, odwracając rozmowę.

— Ja? — odrzekł zagadniony, ruszywszy ramionami — ja nocami nie sypiam...

— A cóż robisz w nocy?... — spytał Baryłkiewicz.

— Co ja robię? pracuję... myślę... tworzę... i to mnie snu pozbawia; zresztą dziś w nocy spełnił się fakt wielkiej wagi.

— A tak... tak... winszujemy!... winszujemy! — zawołali chórem goście.

— Dziękuję... rzeczywiście jest czego... osiągnąłem główny cel mych zabiegów.

— I osiągnąłeś go w zupełności — dodał, kłaniając się Kopytowski.

— W zuzuppełności...

— W istocie... słowo honoru — dorzucił Pływalski z ironią — wcale dobrana para...

— Para? — spytał gospodarz — nie rozumiem... ja o niej jednej tylko mówię.

— Jakto? — rzekł z przekąsem Pieniacki — o samej tylko córeczce?

— A któż mówi o córce? Ja mówię o maszynce do łuskania bobu, której model dziś właśnie nad samem ranem wykończyłem.

— Ale my ci zamężcia córki winszujemy – rzekł Teluś.

— Zamężcia mojej córki?... cóż to za żarty?

— To jest... nie tyle zamężcia, które ma nastąpić... ile zaręczyn, które już miały miejsce.

— Zaręczyny?... z kim? — zapytał ojciec zdziwiony.

— No, przecież dałeś sam zezwolenie na związek Truni z panem Artakserksesem — wtrąciła zarumieniona pani domu.

— Ja?... być może... — odrzekł, łamiąc spokojnie drugi rogal.

— Ale przypomnij sobie mężu... dziś nad ranem...

— A tak... tak... coś sobie przypominam — odrzekł wielki człowiek, studyując dalej wnętrze świeżo rozłamanego rogala... tak... tak... prawda... dziękuję... Ale kogóż to witam?... — dodał, powiódłszy oczyma dokoła i dojrzawszy nareszcie mnie... puch marny.

— Aa!... zapomniałem przedstawić ci mego przyjaciela — zawołał, uderzając się w czoło Teluś. — Pan Piotr X., delegowany Towarzystwa Kredytowego.

Pan Pafnucy raczył podejść do mnie i podać mi rękę.

— Czy pan dobrodziej ma w tych stronach jaką czynność? — rzekł, siadając koło mnie.

— Mam sobie poruczonem sprawdzanie opisu dóbr dla Towarzystwa Kredytowego, jeśli notabene pan dobrodziej życzy sobie przystąpić do nowej pożyczki.

— Ja zawsze przystępuję chętnie, gdzie idzie o dobro ogółu.

— No, ale jeśli ci pieniądze niepotrzebne — dorzucił złośliwie Teluś — to się ogół bez tej ofiary obejdzie.

— Owszem — rzekł pan Pafnucy — w mojem ręku pieniądz zawsze znajdzie zastosowanie, bo gospodarstwo jak moje... przemysłowe, intensywne...

— Jakie? jakie? — spytał Kopytowski.

— In-ten-sy-wne — powtórzył skandując.

— Zanotuj sobie ten wyraz — rzekła cichaczem do męża pani Kopytowska — on brzmi bardzo ładnie.

— Otóż... o czemże ja mówiłem?... Ale... wracając do rzeczy, gospodarstwo takie jak moje, racyonalne, industryjne...

— Więc nie intensywne? — zapytał pan Kopytowski, kończąc pod stołem notatki.

— Intensywne, industryjne, przemysłowe, postępowe — ciągnął dalej gospodarz — to są synonimy; ja postawiłem sobie w swojem gospodarstwie zasadę, żeby nic surowych produktów nie sprzedawać.

— Ja sobie tego zadania nie postawiłem — wtrącił z westchnieniem Kopytowski — ale tak mnie kradną, że rad nierad na tem skończę.

— Nie rozumiesz mnie, sąsiedzie — rzekł pan Pafnucy, ruszając ramionami. — Nie dlatego kasuję sprzedaż surowych produktów, abym nie miał co sprzedawać, bo produkcya u mnie dochodzi do bajecznych rozmiarów; samej cykoryi sprzątnąłem w tym roku 4000 centnarów...

Teluś aż się za żołądek chwycił, na wspomnienie takiej ilości cykoryi.

— Tytuniu wyprodukowałem w tym roku 11000 pudów, i to liścia najpiękniejszego, *flor fino*.

— A pszenicy? przenicy? — zapytał ciekawie Pływalski.

— Miałem dwanaście ziarn.

— A ja $24^1/_2$ ziarn — dodał Pływalski — słowo honoru! i byłbym miał 25, ale szelmy wróble z całego świata zwiedziały się o mojej pszenicy i pół zasiewu mi wypiły.

— Trzeba, było sąsiadeczku, straszka na nie urządzić — zauważył Pieniacki.

— Ale... dobre strachy na Lachy, a nie na wróble — odrzekł Pływalski. — Zawiesiłem lisiurkę na kiju, a jak mi ją mole objadły, sam właziłem w pszenicę. Z początku, kiedym się pokazał, to to łajdactwo odlatywało... ale ledwiem wyszedł z pszenicy, już ich znowu dwa razy tyle wracało, i to taką chmurą, że, jakem szlachcic!... słońce zaćmiewały i po omacku wracałem do domu.

— Trzeba było strzelać drobnym śrótem — radził Kopytowski.

— A strzelałem, strzelałem... a że, jak wiecie, sławnie strzelam, natłukłem tego tałałajstwa kilka tysięcy sztuk, jak Boga kocham!

— *Okropności!*... Czy to należy do *możliwości?* — zawołała pani Kopytowska.

— A no... kiedy mówię jak Boga kocham, to musi należeć do możliwości. Dość powiedzieć, że chłopy przez całe żniwa i zasiewki, ba i do samych wykopnisk, gotowali z tego rosoły... naturalnie z wyjątkiem dni postnych.

— I nie zaśmierdły się wróble do wykopnisk? — spytał z uśmiechem Baryłkiewicz.

— Co? — odrzekł niezmieszany trafną uwagą Pły-

walski. — Ha, widać że nie musiały się zaśmierdnąć, skoro ja sam widziałem w dwojakach, jak po rosole pływały wróble łapki; zresztą albo to chłop tak wybredza jak ty Telusiu?

Teluś zamilkł na ten mały przytyk i połknął jednym haustem filiżankę herbaty. Kończono też kawę, gdy do pokoju wszedł rządca z oznajmieniem panu, że wystawa czeka przybycia gości. Ruszyliśmy więc wszyscy (z wyjątkiem dam) na tę improwizowaną uroczystość.

Na obszernem podwórzu przemysłowickiem, gdzie wczoraj w największym nieładzie porozrzucane graty tamowały prawie przejazd, dziś inny zupełnie przedstawiał się widok. Przy bramie wjezdnej zatknięte były dwie duże trójkolorowe chorągwie, których barwy jaskrawe woda deszczowa spłukała i pomieszawszy je razem, w jeden jakiś nieokreślony zmieniła kolor. Pod sztachetkami ogradzającemi podwórze, jednym rzędem stanęły, jakby w bojowym szyku, najprzeróżniejsze maszyny, twory bujnej fantazyi pana Pafnucego, których celu i użyteczności najdomyślniejszy z domyślnych nawet specyalistów odgadnąćby nie był w możności. Więc rozsiadł się tam najprzód ogromny jakiś żelazny potwór, z wystającymi w górę stalowymi kłami, z czteremi rzędami żelaznych zębów i niezliczoną ilością kółek, które go do jakiejś hydry straszliwej podobnym czyniły.

Za zbliżeniem się naszem, pan Pafnucy wyprostostował się dumnie, głowę wzniósł w górę, a głaszcząc ręką dziecię swojej imaginacyi, rzekł głosem wyroczni olimpijskiej:

— Jest to żniwiarka skomplikowana, mego pomysłu.

Nie odbyła ona jeszcze próby, gdyż działanie koła rozpędowego zostało mylnie obliczonem, i dlatego w ruch jej się wprowadzić nie dało. Obecnie przygotuwuje się koło rozpędowe o 486 palcach, każdy po 3 cale grubości. Koło to zostanie tu... w tem miejscu osadzonem; — za poruszeniem się kółek, na których maszyna stoi, koło rozpędowe da obrót tym dwom walcom; walce te chwytają zboże, które natychmiast te cztery zastawione noże z matematyczną ścisłością podetną. Tak podcięte zboże te dwa trybiki łapią i okręcają w garście matematycznie równej wielkości, które znów te dwa kły, na tu oto znajdującą się deskę wyrzucają; te zaś dwie pary miotełek posuwających się po desce, zrzucają zboże na zagon z taką dokładnością, że wedle obliczeń mego buchaltera, każda garść zawierać będzie po 1.432 słomek zboża.

Słuchacze kiwali głowami z podziwu, obchodząc dokoła tę hydrę; najciekawiej jednak przyglądał się jej Artakserkses, chcący się tym sposobem przypodobać przyszłemu teściowi.

— Fiu! fiu!... — mruczał Pływalski — to nie żarty! Mam i ja sporo maszyn .. widziałem ich dużo... ale takiej strasznej, jak Boga kocham, nie widziałem.

— Wierzę bardzo — odrzekł Pafnucy — bo też jest mego pomysłu.

— A ileż to koni będzie trzeba — zapytał Kopytowski — żeby taką bestyą poruszyć?

— Dwadzieścia cztery — odpowiedział autor.

— A... to niepodobna!... Któryż szlachcic wytrzęsie tak zaraz z rękawa dwadzieścia cztery konie robocze? — zawołał Pływalski.

— Ja mówię o koniach dynamicznych — odparł spokojnie Pafnucy.

— A cóż to za rasa dynamicznych koni? — spytał znowu szlachcic.

— Dynamiczny koń, to siła pary — odrzekł z wysoka pan Pafnucy. — Maszyna zbudowana jest do lokomobili o sile 24 koni.

— Prosta rzecz — wtrącił Pieniacki — sąsiadeczek przecież to zna... i żartował tylko... któżby bowiem był w stanie zaprządz do kupy dwa tuzinki koników?

— No, co to... to dziwów niema — poprawił się Pływalski — można zaprządz i sto koni. Ja sam czytałem, że w Londynie było sto koni zaprzężonych wpodłuż u królewskiej karety. Wprawdzie była to galówka... ale taki sznur koni zaprzęgli, że, jak królowa wyjeżdżała z *Więzoru*, to kareta jej była jeszcze w bramie, a pierwszy koń już wjeżdżał do Londynu... Pisało o tem w gazetach... jakem szlachcic!

Słuchacze parsknęli od śmiechu, który jednak taić musieli, wobec poważnej miny gospodarza domu. Pokiwawszy więc do syta głowami nad maszyną, przeszli do następnej.

Była to znów ogromna bania, pękata... Przez środek tej bani biegła oś żelazna, nabita niezliczonem mnóstwem gwoździ; z wierzchu maszyny, jak nos zadarty, wznosił się rodzaj lejka, z boku zaś wybiegała rynienka, do wywalonego języka podobna.

— Jest to szarpacz uniwersalny, mojego pomysłu — począł znów pan Pafnucy. — Służy on do szarpania zarówno kartofli, jak buraków i korzeni cykoryi... zgoła

wszystkiego co potrzebuje być poszarpanem. Tym wierzchnim lejkiem wsypuje się produkt pierwotny, który za wprawieniem w ruch osi, gwoździe w niej osadzone w najdrobniejsze atomy rozrywają; ostatni produkt, to jest miazga, odchodzi tą rynienką do dalszego przerobu.

Szlachta, jak poprzednio, kiwała głowami. Artakserkses, dla przypodobania się teściowi, prześcigał wszystkich w tej chińskiej funkcyi, tak, że przez chwilę miałem silną obawę, aby mu głowa z karku nie spadła.

— Niech Bóg broni dostać się człowiekowi między te gwoździe — zauważył, składając ręce Kopytowski.

— Uchowaj każdego, Panie Jezu Chryste! — pobożnie powtórzył Pieniacki.

— A po dyabła by tam lazł?! — rzekł Teluś.

— Mój Telusiu, bywali już ludzie w takich tarapatach. Ja sam widziałem raz u przejezdnego Niemca maszynę *z żydowskiej* inkwizycyi, w którą gdy wsadzono otworem katolika i puszczono gwoździe, to tą rynienką już tylko usiekany zrazik mięsa wyszedł — wtrącił Pływalski, niekoniecznie biegły w historyi.

— A kości gdzie się podziały?.. — zapytał Teluś śmiejąc się.

— Co... kości?.. — odparł, namyślając się trochę łgarz. — Starły się, proszę ciebie, na mączkę i w postaci kurzu uleciały.

— To bbyły tortutury! — dorzucił sędzia z Tututowa.

Pan Pafnucy tymczasem, w złym już nieco humorze, odkrywał wieko obok stojącej ogromnej skrzyni po-

długowatej, na sześciu kołach osadzonej i w cztery opatrzonej dyszle.

— Maszyna, którą tu przedstawiam, jest także mego pomysłu. Jest to siewnik *en gros,* zwany przeze mnie *omnibusem.*

— Omnibus!.. omnibus! — przerwał Pływalski — słyszałem coś o tej maszynie... ale nie pamiętam gdzie i kiedy.

— Nie mogłeś słyszeć, sąsiadeczku — odparł Pieniacki — skoro szanowny nasz gospodarz sam ją wymyślił.

— Ale jak Boga kocham, słyszałem!

— Zdaje ci się, sąsiedzie, i klniesz się na to — wtrącił Kopytowski.

— No kiedy mówię jak Boga kocham!.. — wołał szlachcic pewny siebie, pierwszy raz może z prawdą się nie mijając.

Gospodarz chmurzył się coraz bardziej na to ciągłe przerywanie wykładu, a ja, nie chcąc dyskusyi przedłużać, nie przypominałem Pływalskiemu, gdzie i w jaki sposób o omnibusie mógł słyszeć.

— Otóż dotychczasowe siewniki — ciągnął dalej pan Świderski — były tylko dwojakiego systemu: łyżeczkowe lub szczoteczkowe, i tylko niektóre gatunki zbóż siać mogły. Ja połączyłem oba te systemy, i wymyśliłem siewnik łyżeczkowo-szczotkowy, którym siać można wszystko, począwszy od najdrobniejszych ziarnek maku i białej koniczyny, aż do największych rozmiarów kartofli.

— Czy sąsiad robiłeś próbę na kartoflach? — zapytał niedowierzająco Kopytowski.

— Kazałem nim zasadzić cały jeden morg od granicy Łgarzewa.

— Ależ tam kartofli na nim nie było — zawołał Pływalski. — Ja sądziłem zawsze, że to ugór... Popuszczały się wprawdzie jakieś dziwne mieszaniny... potrosze wszystkiego... rzepiku, pszenicy, koniczyny, owsa, grochu... a gdzieniegdzie i krzaczek kartofli wystawał...

— Zdawało się sąsiadowi — odparł na dobre rozgniewany Pafnuś. — Nim się co powie, trzeba się dobrze przypatrzyć. Mam raport o pięknym zbiorze kartofli z tego pola.

— Ale jak Boga kocham!.. — wołał Pływalski, pewien siebie.

— Sąsiadeczku — wtrącił słodko przyszły Świderskiego koligat, pan Pieniacki — kiedy sam właściciel twierdzi, że kartofelki były...

— Ale co mi sąsiad kontrujesz?!.. — przerwał zaperzony Pływalski, jak na złość mówiący tym razem prawdę. — Kiedy mówię słowo honoru żem widział, to jak Boga kocham musiałem widzieć!

— Nno... ooo co chhhodzi?.. — spytał sędzia z Tututowa.

— Ale o to chodzi — wrzeszczał Pływalski — że sąsiad Świderski chyba tego pólka z niby kartoflami nie widział.

— A cóż to sąsiad myślisz? — zawołał urażony do żywego pan Pafnucy — ja miałbym się bawić w oglądanie kartofli?.. Dla mnie czas drogi... mam ja wa-

żniejsze sprawy na głowie... To rzecz mego rządcy... mam raport i basta!

— A no... jeśli raport starczy za kartofle — odrzekł z ironią Pływalski — to *ala boner!*

— Co?!! — zapytał, marszcząc brwi gniewnie, gospodarz domu.

— Nnnic... wtrącił pan sędzia, który w charakterze sędziego pokoju, zwykł był wszelkie zwady łagodzić — jejedźmy dddalej!...

Szlachta tymczasem śmiała się za plecami Pafnusia z raportu o pięknym zbiorze kartofli, bo jak to zwykle u sąsiadów, każdy znał lepiej i dokładniej zbiory cudze, niż swoje własne, a na wspomnianem pólku porozsiewały się rzeczywiście z siewnika łyżeczkowo-szczoteczkowego wszelkie gatunki zbóż, jakie się kiedykolwiek tym omnibusem przejechały, ale najmniej tego co się zasiać miało, to jest kartofli. Mimo to obeszli wszyscy ów omnibus dokoła, kiwając, jak zwykle, głowami; Artakserkses nawet, dla przypodobania się teściowi, podlazł pod spód skrzyni, pragnąc zobaczyć otwory, którymi ci różni pasażerowie wylatywać z omnibusa mieli.

— A czegóż pan tam szukasz? — spytał go, postrzegłszy to, Pafnucy:

— Szukam... za pozwoleniem... dziurek — odrzekł delikatnie przyszły zięć.

— Cieszy mnie to, że Artakserkses ciekawy — rzekł pan Pafnucy do Pieniackiego. — Patrz pan, jak szuka otworów.

— O, mój syn bardzo ciekawy.

— Będzie z niego dobry obywatel — zakonkludował przyszły teść — skoro lubi rzeczy zgłębiać.

W milczeniu, takim samym trybem, obeszliśmy dwa rzędy przeróżnych straszydeł i cudactw, między któremi wznosiły się gdzieniegdzie nowego systemu sikawki i pompki, płużyce i pługi, drapacze i opielacze, maszynki do strugania kartofli, do wkładania rękawiczek, do robienia masła w lot, do szybkiego zdejmowania butów, jeśli komu zostać bez nich było pilno... wreszcie tarki, płuczki, trząski i t. d., a wszystko nowego pomysłu, wprawdzie jeszcze niewypróbowane, ale obliczone najdokładniej i w teoryi pana Pafnucego najświetniejsze rokujące nadzieje.

Na samym końcu działu machin i narzędzi uderzyła nas wszystkich nowa, do nieznanych celów zbudowana maszyna, z której dziwna jakaś, a niekoniecznie pachnąca dolatywała nas woń.

Teluś skrzywił się... pokręcił nosem... oczy przymrużył... i... kichnął od serca.

— Na zdrowie!! — zawołali sąsiedzi, chwalebnym zwyczajem.

— Dziękuję! — odrzekł Baryłkiewicz. — Ale czy nie wrócilibyśmy na kieliszek wódki? — zapytał pana Pafnucego. — Zimno mi trochę na tym deszczu... i tak mi się jakoś ckliwo zrobiło w tej chwili... ni stąd ni z owąd...

— Zaraz po skończeniu oddziału mechanicznego wrócimy — odrzekł Świderski. — Przegląd fabryk odłożymy na poobiedną porę... zresztą niewszyscyśmy pewno ciekawi — dodał, rzuciwszy gniewnem okiem na Pływal-

skiego. — Muszę was tylko chwilkę zatrzymać przy tej machinie, mego pomysłu, która stanowić będzie epokę w mechanice rolniczej i podniesie odrazu produkcyę o sto procent... Proszę panów bliżej.

Szlachta, rada nierada, zbliżyła się do maszyny, obficie ponatykawszy sobie nosy tabaką. Artakserkses, jak zwykle najgorliwszy, zajrzał nawet w jej wnętrze, ale nagle... chwyciwszy się mimowoli za nos, odskoczył na dwa kroki w tył. Prelegent tak mówił:

— Wiadomo, że podstawą bogactwa krajowego są... nawozy.

Obecni skinieniem głowy zgodzili się na ten nienowy aksyomat.

— Z nawozów znowu najlepszymi są komposty z pudretą.

I na to zgodzili się słuchacze skinieniem głowy, usta bowiem wszyscy hermetycznie zamknęli.

— Otóż niedość przysposobić komposty — ciągnął dalej Pafnucy — warunkiem urodzaju jest matematycznie dokładne rozrzucanie takowych po roli. Jakżeż się to dziś odbywa?

Słuchacze nie mieli ochoty ust otworzyć, że jednak prelegent czekał na odpowiedź, trzeba się było na ten czyn heroiczny raz zdobyć.

— Widłami — odrzekł szybko pierwszy pan Kopytowski.

— Grabiami — wyrzucił króciutko Pływalski.

— Dziobeczkami — wtrącił Pieniacki.

— U... u... u... mnie — zaczął sędzia, ale uciąwszy zaraz, zamilkł.

— Jakkolwiekbądź, ciągnął dalej Świderski — zawsze jednak odbywają tę czynność ludzie, a człowiek, to najniedokładniejsza maszyna. Otóż ponieważ matematyczna dokładność w rozrzucaniu kompostów na roli jest podstawą przyszłego urodzaju, wymyśliłem maszynę, która mieszając i macerując jednocześnie komposty z pudretą, spełnia zarazem funkcyę rozrzucania ich po roli, z najwyższą skrupulatnością.

Tu wskazał ręką na potwora, którego tułów, opatrzony kilkunastu parami żeber, opierał się na czterech nizkich kołach.

— Maszyna ta — mówił dalej — rozwiązuje właśnie to ważne, a do dziś dnia nierozwiązane zadanie. Poruszona na kołach, wprawia w ruch grabki środkowe, które dokonywają mieszania nawozów, — poczem te żebra, robiąc dwanaście obrotów na minutę, wyrzucają w górę poszarpany w najdrobniejsze atomy kompost, a ten następnie, ciężarem swym opadając na rolę, rozsiewa się na niej z matematyczną dokładnością. Maszyna ta jest już wypróbowaną.

— O, to znać — rzekł Pływalski, zażywając tabaki.

— To czuć raczej, chciałeś powiedzieć — szepnął mu Teluś.

Obecni kiwali głowami, nie mając ochoty zbliżyć się do tej kalifornii gospodarskiej. Delikatny tylko Artakserkses, na ciekawości już sparzony, trzymając się także w przyzwoitej odległości, zapytał przyszłego teścia:

— A gdzież się tu... za pozwoleniem... kompost wkłada?

— Tu, odrzekł niezadowolony z dodatku, namarszczywszy brwi, Pafnucy.

— I ta jedna... za pozwoleniem... maszyna...

— Co?! — zapytał gniewnie autor cudu... a między obecnymi rozległ się szmer tłumionego śmiechu.

— Pytam się — rzekł zmieszany Artakserkses — czy ta... za pozwoleniem... maszyna jest...

Głośniejszy nieco wybuch ogólnego śmiechu, zagłuszył pytanie delikatnego młodziana.

— Cóż to ma znaczyć, mości kawalerze?! — spytał z nietajonym gniewem pan Pafnucy, którego oczy wypukłe naraz krwią ze złości nabiegły.

— Ale... ja się... pytam... — szeptał, nie domyślając się niczego, blady jak trup Artakserkses... — czy ta... za pozwoleniem... maszyna...

Śmiech obecnych wybuchnął na całe gardło.

— Cóż to, u milionset kroć tysięcy! Ja przecie świństw żadnych tu nie przedstawiam!

— Ale... za pozwoleniem... bąknął Artakserkses.

— Bez pozwolenia do wszystkich dyabłów — wrzasnął pan Pafnucy, którego *mechaniczna* miłość własna, do żywego dotkniętą została. — Taki młokos śmie naigrawać się z mego dziecięcia!

— Ale... za pozwoleniem... — bronił się biedny niedoszły jeszcze zięć — ja nie mówię o pannie Petroneli... ja mówię... o... za pozwoleniem... maszynie.

Świderski, temi słowy do żywego urażony, wybuchnął jak wulkan... jak szlachcic w punkt honoru ugodzony.

— Cóż to wasan sobie myślisz?! — wołał targając

się za brodę, — czy o to mych dziełach mówi się *za pozwoleniem*, jak o jakiem paskudztwie?!

— Ale sąsiadeczku... nie zapalaj się — mitygował go słodziutko Pieniacki — to zdrowieczku szkodzi...

— Ja się zapalam... bo mi się tak podoba!! Taki smyk!!

— Jak go nazwałeś, sąsiadeczku?... jak?... — podpytywał coraz słodziej ojciec niewinnej ofiary.

— Smyk!! smyk!! — rozumiesz waść?!...

— Biorę sobie za świadeczków obecnych tu sąsiadeczków...

— Smyk!! smyk!! smyk!! — powtórzył, trzęsąc się ze złości, Pafnucy.

— I do tej trzykrotnej obelżki... biorę sobie sąsiadeczków.

— A bierz sobie i dyabła samego za świadka, ty podchwytujący za słówka kauzyperdo! — wrzasnął Pafnucy, w którym żyłka szlachecka, ozwawszy się na draśniętą miłość własną, zagłuszyła człowieka nauki... ofiarę wiedzy i... wyższych poglądów...

— I te słóweczka pamiętać proszę! — mówił do obecnych Pieniacki, nie podnosząc głosu ani o pół tonu.

— Umykaj!... umykaj mi z przed oczu... wraz ze swoim za pozwoleniem gagatkiem, bo... nie ręczę, wrzasnął Pafnucy, zwracając się ku domowi.

— Pa... pa... pa... pa... panowie... uu... u... u...

— Owszem... owszem — przerwał sędziemu Pieniacki — ale biorę sędziulka za świadeczka pogróżek... rozprawimy się... grzecznie... ładnie... pięknie... jak

Bóg przykazał — rzekł, idąc ku stajni; lecz zawróciwszy się po chwili, zapytał znów, jakby nigdy nic, tylko trochę głośniej, by odchodzący Pafnucy posłyszał:

— A cóż będzie ze związkiem narzeczonej już parki?

— A niech go kaczki zdepcą!! — odkrzyknął Świderski — rozumiesz waść?... zrywam wszystko!

— Więc szanowny sąsiadeczek zrywa? — zapytał uprzejmie Pieniacki.

— Ja zrywam!... ja! ja! no i cóż?!...

— A... nic — odrzekł, zacierając ręce, Pieniacki — robię słowne zaznaczenie, biorąc obecnych za świadków, że najszanowniejszy nasz sąsiad Świderski zerwał ustną umowę, zaakceptowaną wobec osób trzecich przez strony; spróbujemy inkwizycyjki, w moc artykuliku 260 kodeksu postępowania sądowego. A teraz, synku, jedziemy! — zawołał rezolutniej, ciągnąc z sobą za rękę nawpół nieprzytomnego ze strachu albinosa.

— Chodźmy!... chodźmy! — wołał na nas rozwścieczony Pafnucy. — Ten pieniacz mnie swoją zimną krwią do ekscesu doprowadzić gotów.

— Ale!... ale!... sąsiadku Kopytowski i sędziulku! — krzyczał zdala, siadając na brykę, Pieniacki — proszę przepisaną pulkę wczorajszą mieć u siebie... obliczymy ją...

— Bodajeś pękł!... — mruknął Pływalski, któremu wspomnienie puli lekki dreszczyk sprawiło.

Gospodarz tymczasem podążał pędem ku domowi, a i my, z wyjątkiem obydwóch Pieniackich, udaliśmy się w ślad za nim.

— Wszystko zerwane!... — rzekł, wpadając z roz-

wianą brodą do sali, w której jeszcze damy gawędką pośniadaniową się zabawiały.

— Wwwszszystko . . . zzzzer . . .

— Jakto? co? . . . — przerwała sędziemu z Tututowa przerażona pani Świderska.

— Małżeństwo z tym smykiem Artakserksesem zerwane!

— Przebóg!! . . . — zawołała panna Petronela, układając się wdzięcznie na krześle do wygodnego zemdlenia, na które się jeszcze nie miało. — Ja tego nie przeżyję! . . . — rzekła ciszej do nadbiegającej na ratunek matki — zwłaszcza . . . że i Bzdurskich się z kwitkiem odprawiło.

— Ale cóż to za *okoliczności* były powodem tej nagłej *zmienności* i zaszłej *ewentualności?* — zapytała uradowana w duszy amatorka *ości.*

— Okoliczności były ważne! . . . — rzekł gospodarz, rozłamując nowy rogal własnego fabrykatu i przypatrując mu się ze szczególną uwagą. — Ja jestem człowiekiem nauki . . . na drobne niedoskonałości ludzkie jestem wyrozumiały, bo nie może być doskonałości w człowieku, skoro jej jeszcze i w maszynach niema; . . . dam się okraść, skrzywdzić materyalnie . . . można mi dom do góry nogami przewrócić! . . . takie rzeczy puszczę płazem. Ale jeśli kto dotknie nauki, której życie całe poświęcam . . . jeśli kto najszczytniejsze jej pomysły, zastosowane przeze mnie, sponiewiera i pod pozorem jakiejś konwencyonalności . . . ze wzgardą się o nich wyraża . . . o! wtedy, jako adept nauki, bronię też jej honoru do ostatka!

To rzekłszy jednym tchem, pan Pafnucy cisnął rogał do kosza i rzucił się w milczeniu na krzesło, bębniąc palcami po stole.

Wszyscy obecni uszanowali boleść adepta nauki (wyrabiania maszyn do kompostów); nawet Teluś świętokradca zasunął się w krzesło, spuszczając oczy w ziemię.

Pani Kopytowska skinęła na męża i rzekła mu cichutko do ucha:

— Wiesz co . . . po takiej *okoliczności* . . . przyszła mi myśl . . . czyby przy tej *zręczności* . . . nie zwabić młodego Pieniackiego do której z naszych córek . . .

— Ha! . . . — mruknął pan Kopytowski — jeśli tak myślisz . . .

— Każ więc zaprzęgać — szeptała dalej — pojedziemy zaraz, bo w naszej *obecności* ten wybuch *wściekłości* . . . mógłby przekroczyć granice *przyzwoitości* . . . Ty zaś zaraz z domu pośpieszysz do Pieniackiego . . . niby z wynurzeniem *żałości* . . . . i przy tej *zręczności* zaprosisz go z synem na herbatkę . . . ale na *osobności* . . .

Kopytowski wyniósł się cichaczem, aby zadysponować konie do wyjazdu, a panie udały się do pokojów, w celu pakowania rzeczy.

W godzinę niespełna żegnaliśmy ich przed domem, zwarzona bowiem pani Świderska na zatrzymywanie ich się nie siliła.

Oglądanie fabryk, z powodu niedyspozycyi pana Pafnucego, odłożono *ad feliciora tempora.*

— Czy nie mógłbym rozpocząć mej czynności? — zapytałem nieśmiało pana Pafnucego, bębniącego ciągle jeszcze po stole.

— Musisz mi pan zostawić parę dni czasu — odrzekł, pocierając czoła.—Każę rządcy pozbierać papiery... Ja sam ważniejsze mam rzeczy na głowie . . . , a na domiar złego . . . przez tego łotra pieniacza, zapomniałem teraz, jaką ilość potrzebnych do ostatniego trybu zębów wyrachowałem . . . kalkulacyę całej dzisiejszej nocy dyabli wzięli!

— Ale ja mam dużo jeszcze przed sobą roboty — odpowiedziałem — nie mógłbym więc bezczynnie kilku dni wyczekiwać.

— No przecież pan masz te same czynności i w sąsiedztwach; poułatwiaj się z nimi, bo oni mają czas wolny, a na ostatek proszę do siebie.

— U mnie naprzykład, w Łgarzewie, wszystko gotowe, — wtrącił szybko z błagalnym wzrokiem Pływalski, ciągnąc mnie na stronę.

— Wiesz co, delegacie — dodał Teluś — przyszła mi wyborna myśl. Pływalski miał wyprawić polowanie, które się przez tę przeklętą szarugę i wystawę odwlokło. Pojedziemy dziś do Łgarzewa. Pan przez noc czynność ułatwisz, Pływała myśliwych sprosi, jutro zapolujemy, a na pojutrze możesz tu być z powrotem.

— A czy daleko stąd do Łgarzewa? — spytałem.

— Ot . . . tu zaraz za laskiem . . . — podchwycił Pływalski — malutka milka . . . półgodzinki jazdy . . . a co za polowanie! rogaczy i zajęcy . . . jak pestek!

— No to zgoda — odrzekłem.

— Brawo! . . . — zawołał uradowany Pływalski, rzucając mi się na szyję. — Nie sądź pan, aby tę ra-

dość powodował interes . . . bynajmniej . . . mam nawet w Łgarzewie znaczne kapitały . . .

— Tylko tak gdzieś zakopane — wtrącił Teluś, — że i sam dyabeł odnaleźć ich nie może.

Pływalski tymczasem wybiegł, kazać zaprzęgać, a my z Baryłkiewiczem poszliśmy do zielonego pokoju pakować rzeczy.

— To sławna awantura z tym Artakserksesem — rzekłem do Telusia.

— Bo nie wiesz pan może — odparł, zamykając kuferek — że biedny albinos najniewinniej popadł w kabałę. Jest on przesadzonej delikatności i wyrazu *„za pozwoleniem“* używa, mówiąc nawet o najniewinniejszych częściach garderoby . . . o butach . . . czapce lub krawacie . . . Trzebaż było nieszczęścia, że maszynę . . . dzieło Pafnusia, straszliwie czuć było . . . i że Świderski wziął to jego przysłowie za przytyk do rodzaju maszyny . . .

— Ciekawym jak też się to skończy?

— A i ja . . . ale dowiemy się o tem wkrótce. Już to tam . . . procesik jak na dłoni . . . Gdybym był na pańskiem miejscu, pojechałbym ze Łgarzewa do Wichłaczewa . . . o małą milę . . . pod pozorem dokonania u Pieniackiego taksy, i stamtąd dopiero wróciłbym do Przemysłowic. Epilog tej historyi możeby się do tej pory rozwiązał.

— Tak też najpewniej zrobię — odrzekłem, bo mi wrodzona żyłka ciekawości radziła usłuchać rady Telusia.

W godzinę potem żegnaliśmy się z mieszkańcami Przemysłowic, zostawiając pannę Petronelę na tem samem

krześle, ale jeszcze nie zemdloną, a panią Świderską podającą córce do wąchania flakoniki anodyn i eteru i pocierającą jej skronie słynnym octem siedmiu złodziei.

Pod oknem siedział, oczekując także na konie pan sędzia z Tututowa, przeglądając bacznie arkusz papieru, na którym niedokończona wczorajsza pupupula skopiowaną była.

Z panem Pafnucym nawet „do widzenia“ nie mogliśmy sobie powiedzieć, poszedł już bowiem jakby nigdy nic nie zaszło, do swojej mechanicznej pracowni, aby obliczyć z buchalterem Niemcem potrzebną ilość zębów do owego trybika, nad którym prześlęczał już napróżno noc całą.

Ł g a r z e w.

— Którędyż my jedziemy? — zapytałem mego towarzysza podróży, p. Telesfora Baryłkiewicza, rozglądając się po lesie i okolicy, która mi się jak gdyby już znaną wydawała.

— Jedziemy przez las przemysłowicki — odrzekł mi.

— Jakto? . . . trzebaż więc przebyć cały las, a może i Poczekajkę, chcąc się do Łgarzewa dostać?

— A naturalnie.

— No, toć musi być znacznie więcej niż mila drogi.

— Znacznie więcej niż dwie mile nawet — odrzekł pan Telesfor. — A pan co myślałeś?

— Ja myślałem, że mamy przed sobą małą milkę,

pół godziny jazdy . . . jak mnie zapewniał pan Pływalski.

— Pan Pływalski? a to mi się podoba! . . . I pan temu wierzyłeś?

— Czemużbym nie miał wierzyć?

— No, to chyba pan nie znasz bliżej Polikarpa Pływalskiego.

— W istocie, nie mam przyjemności . . . tyle tylko com go w Przemysłowicach przy preferansie widział.

— Eh, to tak mi pan gadaj . . . teraz się pańskiej dobrej wierze nie dziwię.

— Czyżby pan Pływalski był człowiekiem złej wiary?

— Tego nie powiem . . . Pływalsio jest sobie bardzo dobrem człeczyskiem; szlachcic z gruntu uczciwy . . . ale . . .

— Ale? . . .

— Ale łgarz jakich mało pod słońcem.

— Proszę — odrzekłem, zbierając wspomnienia. — Teraz przypominam sobie nieco . . . choć na razie nie śmiałem robić tego przypuszczenia, nie poznawszy go bliżej . . . Z kilku jednak słów jego zdawało mi się, że widzę istotnie pewien rodzaj mijania się z prawdą . . .

— Naco tyle słów dobierać, mój delegacie, i w bawełnę owijać? Tam mijania się z prawdą, i to w pewnym jeszcze rodzaju, niema, bo Pływalsio łże jak z nut, bez miłosierdzia, bez miary, i to od tak dawna, jak go tylko zapamiętać mogę. Łgarstwo weszło już u niego w taki nałóg, że stało się jego drugą naturą, że choćby i chciał czasem, to prawdy co się zowie prawdziwej po-

wiedzieć nie może, chyba mu się ona wymknie z ust przypadkiem.

— Albo u konfesyonału . . .

— No, i na tobym nie przysiągł . . . ale, że jego spowiedzi nikt nie podsłuchał, a ksiądz tajemnicy nie zdradzi, więc w tym jedynym razie na wyjątek się godzę.

— Jeśli tak, to, koniec końcem, jest on człowiekiem bez wiary.

— Co to, to nie . . . Ludźmi bez wiary zwiemy nieuczciwych, niesumiennych, do których Polikarpa w żadnym razie zaliczyć nie można, bo jak już panu powiedziałem, człeczysko to wcale poczciwe, ale lubi kłamać z amatorstwa . . . czy też z przyzwyczajenia . . . tego już nie wiem, a kłamstwa jego są tak niewinne, że nikomu szkody nie przynoszą. Lże sobie teraz, bo łgał od młodości; dawniej było to dlań przyjemnością, dziś stało się przyzwyczajeniem, a więc drugą naturą. W chwili takiego pływania oczy mu się iskrzą, twarz opromienia, czupryna kurzy . . . a kiedy znajdzie audytoryum, przed którem może się wyłgać dobrze, co się zowie, ma potem lepszy sen i apetyt, i jest w takim humorze, jak gdyby go największe spotkało szczęście.

— Dziwna rzecz — odrzekłem — ludzie tego rodzaju są zwykle bardzo wesołego usposobienia, lubią żarciki i facecye. . . tego zaś w panu Polikarpie nie zauważyłem.

— Boś go pan widział w towarzystwie Pieniackiego, człowieka którego nie cierpi, i co gorsza, przegrywającego w preferansa, czego także nie lubi. Miał dużo nieszczęścia: wpadał na ćwika, to znów dansery na niego wpadali,

a wreszcie wpadł pod stół, co wszystko tak na jego humor oddziałało, że innym przedstawił się panu człowiekiem. Ale skoro go poznasz na łgarzewskim zameczku, w archeologicznej zbrojowni, a jeszcze na polowaniu, to ręczę panu, że tego nie pożałujesz, bo takich egzemplarzy często się na świecie nie spotyka. Ja sam pasyami lubię parę razy do roku zajeżdżać do niego. Wprawdzie kiepsko się tam żyje, bo, o ile mi się zdaje, mniemany jego kucharz jest tylko fikcyą, a jedzenie warzy zwykła kurna baba; piwnica też jego raczej do chwały Bożej, niż do rozkoszy śmiertelników się kwalifikuje. Ale kiedy mi co dokuczy, co się rzadko zdarza, albo kiedy się gdzie zanadto znudzę, co już częściej bywa, jadę wtedy do Polikarpa, a tam odpoczywając sobie na sofie, słucham jego niewinnych kłamstw i naśmieję się za wszystkie czasy, lepiej niż na uniejowskim teatrze.

Ucieszyłem się w duszy temu nowemu typowi, który mi do mej kolekcyi przybywał. Tymczasem zajechaliśmy przed Poczekajkę, a że to droga była krwawa i deszczyk, choć nieco wolniej, mżył sobie, więc wytchnąć koniom było trzeba.

W szynku tym razem były pustki. Za szynkwasem znajoma już nam dziewka, z założonemi na krzyż rękami i głową na piersi zwieszoną, drzemała sobie w najlepsze. Na ścianie spoczywała tradycyjna tablica z szyfrem, całą buchalteryę pana Wabika mieszcząca, a dość czysta atmosfera izby wymowny stanowiła dowód, że od paru przynajmniej godzin gości tam nie było.

Przeszliśmy w milczeniu izbę, udając się do znanej

już nam białej sali, gdy nagle doleciało uszu naszych mocne chrapanie z pod pieca.

Na dwóch zestawionych z sobą krzesełkach wyciągnął się pan Wabik, głowę oparłszy o ścianę i rznąc sobie także śpika, przy akompaniamencie najróżnorodniejszych tonów gardlano-nosowych, które jakby szum niedostrojonej harfy eolskiej rozlegały się dokoła. Oblicze Wabika, dość niby napozór spokojne, od czasu do czasu wykrzywiało się we śnie, zdradzając jakąś marę, co go wtedy trapić musiała. Może to był ów w złą godzinę wyprorokowany przez Telusia syk dyabła w chwili śmierci, na wspomnienie którego Wabik się wtedy przeżegnał... może który z klientów, mimo całej przezorności oberżysty, wyniósł się przy dziewiątej krótkiej kresce i odtąd w karczmie więcej nie postał... może który z pacyentów rodu ludzkiego lub rogatego (co czasem na jedno wychodzi), wyprawiony kuracyą Wabika w światy lepsze, odzywał się doń stamtąd, jak duch Hamleta, wołając o pomstę... dość, że Wabik mocno krzywił się we śnie, a że oddech jego był normalny i cera chorobliwego stanu ciała nie zdradzała, musiały więc pobudki tych wykrzywień być czysto moralnej natury.

Przystanęliśmy na chwilę, lubując się widokiem oberżysty, pogrążonego w głębokim, choć niekoniecznie błogosławionym śnie, gdy nagle Wabik machnął rękami w powietrzu, a usunąwszy tem drgnieniem krzesło z pod nóg, zbudził się na szmer stąd powstały.

— Wszelki duch! — zawołał, ujrzawszy nas. — Co to? Panowie jeszcze tu?! — dodał, przecierając zaspane oczy.

— Przecieżeśmy dopiero przyjechali — odezwał się Baryłkiewicz.

— Ach!... przepraszam pana dziedzica – rzekł, sumitując się i pocierając zdrętwiałą w kolanie nogę — ja myślałem, że to jeszcze panowie Bzdurscy.

— No przecież i Bzdurscy odjechali wczoraj z nami do Przemysłowic.

— Ale wrócili tu — odrzekł, kiwając głową — wrócili, na moje utrapienie... Oh panie dziedzicu... całą noc mi zabili... Przez nich to teraz musiałem drzemać, skurczony jak pies, bom do rana oka nie zmrużył.

— A pocóż tu zajeżdżali? — spytałem.

— Poco?... no to panom powiem... w sekrecie — dodał oberżysta, przymykając drzwi. — Niech panowie raczą usiąść, bo to długa historya. Otóż była może godzina pierwsza w nocy... ledwiem ostatniego pijanicę z szynku za kołnierz wyrzucił, ledwiem się z obrachunkami całodziennymi ułatwił, ledwiem pacierz zmówił...

— Czy pan Wabik mówi pacierz?... — wtrącił Teluś.

— Ee — odrzekł zagadniony — niechże już pan dziedzic nie heretyzuje ze mnie... wszakżem katolik.

— Cóż dalej? cóż dalej? — spytałem.

— Otóż ledwie łeb do poduszki przycisnąłem i zasnąłem, tak jak człowiek spracowany po całodziennem kocołowaniu zasypia..., nagle buch!... ktoś w okiennicę... raz i drugi. Zdawało mi się we śnie, żem okiennicy nie domknął i że nią tak wiatr wywija;... myślę więc sobie: a rozbijaj się, kiedy cię to nie boli, i zasnąłem. Po chwili... buch raz!... buch drugi raz i trzeci,

i czwarty! Zaczyna ktoś dudnić w okiennicę, jak nie przymierzając dobosz w bęben na alarm. To już nie wiatr z okiennicą, pomyślałem sobie, to widocznie ludzkie pięście. Rad więc nierad, bo oberżysta to jak pies służyć musi każdemu łazędze... wywlókłem się z łóżka, idę... otwieram drzwi, patrzę... a tu przed karczmą zmoczony, zbłocony, zszargany, jak nieboskie stworzenie, siedzi pan Kosma oklep na swojej szkapie, a obok niego parobek, który w okno szturmował, drugą szkapę za uzdę trzyma.

— Co się stało? — spytałem — gdzie bryka? gdzie pan Damian?

— Otwórz stajnię przedewszystkiem — zawołał pan Kosma — i każ samowar nastawić... reszty się dowiesz.

Otworzyłem stajnię, do której wprowadzono biedne, zmordowane szkapięta, a sam, klnąc w duszy na czem świat stoi, wróciłem z panem Kosmą do izby, żeby mu kazać samowar nastawić. Och panie dziedzicu! nasz chleb to się ino na oko takim białym widzi... ale to czarny chleb razowy, ościsty... aż tu nieraz w gardle kością staje. Dziewki dobudzić się nie mogłem, bo to bydło jak się na noc naje a zaśnie, to choć z moździerza nadełbem strzelisz... ani drgnie... a pociągniesz całą garścią za włosy, to się tylko ręką, jakby od muchy, ogna. Nie było rady... musiałem się sam nad samowarem namordować, nachuchać, nadmuchać, aż mnie dotąd jeszcze płuca bolą.

— To przejdzie... przejdzie... wyrżnij wódki z tłuszczem... Ale cóż Kosma? — spytał Teluś.

— Pan Kosma — ciągnął dalej Wabik — chodził tymczasem po sali wzdłuż i wpoprzek, z założonemi wtył rękami, a chodził tak zawzięcie i tak zamaszyście, że parę razy stołki poprzewracał. Ja, człowiek prosty, nie śmiałem mu na razie milczenia przerywać; ale w końcu, widząc, że chodzi a chodzi, sapie a wzdycha, i przypomniawszy sobie, że bryką odjechał, a konno oklep powrócił, pomyślałem w duszy: pewnie się nieboraczek zgrał w karty i nie mając pieniędzy, brykę na fant szulerom zostawił. Zapytałem go więc w najniewinniejszej myśli, czy przypadkiem trochę pieniędzy nie potrzebuje.

— Ja? — odrzekł zagniewany — tobie tylko pieniądze w myśli.

Zamilkłem, uspokojony nieco; ale widząc, że jak chodził tak chodzi i jak sapał tak sapie, zapytałem go znów jak najgrzeczniej o powód tego gniewu i tego przybycia bez brata i bryki.

— Nie wspominaj mi o nich! — zawołał pan Kosma w pasyi — jeśli nie chcesz żebym cię poszarpał w drobne kawałki!

Przyznam się panom, żem zgłupiał na taki gniew niepojęty dla mnie, i obawiając się zostać z nim sam na sam, zbudziłem dziewkę, by mieć jaką taką pomoc, w razie napaści tego pijanego czy waryata.

Tymczasem samowar zakipiał... herbata naciągała, i zebrawszy naprędce co było zimnego z obiadu, usłużyłem panu Kosmie jak przystało. On wciąż milczał, brwi miał zsunięte, jak gdyby żyda zabił; ale w tej złości zjadł wszystko co było, wypił herbaty ni mniej ni więcej tylko całe sześć szklanek, to jest tyle ile samowar wody mie-

ścił, a nachodziwszy się aż do zmęczenia, kazał sobie spanie przygotować.

U mnie niema innego miejsca tylko na sali, bo tu nigdy goście nie nocują. Jak więc mogłem poradziłem sobie, pozestawiawszy krzesełka do sofy, podzieliwszy się swemi poduszkami i pościelą, a koło trzeciej w nocy, ulokowawszy pana Kosmę, poszedłem spać.

— No i niczegoś się nie dowiedział? — spytał Teluś.

— Zaraz, panie dziedzicu — ciągnął dalej Wabik, to nie koniec... Już widać było tam gdzieś zapisane, że ta noc nie do mnie należeć miała. Ledwiem łeb do poduszki przytulił i jako tako zasypiać zaczynał... buch! buch! nowe stukanie do okiennicy. A czy piekło nadało z wiatrem, pomyślałem sobie, będąc nateraz pewnym, że to wiatr okiennicą tłucze. Już nie wstanę, niech się co chce dzieje!... I przykrywszy głowę piernatem, zasypiałem nanowo, gdy nagle powstał szturm do okiennicy, ale z taką gwałtownością, że wszystkie szyby w oknach zadzwoniły, a dwie nawet pękły z hałasem. Nie było co robić... nadziałem buty, otwieram drzwi... patrzę... a tu pan Damian, zmoczony, zbłocony jak nie wiem co, wsuwa się do izby, odsyłając do stajni swoją brykę, zaprzężoną w jakieś żydowskie hetki.

— Co pan dziedzic tu robi? — zapytałem, coraz więcej zdziwiony.

— Nie pytaj się!—krzyknął ochrypłym głosem, — tylko dawaj herbatę i co zjeść, bom zmokł i zziąbł jak pies!

Pojmujecie panowie, jak się z tej przyjemnej dy-

spozycyi ucieszyłem. Tu nikogo do pomocy... dziewka jak kamień zasnęła... zresztą nie miałem sumienia jej budzić, a tu ten stoi i wymyśla... Och panie! ten chleb oberżysty, to niech każdego Bóg jedyny uchowa!

— Biednyś ty, mój Wabisiu — rzekł Teluś. — I czemu go nie ciśniesz do dyabła?

— A czegoż się człowiek chwyci bez edukacyi? Żebym to ja był edukowany, jak pan dziedzic... Ale pan się śmieje, nie wierzy, a niechno-by tak panu przyszło całe noce przekocołować.

— No, ale cóż dalej, panie Wabiku? — przerwałem oberżyście, ciekawy końca.

— A no — ciągnął Wabik — zacząłem znów węgle rorżarzać, dmuchać, chuchać a pan Damian latał ciągle po szynku, to wzdłuż, to wpoprzek, ściskając pięście i nie mówiąc ani słowa. Po dobrej półgodzinie, kiedy się samowar zagotował, zaniosłem go na salę, zapomniawszy w tym harmidrze o śpiącym tam gościu, a pan Damian poszedł za mną; ale ledwie wszedł do sali, zawołał:

— Kto tu śpi?

— Pst! — rzekłem, przypominając sobie śpiącego gościa; — to brat pański.

— Kosma?! — wrzasnął na całe gardło.

— Damian ?! — odwrzasnął głos zbudzonego nagle pana Kosmy.

I stanęli obaj naprzeciw siebie, nastroszeni, nabuńczuczeni, jak istne koguty... Ja struchlałem, czekając co z tego wyniknie.

— Co tu robisz? — zapytał brata trzęsący się ze złości pan Kosma.

— Przyjechałem napić się herbaty — odrzekł z hałasem pan Damian. — Ale ty co tu robisz?

— Ja wypiłem herbatę — krzyknął pan Kosma, a teraz chcę spać.

— A i ja, jak wypiję, zechcę spać — wrzasnął pan Damian.

Nie pojmowałem dotąd jeszcze, czego się tak darli, skoro żaden z nich nie był głuchym, a zapytania i odpowiedzi były zupełnie niewinne.

— Ale tu w tej sali nie będziesz spał! — zagrzmiał znowu pan Kosma.

— Właśnie, że tu będę spał — odparł tak samo pan Damian.

— Nie!

— Tak!

— Ty mi zawsze włazisz w drogę! — krzyknął pan Kosma.

— To ty mnie zawsze włazisz w drogę! — odparł pan Damian.

Teraz dopiero widziałem, że bracia na dobre są pokłóceni z sobą, a obawiając się jakiego zajścia, któreby mnie może z parę potłuczonych szklanek kosztowało, wysunąłem się cichutko z kąta i wchodząc pomiędzy nich, zacząłem mitygować:

— Panowie!.. uspokójcie się... bracia... bliźniaki, czy to ładnie? — Ujrzawszy mnie między sobą, koguty zatrzymali się na chwilę, trochę nawet zawstydzeni tem co się stało. To powodzenie mojej pierwszej oracyi ośmieliło mnie nieco, a że ciekawy byłem o co im właściwie chodzi, zapytałem więc po chwili:

— Panowie sobie wymówki robicie, jakoby jeden drugiemu w drogę właził...

— A tak! tak! — zawołali obaj.

— Ale ja tego wcale nie widzę — odrzekłem. — Że pan Kosma wolał skryć się przed deszczem na noc, niż pędzić oklep dwie mile drogi do domu, to rzecz prosta; ale że i panu Damianowi zimno i słota dokuczyły, że pragnie skryć się pod dachem, a żołądek rozgrzać herbatą, to także rzecz prosta. Darujcie mi więc, panowie, ale ja tu wcale tego włażenia w drogę nie widzę.

— Alboż to o to chodzi? — mruknął p. Damian.

— Tu zupełnie o co innego idzie — powtórzył pan Kosma.

— O cóż więc chodzi? — spytałem obydwóch.

Na to moje zapytanie obaj bracia zamilkli, spuściwszy oczy. Widząc że miękną, spytałem ich po chwili znowu, dlaczego jeden przyjechał oklep na zaprzęgowych koniach, a drugi do bryki musiał parę żydowskich hetek nająć, kiedy można było własne konie do własnej bryki zaprządz i tak jak stąd odjeżdżali, powrócić.

Pan Kosma potarł czoła i spojrzawszy na brata, szepnął:

— Przed Wabikiem niema co robić sekretu, bo on się i tak dowie.

— Owszem — odrzekł pan Damian — nietylko sekretu przed nim robić nie chcę, ale nawet zdaję się na sąd Wabika.

Podziękowałem uprzejmie panom Bzdurskim za to zaufanie, a pan Damian rzekł do mnie:

— Wystaw sobie... poróżniliśmy się w Przemysło-

wicach o pannę... Ja miałem pewne projekta na pannę Petronelę... podobała mi się...

— I ja miałem na nią pewne projekta — zawołał pan Kosma, — bo i mnie się podobała.

— Ja ją naprawdę kochałem — westchnął ciężko pan Damian.

— I ja ją nie na żarty kochałem — dodał tak samo pan Kosma.

— To bardzo ładnie — wtrąciłem — choć nieszczęśliwie dla panów.

— Otóż wystaw sobie, Wabisiu — zawołał prawie ze łzami pan Damian, — on, mój brat rodzony, wlazł mi w drogę!

— Nieprawda! — przerwał mu, płacząc na dobre, pan Kosma — to on! on! mój bliźniak rodzony, wlazł mi w drogę.

— Moi panowie — odrzekłem — wybaczcie, ale ja nic nie rozumiem. Któryż z panów dostał słowo panny?

— Naturalnie, że nie ja — rzekł pan Kosma — ale to przez niego.

— Więc to pan otrzymałeś obietnicę od panny Petroneli? — zapytałem pana Damiana.

— Gdzież tam, i ja nie! — odrzekł mi — ale to tylko przez niego.

— No to jeszcze nic nie stracone — rzekłem, biorąc obydwóch braci za ręce i zbliżając ich w ten sposób do siebie.—Można się przecież porozumieć... po bratersku... od czegóż kompromisy?... Jeden drugiemu ustąpi, choćby wreszcie na supełki.

— Ale kiedy już wszystko stracone! — zawołał pan Kosma.

— Petronela już zaręczona z młodym Pieniackim — dodał pan Damian.

— A na miłość Boską! — rzekłem do nich — to czegóż się panowie na siebie gniewacie? Toć żal możecie mieć tylko do pana Artakserksesa, że pannę zdmuchnął wam z przed nosa.

Bracia spojrzeli na mnie, rozwarli gęby i potarli czoła, jak gdyby im się dopiero w głowach rozwidniło. Ja tedy znów dalej do nich:

— Toż on jeden tylko wlazł obydwom panom w drogę, do niego więc żal można mieć słuszny; ale zacóż się na siebie gniewać?

— Prawda — szepnął starszy o pół godziny pan Kosma.

— W istocie — szepnął za nim pan Damian.

— Że też to nam na myśl nie przyszło! — zawołali obaj.

— A to widzicie panowie — rzekłem prędko — jak to czasem miłość albo gniew oślepiają człowieka jak kreta... Ot rzućcie się panowie sobie na szyję, jak bracia, i zakończcie te swary, a na zgodę wypijemy!

— Wypijemy! wypijemy! — zawołali bracia, ściskając się wzajemnie.

Ja tymczasem wywlokłem coprędzej parę butelek dobrego węgrzyna, i jeszcześmy pierwszej nie skończyli, kiedy już pan Damian siedział u pana Kosmy na kolanach. A co? nie dokazałem-że sztuki?

— Rzeczywiście — odrzekł Teluś — choć zgoda ta napędziła ci parę oberżniętych do kieszeni.

— To do rzeczy nie należy — mruknął Wabik — zawsze mam zasługę przed Bogiem.

— I na dobre się pogodzili? — zapytałem Wabika.

— Ale panie delegacie — odrzekł mi — trudno sobie wystawić tę zmianę. To jak kiedy po ulewie słońce zaświeci naraz. Panowie Bzdurscy, jak przedtem przyskakiwali do siebie niby koguty, tak potem ciągle się ściskali, całowali, płakali nad sobą, kiwali głowami, śmieli się, aż nareszcie kiedy się łebski dzień zrobił, położyli się spać razem, pod jedną burką i na jednej poduszce, bo ja drugiej nie miałem; a gdy już stąd odjeżdżali w południe, to pan Kosma kazał zaprządz konie do bryki pana Damiana, a pan Damian sam rozwinął parasol nad bratem, czego nigdy pierwej nie robił.

— Wiwat Wabik! — zawołał Baryłkiewicz — a teraz na ten tryumf pogodzonych Syamczyków, może i mybyśmy co przetrącili.

— Owszem, z chęcią odrzekłem — a wiedząc, że propozycye Telusia nie obowiązywały go bynajmniej do roztworzenia kieszeni, z której tylko historyczny brzęk kluczyków słychać zawsze było, kazałem Wabikowi podać nam przekąskę.

W tej chwili wpadł do sali zadyszany posłaniec, z listem w ręku.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi? — zapytał Wabik.

— Z Przemysłowic do pana Wabika — odrzekł chłop, oddając mu pismo.

Wabik z dumą list otworzył, przewrócił go parę razy w rękach, nim doszedł zkąd go czytać należało, a przesylabizowawszy go nareszcie, rzekł protekcyonalnym tonem posłańcowi:

— Dobrze, dobrze, pokłoń się i powiedz jaśnie pani, że ja tam przyjadę nienajdłużej.

— O cóż to chodzi? — spytałem Wabika po odejściu chłopaka.

— Ee... to tam... nasze interesa — odrzekł, uśmiechając się.

— Założysz się ze mną, panie Wabik — że zgaduję o co chodzi?

— No, no, ciekawym.

— Masz być w Wichłaczewie i skojarzyć napowrót niedoszłe małżeństwo panny Petroneli... No, założysz się?

— Ee... wolne żarty pana dziedzica — rzekł oberżysta, uchodząc ku drzwiom.

— No, ja zakładam się o dziesięć rubli — wołał Teluś, przytrzymując go i brząkając dla zachęty kluczykami w kieszeni. — Pokaż list!... jeślim przegrał, to płacę! — dodał, brząknąwszy jeszcze mocniej.

— A... pan dziedzic zanadto domyślny — rzekł Wabik, wymykając się prawie gwałtem z sali.

. . . . . .

W parę godzin potem odjeżdżaliśmy do Łgarzewa.

* * *

O milę drogi od Poczekajki, nad brzegami obszernego stawu, rozsiadła się wieś Łgarzew.

Z pomiędzy kilkunastu lepianek, na niewielkiej rozrzuconych wyniosłości, wyróżniała się pękata jakaś budowa, o kilku wieżyczkach i basztach, w najdziwniejszym pouczepianych stylu, z oknami i drzwiami różnej wielkości i kształtów. Więc obok drzwi wchodowych, zdobnych w trójgraniasty okap, zawisły w powietrzu i grożący co chwila zniweczeniem kilku skleconych tam gniazd jaskółczych, migały dwa okrągłe różnokolorowe okienka, jak oczy puszczyka lub sowy. Tuż obok szły dwa okna weneckie, z gzymsem nakształt zagniewanych brwi zsuniętym; poza niemi świetny w pomysłach architekt, który tu widocznie próby wszystkich stylów odbywał, zrysował mur dwiema wąziuchnemi szparami, raczej do strzelnic fortecznych, niż do okien podobnemi. Wreszcie pod czterema w górę strzelającemi wieżyczkami, umieszczone na rogach dwa kwadratowe okienka zamykały szereg tych najróżnorodniejszych otworów, nadających całej budowie pozór jakiegoś meczetu, starej bożnicy, czy też jakiejś mitologicznej świątyni.

Z wieżyczek, baszt, ścian i gzymsów tynk pierwotny opadł był zwolna, odsłaniając zbutwiałą już cegłę i nadając całej budowie kolor brudno-szarawy, który że zdawał się nosić na sobie piętno jakiejś odległej epoki, stanowił dumę i chlubę pana Polikarpa Pływalskiego, mieszkańca tej fantastycznej rezydencyi.

Ktoby się był pokusił o nadanie tej budowli jakiejś nazwy, byłby się w najcięższym znalazł kłopocie. Domem jej zwać nie było można, bo takiego drugiego domu żadna na świecie szkoła budownictwa nie wydała. Na pałac była ona zamałą, bo wszystkiego mieściła sześć

wymienionych już okien frontowych, nie licząc w to naturalnie dwóch strzelnic, za schronienie dla wróbli służących. Na dwór szlachecki nie wyglądała też w żadnym razie, bo szlachcic musiał mieć okna, choć nie równo od siebie oddalone, to przynajmniej równej wielkości i opatrzone okiennicami, zdobnemi w powyrzynane serduszka, a wreszcie mieć musiał przed domem ową niezbędną dworków szlacheckich ozdobę... wystawkę z dwiema ławkami, gdzie latem chłopom wódkę i basy, a ekonomowi dyspozycyę wydawał. Tego wszystkiego w rezydencyi pana Polikarpa nie było; nazwał on więc tę fantastyczną budowę... zameczkiem; a choć tam ani mostów zwodzonych, ani fos wodą zapełnić się mogących, ani wałów w ostrokoły zbrojnych, ani strzelnic prawdziwych nie dojrzałeś, musiano się zgodzić na to miano nieusprawiedliwione i zwano w okolicy dwór łgarzewski zameczkiem.

Na tym zameczku rezydował tedy pan Polikarp Pływalski, herbu Łodzia z odmianą. Był to szlachcic podżyły, o gęstej czuprynie, o sumiastych wąsach, rumiany, barczysty, małego wzrostu, ale atletycznej budowy ciała. Jeżeli drobna rączka, wedle powszechnego przesądu, zdradzać ma pochodzenie arystokratyczne, to pan Polikarp z najdemokratyczniejszych zrodzić się musiał demokratów, bo miał łapę, na którą w żadnem miasteczku rękawiczek dobrać nie było można. Pan Polikarp obywał się też bez tej ambarasującej, jak mówił, ozdoby, a choć czasem na solennych fetach sąsiedzkich, gdzie już białe rękawiczki bywały niezbędnemi, wywijał czemś białem, podługowatem w ręku, ci jednak co go bliżej znali,

twierdzili na pewno, że to są odziedziczone po nieboszczce żonie rękawiczki, które jej do ślubu służyły, a wskutek nieużywania ich więcej, do owej epoki przetrwały.

Pan Pływalski, jak z tej sukcesyi widzimy, był wdowcem, ale miał przy sobie syna Wicusia, wyrostka lat dwudziestu kilku, kubek w kubek do ojca podobnego, który że się z młodych lat mało uczył, a genialne do urwisostwa okazywał zdolności, zwany był powszechnie *Wisusiem*.

Trzecią osobą, zamieszkującą zameczek, był pan Edward Pokropowicz, kawaler, brat nieboszczki żony, a więc szwagier pana Polikarpa. Pan Edward zwany był w okolicy *Pokropowiczem*, zapewne dlatego, że *pokrapiać* sobie czasem lubił. Po śmierci siostry, przybył on z kondolencyami do szwagra, a że był człowiekiem bardzo tkliwego serca (zwłaszcza gdy się upijał), tyle więc łez wylał nad biednym Polikarpem, niepojmującym na razie (jak to zwykle mężowie) ogromu swego nieszczęścia, tyle się nad nim nawzdychał i łbem na wszystkie strony nakiwał, że wdowiec z początku nie chciał puścić od siebie tego wzorowego szwagierka. Gdy potem w parę miesięcy zdarzyło się przypadkiem, że niegodziwy jakiś dziedzic wyeksmitował pana Edwarda z dzierżawionej przezeń wioszczyny, i to za głupią trzyletnią dzierżawę zaległą, pan Polikarp ze swej strony uważał sobie za obowiązek pocieszać szwagra w tem niespodziewanem nieszczęściu... a że Edzio po tej *nieprzewidzianej* stracie zdawał się być ciągle jeszcze niepocieszonym, więc się tak te wzajemne kondolencye już od lat dziesięciu przeciągały.

Szwagrowie żyli sobie w najlepszej zgodzie. Pan

Polikarp był zapamiętałym myśliwym, a choć kiepsko strzelał, ale zato łgał jak najpierwszy strzelec. Pan Edward znowu strzelał wybornie, rzadko kiedy pudłował, ale nie miał ani krzty ambicyi myśliwskiej. Nie gniewał się też nigdy, jeśli się przypadkiem szwagierek do jego strzału i ubitej sztuki zwierzyny przypytał.

Pan Polikarp, jak już widzieliśmy, był łgarzem z natury, czy też z profesyi myśliwskiej, co w rezultacie na jedno wychodzi. Ci co go znali, nie przeczyli mu nigdy, ale jeśli czasem zabrnął zadaleko i trzeba było świadka, znajdował on go zaraz pod ręką, w osobie poczciwego Pokropowicza, który uroczystem skinieniem głowy potwierdzał słowa szwagierka.

Pan Edward miał jeszcze wobec szwagra i tę wielką zasługę, że był za młodych lat Wisusia nauczycielem tego jedynaka. Więc nauczył go czytać na *Berdyczowskim kalendarzu* i na *Pistolecie do zabicia grzechu śmiertelnego*, i to bardzo nawet płynnie. Wprawdzie gdy dopadł czasem, na nieszczęście Wisusia, który z kalendarzy warszawskich, albo *Lampka duszy chrześcianina*, to czytanie szło jak po grudzie; że jednak, prócz dwóch wymienionych dzieł, rzadko inne do biblioteki łgarzewskiej zawitało, to też i ten brak wprawy na innej książce czuć się znów tak dalece nie dawał.

Gorzej trochę było z pismem. Litery pisane znał Wisuś ekspedyte, a nawet kijem na piasku wcale foremne robił kółeczka... co więcej... z imienia i z nazwiska, z pewnym zakrętem, podpisać się umiał; — ale gdy przyszło wziąć pióro do ręki i po papierze niem wodzić, to już szło biednemu Wisusiowi dyable niesporo. Poczciwy

stryjek-guwerner tłómaczył wprawdzie siostrzeńca, że to nie jego, ale rodu Pływalskich wina... że przy takiej olbrzymiej budowie ręki, gęsie pióro jest zacienkie w osadzie i nie da się wcale w palce ująć. Próbowano więc piór kaczych, łabędzich, indyczych, jastrzębich, próbowano stalówek osadzonych w patykach, mających około cala średnicy; ale biedny Wisuś tyle naspuszczał żydów, tyle się przy tej nauce kaligrafii namęczył, naślinił i języka na obie strony nawyciągał, że stryjek litował się nad nim i odkładano lekcye na później, co też, przy pomocy Bożej, do dwudziestu kilku lat wieku się zwlekło.

Do matematyki Wisuś już nawet takich jak do pisma nie posiadał zdolności, ale co najpotrzebniejsze w pożyciu wiejskiem, to znał dokładnie. Wiedział naprzykład że 4 a 4 to 9, że pięciu od trzech nie można odjąć, ale trzeba pożyczyć, i ta ostatnia zwłaszcza nauka tak mu utkwiła w pamięci, że już popożyczał po paręset złotych u usłużnych żydków z okolicznych miasteczek.

Zato Wisuś pływał sławnie (nie pod alegoryą). Przepływał w biały dzień, wobec zgromadzonej ludności płci obojej, cały staw po trzy i cztery razy; konno jeździł jak Mazepa, figle płatał jak Pierrot, strzelał jak stryj, łgał jak ojciec, a jadł i pił jak oni obydwaj razem, choć co do tego ostatniego punktu nic im nie można było przyganić. Szwagrowie za kołnierz nie wylali, zwłaszcza stryj Edward, przezwany, jak wiemy, Pokropowiczem, a że w dodatku nie znosił on ani słodkiej wódki, ani wina, bo jedno było dlań za mdłe, drugie za słabe, najmilej więc łechtał mu podniebienie czysty z pod alembika spirytus.

Zarząd wewnętrzny domowem gospodarstwem pana Polikarpa koncentrował się w ręku panny Kunegundy Przeszkodzińskiej... Słówko o niej.

Panna Przeszkodzińska, podobno szlachcianka z rodu, była to sobie panienka... lat... tak około czterdziestu kilku licząc... ale czerstwa... hoża... czynna i rozmowna, choć może ten ostatni przymiot, jak zwykle u tak już dojrzałych panienek, zanadto bywał czasem rozwinięty. Wszystko wiedzieć musiała, a jeśli czego nie wiedziała, to się napewno bystrym swym umysłem, czegoś wprost przeciwnego domyśliła.

Zjawiła się ona w Łgarzewie jakoś wkrótce po przybyciu stryja Pokropowicza, mniej więcej w epoce, kiedy nieuczciwy dziedzic wyzuł go tak *niesprawiedliwie* z majątku, zabrawszy parę koni, brykę, łóżko i sześć stołków, wartujących pięćset złotych, za trzyletni czynsz dzierżawny, wynoszący głupie 6000!... Panna Przeszkodzińska, przybywszy do Łgarzewa za miejscem, nie znała tam nikogo, a przynajmniej znać się nie zdawała; ale że właśnie świeżo owdowiały pan Polikarp był bez gospodyni, chłopiec potrzebował opieki, a stryj Pokropowicz zaopiniował z pierwszego wejrzenia, że to musi być nader przyzwoita, tkliwa i stateczna niewiasta, więc bez długich ceregieli zgodzono się na wzajemne warunki i panna Przeszkodzińska objęła rządy domu. Bywały chwile, że panu Polikarpowi dawała się ona we znaki, że w napadzie gniewu zarzucała mu nawet kłamstwo, co go do najwyższej doprowadzało pasyi i groziło zerwaniem;... ale jakoś zawsze w porę zjawiał się, jak deus ex machina, stryj Edward, i czy to darem słowa, czy wejrzenia, czy

wreszcie elektryczną potęgą ściśnienia rączek panny Kunegundy, potrafił ją w czas jeszcze umitygować, a i szwagierka spirytusem na lepszą nastroić nutę, zaczem zgoda i pokój w dom wracały.

Panna Przeszkodzińska miała być niegdyś piękną, bardzo piękną... tak przynajmniej o sobie mówiła. Pewnego razu, w zapędzie opowiadania, powołała się nawet na świadectwo stryja Pokropowicza... ale ten natychmiast zwrócił jak najspokojniej jej uwagę, że to pomyłka, bo się przecież tu dopiero na zameczku poznali. Zato gdy się czasem zdarzało, że który z wiejskich melomanów zaintonował modną w tej stronie piosenkę z Gałganducha p. t. „Edward i Kunegunda, Kunegunda i Edward“... pannie Przeszkodzińskiej zawsze coś na przeszkodzie stawało do wysłuchania z zimną krwią końca tej sielanki, i zrywała się coprędzej, ciskając z pod oka przeciągłe wejrzenie na pana Edwarda, który zamyślony, bębnił do taktu palcami po stole.

Panna Przeszkodzińska, w młodości swojej, miała kilka świetnych partyi, o których z upodobaniem opowiadała;... ale los okrutny, czy też fatalność jakaś, do jej nazwiska przywiązana, sprowadzały zawsze w ostatniej chwili niespodziewaną przeszkodę, wskutek której związek już blizki, do upragnionego nie dobiegał rezultatu. Więc raz była już zaręczoną z człowiekiem bardzo wysokiego stanowiska, podobno nawet jakimś ukrytym baronem, który że był biedny jak Hiob, do tytułów nie przyznawał się wcale. Trzeba jednak było nieszczęścia, że na tydzień przed weselem, kiedy już baron za wzięte od panny Kunegundy pieniądze miał kupować sprzęty do

gniazda gołąbków niezbędne, przyszła nagle wiadomość, że gdzieś na wyspach Sandwich zmarł nieznany stryj barona, posiadający tam kopalnię czarnych pereł i różowych brylantów, a narzeczony jej, odziedziczywszy ciężar tej fortuny, musiał nagle pojechać na miejsce, bez pożegnania się i zwrócenia wziętych na meble pieniędzy, skąd też niestety nie wrócił i gdzie go, wedle kabały panny Kunegundy, zaprawieni na ś. p. Cook'u ludożercy spożyli do szczętu w majonezie, czy też peklowinie (tego bowiem kabała dokładnie nie wykryła).

W parę lat później zgłosił się o rękę panny Kunegundy młody wachmistrz austryacki, podobno także baron, bo tam na nich nie zbywa. Miłość ta była gorącą, a rezolutną jak wojenne marsowego syna rzemiosło; po kilku więc tygodniach znajomości, dzień ślubu naznaczonym został, a baron, nie mając czasu pisać do kasy pułkowej o pieniądze na nowy mundur, pożyczał takowe dla pośpiechu od drogiej swej narzeczonej. Ale zaledwie się to stało, fatalizm podszepnął jak na złość Madziarom myśl rokoszu... i zawrzała wojna... W wigilię ślubu baron odebrał od przejezdnego kuryera rozkaz ustny stawienia się do pułku i zabrawszy w pośpiechu pieniądze na mundur ślubny pożyczone, powędrował gromić rokoszan, skąd już także nie wrócił i gdzie (wedle kabały panny Kunegundy) padł na polu bitwy, dzierżąc w ręku jej podwiązkę na pamiątkę otrzymaną i szepcąc przy skonaniu jej imię.

Trzecim z kolei adonisem był mniej ładny, choć rzadkich zdolności doktor medycyny. Konkurent ten kochał pannę Kunegundę tak zawzięcie, że na imieniny ofia-

rował jej słynną pomadę swego pomysłu, z najsubtelniejszych złożoną ziółek, którą nazwał: *Unguentum Cunegundae amorosae.* Pannę Przeszkodzińską delikatny ten pomysł wzruszył do głębi serca;... woń pomady sprawiała jej lube sensacye, w których obraz kochanka stawał jej na myśli. Wyczytanie imienia swego, wydrukowanego po łacinie na słoiku aptecznym, schlebiało jej próżności, wiedziała bowiem, że imię to wraz z wonią przejdzie do pamięci potomnych. To wszystko razem uspobiło ją tak dobrze dla doktora medecyny, że mimo niezbyt wdzięczną jego powierzchowność, mimo tego, że doktor nawet klejnotu szlacheckiego nie posiadał, zgodziła się na oddanie mu swej ręki. Już się tedy do ślubu przygotowywała, już marzyła o błogiej przyszłości, gdy nagle doktor-filantrop, który przy macaniu pulsu i braniu honoraryum zwykł był zdejmować rękawiczkę... dotknął się gołą ręką chorego na złośliwą ospę i zaraziwszy się odeń zjadliwą limfą, wraz z pacyentem na dolinę Józefata powędrował.

Wiadomość tę panna Kunegunda o mało nie przypłaciła życiem. Byłaby zaraz po jej odebraniu zemdlała, ale mocna woń *Unguenti Cunegundae amorosae* zapobiegła temu; skończyło się więc na serdecznym śmiechu i płaczu, na chwilowem zdrętwieniu nóg i rąk, na ziewaniu spazmatycznem... wreszcie... na pocieszeniu się czwartym konkurentem, o którym później.

Tylokrotne doznane zawody wpłynęły na jej usposobienie niemało. Z romansowej, wesołej i marzącej, panna Przeszkodzińska stała się ostatecznie bardzo poważną, bardzo pobożną, bardzo zważającą na reguły duchowne, pilnującą wszelkich postów, nowen i wigilii z najwyż-

szą skrupulatnością, a jedyną jej pasyą, odrywającą ją od rzeczy niebieskich, była kabała, którą codziennie kładła i przyszłość z niej jakby z książki wyczytywała.

Tyle o bohaterach na zameczku, przed który właśnie zajechaliśmy.

* * *

— Witamy! witamy! — zawołał, wybiegając naprzeciw nas do sieni, p. Polikarp. — Cożeście się tak długo wlekli? Ja tu od sześciu godzin już czekam.

— Żartuje pan — odrzekłem, zapominając na razie o żyłce pana Polikarpa — toć jeszcze niema sześciu godzin jakeśmy Przemysłowice opuścili.

— Ale słowo honoru, z pięć godzin przynajmniej już czekam...

— Bardzo nam to schlebia, że się tak panu dłużyło — odparłem, spoglądając na zegarek, ale wszystkiego byliśmy w drodze...

— No, kiedy mówię, że czekam przynajmniej cztery godziny — przerwał mi Pływalski — to jak Boga kocham, że czekam! Szwagrze, czy nie?

Skinienie nadeszłego w tej chwili Pokropowicza było solennem potwierdzeniem kłamstwa.

— Mniejsza o to — wtrącił rozbierając się Teluś. — Człowiek nie kompas, żeby nie miał chybić na minutę... Witajcie, Karpiu (tak zwał przez skrócenie Polikarpa), i ty, Spirytusie kochany — dodał, całując kolejno obydwóch. — Aleś ty mi bodaj dziś na czczo... Co to jest?... słuchajno!

— Ee... nie kpiłbyś sobie — odparł zagadniony pan Edward — toć wiadome rzeczy, że mam solitera, i jeśli czasem czuć ze mnie kropelkę czego mocnego... to jedynie tylko od zalania hydry.

— A no... wiem... wiem... Edziuniu... biednyś ty z temi glistami! Ale w Bogu nadzieja, że przy takiem lekarstwie zalejesz je z czasem... A teraz powiedzcież mi, co tu u was słychać na zameczku?

— A no, jak widzisz, Telusiu — odrzekł pan Polikarp — trzymamy się jak możemy... choć bieda, to hoc!... nie dajemy się złym czasom.

— Oj czasy kiepskie — wtrącił Pokropowicz — kartofle gniją, nie będzie z czego palić okowity.

— To z żyta palcie — poradził Teluś — będzie lepsza szruba.

— A, żeby to chcieli! — westchnął amator żytniówki.

— Zapewne — wtrącił pan Polikarp — żyto spalić na wódkę... a z czego podatki, z czego ordynarya?

— I to prawda — dodał pan Edward — a jeszcze w tym roku, co to i pszenicę dyabli wzięli.

— No, dość tych trenów! — rzekł Teluś — jakoś to będzie... Kiedyż-bo szlachta nie narzekała? Powiedz-że mi, Karpiu, gdzie nas umieścisz z delegatem? Byle nie w tej wieżyczce na lewo, bo tam odór nie do wytrzymania. Musiał tam pod podłogą szczur żywot zakończyć.

— No to dam wam komnatę w drugiej baszcie na prawo — odrzekł Pływalski.

— A dziękuję ci!... — przerwał Teluś, znający

wszystkie miejscowości Łgarzewa — cała ściana szczytowa mokra, jakby z wody wyjęta.

Aa! — zawołał nagle, uderzając się w czoło Pokropowicz — czegoż medytujemy?... Toć panna Kunegunda urządziła panom królewskie spanie w zbrojowni.

— Prawda! prawda! — dodał pan Polikarp — w zbrojowni będzie najlepiej. Przyjmę was prawdziwie po rycersku, a jeszcze jeśli szanowny delegat amator archeologii...

— Uwielbiam archeologię — rzekłem, przyszedłszy do słowa — alem bardzo mało wtajemniczony w tę piękną naukę.

— To nic... to rzeczy bardzo łatwe... ja pana objaśnię o wszystkiem... proszę za sobą, proszę.

— Ale tam w zbrojowni piec dymi — zauważył Baryłkiewicz.

— Jak to ty wszystko pamiętasz — odrzekł Pływalski — szczęśliwy człowieku! bez trosk na głowie... Coby to z ciebie był za archeolog! Ale się nie bój, kazałem piec wylepić i pali się jak w piekle.

— Zabieraj więc rzeczy, Walek — rzekł Teluś do wyprostowanego w sieni chłopaka — i ruszajmy do zbrojowni.

Obszerna ta i sklepiona izba, przezwana zbrojownią, była raczej jakąś celą więzienną, na której ścianach kilka sztuk zardzewiałej broni, kilka toporów i siekierek, kilka pałaszy i dzirytów, parę końskich ogonów i jeden szyszaczek z misiurką zawieszono. Umeblowanie jej całe stanowiły dwa żelazne łóżka i dwie pod niemi rozpostarte wilcze czy też psie skóry, czas bowiem i móle zjadły

zwolna sierść, po którejby się rodzaju zwierzęcia domyśleć było można.

Słaby promyk wpadającego przez weneckie okno światełka nadawał tej izbie wyraz jakiś ponury i śmętny, a opisane powyżej sprzęty na jej rozweselenie wpływać też nie mogły. Ale, że łóżka, dzięki zapewne pannie Kunegundzie, usłane były świeżą bielizną, że z obszernego kominka płomienie rozpalającej się sośniny dość żywe dokoła zbrojowni rzucały światło... że wreszcie Teluś był wesoły, czując się tu jak w niebie, a i ja na bliższe poznanie rezydentów zameczka już się naprzód niemało cieszyłem... pierwsze więc niekoniecznie przyjemne wrażenie zwolna zacierać się poczynało.

Ogrzewaliśmy z Telusiem przed kominkiem skostniałe od zimna członki, a tymczasem Waluś, wytresowany przezeń, jak koledzy broni z innych dworów, wypakował z całą znajomością szczegółów rzeczy Baryłkiewicza, ustawiając na komodzie to, co mu najpotrzebniejszem na razie być mogło.

— No cóż?... będzie wam tu dobrze? — zapytał nas wchodzący pan Polikarp.

— Ty wiesz, Karpiu — odrzekł Teluś — żem ja na spanie niewybredny... byle pościeli szarem mydłem czuć nie było, bo od tego kicham, i bylem piernatu nie miał pod sobą, bo od tego jak mysz się pocę. Ale jedno zastrzegam sobie, żebyś mnie jedzeniem i winem nie struł, bo co do ostatniego twego obiadu na święty Wincenty, to niech ci go, mój Pływalsiu, Pan Bóg nie pamięta!

— Ale bo nie wiesz co wtedy zaszło — rzekł, broniąc honoru domu, gospodarz — i obmawiasz mnie przed

delegatem, któryby gotów temu uwierzyć. Mam kucharza, jednego z najsławniejszych na całą okolicę... był u szambelana...

— Ale co też gadasz, mój Karpiu! — przerwał Teluś — toć kucharzy szambelana znałem wszystkich jak siebie.

— No Walek! — zawołał Polikarp do zajętego wypakowywaniem rzeczy chłopaka — powiedz czy Sosek nie był u pana szambelana?

— A dyć był za pastucha, wielmożny panie.

— Bodajeś pękł, ośle, kiedy tak kłamiesz bezczelnie! — krzyknął gospodarz... — Mówię ci, Telusiu, że był u szambelana za kuchcika, i słowo ci honoru daję, że zna kuchnię ekspedyte;... robi kotlety w papilotach... no, mówię ci, wyglądają jak loki panny Kunegundy, kiedy spać idzie... Kartofle to ci tak wykarbuje, że ani poznasz z wierzchu, że to kartofel... Ale ma jedną wadę... pijakiem był i pijakiem został, przez co na oczy trochę zaciąga... Zdarzy mu się więc czasem najniewinniej, że do ryżu z cynamonem, zamiast cukru, soli dosypie, a do bigosu, zamiast pieprzu, wrzuci szczyptę tabaki, którą namiętnie zażywa... Ot i wszystko...

— A to ci dziękuję za te specyały! — zawołał Teluś, odskakując od komina. — Słyszałeś, delegacie?

— Ale czekaj!.. — wołał Pływalski.

— Brrr! — chrząknął Teluś, otrząsając się jak w febrze — żebyś mi był przynajmniej tego nie gadał.

— Ale się nie bój, waryacie!.. — słowo honoru, nie bój się... — uspokajał gospodarz — dziś się nie upije, bo już przedsięwziąłem środki ostrożności.

— Ale pijak sobie zawsze drogę znajdzie.

— Czekajże... niech ci powiem com zrobił, a przyznasz mi, że mogę być o niego spokojnym. U mnie w domu do wódki się nie dobierze, bo wiesz, że szwagierek pilnuje jej, jak oka w głowie;... z ludzi dworskich nikt mu też po wódkę do karczmy nie pójdzie, bo zapowiedziałem basy każdemu, coby mi się ważył wyjść za wrota;... jemu zaś samemu, żeby do karczmy pójść nie mógł, kazałem zdjąć buty i zamknąć pod klucz, a on boso po kuchni łazi... Pojmujesz, mój Telusiu, że jako ex-szambelański kuchta, ma ambicyę i wstydziłby się pójść do karczmy między ludzi boso... jak dziad, boby się z niego potem w całej wsi naśmiewali. No więc jestże się czego bać?

— Zrobiłeś pan co było można — rzekłem, śmiejąc się z tej dziwnej prezerwatywy.

— No, jeśliś tak zrobił jak powiadasz, — dodał Teluś — to może się rzeczywiście nie upije.

— Kiedy powiadam słowo honoru żem zrobił i że mam jego buty pod kluczem, toć do pioruna wierzże mi.

— Ale wierzę... wierzę... tylko czy on gdzie drugiej pary nie ma?

— Ale nie ma, bo pijak żaden dwóch par butów nie miewa.

— Już widzę, że pan dobrodziej wszystko wybornie obmyślił — rzekłem, nie chcąc psuć humoru Pływalskiemu. — Ale pan masz tu bardzo piękne pamiątkowe rzeczy — dodałem, zwracając rozmowę na porozwieszane po ścianach rupiecie, które nietyle na zbrojownię wieków

średnich, ile raczej na pociejowski kramik starzyzny wyglądały.

— Ja myślę!... — odrzekł z dumą gospodarz, zacierając sążniste swe łapy. — Cieszę się bardzo, że w szanownym delegacie widzę amatora archeologii, bo tu w tym naszym kącie niema się przed kim z takimi zabytkami pochwalić; nawet pan Telesfor, człowiek niby światowy i wykształcony, bywający tu u mnie już od lat trzydziestu, czy dasz pan wiarę, że mnie nigdy o nic nie zapytał?

— A mój Karpiu! — odrzekł zagadniony — co mi tam z tego przyjdzie? Możesz mi gadać co ci ślina przyniesie, bo ja się na tem nie poznam.

— Otóż dlatego właśnie, że się na tem nie poznasz — odparł Pływalski — nie miałbym najmniejszej satysfakcyi objaśniać cię o pochodzeniu i znaczeniu tych cennych zabytków. Co innego zupełnie z delegatem; z samego zapytania widzę już, że go to interesuje, że ma pasyę do archeologii, i dlatego słuchaj ty sobie albo nie, ja jego ciekawości zadość uczynię. Ta szabla — począł pan Polikarp, zdejmując z gwoździa zwykły kawaleryjski, ale dobrze zardzewiały pałasz — jest szablą hetmana Jana Tarnowskiego, z bitwy pod Obertynem, w której był rannym piętnaście razy;... datuje z piętnastego wieku (pan Polikarp chybił o całe stulecie i rany przez trzy pomnożył). Te ślady czerwone na niej... to nie rdza... nie!... to jest krew Wołocha, którą zakonserwowałem jak najskrupulatniej.

— I sam pilnowałeś tej krwi na szabli, że tak za nią ręczysz? — zapytał Teluś.

— Sam... słowo honoru!... jak oka w głowie.

— Przez całe trzy wieki?

— Ale dajże mi pokój, mój kochany! — zawołał, spostrzegając się, zaperzony szlachcic — profanom nie odpowiadam, a znawca się na tem pozna... Mój delegacie, co to jest? rdza, czy krew?

— A no... tak jest... coś rzeczywiście... — odrzekłem zakłopotany, bo trudno mi się było zdobyć na potakiwanie wymysłom bujnej imaginacyi pana Polikarpa.

— Ten egzemplarz jest już późniejszy... ja to sam zaraz przyznaję — ciągnął dalej, biorąc jakąś siekierę do ręki — to oszczep mego prapradziada, towarzysza chorągwi husarskiej z czasów Stefana Czarnieckiego, i pochodzi z pod Monasterzysk, gdzie mój pradziad poległ w szesnastym wieku (i tu połknął znów całe stulecie).

— A jakżeż się to wam dostało?—zapytał z uśmiechem Baryłkiewicz.

— Bardzo prostą drogą — odparł Pływalski. — Towarzysz tej samej chorągwi zachował tę drogą pamiątkę i przywiózł ją mej praprababce, która mu za to darowała wieś na Ukrainie, przezwaną od owej pory Pamiątkowem. Ta szczerba, co ją tu pan widzi — dodał, zwracając się do mnie — pochodzi z pod Rudnika, gdzie się hetman z moim praszczurem odemścili za Monasterzyska;... powstała ona przy wyrąbaniu bramy domu, w którym się Szwedy zatarasowały.

— A wiesz, Karpiu! — przerwał Baryłkiewicz —

że ten twój praszczur to dyable mściwa sztuka, skoro nawet po śmierci Szwedom nie darował.

Pływalski wargi zagryzł, udając, że nie słyszy dowcipnej tej uwagi, i zdejmował tymczasem z kołka jakiś koński ogon, na długim osadzony drągu, podobny zupełnie do wiechci używanych przy myciu powozów.

— To jest buńczuk turecki z pod Chocima, odebrany samemu Buram-baszy przez jednego z moich antenatów, w sposób zadziwiający. Było to po obiedzie, w dzień skwarny. Leniwy Turek, nazłopawszy się opium i wypaliwszy dwanaście fajek prawdziwego tureckiego tytoniu, zasnął był sobie w najlepsze. Mój praszczur podjechał podeń konno, notabene na najgorszej, ślepej, wyranżerowanej z pułku szkapie, i założywszy kobyle worek z obrokiem na łeb, żeby spokojnie stała, wsunął Turkowi w łapę jej ogon, wyjąwszy mu natomiast ten buńczuk, z którym też i drapnął. Co tam potem Turek mówił, gdy się obudził trzymając ślepą szkapę za ogon... nie wiem; ale to wiem, że gdy się król Jan o tym figlu dowiedział, darował ten buńczuk memu praszczurowi na pamiątkę, skąd też się do mnie dostał, a nadto do herbu Łodzia dodał mu na odmianę pęk buńczuczych włosów.

— Śliczna... śliczna pamiątka! — wstrzymując śmiech, rzekłem Pływalskiemu, który z dumą wywijając tym wiechciem w powietrzu, widocznie na kompliment czekać się zdawał.

— Te dwie strzelby — ciągnął dalej archeolog, wskazując na dwie zwykłe zardzewiałe pojedynki — są rzadkością, którą się żadne muzeum nie poszczyci. Jedna była własnością Stefana Batorego... tu nawet były cy-

fry S. B. R., to znaczy Rex... król... ale się starły; druga Jana Zamojskiego... także były cyfry J. Z., ale przez oglądanie zeszlifowały się. Chodzili oni z niemi na cietrzewie. I co powiecie? ta oto dziś jeszcze bije kupą na 80 kroków. Miałem z nią szczególny wypadek.

— Jakiż-to? — zapytałem.

— Byłem jeszcze młodym chłopcem — począł Pływalski — a za moich czasów łgarzewskie lasy słynęły na okolicę; sosny czterech chłopów nie objęło, a dęby były takiej wielkości, że w jednym z nich, do połowy tylko zmurszałym, pachciarz łgarzewski ze swą rodziną wygodną sobie kuczkę urządził. Otóż za owych to czasów wilki trapiły całą okolicę. Były ich niezliczone stada... nocami wycie było tak straszne, że szyby w oknach dzwoniły... a przejeżdżający zdaleka sądzili nieraz, że do jakiego miasta się zbliżają, gdy tymczasem te tysiące światełek były poprostu ślepiami wilków żerujących. Wilki napadały po drogach, zjadały nieraz podróżnych, konie, pocztyliona, konduktora... wpadały w biały dzień do chałup... porywały dzieci z kolebkami... kury z kojcami...

— Wieprze z chlewami — wtrącił Telus.

— Co?... a... przesadzasz, mój Telusiu — mruknął Pływalski. — Jednem słowem robiły tak straszne spustoszenia, że nikt z domu nie wyjeżdżał, a o wypuszczeniu gromady w pole i myśleć nie można było. Ojciec mój, któremu zarzucali, że jest temu poniekąd przyczyną, nie tępiąc wilków, zarządził ogromną obławę; sprosił całą okoliczną szlachtę ze służbą dworską... komendanta siły zbrojnej z okręgowego miasteczka z całą

kompanią wojska... i zaczęło się polowanie. Ja, jako faworyt ojca, a przytem namiętny już wtedy myśliwy, porwałem z kołka Batorówkę i pobiegłem za strzelcami na stanowisko. Pamiętam jak dziś: przez środek lasu rozciągnięta była sieć;... z jednej strony szła obława, z drugiej myśmy stali. Wtem patrzę... jedzie ogromne wilczysko na sztych... Ja za strzelbę... klap!... do dyabła!... przypominam sobie, że nienabita... Nabijam więc ją czemprędzej... mierzę wilkowi w czoło... walę... bach! bach dwa razy...

— Z jednej lufy? — zapytał Teluś!

— Co powiecie? — kończył, nie zważając na złośliwe zapytanie, rozpłomieniony łgarz — wilk spiął się na zadnie nogi, potrząsając łbem, nad którym wznosił się stempel mojej strzelby, przez zapomnienie niewyjęty. Zaczął łbem walić w drzewo na prawo i na lewo, chcąc się pozbyć niedogodnego przyboru; ale strzał był tak celny, a nabój prochu tak mocny, że stempel zarył mu się w czaszkę do połowy, nie zrządziwszy jednak szkody na zdrowiu, bo ani kropelka krwi z rany nie wyszła. Obława się tymczasem zbliżała... Wilczysko, spłoszone jej krzykiem i strzałami, które się tu i owdzie po lesie rozlegały, rzuca się całą siłą w sieć... stemplem, jakby rogiem, rozrywa takową i dalej w las!... Przeleciał koło mnie o parę kroków, ale ja strzału dać nie mogłem, bom stempla do przybicia naboju nie miał. — Obława udała się jako tako... około mendel wilków zabito; ale dziesięć razy tyle zostało ich jeszcze w lesie. Postanowiono więc zjechać drugi raz po tygodniu, skoro się przepłoszone wilki uspokajać zaczną. Jakoż w tydzień

zjeżdżają znów wszyscy... obława rusza... strzelcy na stanowiskach... robimy zakład jeden... drugi... trzeci... ale wilka ani na lekarstwo nie widać... Co to jest?... pyta mój ojciec... czy się w ziemię wryły?.. czy ich dżuma wytępiła?... A na to dopiero stary gajowy, który przez całą obławę stał niedaleko mnie, trzymając się za boki od śmiechu, objaśnił nas, że wilków już od tygodnia niema, bo widział na własne oczy, jak nocami całe ich stada, stuliwszy ogony, uciekały z naszych lasów, gonione przez jakiegoś potwora, napozór do wilka podobnego, ale odróżniającego się ogromnym rogiem na głowie... Był to mój wilk... mój strzał... mój stempel... dzięki któremu cała okolica raz nazawsze tych nieproszonych pozbyła się gości.

Baryłkiewicz, choć to już może poraz setny słyszał, parsknął na widok rozpłomienionego Pływalskiego śmiechem, któremu i ja się oprzeć nie mogłem. Tryumfujący pan Polikarp, w nieustającej swej werwie, poskoczył od ściany, porwał za jakiś młotek i wywijając nim, rzekł znowu:

— A wiecie skąd ten młotek datuje?

— Pokaż go... — odparł Teluś, oglądając stary młotek — na bardzo starych rzeczach to i ja się czasem poznam... Czekajno... czekaj... Aha!... wiem, wiem!... To są młotki ciesielskie z epoki budowania wieży Babel!.. prawda?

Pływalski spojrzał nań niedowierzająco, a zarazem tak głupią nastroił minę, żem już śmiechu powstrzymać nie mógł. Tymczasem Teluś, któremu wzrastający apetyt odejmował już ochotę słuchania dalszych archeologicznych

facecyi, chciał widać tem radykalnem kłamstwem zabić rozmowę; nie dając więc już przeciwnikowi przyjść do słowa, dodał zaraz:

— Śliczne to rzeczy, mój Karpiu, i gotówbym ich słuchać całą noc, ale ci się przyznam, żem dyable głodny, a ręczę, że i delegat moje zdanie podziela. Pójdźmy więc co przetrącić, bo nim do szyszaku dojdziemy... zemdleję!

— A to pójdźmy... — westchnął gospodarz z żalem, że mu werwę opowiadania przerwano — ale zamawiam sobie jeszcze delegata do dalszego przeglądu zbrojowni.

— Owszem... owszem... — odrzekłem.

— I ja się nie zarzekam — dodał Teluś, który z łaski gospodarza przed wieczerzą wypaść nie chciał — a na dowód, że twoje zbiory cenię, zrobię ci prezent rzadki... starą skorupę... rodzaj garnka, który wedle podania jacyś święci lepili.

— Ale to nie może być — przerwał gospodarz — przecie przysłowie samo powiada wyraźnie, że nie święci garnki lepią.

— Przysłowie musiało skłamać i basta — odrzekł niezmieszany Teluś — mam wyraźne dowody, że ten garnek święci lepili... Opowiem ci to szczegółowo... ale niech to będzie do poduszki, mój drogi. A teraz marsz! — zakonkludował, biorąc nas obu pod ręce i wypychając prawie gwałtem do jadalnej sali.

* * *

Przy okrągłym stole, zastawionym różnemi przekąskami domowej inwencyi, zastaliśmy już pannę Kunegundę Przeszkodzińską, zatopioną w tylko co położonej kabale, a obok wspartego o poręcz krzesła stryja Pokropowicza, wpatrującego się z nawpół rozwartą gębą w kilka szeregów kart, które im obojgu losy przyszłości zwiastowiać miały. Ręka stryjaszka, czystym zapewne przypadkiem, igrała od niechcenia z gęstymi puklami włosów panny Kunegundy, w okrągłe spływających loczki.

Nagłe ukazanie się nasze pomieszało im chwilowo szyki.

— Oho!... — przeszkodziliśmy pannie Przeszkodzińskiej — zawołał Pływalski, a i szwagierek zaciekawiony był także kabałą.

— W samej rzeczy — odrzekła panna Kunegunda — kabała dzisiejsza zwiastuje nam tak ważne i dziwne nowiny, że jest nad czem medytować... Mimo to przyjemnie mi przerwać ją na chwilę, żeby powitać pana Baryłkiewicza... tak rzadkiego gościa...

— Ścielę się do nóżek panny Kunegundy — pochwycił Teluś, całując pulchną jej rączkę, całowanie bowiem rączek niewieścich było słabością Telusia, który, że nie był organistą, więc też pod tym względem *nie przebierał.* — Przedstawiam pannie Przeszkodzińskiej mego przyjaciela, pana delegata...

— O mającem nastąpić przybyciu gościa byłam już powiadomioną... — rzekła, podając nam przekąski.

— Przeze mnie — wtrącił Pływalski.

— Poprzednio jeszcze kabała mi to oznajmiła — odrzekła z powagą.

— Moja panno Przeszkodzińska — odparł pan Polikarp, wychylając kieliszek alembikówki — już przy mnie przynajmniej nie wyjeżdżaj z tą kabałą, bo kłamie ona czasem bez miłosierdzia.

— Znam ludzi — odrzekła urażona — którzy jej w tem nie ustępują bynajmniej.

— Ile razy bywało — ciągnął dalej, nie zważając na przycinek, pan Polikarp — we żniwa... ot tak na kpiny... pytałem się czasem z wieczora, jaka będzie pogoda na dzień następny, panna z kabały przepowiadałaś mi z całą pewnością pogodę... Ja, wierząc jak głupi, spędzam od rana żniwiarzy... sam się rozbijam na koniu... nakładę kilkadziesiąt morgów zboża... ehę!!... od południa spuszcza się deszcz, i dyabli zboże biorą... Czy nie?

— Kabała za cały dzień ręczyć nie może — odrzekła niezmieszana wieszczka.

— Ale ona, słowo honoru, nigdy mi jeszcze prawdy nie powiedziała! — krzyknął Pływalski. — Pamiętasz panna, kiedy sąsiad Pieniacki tak ciężko chorował na tyfus? Wystawcie sobie, jednego wieczora, kładąc kabałę, wykrzyknęła panna Przeszkodzińska, że Pieniacki umarł. Ja z radości ażem ją cmoknął w łapkę... Nazajutrz ubieram się czarno od stóp do głowy, fornalowi na baranią czapkę czarnej krepy w miasteczku po drodze kupiłem, a kogom spotkał, tom mu śmierć Pieniackiego zwiastował. Z radości raczyliśmy się wszyscy wódką, winem, piwem... co pod rękę popadło... Bo proszę

was, pozbyć się z okolicy takiego kreta, który nas tu wszystkich podkopuje, toć było się czemu radować. Nareszcie zajeżdżam przed dwór do Wichłaczewa, ja... com tam nigdy nogą nie postał. Nastroiłem minę smutną, jak na dobrego sąsiada, w kondolencyi przybyłego, przystało, i wchodzę. Zastaję w pierwszym pokoju tłuściuchną panią Pieniacką, zajadającą sobie spokojnie chleb z masłem i czarną rzodkiew z solą. Zastanowiło mnie to już trochę, żeby żona zaraz po śmierci męża miała smak do czarnej rzodkwi z solą; ale spojrzawszy na nią, widzę, że istotnie jakaś niewesoła... milcząca... a nawet z pewnem zdziwieniem spoglądająca na mnie. Więc siadam. Siedzę obok niej, ale nie wiem od czego zacząć... Ona skończyła już i westchnęła, westchnąłem i ja;... ona chrząknęła, może po tej czarnej rzodkwi, i ja chrząknąłem. Nareszcie, po długiej chwili milczenia, pyta się mnie okolicznie o cel mego przybycia.

— Pojmujesz, szanowna pani — odrzekłem jej — że jest obowiązkiem sąsiedzkim podzielić tak radość jak i smutek tych, z którymi choć nie blizkie stosunki, ale blizkie nas łączą granice. W nieszczęściu jakie sąsiadkę dotyka...

Wtem, jak duch z tamtego świata, zjawia się przede mną Pieniacki. — Sąsiad żyjesz?! — krzyknąłem przestraszony, odskakując ku drzwiom.

— Albo co? — odrzekł mi ex-nieboszczyk — czy mnie za umarłego mieliście?

— A no... istotnie — bełkotałem jak student... taka wieść krążyła...

— Proszę — odrzekł słodziutko zmartwychwstaniec — i skądżeż to wyszło?

Nie mogłem się przyznać do źródła, z którego tę wiadomość zaczerpnąłem; zamilkłem więc, spuszczając oczy w ziemię.

— Nie martwcie się, najdrożsi przyjaciele — rzekł po chwili — ja żyję... żyję z łaski Boga i Matki cudownej... i dam wam wkrótce znak życia.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć... byłem jak na żarzących węglach... Nareszcie, klnąc w duszy kabałę, wymknąłem się jak złodziej do domu, zdarłszy naturalnie fornalowi krepę z czapki. Ale cóż powiecie, fornal gapa wygadał się przed ludźmi z nowiną o śmierci Pieniackiego, którą ode mnie słyszał;.. ci, którym po drodze opowiedziałem ten wypadek, zjeżdżali się także kolejno z kondolencyami do Wichłaczewa, a wyciągnięci zręcznie na słówko przez Pieniackiego, wybajali mu się, że to ode mnie słyszeli. W tydzień miałem pozwy do sądu... i nimem tę sprawę polubownie ubił, kosztowała mnie ta historyjka... słowo honoru, ni mniej ni więcej, tylko okrągłe dwa tysiące... A co?.. dobra kabałka?

Roześmieliśmy się serdecznie z konkluzyi tej niefortunnej przygody i na widok pocieszniejszej jeszcze miny opowiadającego.

— Śmiejcie się... śmiejcie! — rzekł pan Polikarp — ja sam śmieję się dziś z siebie, jak sobie tę historyjkę przypomnę;... ale przyznacie mi, że wiara w kabałę panny Kunegundy kosztowała mnie dość drogo, i dlatego niema się czemu dziwić, jeśli jej dziś ślepo nie ufam.

— A tymczasem — dodała poważnie panna Kune-

gunda — ja wierzę w kabałę mimo tego, że ksiądz definitor grzechem ją mianuje... Jest to może mój grzech jedyny — szepnęła, spuszczając oczęta, czemu głuche westchnienie Pokropowicza echem po sali zawtórowało. — Kabała nigdy mnie nie zawiodła... z niej dowiedziałam się o śmierci drogich sercu istot; jeśli więc smutne przepowiadała mi nowiny, to czemużbym dziś weselszej nie miała uwierzyć?

— I cóż tak wesołego zwiastuje pannie Kunegundzie dzisiejsza kabała? — zapytał ciekawie Baryłkiewicz, gdy tymczasem stryj Edward, wierzący w kabałę panny Kunegundy jak w ewangelię, zbliżył się znowu do stołu.

— Szczegółów jeszcze nie wiem — odrzekła, wspierając czoło na dłoni i zapuszczając wzrok w leżące karty — bo przybycie panów przerwało mi rozpatrzenie się drobiazgowe; ale nasamprzód ten niżnik czerwienny przy czwórce, to znaczy... przyjazd nieoczekiwanego gościa... bo niżnik to posłaniec... a czwórka to cztery koła bryczki. Dalej tuz przy piątce dzwonkowej... to znaczy list z dobrą wiadomością, który leci do nas. Wprawdzie ten niżnik żołędny staje nam w drodze...

— Ale do kogóż się to *nam* odnosi? — przerwał Pływalski — czy te dobre wiadomości mnie, czy panny Kunegundy dotyczą?

— Kładłam kabałę dla siebie i dla Ed... dla pana Pokropowicza — dodała, poprawiając się szybko — tym razem dotyczy tylko nas obojga.

W tej chwili turkot szybko zajeżdżającej bryki rozległ się przed domem, a wkrótce potem ukazał się we

drzwiach, kłaniając się na wsze strony, znany już nam oberżysta, pan Wabik.

Przybycie tego nowego gościa zdziwiło nas wszystkich niepomału. Po zafrasowanej minie oberżysty znać było, że nie wiedział jak cel przybycia swego usprawiedliwić; pomieszanie zaś gospodarza domu zdradzało nawzajem pewne wahanie się jego, jakby nowego gościa przyjąć należało. Wabik zatrzymał się przy drzwiach, w pewnej odległości od stołu, miętosząc czapkę w ręku i nie śmiąc przysunąć się bliżej... Gospodarz, wodząc oczyma po nas, śledził wrażenie przybyciem oberżysty wywołane, by wyciągnąć stąd wiosek, czy zostawić go przy drzwiach, czy też poprosić bliżej wypadało. Najwytrawniejszy jednak w sytuacyach drażliwych, Baryłkiewicz, wyprowadził go szybko z kłopotu.

— Wabik — zawołał — co tu porabiasz?... Siadajno, dowiemy się może czegoś nowego.

— Siadaj, siadaj, panie Wabik — dodał szybko ośmielony już gospodarz domu.

— Prosimy... prosimy! — powtórzył Pokropowicz, podając mu rękę i krzesło.

Wabik usiadł na rożku krzesła, tak jak na propinatora wobec posesyonatów przystało, i bawił się dalej czapeczką.

— Miałeś być w Przemysłowicach — wtrącił Teluś, który cały świat tykał — ale po krótkości czasu miarkuję, żeś tam jeszcze być nie musiał.

— W samej rzeczy — bąknął nieśmiało Wabik — nie wiedziałem zrazu jak i co... to jest niby... w takim interesie drażliwym, którego tylko pół na pół... to jest

niby... z opowiadania wielmożnego dziedzica... domyśliłem się nieco... Więc tedy... i owszem... pojechać najłatwiej... ale jak potem wziąłem na rozmyślenie co i jak... więc sobie mówię, że dobrzeby było, abym się dowiedział jak i co... nim do Przemysłowic pojadę... a tembardziej, że nie wiem co i jak w Wichłaczewie zamyślają... Dlatego to, niewiele myślący, przyjechałem tutaj... zapytać wielmożnych panów na osobności jak i co zaszło, a dopiero będę wiedział co i jak począć... i albo pojadę do Wichłaczewa, a potem do Przemysłowic... albo wprost do Przemysłowic... stosownie do okoliczności... jak i co.

Całą tę argumentacyę kabalistyczną Wabik wypowiedział głosem tak niepewnym i tak ją częstem przerywał chrząkaniem, że baczniejszy dostrzegacz domyślećby się mógł zaraz, iż pod pozorami, którymi oberżysta przyjazd swój usprawiedliwiał, coś zupełnie innego kryć się musiało. Ale z grona naszego nikt zbytnią domyślnością nie grzeszył; nietylko więc sam gospodarz domu, ale z nim razem Baryłkiewicz i Pokropowicz zupełnie temu uwierzyli.

— Opowiem ci to wszystko — rzekł Teluś — ale pozwolisz, że wprzód posilimy się trochę, bo jestem przeraźliwie głodny.

— Nie przeszkadzam bynajmniej, smacznego apetytu! — dodał cicho Wabik — nie śpieszy mi się tak dalece.

— No to połóż waść czapkę — rzekł Pływalski — przysuń się do stołu i przetrąć co z nami... bo widzę żeś zziąbł, trzęsiesz się cały.

— Może sznapsika? — zapytał z zaiskrzonemi oczyma Pokropowicz, biorąc flaszkę i miarkę do ręki.

— Jeżeli łaska — szepnął Wabik.

— Do asana, panie Wabik — rzekł Spirytus, korzystając z okazyi i wychylając w oka mgnieniu kieliszek alembikówki.

— Uniżony służka — odszepnął Wabik, wychylając także podany sobie nektar i w ślad za tem przysuwając się ostrożnie do stołu.

— Przerwaliśmy pani kabałę — rzekłem, widząc źle tajoną niecierpliwość panny Kunegundy w dalszem rozwiązywaniu przyszłości.

— Otóż — poczęła wieszczka — wyszedł najprzód w kabale przyjazd niespodziewanego gościa bryką...

— Przypuśćmy że to Wabik — przerwał Teluś — wszak przyjechałeś bryczką na czterech kołach?

— Ja?.. to jest... a tak — szepnął zmieszany nagle oberżysta.

— Wybornie wychodzi! — zawołał śmiejąc się niedowiarek pan Polikarp.

— Wątpię, aby tym gościem mógł być pan Wabik — rzekła z przekąsem panna Kunegunda — bo ten gość przepowiedziany kabałą ma być dla nas zwiastunem dobrej nowiny.

— No Wabik?.. może masz dla panny Kunegundy jakie dobre nowiny? — zapytał Teluś.

— Ja?.. — odrzekł blednąc Wabik — ale uchowaj Boże... ja nie wiem o niczem... coby niby panny Przeszkodzińskiej... ten tego... dotyczyło.

— No, to już się nie sprawdza kabała! — zawołał tryumfujący Pływalski. — Cóż dalej?

— Dalej — mówiła panna Kunegunda, marszcząc brwi — ten niżnik żołędny... to zły człowiek, co nam chce wejść w drogę.

— Może to przynajmniej Wabik — dodał śmiejąc się Teluś.

— Pan dziedzic zawsze... ten tego — szepnął Wabik, którego oblicze większą jeszcze okryło się bladością.

— Widzę w tym rzędzie bardzo ważne dwie karty — ciągnęła dalej panna Kunegunda, patrząc w kabałę, w którą i stryj Edward iskrzący wzrok swój utopił. — Widzę te dwie dziewiątki, jedną czerwienną... drugą dzwonkową... te dwie karty razem znaczą... fortunę... pieniądze!

— Pieniądze! — powtórzył, wytrzeszczając chciwie oczy Pokropowicz.

— Pieniądze? — wyjąknął mimowoli Wabik, blednąc i rumieniąc się naprzemian.

— Może te co tu są zakopane? — wtrącił seryo Pływalski. — O bo delegat dobrodziej nie wie, że w tym zamku, wedle rodowych tradycyi, ma być zakopany skarb milionowy, który Henryk Walezyusz, uciekając do Paryża, jednemu z moich antenatów oddał do schowania, i potem już za Batorego odebrać nie miał okazyi.

— Ale nie — odparła panna Kunegunda, nie spuszczając oczu z kart — pieniądze te nie dotyczą pana... kładłam kabałę dla siebie i dla pana Pokropowicza.

Zresztą te pieniądze nie są zakopane, bo pod nimi jest czwórka winna... to jest bryka... czyli że są w drodze.

Wabik poprawił się na krześle, ocierając pot z czoła.

— Ale niby skąd one jadą? — zapytał nieśmiało Spirytus — bo może tego łotra dziedzica sumienie ruszyło i odsyła mi to co mi na licytacyi moich inwentarzy zagrabił.

— A chybaby był głupi! — zauważył Teluś.

— Wcale nie to — ciągnęła dalej Sybilla, opierając strudzoną myślami głowę na dłoni i zatapiając wzrok w karty, a nikt z obecnych uroczystego nie śmiał jej przerywać milczenia.

Spojrzałem przypadkiem na Wabika i przeraził mnie wyraz jego twarzy. Siedział na rożku krzesełka, blady i purpurowy naprzemian, trzymając się jedną ręką stołu... ale postawa jego była tak chwiejną, a ściśnięcie stołu tak konwulsyjnem, że zdawał się blizkim upadku.

— Czy pan nie chory? — spytałem go.

— Ja?.. -- odrzekł zmieszany. — O... nie... wcale... bynajmniej... tylko... ot tak... noc bezsenna... panowie Bzdurscy... ten tego... A przytem pan Pokro... kropo... to jest... Pokropowicz... dobrodziej poczęstował mnie sporą miarką... tego ten... ale... bynajmniej chory nie jestem... jak mi Bóg miły!

— Aha... — krzyknęła panna Kunegunda, a Wabik aż podskoczył na krześle — już wiem! wiem!.. Panie Edwardzie... chciałam mówić... Panie Pokropowicz... czyśmy wykupili bilet na loteryę do piątej klasy?

— A jakże... a jakże! — zawołał, przysuwając się do kabały stryj Edward — albo co?

— Wygraliśmy na loteryi! — krzyknęła, klaskając w ręce.

— Wygraliśmy na loteryi?! — wrzasnęł Spirytus.

Silny kaszel porwał w tej chwili Wabika, który, zatykając sobie usta czerwoną kraciastą chustką, i twarz całą tem samem zasłonił.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się na całe gardło Pływalski — winszuję wam naprzód! Będzie to taka prawda, jak to że Pieniacki umarł.

— No... no — zauważył Teluś — wszystko być może... Ja sam znałem kilku takich, co wygrywali na loteryi... Pierwszy zaraz pocztmistrz Trębaczkiewicz...

— Ale mój Telusiu — zawołał Pływalski — to nie racya, że Trębaczkiewicz wygrał...

— Panie Pokropowicz... czekajmy kilka dni cierpliwie — szepnęła panna Kunegunda, wodząc po panu Edwardzie rozpłomienionym wzrokiem.

— Czekajmy — odrzekł, westchnąwszy Pokropowicz.

Wabik tymczasem przestał kaszleć i przysunął się zwolna do stołu, jak gdyby nic nie był słyszał.

— Słyszałeś, Wabik — zapytał Baryłkiewicz — co z kabały wypadło?

— Nie, panie dziedzicu — spokojnie odrzekł zagadniony.

— Panna Kunegunda wyczytala w kabale, że wygrali z panem Edwardem na loteryi.

— Czy tak? — wtrącił zdziwiony niby Wabik — proszę? No... no... a toby było wyborne... wyśmienite... jak mi Bóg miły!

— I ty w to wierzysz?.. taki mądry napozór człowiek?

— A cóż... proszę wielmożnego dziedzica... trafiają się na świecie różne rzeczy... dyabeł nie śpi...

— Cóż to pan mieszasz dyabła z kabałą? — zakrzyknęła urażona do żywego wieszczka. — Ksiądz definitor, choć niekoniecznie aprobuje wiarę w kabałę, nigdy jednak szatańskiej w tem sprawy nie dojrzał.

— Ale... to jest — bronił się Wabik — ja tylko z przysłowia tak urwałem... Bynajmniej przeciw kabale nic nie mam... owszem, nawet sam wierzę...

— Jakto, asan wierzysz kabale? — zapytał Pływalski — taki obrachowany człowiek?

— To jest... pewności niema... przysiądz trudno dobremu katolikowi — bąkał oberżysta — jednak czasem... może coś w tem być... zdarza się... zdarza... a kiedy zresztą ksiądz definitor nie broni... to czemuż nie wierzyć choć trochę?

— A no... kiedy tak wierzysz — podchwycił Pływalski — to odkup tę wygraną na loteryi.

Wabikowi oczy się zaiskrzyły jak u kota, gdy już myszkę chwycić ma w swe łapy.

— Co?.. ja? — bąkał niby trwożliwie. — A cóż, proszę pana dziedzica... na ryzyce świat stoi... Niech pan dziedzic nie mówi tego dwa razy.

— Co, odkupisz? — wtrącił Teluś, zrywając się z krzesła. — Dalej, Spirytus... róbcie interes z Wabikiem... No, panno Przeszkodzińska!

— Ja tego nie zrobię — odrzekła panna Kunegunda spokojnie i z pełną wiarą w kabałę.

— Mniejsza o to — zawołał Teluś, który pragnął koniecznie być świadkiem tej tranzakcyi, w silnem przekonaniu, że się Wabik złapie. — Spirytusie! usłuchaj mojej rady... zrób ty interes!

— A no... — odparł Pokropowicz, pocierając czoła — ale co pan daje?

— Wielkich rzeczybym nie ryzykował — bąknął nieśmiało Wabik — ale tak pięćset złotych...

— Pięćset złotych?! — zapytała z oburzeniem panna Kunegunda — pięćset złotych za sto tysięcy?

— Ha! ha! — zaśmiał się przymuszoną wesołością oberżysta — a skądżeż ta pewność, że wygrana... jeśli istotnie padła... to już zaraz na wielki los?

— Tu jest pewność — rzekła uroczyście Sybilla, wskazując na karty — pomiędzy czterema królami, leżą cztery dziesiątki... cztery ósemki... i cztery siódemki... razem... sto!

— E... to tam... kartom tak na każde oko wierzyć nie można... zakpią one czasem — szeptał, uśmiechając się Wabik. — Więcej nie poryzykuję, jak to com powiedział... tysiąc złotych!

— Tysiąc?! — wtrącił Pływalski — więc dajesz teraz tysiąc? Bo wprzód mówiłeś tylko o pięciuset.

— Ja?.. a... prawda — odrzekł schwytany za słowo. — No, ale trudno... moje nieszczęście... kiedy się wymówiło... to święte.

— Wiecie, że to sławne! — ozwał się Teluś, coraz więcej zaciekawiony. — I ty Wabik wierzysz istotnie kabale?

— Doprawdy... aż się wstydzę przyznać panu dziedzicowi... ale... nietyle wierzę... ile lubię ryzykę.

— No, to ci założę sztosika — zaproponował Baryłkiewicz, brzękając dla zachęty kluczykami w kieszeni.

— Kiedy ja na kartach się nie znam — odparł Wabik. — Co innego loterya... to łatwiejsza ryzyka.

— Daj pan dziesięć tysięcy złotych za moją połowę! — ozwał się nagle, odskakując od panny Kunegundy Pokropowicz, któremu nadzieja złowienia takiej, nigdy przezeń niewidzianej kwoty, błysła naraz w całej świetności i uczyniła go chętniejszym do ustępstw.

— Pan żartuje — odrzekł, broniąc się niby Wabik; ale oczy jego zdradzały wyraz najżywszego zadowolenia.

— Ja was pogodzę — wtrącił Pływalski — krakowskim targiem... pół na pół... daj pięć tysięcy!

Wabik milczał, patrząc na Pokropowicza, co wymownie świadczyło, iż do przyjęcia propozycyi był skłonnym. Panna Kunegunda chwyciła tymczasem rękę pana Edwarda... potrząsając nią z całej siły i wołając głośno:

— Nie pozwolę na to! nie pozwolę!

— No... ale kiedy się już słowo rzekło — szepnął Spirytus — to szlachcic go nie cofa... dajesz dziesięć tysięcy?

— No Wabik... dajesz?!.. dajesz?! — zapytali razem Pływalski i Baryłkiewicz.

— Daje! — rzekłem ja na to, podnosząc się z krzesła; wyczytałem bowiem dowodnie z oczów Wabika, że się tylko dla formy ociągał z odpowiedzią.

— Ha... kiedy pan delegat tak każe — odrzekł lisek — to daję!

— Ja nie każę... ale widzę z pańskich oczu, że tylko czekasz na dobicie targu.

— Lubię ryzykę! — krzyknął, zrywając się z krzesła, a plunąwszy w rękę, zwyczajem karczmarzy, podał ją Pokropowiczowi.

— Ale nóżki na stół! — jęknął bezprzytomny już prawie Spirytus, którego oczy wyraz dzikiej jakiejś radości odbijały.

— I owszem — zakonkludował oberżysta — miałem dziś płacić za cygara, cykoryę i rogale w Przemysłowicach, to te pieniądze tu zostawię na ryzykę.

I to rzekłszy, wydobył zatłuszczony pugilares, z którego zaczął wyliczać umówioną sumę nowiutkiemi papierkami.

Trudno sobie wyobrazić zadziwienie obecnych i różny wyraz ich twarzy. Pan Polikarp, niewierzący dotąd w kabałę, ukląkł na stołku... brzuchem oparł się na stole, a widząc naraz ubogiego szwagierka do tak poważnej przychodzącego sumy, pocierał czoła, jakby przekonać się pragnął, czy to co widzi nie czczem jest tylko marzeniem. Teluś biegał szybko koło stołu, pogwizdując sobie i brząkając kluczykami w kieszeni, jak gdyby widok tej kwoty był dlań zupełnie obojętnym; a jednak i w cienkiem jego gwizdaniu, i w tłumionych westchnieniach, i w przyśpieszonym kroku, i w ciskanych od czasu do czasu spojrzeniach na pieniądze... widać było, jak zazdrościł w duszy szczęśliwcowi, na którego ni stąd ni zowąd, takie bogactwo spadało. Panna Kunegunda,

wsparłszy smętnie głowę i potrząsając loczkami, zachmurzyła się groźnie na stryja Edwarda za to, że bez względu na jej zaklęcia, dał się tak samowolnie obedrzeć z kwoty wygranej, którą ona z całą wiarą i pewnością wyprorokowała. Wreszcie obaj zapaśnicy, Wabik i Pokropowicz, stali naprzeciw siebie, jeden wykładając pieniądze rękoma trzęsącemi się z pośpiechu jak w febrze... drugi układając je w kupki i kupeczki, również pośpiesznie, ale lubując się ich widokiem. Od czasu rezydowania na zameczku, nigdy jeszcze papierek rublowy nie przeszedł przez kieszeń Pokropowicza, którą zaledwie kiedy niekiedy złotóweczka wytarta, lub kilka miedziaków nawiedzały.

Stałem na uboczu, zachwycając się widokiem tych różnorodnych wrażeń, jakie się na twarzach obecnych odbijały i żałując tylko, że niewprawna dłoń moja nie była w stanie pochwycić tej grupy, dla przeniesienia jej żywcem na płótno.

Skończyło się nareszcie wyliczanie i przeliczanie pieniędzy... Szczęśliwy wybraniec fortuny podpisał przy świadkach skrypt, mocą którego odstępował Wabikowi wszelką wygranę 5-tej klasy, jakaby na jego część wypadała, a Wabik, czerwony już jak burak, z oczyma promieniejącemi najwyższem zadowoleniem, chował do skórzanego pugilaresu cyrograf, zapinając surdut na dwa rzędy i gotując się do pożegnania z obecnymi, którzy jeszcze z pierwszego wrażenia niezupełnie ochłonęli... gdy nagle... dwa strzały pistoletowe rozległy się echem po podwórzu, na którem w ślad za tem zadudnił turkot szybko zajeżdżającej bryki.

Wabik zadrżał... Jednym susem wyskoczył za drzwi... z których też w tej samej prawie chwili wpadło do sali dwóch ludzi, wrzeszcząc na całe gardło: „Wiwat pan Edward!.. Wiwat pannie Kunegundzie!“

Z nowoprzybyłych jeden był synem gospodarza domu, ów opisany już przez nas Wisuś, — drugi żydek z miasteczka, który, czy to wskutek wrodzonej na strzały drażliwości, czy też pod wpływem misyi w jakiej przybywał, trząsł się jak w febrze.

— Wiwat! wiwat! — wołał Wisuś, łapiąc wpół stryjaszka i obracając nim jak w oberku. — Wiwat! — krzyczał dalej, chwytając tak samo pannę Kunegundę, która mimo dość energicznej obrony, ściśnięta żelaznemi łapami Wisusia, takiego samego młynka wykręcić z nim musiała.

— Wisuś! Wisuś! — wołał Pływalski — co robisz, czyś oszalał?

— Pan Wincenty musiał sobie zalać w miasteczku — dodała z oburzeniem panna Kunegunda, przychodząc do siebie.

— Ale prawda, wszystko prawda! — odrzekł Wisuś — wypiłem butelkę wina i półkwarty gorzałki... urżnąłem się więc trochę na waszą intencyę... bo może nie wiecie co was spotyka?

— Kogo? — spytał Teluś.

— Stryja Edwarda i pannę Przeszkodzińską.

— Wiemy, wiemy — wtrąciła spokojnie panna Kunegunda — wygraliśmy na loteryi.

— A skąd to już wiecie? — zapytał zdziwiony Wisuś.

— Z kabały — odrzekła ze zwykłą powagą.

— Ny... skąd mają wiedzieć? — podchwycił żyd zaperzony — ten gałgon... ten meszigener... ten szachraj Wabik, co mnie zamknął we izbie... jak żeby do jakiego kozie... to wón złodziej tu musiał przylecieć, żeby pierw jak ja powiedzieć wielkiego nowine!

— Jakto? co ty mówisz, żydzie? — zapytał, przyskakując Teluś. — Czy Wabik wiedział o tem, że oni wygrali na loteryi?

— Jakto nie wiedział? — odrzekł, gestykulując żyd — zaco nie wiedział?.. Wón wszystkiego wie, ten gałgon... ten zbój! Jakem przyjechał na Poćkajkę, tak wypiułem kieliszek śnapsa i płacę... a Wabik się mnie pita gdzie jadę?.. tak ja jemu mówię, że do jaśnie pana Pokropo... chciałem mówić Kropopowicie... co on z panne Kunegundzie wygrał wielki los!.. ale ledwie ja to przez gębę wymówił, tak ten zbój wziął i zamknął izbę na obydwóch spustów i złapał mojego kobyłę z biedem i pojechał gdzieś, a ja zostałem w koziech. Dopiero jak ja sam został, to ja zrobiłem gewałt, a jak wielmożny Wisuś nadjechał i słyszał mój gewałt, to palnął łapem we drzwiów, aż zamek popękował i złapał mnie na brykę, a ja go tu przywiozłem...

— A co? a co? — przerwała promieniejąca panna Kunegunda, klaszcząc w dłonie, gdy tymczasem oszukany Pokropowicz smutno tylko głową potrząsał.

— A to łotr, jak Boga kocham!.. z piekła rodem!.. — wrzasnął Pływalski, uderzając pięścią w stół.

— To złodziej!.. okradł nas! — powtórzył za nim Teluś.

— Albo cóż się stało? — zapytał zdziwiony Wisuś.

— Wykpił ode mnie całą moją wygraną za byle co... — jęknął Pokropowicz, dla którego dziesięć tysięcy złotych już w tej chwili *byle czem* się stało.

— Jakto wykpił?.. czy on kupił?.. — zapytał żyd.

— Odstąpiłem mu to na piśmie — odrzekł okradziony bogacz.

— Herste!.. gewałt!.. — zawołał żyd. — A to ganef!.. Ja tu po to samo jechałem!

— A czyż panowie sądziliście — zapytałem z mej strony — że taki szczwany lis tak sobie na wiatr dziesięć tysięcy złotych poryzykował?

— Bylibyśmy przysięgli — odrzekli chórem.

— No, toście go mniej poznali przez lat tyle, niż ja od wczoraj.

— Co tu robić?.. co tu robić? — wołano dokoła.

— Uu! — krzyknął Wisuś — żebym go dostał w ręce, tobym mu to wytrząsł z kieszeni wraz z duszą.

Tymczasem Wabrka już we wsi nie było... a noc ciemna wszelką gonitwę czyniła niemożliwą. Całe też grono, pod wpływem tylu przeróżnych wzruszeń, w milczeniu rozeszło się po zamku.

* * *

Zapowiedziane na dzień następny polowanie sąsiedzkie nie przyszło do skutku, Pokropowicz bowiem, do którego należało rozsyłanie zaprosin po sąsiadach, pił całą noc, a nad ranem jak zabity rzucił się na łóżko i dobudzić go się nie zdołano. Pił on nie z uciechy, ale

z rozpaczy, przyczem płakał jak bóbr, zapominając, że i tak los mu się nad wszelkie spodziewanie uśmiechnął.

Ale czyż jest bo kiedy dla namiętności ludzkich granica?.. Biedak, przywykły do kątka na poddaszu i łyżki ciepłej strawy, całe życie poprzestać na tem potrafi, jeśli je krwawą swą pracą zdobyć umiał. Niech jednak los, traf czy fatalizm cisną go nagle z poddasza o jedno piętro niżej, niech mu się wrota do pragnień ludzkich na chwilę uchylą... a to, o czem marzył dawniej, stanie się dlań przedmiotem wzgardy... Z politowaniem ruszy ramionami nad poprzednią głupotą swoją... z trzeciego piętra zapragnie zjechać na drugie, z drugiego na pierwsze i t. d. i t. d... Słowem, wyszedłszy raz ze światka, w którym się zrodził i wychował, błądzić pocznie w zaczarowanem kole żądz ludzkich, nie będąc im nigdy w stanie dogodzić, a błądzić będzie póty, póki go nareszcie wycieńczenie sił, utrata lekko nabytego mienia i śmierć moralna lub fizyczna zeń nie wyprowadzą.

Przez takie same cierpienia przechodził noc całą stryj Edward. On, dla którego papierek rublowy był dawniej szczytem marzeń, bolał nad dolą swoją, nie obliczając tego, co za wygrane dziesięć tysięcy złotych będzie mógł nabyć, ale obrachowując tylko to, z czego za pozbyte czterdzieści tysięcy mimowolnie się wyzuł.

Pan Polikarp, którego także *ruina* szwagierka mocno zalterowała, pocieszał go, jak ongi sam był pocieszanym, pomagając mu przy kieliszku w tej nocnej potrzebie, przy której podobno, tytułem kondolencyi, okrągły tysiączek od szwagra wyłudził.

Teluś z początku dotrzymywał im placu... wzdychał ciężko razem z nimi, a w napadzie szczerego współczucia, zaproponował nawet dla rozrywki niewinnego sztosika, przy którym niepocieszony Pokropowicz mógłby czarne swe myśli rozpędzić. Ale gdy stryj Edward, mimo podniesionej temperatury mózgu, zapiął surdut na obydwa rzędy i wzamian za proponowanego sztosika, rozdał stare polskie karty do maryasza... po groszu simpla, a po dwa grosze dubla... Teluś brzęknął kluczykami z pogardliwym uśmiechem i pogwizdując sobie cienko, wrócił do zbrojowni, gdzie rzucił się na łóżko, aby urznąć śpika od ucha.

Wreszcie ostatni z domowników, Wisuś, który, jak widzieliśmy, przybył już pod dobrą datą z miasteczka, dolewał sobie przez całą noc z ojcem i stryjem do reszty, tak, że chociaż już słońce wysoko wzniosło się na niebie, cała trójka pogrążoną jeszcze była w objęciach Morfeusza.

Korzystając z wolnej tej porannej chwili, zabrałem się do czynności, a choć pan Polikarp jak w gębie, tak w regestrach często poetycznej nadużywał licencyi, doszukałem się jednak cyfr prawdziwych od włódarza, którego buchalterya, na karbach kozikiem wyrzynana, najdokładniejszą jeszcze być się zdawała.

Około południa, gdy już czynność moja blizką była ukończenia, wszedł do zbrojowni, przybrany po myśliwsku, pan Polikarp. Więc na szaraczkowej kurcie z zielonym kołnierzem zawiesił torbę borsuczą o kilkunastu trokach; na każdym z metalowych guzików wisiał jakiś przybór myśliwski: — więc na jednym pulwersak

łosiowy, do dwóch numerów śrutu... na drugim rożek do prochu, z wkręcaną miarką do nabojów... na trzecim pęcherzyk z loftkami... na czwartym maszynka z pistonami... na piątym pęczek pakuł, jakby w kiełbaskę skręconych; — wreszcie przez plecy biegł potężny róg myśliwski, na którym pan Polikarp był w swoim rodzaju artystą, silne bowiem płuca tego atlety otrębywały lasy i knieje na parę wiorst wokoło. Cała reszta ubrania pana Polikarpa była najściślej myśliwską; o żadnym tam nie przepomniano szczególe, co zresztą najwymowniej dowodziło, jak kiepskim musiał być strzelcem.

— Wybaczcie, kochani goście — rzekł, wchodząc — żeśmy się trochę spóźnili... ale to ta przeklęta wygrana na loteryi wszystkie nam szyki popsuła. Szwagier z Wisusiem przespali aż do tej pory, i nikt o zaproszeniu sąsiadów okolicznych nie pomyślał; panna Przeszkodzińska ma dziś, wskutek zbytku wzruszenia, migrenę, a i mnie przeróżne sny ciężkie przez całą noc trapiły.

— Ot co może podły kruszec! — rzekł filozoficznie Teluś, poświstując sobie cienko dla fantazyi, choć twarz jego zupełnie co innego mówiła. — Ja zawsze twierdzę, że pieniądz to wymysł dyabelski!.. Żeby tak każdy dzielił moje zdanie i gardził tą marnotą, toby ludzie byli szczęśliwsi.

— Zresztą pal dyabli! — dodał Pływalski — żal mi tylko, słowo honoru, że ten łotr Wabik tak mego szwagierka obdarł.

— O kundel! niegodziwy! — podchwycił Teluś. — Żeby to człowiekowi raz w życiu taki interes wpadł

w ręce — dodał, zapominając głoszone przed chwilą cudne indyferentyzmu doktryny.

— Chodźmy popolować, na rozpędzenie tych myśli — zakonkludował gospodarz. — Ogary już w lesie czekają nas na sforze... będzie nas pięć strzelb, a borowy szósty, to się i tak napukamy.

— A no, jedźmy — rzekł niedbale Baryłkiewicz, dla którego polowanie na półmisku więcej od wszelkich innych miało powabu. — Ja biorę tę pojedynkę batorówkę, z której powstał ów wilk rogaty.

— Owszem — odpowiedział Pływalski. — Tylko przyciśnij dobrze do szczęki, bo jak się lekko złożysz, to wrócisz ze spuchniętą gębą. Delegat niech weźmie kanclerzówkę po Janie Zamojskim; śrutu nie rozrzuca, bije kupą o 80 kroków... jak Boga kocham!

— Wolę swoją dubeltówkę, z którą znam się już dobrze — odrzekłem, nie mając wiary w starą, zardzewiałą lufę.

I zabrawszy się, wyszliśmy przed dom, gdzie na drabiniastym wozie, w cztery zaprzężonym konie, czekali nas stryj Pokropowicz i Wisuś, z fuzyami na plecach.

— Jazda do Moczydoła! — zakomenderował Pływalski, sadowiąc się na wozie... i ruszyliśmy do lasu.

— W tym rewirze moczydolskim — począł w drodze — do którego teraz jedziemy, miałem sławne spotkanie. Wyjechałem konno na dzielnym bachmacie do boru, dla zlustrowania świeżo ustawionych dwóch tysięcy sążni drzewa. Śnieg spadł obfity, tak, że koń po kolana prawie wpadał... Wtem słyszę jakiś dziwny szmer...

patrzę... stoi ogromna postać, z siwą, rozczochraną grzywą i brodą, którą wiatr jakby strzechą na dachu powiewał. Siwe brwi nad oczami, zrośnięte z sobą, wystawały od czoła, jakby para sumiastych wąsów; w rękach trzymał olbrzym ten dwa ogromne polana drzewa i tarł je tak długo o siebie, aż się ogień z nich dobył; u ognia zapalił fajkę krótką, ale tak pękatą, że dym buchający z niej robił wrażenie pożaru, wznosił się bowiem ogromnym słupem w powietrze. Kij dyabeł! pomyślałem... Człowiek, czy nie człowiek? Serce biło mi młotem... arabczyk trząsł się pode mną jak w febrze... Mimo to spiąłem go ostrogami i zwolna zbliżałem się do tego ludzkiego potworu, gdy nagle olbrzym, zoczywszy mnie, wydmuchnął z fajki tysiące iskier i ruszył ku dworowi krokiem tak szybkim i sążnistym, że choć szedł pieszo, a ja pędziłem na arabczyku, dognać go jednak nie zdołałem. W ogrodzie za dworem znikł mi z oczu... i odtąd już go więcej nie widziałem. A czy wiesz pan kto to był?

— Nie domyślam się wcale.

— Żyd wieczny tułacz! — wrzasnął pan Polikarp, unosząc prawą rękę dramatycznie.

— Co pan mówisz? — zawołałem mimowoli.

— No... daję słowo honoru! — odparł Polikarp. — Wytropiłem go po śladzie, bo miał na podeszwach krzyż... który też na śniegu się odbił. Szwagrze, czy nie?

Pokropowicz, jak automat sprężyną tknięty, skinął głową.

— Mam naprzykład w ogrodzie — ciągnął dalej

Pływalski — ablegra z krzaku róży, pod którą św. Magdalena płakała — dasz pan wiarę?

Nie miałem czoła potakiwać tym przesadzonym kłamstwom. Teluś zaś, jakoś nie w humorze, mruknął coś sobie pod nosem.

— Ale ojciec nie opowiedział jeszcze o tym niebieskim ogierze, z żółtym ogonem — wtrącił Wisuś.

— A prawda! — podchwycił Pływalski — czy dasz pan wiarę, że był u mego ojca koń niebieski jak lazur nieba, z żółtym jak kanarek ogonem?

— Nie słyszałem nigdy o podobnem zjawisku.

— Otóż nie było to żadne zjawisko, ale rzecz bardzo prosta, a posłuchaj pan jak się to stało. U mego ojca był śliczny ogier bułany, rasy arabskiej... cud na całą okolicę... słowo honoru! Była tedy stypa na naszym zameczku... masa szlachty, między którymi paru wojewodów, kasztelanów i starostów kilku, bo ś. p. mój rodzic wodził tu rej w okolicy. Po sutym obiedzie dla gości i ich służby... po licznych toastach, grono sąsiadów wyszło przed dom; a że to u dawnej szlachty popisywano się przed gośćmi nie francuszczyzną, klawicymbałem lub szmatami, ale dobrym psem, donośną fuzyą albo dzielną stadniną, kazał tedy mój ojciec przyprowadzić przed dom ogiera, żeby go na lince, w całej okazałości sprezentować. Wtem robi się wrzawa przed stajnią... krzyk... hałas... gwałt... lament... ogier zdechł... Lecą wszyscy do stajni... patrzą... leży ogier nieżywy. Ojciec w płacz... goście rozpaczają... niema rady! zdechł najpiękniejszy koń w okolicy. Ojciec mój, ochłonąwszy, nie chciał dłużej znosić tego strasznego

widoku; kazał owczarzowi zdjąć ostrożnie skórę z konia, żeby ją na pamiątkę dać wypchać, a mięso pod ziemię zakopać. Jak kazał, tak się naturalnie stało. Kiedy już skórę z konia delikatnie zdjęto i na płocie zawieszono... wtem nagle... szkapa parsknął... otworzył oczy... podniósł łeb i stanął na równe nogi...

— Bez skóry? — zapytałem.

— Prosta rzecz, kiedy skóra wisiała na płocie — odrzekł Pływalski — i to właśnie spowodowało, że ogier do życia wrócił; wydało się bowiem potem, że przy stypie we dworze stangret utoczył z beczki kubeł wina, a nie mając go gdzie ukryć, postawał w stajni przed ogierem, który prócz furmanowi, nikomu więcej do siebie przystąpić nie dawał. Ogier zrazu obwąchiwał wino... nareszcie liznął... dalej pokosztował, a widząc że słodkie, wyżłopał cały kubeł i upiwszy się na potęgę, zasnął jak zabity. W tym śnie głębokim skórę mu zdjęto... i dopiero gdy go wietrzyk owiał i dojął do żywego mięsa, szkapa wytrzeźwiał, otrząsł się... i stanął na nogi.

— Cóż to za ważne odkrycie anatomiczne — rzekłem z przekąsem — a Teluś, dobrze już namarszczony, poprawił się na wozie.

— Pan wątpisz? — zapytał Polikarp — czekajże końca. Widząc że koń żyje, wielce się wszyscy uradowali. Ale co tu robić?... szkapa, choć rasowy, obrzydliwie wyglądał. Ojciec mój tedy wpadł na pomysł: kazał go wysmarować oliwą i pomalować na kolor niebieski... I co pan powiesz?... sierść odrosła, ale naturalnie niebieska, a bułany ogon jak był żółty, tak żółtym pozostał.

— I żył jeszcze potem? — spytałem naiwnie, chcąc już ze łgarza wszystko co można było wydobyć.

— Ale żył... żył... słowo honoru!... jeszcze kilka lat... Ówcześni ludzie, gdyby żyli... mogliby wszyscy zaświadczyć.

Tymczasem wóz nasz wjeżdżał w las, zatrzymując się przed moczydolskim rewirem.

Borowy ze sforą ogarów czekał na umówionem miejscu... rozrzuciliśmy się więc na stanowiskach, a za danym przez Polikarpa sygnałem i na odgłos potężnej jego trąby myśliwskiej, gończe psy ze sfory puszczono.

Nie upłynęło dziesięć minut... ogary zagrały, a po mocnem ich naszczekiwaniu, wprawne ucho myśliwca snadnie dojść mogło, że zwierza obracają. Za chwilę też błysnął między krzakami o krasnej turzycy lis, wywijając zręcznie gzygzaki, dla zmylenia psów. Pan Polikarp, któremu lis wyszedł na sztych, dał strzał jeden... drugi... lis znikł... ogary ucięły i wróciły do nas; jednego jednak z nich brakło.

— Pudło! — rzekł, podchodząc do nas, Teluś.

— Przepraszam cię bardzo! dostał bestya dwa strzały! — wołał pan Polikarp, szukając farby po ziemi, choć tam ani śladu krwi nigdzie nie było. Jeden strzał wpakowałem mu w biodro, drugi się po kicie zemknął, bom sam widział jak lis ogonem trząsnął i na trzech nogach czmychnął. Ale gdzieby się podział? — mruczał sobie pan Polikarp pod nosem, szukając wciąż lisa, który sobie najswobodniej wędrował, już po innym może lesie.

— Śpiewki niema, wielmożny panie — zauważył borowy — pewno za nim poszła.

— Tak?... a to widzicie — odrzekł myśliwy z zadowoleniem — to już dobrze... jestem zupełnie o lisa spokojny. Śpiewka mu nie daruje... nic popuści go na chwilę, tembardziej że lisisko na trzech nogach niedaleko ujdzie. A teraz, panowie, zajdziemy od duktu wichłaczewskiego... będą tam sarny.

Stanęliśmy w milczeniu na nowych stanowiskach, gdy nagle pisk i skowyczenie psa rozległo się echem niedaleko nas.

— To głos Śpiewki! — zawołał przestraszony Pływalski — coby to było?

Tymczasem z pomiędzy gęstych krzewów wylazło biedne psisko z uciętym ogonem i uszami, niosąc przywiązaną do szyi... krwią zbroczoną kartkę...

— Śpiewka!... Śpiewuchna! — wołał Pływalski z nadbiegłym na głos psa Pokropowiczem — co ci to, suczko?

Biedne psisko przyczołgało się do nóg myśliwców, robiąc bokami z osłabienia, które widać upływ krwi z odciętych części ciała spowodował.

— Co to się stało? — wrzeszczał zdesperowany Polikarp — kto się poważył mojej suce ogon i uszy oberżnąć?

— Nikt tylko sąsiad Pieniacki — rzekł stryj Pokropowicz.

— Pewno poszła za lisem w jego zagajnik — zauważył Teluś.

— Ale ma na szyi jakąś przywiązaną kartkę — dodałem. — Może się z niej czegoś dowiemy.

Pływalski zdjął zbroczoną kartkę... Zawierała ona co następuje:

Wielmożny sąsiedzie Pływalski!

„Suczka pańska po moim zagajniczku goni... moją zwierzynkę płoszy... Skarciłem ją zato oberżnięciem niepotrzebnych jej zresztą uszek i ogonka, na nauczkę reszty ogarków drogiego sąsiadka, aby granice szanowały. Przy tej *zręczności* pozwalam sobie przypomnieć najuprzejmiej nieocenionemu sąsiadkowi onegdajszą niedokończoną pulkę w Przemysłowicach; obliczyliśmy ją z sędziulkiem, i przegrałeś drogi sąsiadek okrągłe 75 rubelków, z których sześćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt ośm kopiejeczek mnie się należy.

„Upraszam zatem drogiego sąsiadeczka o odesłanie mi tej bagateleczki, zostając dla ukochanego sąsiadka pełnym zawsze najrzetelniejszych uczuć szacunku i dozgonnie dlań wylanym sąsiadem i służką,

Pieniacki“.

Pływalski, po przeczytaniu listu, zmiął go konwulsyjnie w rękach, a oczy zaiskrzyły mu się dziwnym zemsty wyrazem. Potulny Pokropowicz zacisnął pięście. Wisuś porwał za strzelbę i ciskając nią w powietrze, jak trzcinową laseczką, poprzysiągł zemstę temu zbrodniarzowi! Cała trójka była jakby gromem rażona.

— I cóż wy na to? — zapytał Teluś, po chwili ogólnego milczenia.

— Jedziemy do domu — zawołał Pływalski — ja mu dam! ja mu odpiszę! Będzie się miał zpyszna, ten

oprawca na psy!... Tak mi obszelmować moją najlepszą sukę!... Oho! skompromituję go przed całą wsią... przed całym światem!

— Wart tego — dodał Pokropowicz.

— Wart szubienicy — zauważył Wisuś.

— Tylko zastanówcie się — ciągnął dalej Teluś — czy to gra bezpieczna?

— Nic nie pytam! — odparł Polikarp, siadając z nami na wóz — ja mu tego nie daruję... zobaczycie... zobaczycie co mu zrobię.

Szanując jego oburzenie, nie śmieliśmy mu przerywać tych wybuchów słusznego poniekąd żalu... i w milczeniu wracaliśmy do Łgarzewa, wioząc z sobą biedną ofiarę sąsiedzkich waśni... Śpiewkę, której tymczasem stryj Pokropowicz ulubionym swym trunkiem... spirytusem, krew zatamować zdołał.

Zaledwieśmy stanęli przed zameczkiem, Pływalski kazał sobie karbowego zawołać.

— Wszystkie psy z całej wsi sprowadzić mi tu w ciągu godziny! — wołał zasapany do zdziwionego tą dyspozycyą chłopa. — Każesz także zaprządz cztery konie... albo nie, dość pary koni... tylko galop! Albo lepiej ot na tę gotową furę, tak jak stoi... wpakować mi wszystkie psy... rozumiesz?... No i czego stoisz?

— Bo wielmożny panie — odrzekł coraz więcej zdziwiony włódarz — co one tu będą robiły przed domem; toć się to psiarstwo pozagryza.

— Przecież tu stać nie będą, gapo jakiś... wszakżem ci mówił...

— Wielmożny pan, z przeproszeniem, jeszcze mi nic nie powiedział co zrobić ze wszystkimi tymi psami.

— Nie powiedziałem? no proszę... to z pasyi... to wszystko przez tego łotra... Oh!... niech ja go tylko dostanę!... czy wiesz co mi zrobił?

— Nie wiem, wielmożny panie.

— Poobrzynał uszy i ogon...

— Wielmożnemu panu? — spytał naiwnie gapiowaty chłop.

— A bodajżeś ty pękł, głupcze... z twemi pytaniami — wrzasnął zniecierpliwiony. — Ruszaj zaraz po psy z całej wsi... wpakować mi to wszystko na ten wóz... przybierzesz sobie czterech chłopów i pojedziecie z całą tą gromadą psów do Wichłaczewa. Marsz!... i spełnić mi ten rozkaz co do joty!... Pan Edward sam tego dopilnuje... A pamiętaj list z sobą zabrać!

Karbowy, ruszywszy ramionami, pobiegł natychmiast do wsi, spełnić polecenie pana, z którym w gniewie żartów nie było. Pływalski, sapiąc jak dzik, wszedł przed nami do izby, fajkę zapalił, surdut zrzucił z siebie, nie przepraszając nas wcale za to roznegliżowanie się, i posadziwszy zafrasowanego Wisusia przy biurku, następujący do najukochańszego sąsiadka podyktował mu liścik, który wedle ortografii Wisusia kopiujemy.

„Panie somsiedzie! Wielmorznym tytółować waszci jusz nie mogę, bo kto się profesii oprafcuf chfyciuł, wyzuł się z pszydomku prawej ślachcie pszynalerznego.

„Poniewasz w tfym nowem rżemiośle obżynania psich uszuf i ogonuf jezdeś majster, więc posełam ci kil-

kadziesiąt psuf z moiej fsi, kture tak jak moją ogażyc
Śpifke zoperuj. Polikarp Pływalski".

„Post skryptóm. Co sie tycze likfidowanych psze
granych z puli, 60 i 9 róbli i 90 i 8 kopijek, to o t
pisz sąmsiat na Berdyczuf, bo póla nie skończona, a j
zastrzegłem pszy światkach, że iej rozebrać nie wolno
na co tysz fszyscy dali afirmatywe".

Skończył się nareszcie ów list, nad którym Pływal-
ski dobre pół godziny medytował, kręcąc wąsy i stroszą
czuba. Biedny Wisuś omłóceniem korca żyta nie byłby
się tyle zmęczył, jak napisaniem tak długiego i z tylu
skomplikowanych wyrazów złożonego listu. Pot płynął
mu strugami z pochylonego czoła... zdrętwiałą od pisa-
nia ręką wywijał w powietrzu, dla przywrócenia cyrku-
lacyi krwi, a usta, strudzone ciągłem przewalaniem się
w nich języka, roztworzyły mu się mimowoli, dla ochło-
dzenia się nieco przypływem świeżego powietrza.

Ojciec, namarszczywszy brwi, sylabizował kaligrafię
syna, a ten ostatni jak gladyator tryumfujący, z dumą
na wykonane dzieło spoglądał.

— Mógłbyś też był wyraźniej napisać — rzekł pan
Polikarp, zamykając pismo.

— Już tak wyraźnie pisałem — odrzekł Wisuś —
że i ślepyby się doczytał.

— Są także małe omyłki — zauważył ojciec, nie
koniecznie pewny siebie w ortografii.

— Gdzie? gdzie? — spytał zagadniony synek.

— Naprzykład w tym wyrazie *chfyciuł*, to te *u* nie
zdaje mi się potrzebne, bo przecież się mówi chwycił.

— No to cóż że się mówi chwycił... to nie dowód żeby tak pisać. Toć we francuskim języku ani jeden wyraz tak się nie pisze, jak się wymawia... Sam ksiądz definitor mi to mówił...

— To nie racya!... ale zresztą mniejszaby o to było... tylko ta masa naspuszczanych żydów... to jakby jaki kirkut wygląda.

— A to niech mi ojciec zatemperuje lepsze pióro.

— A cóż to... czy ja tu od temperowania piór jestem?

— I ja też nie od temperowania piór — odparł niezmieszany scriba... — pióro gałgan!... Jak je w zeszłym roku arendarz do kontraktu o ogród zatemperował, tak do tej pory piszą niem wszyscy, i ojciec chce żeby nie spuszczało żydów.

— No, no, dosyć!... niema nieszczęścia — zakonkludował Pływalski, pieczętując list ogromną, na krwawnikowym kamieniu wyrzniętą pieczęcią herbową, poczem wyniósł go przed zameczek, gdzie już na drabiniastym wozie trzydzieści kika psów szekało i wyło żałośnie, jakby w przeczuciu smutnej swej doli. Na skinienie pana dziwny ten transport, strzeżony przez czterech ludzi, ruszył do Wichłaczewa, żegnany zdala płaczem i krzykiem wszystkich wiejskich dzieciaków, którym naraz fantazya dziedzica najserdeczniejszych wydarła przyjaciół.

Nigdy może niczego tyle ciekaw nie byłem, ile wrażenia, jakie na słodziuchnym Pieniackim wywrze przybycie tych nowych w swoim rodzaju gości; że zaś czynność moja w Łgarzewie prawie już ukończoną była, a wypadek Śpiewki zwarzył całe towarzystwo, rezydujące

na zameczku, kazałem więc cichaczem zaprzęgać Grzesiowi, udając się samemu do zbrojowni, dla upakowania rzeczy, gdy nagle... wśród otaczającej mnie ciszy, następna z przyległego pokoju doszła mnie rozmowa:

— Jakto, niewdzięczna?... więc dziś... po dwudziestu latach stałej... nieskazitelnej miłości... dziś, kiedy przyszedłem do mienia... dziś, kiedy ci je chcę u nóg złożyć... ty mi odmawiasz swej ręki?...

— Odmawiam, bo jesteś letkiewicz... nie wyleczyłeś się z tej wady... i nigdy się już nie wyleczysz.

— Zmiłuj się, Kunegundo... zastanów się co mówisz... Kiedyż popełniłem jaką lekkomyślność na zameczku?... bo o dawnych grzeszkach nie może być mowy.

— Właśnie tu postąpiłeś lekkomyślniej niż kiedykolwiek... bo żeś tam z dzierżawy wyleciał... to nie ty jeden byłeś w tym przypadku... nie ty jeden zalegałeś z ratami i nie ty pierwszy i ostatni przez nielitościwego dziedzica wyeksmitowanym zostałeś. Przebaczyłam ci to... Ująłeś mnie swemi łzami... przybyłam tu za tobą... aby ci ulżyć w chwilach rozpaczy. Ale dziś wyzuć się samowolnie z fortuny, zmarnować majątek za głupie kilka tysięcy... o to niegodnie!... zwłaszcza żem cię błagała... żem ci to co do joty przepowiedziała z kabały!... Ale pan Edward nie raczył wierzyć kabale... a kto kabale nie wierzy, nie może być dobrym mężem!

— Ale Kunegundo... zastanów się... położenie nasze.....

— Proszę zaprzestać poufałości... i pilnować swego położenia, a do mojego nie mieszać się!

— Ale wszakże i biedniejszym kochałaś mnie... zawsze...

— E, co to przypominać głupstwa i błędy młodości!... Po wczorajszej scenie... przejrzałam. Stanowisko moje jest tu zanadto podrzędne... Będę panią znacznego majątku... pojadę więc w świat... Może odszukam pierwszego swego kochanka, barona w Brazylii, bo pod tym względem kabała niewyraźnie mi los jego zwiastowała.

— I to jest ostatnie twoje słowo... niewdzięczna?

— Ostatnie i basta!

— Kobiety! niegodne istoty!... głazy bez serca! bodaj was....

Silne trzaśnięcie drzwiami przerwało klątwę i oznajmiło wyjście zrozpaczonego pana Edwarda; zaczem, zadowolony z nowego odkrycia i wybrany do drogi, poszedłem pożegnać się z trójcą, a i z Telusiem, który tu trzydniówkę odbyć zamierzał — gdy nagle wpadł do sali jadalnej zdyszany, zziajany i promieniejący radością, znany nam już z dnia poprzedniego żydek...

— Wielmożny panie Pokropopowić — wołał, chwytając oddech. — Wielkiego nowine! aj waj!

— Cóż się stało? — spytaliśmy.

— Wabik sobie okpiuł!... Wielmożny panie, auf meine munes, okpiuł sobie!... Ten los na loteryi... to wyszedł na innego numerże, zamiast trójkie na końcu był ćwórek... a ten szajgiec od telegrafu sobie omylił... Dzisiaj przyleciał drugiego depesze... bez czapki... co tego omylenie sprostowiwuje.

— A Wabik wie o tem? — zapytał Teluś.

— Na co ma wiedzieć, herste?... niech się wun złodziej cieszy... dowie się jak jemu będzie zapóźno.

— Chwała Bogu! — wrzasnęli wszyscy chórem — ot to się mędrek załapał.

— Dobrze mu tak — dodał Baryłkiewicz z nietajoną radością. — Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

Trudno sobie wystawić radość obecnych na tę niespodziewaną wiadomość; była ona stokroć większą, niż poprzednia przy nowinie zwiastującej wygraną. Taka to już natura ludzka: *nec mihi*, *nec tibi*. I gdzież-bo ludzie na świecie są innymi?

Uradowany Pokropowicz jednym susem wymknął się do panny Kunegundy, by jej tę zmianę losu zwiastować. Sceny, jaka potem między nimi zaszła, podsłuchać już nie mogłem, bo musiałem z Telusiem, Polikarpem i Wisusiem butelkę strzemiennego na oblanie tej radosnej nowiny wysączyć.

Czy panna Kunegunda, po tem co zaszło, straciła wiarę w kabałę... tego w tej chwili nie wiem... czy to rozczarowanie i naigrawanie się losu nie spowodowało u niej spazmów... i tego nie wiem... Ale to wiem, że stryj Edward po chwili wyjął cichaczem z apteczki *ungaentum Cunegundae amorosae* do wąchania i kwartę spirytusu, także zapewne do wąchania... unosząc to z sobą do pokoju nawpół zemdlonej oblubienicy; — wreszcie i to wiem, że projekta odszukania brazylijskiego barona spełzły na niczem... podobno dla trudności pasportowych, a jak Pokropowicz tak i panna Przeszkodzińska, chwi-

łowo dalej na zameczku pozostali, w dawnych etykietalnych ze sobą stosunkach.

Ciekawych zaś jak ja, proszę z sobą do Wichłaczewa i... zamawiam sobie ich cierpliwość do końca, który po załatwieniu mej czynności u pana Pieniackiego, wyśledzić koniecznie się postaram.

Wichłaczew.

Słońce spuszczało się już ku ziemi, krasną swą tarczą krwawiąc na zachodzie widnokrąg i szarych lasów wierzchołki. Z ponad łąk i ról świeżo zoranych, tuman wznoszącej się mgły gęstą oponą okrywał zabierającą się do spoczynku ziemię.

Na polach cisza zaległa... spędzane do obór przed obfitą rosą stada owiec i bydła, ginącym w oddali rykiem zwiastowały zakończenie dodniowego gospodarskiego żywota. I ciągnące w głębi stada żórawi, i nawołujące się do noclegu wrony, i klekoczący na wysokiem swem gnieździe bocian, i gromadki żabek w jeziorze... tysiącem różnorodnych tonów żegnały dzień zakończony.

Wśród harmonijnego tego chóru, któremu lekki szum wiatru i szelest lasu wtórowały, ozwał się nagle głos dzwonka, dźwięczny, choć skromny i drżący... jak piosenka samotnej sieroty. Był to głos dzwonka parafialnego, zwołującego pobożnych na Anioł Pański, w rozścielonym na obszernej równinie Wichłaczewie.

Żelazny, rdzą pokryty krzyżyk ubożuchnego ko-

ściołka kraśniał w górze, błogosławiąc całej gromadce porozrzucanych chat wieśniaczych, które, jak tłumy pobożne, korne zdały się schylać czoła. Chaty te nędzne i brudne, a ze starości pochylone, nie kryły wcale swej nędzy; zbutwiałe już deski w zrębie dawną spójność straciły; ze szpar, niegdyś gliną zalepionych, tynk siłą czasu odleciał, zostawując szczeliny gdzieniegdzie mchem utkane, a tu i owdzie czarną przezierające już próżnią. Malutkie w ścianach otwory, dawniej za okna służące, rzadką gdzieniegdzie liczyły szybkę... częściej stara tam szmata, zatłuszczony arkusz bibuły, lub deski kawałek brak szyb zastąpić musiały. Nadgniłe na strzechach snopki wiatry porozrywały, strosząc je w górę i odsłaniając dziury, przez które łaty pogięte, nazewnątrz jak skielety przeglądały.

I kościołek wśród nich stojący, i dwór na górce wzniesiony, niewiele się stanem swoim różniły; w pierwszym dzwonnica obdarta i dach jak sito dziurawy, w drugim ściany w ziemię zaryte i zupełnie z tynku opadłe, upadek ogólny zdradzały. Ani tam śladu opieki troskliwej, ani zaradnej nie dojrzałeś ręki... Wszystko zostawione samo sobie i zdane na łaskę losu, resztkami sił dawnych opierało się potędze czasu, przed którym jednak w końcu runąć koniecznie musiało.

Na widok pustki tak strasznej, mimowoli nasuwała się wątpliwość. czy też tu Bóg i ludzie w takiej ruinie mieszkają?... Ale o Bogu nie wątpić, bo Jego duch jest wszędzie, a że i ludzie mieszkali, był na to dowód wymowny, bo w chwili przyjazdu naszego, gromadka osób pobożnych, właśnie z kościołka wychodziła.

Więc na czele szedł znajomy już nam nieco pan Pieniacki, któremu teraz bliżej przypatrzyć się możemy.

Z obnażoną głową i wzrokiem w ziemię spuszczonym, zwrócił on się był właśnie ku drzwiom kościołka, schylając się pobożnie, dla oddania pokłonu Bogu i zwolna robiąc znak krzyża; postać jego w tej chwili była rzeczywiście budującą i przypominała czasy owej pobożności ojców naszych, na której naród, jak na granitowej podstawie, opierał istnienie rodziny, a i byt swój społeczny budował. Tylko może wzrok pobożnego dziedzica zanizko zarył się w ziemię... może w zgięciu jego postaci zawiele było przesady, a znaki krzyża świętego ręka jego zawolno i zadramatycznie kreśliła. Lecz jak zbytkiem cnót i dobrego nikt jeszcze nigdy nie zgrzeszył, tak i tego namaszczenia niktby mu za złe brać nie mógł, chyba ateusz i niedowiarek, lub ktoś coby tę zgiętą postać o faryzeuszostwo poważył się posądzić.

Obok wspomnionego Pieniackiego, przykląkł na twardej murawie, z twarzą także ku drzwiom kościołka zwróconą, człowieczek mały i chudy, równego na pozór wieku, dość nędznie odziany, i rozkrzyżowawszy ręce, schylał czoło do samej ziemi, opierając je na niej, zwyczajem poczciwych naszych kmiotków.

Obie te postacie, pana Onufrego Pieniackiego, dziedzica Wichłaczewa i jego przyjaciela pana Justyniana Szczujskiego, stanowiły kontrast zupełny. Pan Onufry był wzrostu średniego, dość korpulentny, oblicza wiecznie uśmiechniętego, któremu nawet para w kwadracik wystrzyżonych wąsów najmniejszej nie dodawała szorstkości, a przez środek głowy biegnąca łysina błyszczała tym

blaskiem pogody, jaką się zwykle wiek podeszlejszy, od burzliwych wrażeń wolny, cechuje. Pan Justynian natomiat przedstawiał, jak już się rzekło, zupełnie sprzeczny obraz. Na jego spiczastej głowie stroszyła się jak zagajnik gęsta czupryna ruda, której blask krwawo zachodzącego słońca czerwieńszą jeszcze barwę nadawał; chuda twarz jego, kraśniejąca kilkodniowym zarostem... jakby świeżo wschodzącem żytem... opierała się na wązkiej a wysokiej szyi, podobna zdala do grzyba, na cienkiej osadzonego łodyżce. Oblicze też jego piętnował jakiś wyraz chłodu; gęste, czerwone brwi gniewnie się z sobą zsuwały; małe, zielonawe oczęta kryły się przed światłem, za okularami takiegoż koloru, a zaciśnięte usta brak wszelkiej słodyczy i wszelkiej wesołości zdradzały. Widok tych dwóch tak różnych postaci, zbliżonych do siebie, dziwił niepomału, a zarazem nakazywał wielbić potęgę religii, która przed Boga ołtarzem zarówno ugiąć potrafiła czoło pogodne i twarz słodko uśmiechniętą, jak oblicze sierścią nastroszone i odrażającego wyrazu.

W ubiorach i ruchach taż sama widniała sprzeczność. Pan Onufry, choć otyły, ruchy miał dość lekkie i zwinne, a odzież jego, nawpół miejska, znamionowała człowieka, który się form przyjętych nie wyrzekł. Pan Justynian tymczasem, choć znacznie mniejszy i szczuplejszy, wlókł nogi jakby ciężary za sobą, a cały jak karykatura z parawana zdjęta wyglądał. Wyłamany i wygnieciony cylinder sterczał mu na głowie, jak chylący się do upadku komin; wytarty, ciemno-zielony fraczek, o żółtych niegdyś guzikach, dowodził ex-urzędowego jego charakteru, a z ubiorem tym, czy to przez drogie mu wspomnienia, czy

też może przez przyzwyczajenie, ową drugą naturę, nawet się na wsi rozstać nie mógł. Króciuchne, czarne pantaliony ściskały tak cienkie łydeczki, że zdala jak dwa pieprzowe cybuchy wyglądały, a wykoszlawione buty kryły nogę, której rozmiary wcale nie arystokratyczne pochodzenie zdradzały.

Za obiema temi schylonemi postaciami zatrzymały się dwie niewiasty: pierwsza, starsza wiekiem, przerażająco otyła, jedną ręką wsparta była na młodszej towarzyszce, drugą zaś przebierała różaniec, kończąc szeptaną zdrowaśkę. Była to pani Otylia, żona pana Onufrego; młodsza zaś z niewiast, pięknego oblicza i ujmującego wyrazu twarzy, choć także potężnie pulchna, była panną Pulcheryą, córką gospodarstwa domu.

Turkot mojej bryczki przerwał pobożną zadumę. Za mojem przybyciem wyprostował się najprzód pan Pieniacki, nie zapomniawszy uderzyć się w piersi trzykrotnie i z taką siłą, że aż mi się żal jego deski piersiowej zrobiło; w ślad za nim powstał też i pan Szczujski, odbywając tę samą praktykę i poprawiając okularów, które skutkiem schylenia czoła do ziemi, na sam mu koniec nosa zjechały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł pierwszy, podchodząc do mnie uprzejmie.

— Na wieki wieków — odrzekłem. — Czy nie przeszkodziłem państwu w modlitwie, zjeżdżając o tej porze na czynność?

— Bynajmniej, najszanowniejszy delegaciuniu — przerwał mi. — Oddało się Bogu co Bożego, można się teraz światowemi rzeczami zająć. Spodziewałem się nawet

poniekąd pańskiej wizytki, bo wiedziałem, że detaksacyjka w Łgarzewie niewiele czasu zabierze. Pozwoli pan przedstawić sobie moją żoneczkę Otylcię i córeczkę Pulchercię.

Skłoniłem się otyłej pani Otylii i pulchniutkiej pannie Pulcheryi, podziwiając w duszy trafny dobór imion nadanych im na chrzcie świętym.

— Idźcie aniołki naprzód — dodał pan Onufry — my za wami do domeczku nadejdziemy.

— Walka z końmi jeszcze niema — rzekła panna Pulcherya — a mama przecież pieszo nie zajdzie.

— Spóźnił się kundelek widocznie — zauważył Pieniacki.

— Bo też złoga dra... chciałem mówić droga zła — poprawiła się pani Otylia, słynna z talentu mylenia się.

— Ani jedno, ani drugie — ozwał się z tyłu Szczujski. — Walek pojechał po woźnego...

— Aa — zawołał gospodarz, chwytając rękę przyjaciela i zbliżając go do mnie — zapomniałem przedstawić szanownemu delegaciuniowi mego przyjaciela... opiekuna... alter ego... pana Justyniana Szczujskiego.

Dotknąłem podanej mi ręki pana Szczujskiego, choć z mimowolnym jakimś wstrętem.

— Z kimżeż ja mam honor? — zapytał mnie.

— Piotr X. — odrzekłem.

— Jeśli pan niebardzo zmęczony, to mogłyby nasze panie skorzystać z jego bryczki.

— A i owszem i owszem — odparłem szybko.

— A prawda! — zawołał gospodarz — jak też to Justyś wszystko wybornie spożytkować umie!... Oj, to

główka jak makówka! Siadajcie więc, aniołki, skoro gość na to zezwala.

Pani Otylia wgramoliła się, choć z niemałą trudnością, na brykę, która aż zatrzeszczała pod jej ciężarem; panna Pulcherya siadła naprzeciw niej, bo obok miejsca już nie było, a niezadowolony z pasażerów Grzesio schylił się, oglądając z kozła osie, czy która nie pękła i ruszył wolno z miejsca, potrząsając głową.

— Pan dobrodziej gdzie mieszka? — zapytał mnie po odjeździe dam pan Szczujski.

— W Starej Chałupie.

— Aa... proszę... czy nie w nomenklaturze litera B.?

— Tak jest — odrzekłem — a czy znany panu mój folwarczek?

— Znam go... znam... z akt... Jest tam bardzo ładny kontrowersik.

— Kontrowersik!? — wtrącił ciekawie gospodarz.

— Tak, kontrowersik... delicya! — dodał pan Justynian, cmoknąwszy w palce — mówię ci rozkoszny kontrowersik, jakem poczciw... morgów około trzydziestu... ślady posesoryjne zatarte... kopczyki różnej natury, dowodzące niby czegoś i niby niczego... legitymacye i anneksa rzadkiej ciekawości... całe volumina zeznań świadków, z których jedne kontestowane, inne niepoparte dotąd zadeferowaną przysięgą. A co tam za cudne foliały sporów incydentalnych, kontynuowanych i niekontynuowanych... co zajęć zaregestrowanych, co apelacyi, opozycyi, relacyi biegłych, prawnych wyłączeń, przerywanych przedawnień, przysądzeń tymczasowych *pro et con-*

tra! Delicya, panie Onufry, jakem poczciw... delicya! Nie mogłem się oderwać od tych akt.

— Przyznam się panu — odrzekłem zdziwiony — że te delicye zdaleka może i rozkosznie wyglądają... ale mnie ten przeklęty kontrowers tak się już dał we znaki, że uważam go za stracony, i pozwalam stronie przeciwnej robić sobie z nim co się podoba.

— *Mater dolorosa!*... a to zgroza! — krzyknął pan Justynian.

— A to *horrendum*, delegaciuniu! — powtórzył Pieniacki.

— *Crimen! Crimen!* jekem poczciw! — dodał Szczujski. — Otóż to nasza szlachta, co nie wie jak z darów Bożych korzystać! I dziwić-że się tu ogólnej biedzie! Jakto?... to mając w ręku taki materyał, na którym pan możesz rozwinąć całe bogactwo kodeksu... (tu wyjął z kieszeni małą zatłuszoną książeczkę), począwszy od inkwizycyi świadków... artykuł 252 (dodał, rzucając okiem w książeczkę), aż do relacyi biegłych art. 323... przelecieć wszystkie instancye ile się razy podoba... mając taki skarb w ręku, pan się zeń samowolnie wyzuwasz?... A *horrendum! horrendum!... crimen! crimen!*

— W istocie, delegaciuniu... to nie do pojęcia!

— Czy pan wiesz — ciągnął dalej kauzyperda, poprawiając okularów — że mając kontrowers, do którego się kto wziąć potrafi, jakem poczciw, można przy Bożej pomocy zagarnąć przezeń całą sąsiednią majętność?

— Wątpię, aby Pan Bóg swej pomocy do tego udzielał — odrzekłem zdziwiony.

— Juściż Pan Bóg wprost swej pomocy nie udzieli —

wołał oburzony Szczujski — bo z pozwami nie pojedzie, opozycyi nie założy, relacyi biegłych nie zakontestuje, świadków nie przesłucha... ale Pan Bóg zsyła wybranym swoim genialne pomysły, które na tle procedury rozwinąć można jak kto chce.

— No, ale jak kto nie chce? — spytałem.

— A... a... a... — bąknął zdziwiony Pieniacki.

— Co to jest nie chce?! — krzyknął Szczujski — nie wolno nie chcieć tego, co prawo dozwala... To dowodzi... braku wszelkiej logiki... braku znajomości praw. Żeby tak wszyscy robili, to lepiej byłoby spalić kodeksy, a adwokatom kazać pierze skubać.

— A może byłoby wtedy i lepiej na świecie — wtrąciłem.

Pieniacki i Szczujski stanęli jak wryci, spoglądając na mnie jak na waryata. Osłupienie to trwało chwil kilka.

— Delegaciunio żartuje — szepnął nareszcie gospodarz, bojąc się wybuchu swego przyjaciela.

— I ja tak sądzę — rzekł Szczujski — bo nie przypuszczam, aby władza mogła była człowieka takich pojęć wydelegować do czynności jakiejkolwiek... Czy pan wiesz co to jest prawo?... czy pan wiesz co to jest kontrowers?... Daj mi pan wszystkie kontrowersy w kraju, a niech zginę, jeśli wszystkich razem Rotszyldów nie wykupię.

Spojrzałem na pana Justyniana, który przy tych słowach, wyrzeczonych z prawdziwą emfazą i wiarą w siebie, zmienił zupełnie swą postać. Wyprostowana kibić... głowa w górę wzniesiona... rozkraczone cybuszki i ręka niebu samemu grożąca... zrobiły zeń innego zupełnie

człowieka. Z pokornego, bijącego czołem w ziemię grzesznika, wyrósł w jednej chwili na tytana. Takim musiał być nieboszczyk Archimedes, gdy wołał: „dajcie mi punkt oparcia, a kulę ziemską podniosę!“

— Czy pan dobrodziej znasz tak gruntownie prawo? – spytałem go po chwili.

— Czy ja znam prawo? Ha! ha! to dobre pytanie... jakem poczciw... Toś pan nigdy nie słyszał o Justynianie Szczujskim?

— Ze wstydem przyznać to muszę...

— No to trzeba mi było zaraz powiedzieć... Teraz nic dziwię się pańskim teoryom — odrzekł, ściągając usta i zapuszczając spiczastą brodę w wysokie dwa kołnierzyki, które ją dokoła jakby w chomont objęły. — Kto może zezwalać stronie przeciwnej na bezkarną używalność kontrowersu... kto tej używalności nie przerywa w peryodach właściwych, ryzykując przedawnienie... kto nie zna wartości tej bryły złota, jaką mu Bóg, w postaci kontrowersu, cisnął pod nogi i jeszcze ją depcze samowolnie... to, jakem poczciw... żadne dziwy, że nic słyszał o Justynianie Szczujskim!

— Pan Justynian — wtrącił gospodarz z pełną wiarą — tak jak go tu szanowny pan widzisz, jest pierwszym w swoim rodzaju prawniczkiem... to encyklopedyjka chodząca... zna artykuliki prawa, jak artykuły wiary katolickiej... a procedurkę cywilną, jak ministranturkę do mszy świętej.

— I dlaczegóż pan dobrodziej takie zdolności zakopujesz tu na wsi? — spytałem.

— Okoliczności, zacny panie — westchnął, zdej-

mując kapelusz i gładząc ryżą szczecinę — zbieg szczególnych okoliczności... podłość ludzka... intrygi... zawiść... zazdrość kolegów, których wyższość moja pokonywała przy każdej sposobności .. wreszcie... ale co to wspominać — dodał, machnąwszy kapeluszem, który się jak konfederatka był przygiął. — Gdyby nie to, byłbym dziś pierwszym mecenasem na świecie, bo się na to zanosiło... Ale co pomoże wojować z podłością ludzką człowiekowi legalnemu, opierającemu się li tylko na literze prawa?... Dużoby o tem mówić trzeba, chcąc *ab ovo* zacząć i *usque ad finem* opowiedzieć... Wszystke razem wzięte *pandekta, kodeksy z anneksami i volumina legum* nie wyrównałyby foliałom, któreby można zapisać historyę mojego życia.

— Bardzobym jej był ciekawy — dorzuciłem szybko, nie chcąc panu Justynianowi przerywać natchnienia, które się z jego sowich ślepek przez zielone szkło okularów przebijało.

— Opowiedz, Justysiu, kilka epizodzików — poprosił słodko gospodarz. — Ja sam, choć je znam, z przyjemnością posłucham, bo to pouczające... Mamy kawał drogi do domu... prędzej nam ten spacerek zejdzie.

— To idźmy zwolna — odrzekł Szczujski, opierając się jedną ręką na kiju, a drugą zapinając obcisły fraczek, przez którego rozwarte poły chłód wieczorny czuć mu się dawał. — Opowiem panu kilka fragmentów, żebyś wiedział co i kto jest Justynian Szczujski.

— Słuchamy! słuchamy!

— *Ante omnia* trza wiedzieć, że urodziłem się w Lublinie — zaczął pan Justynian, wchodząc pomiędzy nas —

a Lublin, było to gniazdo palestry, kolebka naszych geniuszów prawniczych, sławny niegdyś trybunałami, na które i dyabli sami zjeżdżali, jak to panu pewno wiadomo.

— W procesiku Kurdwanowskich — dorzucił gospodarz.

— Tandem tedy urodziłem się w Lublinie... jak raz około Grodzkiej bramy... vis à vis trybunału, jak pan wiesz, słynnego w dziejach naszych. Dzień 5 września był dniem, w którym ujrzałem światło dzienne; pamiętny też to był dla mnie dzień, na losy całego mojego życia wpłynął. Jak mi opowiadano, matka moja równocześnie z pierwszym moim krzykiem wydała jęk ostatni, a *praeter propter* w parę godzin potem woźny doręczył memu ojcu pozwy ze skargą o familijne działy, artykuł 822, których nierówność zakończone właśnie postępowanie spadkowe po matce mej matki, alias babce mej, wykazało.

Ojciec mój zatrząsł się ze złości i nie będąc prawnikiem, wezwał natychmiast do narady przyjaciela swego, słynnego niegdyś adwokata, starego Wyderkę, który był postrachem dla prawników całej okolicy. Wyderko przeczytał pozew, przejrzał jakieś różne akta do działów się odnoszące i nareszcie zakonkludował, że bronić się trzeba, że sprawa jest zawiła i ciemna jak noc, ale wygrana jasna jak słońce... że jednak, zważywszy na ilość współspadkobierców i nierówność części spadku, można być przygotowanym na to, iż proces ten w jednej się generacyi nie rozstrzygnie i że potomek dziś na świat przybyły, może go kontynuować będzie musiał. Przede-

wszystkiem więc ochrzcić mnie kazano. Zajrzano do kalendarza, dla dowiedzenia się o imieniu jakie sobie na świat przyniosłem, i ujrzano imię św. Justyniana.

Wyderko, jak mi mówiono, aż podskoczył z radości.

— Wiwat! — zawołał... — Sukcesor przynosi sobie imię najpierwszego jurisprudenta rzymskiego!.. Pod tem wezwaniem i skutek procesu pomyślnym być musi... Dajmy mu więc imię „Justynian“ i niechaj będzie prawnikiem!

— Niechaj będzie prawnikiem — miał powtórzyć mój ojciec, unosząc nad kolebką moje obie ręce — i tegoż samego wieczora zostałem Justynianem i kandydatem na prawnika. Taki był początek mojego żywota.

— Cóż dalej, szanowny panie? — spytałem, zaciekawiony tem mistycznem niejako przyjściem na świat kauzyperdy.

— Młodości swojej szkolnej opisywać nie będę, raz, że pan Onufry zna ją tak jak ja sam...

— A tak... znam wybornie — przerwał gospodarz — ale pan delegat jej nie zna, a są tam szczegóły...

— Niema tam nic wybitnego — rzekł Szczujski od niechcenia.

— Owszem, owszem, Justysiu... na epizodzikach *wybitnych*, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie zbywało. Ale koleżka Justyś miał sławną zimną krew; znosił wszystko ze stoicyzmem godnym swego rzymskiego protoplasty, a dopiero później nieco mścił się zwolna ale skutecznie. Jednemu z koleżków najsilniejszych w łapię, od

którego najczęstsze tuzy nas spotykały... przed samym egzaminem rocznym świsnął wszystkie seksterny wypracowań i spalił je przy mnie cichaczem, tak, że koleżka, spadłszy z egzaminu, drugi rok w tej samej klasie przesiedzieć musiał i odcierpiał zasłużoną karę, nie wiedząc skąd ona przychodzi... Drugiemu...

— Ale co to wspominać głupstwa szkolne — przerwał pan Justynian. — Miałem serce tkliwe, więc na bicie kolegi odważyć się nie mogłem... Zresztą kto bije, bywa napowrót bity, i ostatecznie byłbym może gorzej na tem wyszedł; tym zaś niewinnym sposobem pozbywałem się w następnej klasie koleżeństwa chłopaka, któremu krzywdy darować przecież nie mogłem... Nie miałżem racyi?

Nie odpowiedziałem nic na to, bo sam ten „niewinny“ fakt znamionował najlepiej charakter, jaki się już wtedy w Justysiu wyrabiać zaczynał.

— Otóż skończyliśmy szkoły razem — ciągnął dalej Szczujski. — Pierwiastkowo mieliśmy razem aplikować u jakiego prawnika, bo się i jemu dusza do tego rwała; że jednak wkrótce potem ojciec pana Onufrego powędrował ad patres, koleżka więc musiał wrócić na wieś, choć byłby z niego lepszy palestrant niż rolnik... mnie zaś oddano na aplikacyę do Wyderki. Była to najmilsza w życiu mojem epoka, bo tu dopiero prawo wszystkie mi swe powaby odkryło. Wyderko miał cudowną klientelę i najciekawsze, najzawilsze sprawy w jego się reportoryum znajdowały. Był to człowiek nauki niewielkiej, bo zaledwie kwartę skończył, ale rozumu tak bystrego, że, jakem poczciw, nic podobnego nie widziałem. Nie

było sprawy, którejby nie przyjął, a nawet lubował się w tych właśnie, które prostoduszniejsi jego koledzy odrzucali. Sprawa prosta i czysta, której rezultat i wygrana łatwemi były do przewidzenia, nie przedstawiała dlań najmniejszego interesu. Przyjmując ją, ziewał znudzony, bo raz przeczytawszy akta, nie miał już nad czem myśleć... a że i honorarya takich spraw nie mogły być wielkiemi, stąd też najmniejszej nie zadawał sobie fatygi, i zdarzało się nieraz, że spuściwszy terminy, przegrywał sprawę zaocznie, art. 149, zapominając nawet o służącej mu opozycyi w ciągu dni ośmiu, art. 155. Na robione mu przez stronę wymówki w tej mierze, Wyderko odpowiadał *brevialiter,* że o takich głupich sprawach myśleć nie może, mając ważniejsze na głowie. Przyszło nareszcie do tego, że mu nikt prostej i jasnej sprawy oddawać nie chciał. Natomiast, gdy się zdarzyła sprawa graniczna bez wyraźnych dowodów, bez jasno oznaczonych granic, z rozoranymi kopcami, z pretensyami rozległemi... ciągnąca się od lat kilkunastu lub więcej; gdy dokumentom produkowanym w ciągu sprawy mógł być zarzuconym *fałsz incydentalny* z artykułu 224 i następnych; gdy zasady przytoczone przez strony mogły być *kontestowane*, podług przypadków wymaganych artykułem 322, — w takich mówię razach Wyderko, z zaiskrzonemi od radości oczyma, zacierając ręce, przyjmował sprawę, a dopatrując w niej od razu wszystkie dróżki i ścieżki, któremi się wywijać było można, prowadził ją tak genialnie, że albo zmuszał stronę przeciwną do układów pod nożem na gardle, albo doprowadzał ją do osta-

tecznego upadku wygraniem procesu najwątpliwszego, wbrew wszystkim domniemaniom prawników.

Całą tę tyradę wyrzucił Szczujski jednym tchnem, a w jego oczach błyszczał płomień rzetelnego uniesienia, jakie w pupilu wspomnienie mistrza Wyderki wywoływało.

— O jaka szkoda takich geniuszów! — westchnął gospodarz — dziś ich już coraz mniej u nas.

— Prawda — powtórzył kauzyperda — społeczeństwo cofnęło się pod tym względem. Adwokaci dzisiejsi kują prawo jak papugi... finezye są dla nich zupełnie obce... ludzie prawować się nie umieją... raz... dwa... trzy... wyrok zapada i basta; a niech zginę, jeśli jest jeden wyrok, z któregobym ja jeszcze sprawy na trzy przynajmniej instancye nie rozwinął!... Czy nie?

— Tak jest, Justysiu — dodał Pieniacki — ale niema pola... brak materyałów... Cóż tam znaczą nasze drobne sprawki?

— Jakto? — spytałem — czy panowie jesteście wplątani w jaki proces?

— Wplątani... kochany panie? — zapytał Szczujski — źle się pan wyrażasz... nas nikt nie wplącze w proces; prędzej ja kogo wplątać potrafię. Ale przy dzisiejszych prostodusznych sądach coraz to trudniej, bo subtelności prawa są dla nich *terra incognita*. Co do nas, mamy trzy kiepskie procesiki, nad którymi i głowy sobie łamać nie warto.

— Było ich w zeszłym miesiącu siedem — dodał gospodarz — ale jak wszystko dobre na świecie ma swój koniec, tak i one już się skończyły.

— Wygraną czy przegraną? — spytałem.

— Przegraną? — odparł Szczujski dumnie — mój panie, komu ja procesa prowadzę, tam o przegranej mowy być nie może. Justynian Szczujski znanym jest z tego, że nie przegrywa nigdy; bo kto przeszedł szkołę ś. p. Wyderki...

— Ale... — przerwałem kauzyperdzie — wróćmy się do opowiadania pańskiego, bo zdaje się, że dochodzimy już do dworu.

— Do dworu jeszcze daleko — rzekł Pieniacki.

— Czyż to przed nami nie Wichłaczew?

— Owszem, tu na górce to mój dworeczek.

— No toć już prawie w nim jesteśmy.

— Takby się zdawało... ale dróżka idzie tam... het dokoła, i mamy jeszcze dobre pół wiosty.

— A dlaczegóż pan dobrodziej prostej drogi nie zrobi? wszak ani błota, ani woda nie stoją na przeszkodzie.

— Dlaczego?... — odrzekł Pieniacki — bo widzi delegaciunio... to pólko i ogródek aż pod sam dworek jeszcze są w sporze, i podług twierdzenia gminy Cielętniki, do niej należą.

— Ale my mamy w aktach parafialnych — pochwycił Szczujski — że dwór stał *inter sulis agros hortosque*... wskutek czego procesujemy się już od lat kilkunastu o tę rolę z ogrodem i prostej drogi wybić nie możemy bez wyroku sądowego. Zresztą, ciągnął dalej — dlaczego prosta droga ma być lepszą? czy dlatego, że krótsza?... to wielkie pytanie! Prawo w znaczeniu wyższem, tak jak ja je pojmuję, powinno proste drogi omijać wła-

śnie dla ich krótkości, a artykuły procedury wskazują ludziom talentu najdłuższą, ale właśnie dlatego najpewniejszą drogę postępowania. Mistrzem w tym kierunku był ś. p. Wyderko, a część jego rutyny ja odziedziczyłem. Tandem tedy, wracając się do niego, pojmujesz pan, jak korzystnie wpływało na mój umysł obcowanie z takim człowiekiem i dotykanie się spraw, które wszyscy za stracone mieli, a któreśmy, dzięki doświadczeniu Wyderki i mej nieraz bystrości, przez wszystkie manowce przeprowadzać umieli, osiągając nareszcie cel zamierzony... wygraną! Wyszedłszy zwycięsko z labiryntu takich spraw zawiłych, całowaliśmy się z sobą, jak żołnierze po bitwie, z której życie i honor ocalony wynieśli. Wyderko miał we mnie dzielnego pomocnika... odgadywałem jego myśli, jak mię pan żywym widzisz, a przy przepisywaniu obrony notowałem oddzielnie swoje zdania, z których on nieraz coś zużytkował. „Będziesz wielkim prawnikiem — mawiał wtedy — przepowiedziałem ci to nad kolebką. Powodujesz się głową, nie sercem... a u ludzi prawa serce tylko jako naczynie krwionośne funkcyonować powinno; prawo jest nieubłagane... romansów i litości nie zna... zna logikę o tyle, o ile ona najsprzeczniejsze nieraz artykuły kodeksu na naszą korzyść zużytkować potrafi. Nauka prawa jest istotną strategią, bo robi człowieka władcą losów ludzkich... Prawo w ręku prawnika kutego, jest mieczem, którym on świat zawojować może; w ręku zaś ślazamarnego filantropa jest brzytwą, którą on najczęściej sam sobie gardło podrzyna. Prawo w rękach energicznych jest woskiem, na wszelkie kształty urobić się dającym; lecz w rękach mo-

ralisty łatwowiernego jest siecią, w którą on sam najczęściej się łapie“. — Tak mówił Wyderko, i miał świętą racyę, sam mi pan to przyznasz.

— To się wie — rzekł po chwili milczenia gospodarz, widząc, że ja się na potwierdzającą odpowiedź zdobyć nie mogę. — Ale dość już o Wyderce; mów, Justysiu, o sobie, bo teraz najciekawszy epizodzik twego życia nadchodzi.

— Masz słuszność, panie Onufry — ciągnął Szczujski. — Tandem tedy, zbliżamy się do najważniejszej życia mego epoki... do przeklętej epoki, w której piekielne jakieś uczucie owładnęło mną i pchnęło mię, jak piłkę, na bezdroża. Trzeba wiedzieć, że prócz wymienionych spraw, najważniejszem polem popisu dla Wyderki były sprawy rozwodowe, których kilka miał zawsze w repertoryum. Sprawy rozwodowe, mój panie, to kwintesencya jurysprudencyi, szczyt naszej nauki i Kalifornia, z której ręce małżonków zwaśnionych złoto dla jurysty dobywają. Znasz pan tytuł VI księgi I kodeksu cywilnego?

— Jestem profanem w tej mierze — odrzekłem.

— Zrób mi pan, jak mnie kochasz, tę łaskę i przeczytaj go sobie z uwagą.

— Owszem, przy wolnym czasie — odpowiedziałem, zmieszany nieco... bo zaklęcie mnie na uczucie wzbudzonego sentymentu, nie obowiązywało mnie bynajmniej do dotrzymania słowa.

— Wystaw pan sobie — mówił dalej Szczujski, wertując książeczkę — że cały rozdział I o rozwodach zawiera raptem pięć kiepskich napozór artykulików, po-

cząwszy od art. 229 do 233. Zdawaćby się więc mogło, że na tak szczupłej podstawie i buda sklecić się nie da; a tymczasem na owych pięciu artykułach księgi I tytułu VI można zbudować wieżę Babel... labirynt... w który jeśli się raz małżonków zwaśnionych dostanie, wodzić ich można lata całe, nim zeń wyjdą nareszcie, a gdy wyjdą, to goli... jak pierwsi rodzice z raju. — Wszystkie inne sprawy bledną i nikną w porównaniu ze sprawami rozwodowemi. Daj mi pan sprawy rozwodowe całego kraju, a niech zginę, jeśli szelmy Rotszylda nie wykupię. (Rotszyld był widocznie *la bète noire,* solą w oku pana Justyniana).

— A nie miałżeś szanowny pan sposobności wejścia na tę piękną i zacną drogę? — spytałem go z przekąsem.

— Miałem — odrzekł z westchnieniem, nie zrozumiawszy mnie, kauzyperda — miałem jedną tylko, którą po śmierci mego mistrza odziedziczyłem... ale...

— Ale... jak to młody... nie umiałeś pan z niej pewno skorzystać.

— Owszem... byłbym umiał skorzystać... i miałem los przed sobą... ale zapragnąłem więcej, niż prawnikowi pragnąć wolno, i to mnie zgubiło!

Tu Szczujski zwiesił głowę, brodę spiczastą wpuścił między wykrochmalone, choć podejrzanej białości kołnierzyki, które ją jak kleszcze ujęły, a przymrużywszy oczęta, szedł nieco wolniej, z założonemi na piersiach rękami.

— Jest to najciekawszy epizodzik z jego życia — szepnął mi na ucho Pieniacki — lecz ile razy ma go

opowiadać, zawsze serduszko mu się ściska i tak się smutno zamyśla.

Spojrzałem z pod oka na Szczujskiego, choć ze wstydem wyznam, że mnie to jego ściśnięte serduszko ani trochę nie wzruszyło. Postać ta od pierwszego zaraz wejrzenia wstręt we mnie wzbudziła. Szczujski był dla mnie uosobieniem owych tradycyonalnych palestrantów i pieniaczy, istnych pijawek, które z poczciwego acz słabego naszego społeczeństwa krew i mienie przez lat szeregi wysysały.

Szliśmy w milczeniu chwil parę, gdy nareszcie z piersi kauzyperdy ciężkie wyrwało się westchnienie.

— Justysiu — rzekł doń troskliwie gospodarz — jeśliś wzruszony, to daj pokój opowiadaniu.

— Przeciwnie — odrzekł zagadniony, poprawiając nagle okularów i wytykając spiczastą swą brodę na świat Boży — to mi ulgę robi, gdy w przeszłość myślą sięgnę, sentencye wyciągnę i powiedzieć sobie mogę z całą szczerością: „o bydlę!... bydlę!“ Posłuchaj, panie delegacie, jak mnie kochasz, a przyznasz, czy nie mam racyi, sądząc się tak ostro. Przebiegam w skróconym terminie dzieje kilku lat aplikacyi przy Wyderce i dochodzę do chwili, w której już zostałem obrońcą przy sądzie pokoju, nie przestawszy bynajmniej pracować przy Wyderce.

Pewnego wieczora, przyszedłszy do niego z przepisaną obroną, w ważnej sprawie zakontestowanego testamentu, zastaję mego mistrza drzemiącego w fotelu, z głową na piersi zwieszoną. Sen o tej porze w krześle wydał mi się rzeczą niezwykłą, bo nie był nigdy w zwy-

czajach Wyderki... zbliżam się... trącam go... nic — biorę za rękę... zimna — podnoszę głowę... opada napowrót na piersi — biorę za puls... pulsu niema. Umarł nieborak... umarł przy pracy... w chwili najwyższej zapewne ekstazy, bo właśnie leżały przed nim akta rozwodowe małżonków Czulskich, których sprawę już od lat pięciu prowadził. Żal mi się zrobiło Wyderki... nie dlatego że umarł, bo śmierć człowieka dziury w niebie nie robi, a dla nas o tyle tylko jest faktem ważniejszym, o ile dochodzenie i legitymacye spadkobierców większy lub mniejszy interes prawny przedstawiać mogą; ale żal mi było, żem zeń nie wyciągnął jeszcze tych wszystkich manipulacyi i ścieżek, któremi się na drodze prawa tak zręcznie wywijać umiał. Zawołałem stróża domu i przenieśliśmy nieboszczyka na łóżko... stróż pobiegł dać znać najbliższemu wydziałowi policyjno-sądowemu o zaszłej nagle śmierci, ja zaś zabrałem się zaraz do przejrzenia akt rozwodowych małżonków Czulskich, jedynych akt skrzętnie tajonych przede mną; zaledwie jednak przewertowałem pierwszą obronę, wyrok pierwszej instacyi konsystorskiej i wnioski prokuratora, nagle ktoś we drzwi zastukał, a po chwili wsunęła się do pokoju wysoka jakaś postać niewieścia, cała czarno ubrana i tak zawoalowana, że rysów twarzy na razie dojrzeć nie było można.

— Czy jest pan Wyderko? — zapytała mnie głosem drżącym.

— Niema — odrzekłem zmieszany.

— Rychło powróci?

— Nie powróci więcej.

— Jakto? — spytała z przerażeniem — czy się gdzie wybrał w podróż?

— Tak jest — odrzekłem, przychodząc do siebie, i to w podróż bardzo daleką.

— Za granicę?

— Na tamten świat.

— Co słyszę?! — zawołała, zrywając woalkę i odsłaniając twarz najpiękniejszą jaką kiedykolwiek widziałem, a tem piękniejszą, że ją dwie łzy, jak toczące się perły... zdobiły.

— Czy ta wiadomość tak panią smuci? — spytałem zdziwiony.

— O... to cios dla mnie okropny! — odrzekła.

— Czy pan Wyderko był blizkim krewnym pani?

— Nie panie... był mi zupełnie obcym... ale niesłychanie potrzebnym.

Nie pytałem jej o nic jeszcze, bo ze wstydem przyznaję, że oczu od niej oderwać nie mogłem... jak mię pan żywym widzisz... ja, com nigdy prawie na kobietę nie spojrzał... ja, którego kobieta, nie będąc do czynności prawnych zdolną, była zerem, a o tyle tylko jakąś wartość przedstawiała, o ile jej powództwo w sprawie rozwodowej prawny interes mieć mogło. Od tej jednak dziwnej postaci oczu oderwać nie mogłem.

— Któż pani jesteś? — spytałem po chwili, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia.

— Pozwól pan mnie najprzód o to samo zapytać, — odrzekła dumnie.

— Jestem Justynian Szczujski... obrońca i jedyny powiernik ś. p. Wyderki.

— To może pan zna moją sprawę? — spytała, przysuwając się do mnie.

— Jaką sprawę? — spytałem nawzajem.

— Sprawę rozwodową Czulskich.

— Jest to jedyna sprawa, o której mi nieboszczyk nigdy nie wspominał — odrzekłem ze wstydem.

— O panie! nie wiesz jak ważną była dla mnie ta sprawa — szepnęła zgnębiona, ciskając się na krzesło. — Ta sprawa pięć lat się ciągnie, i gdyśmy właśnie dopłynąć mieli do portu ocalenia, tracę sternika... jedynego człowieka, który mi tę sprawę mógł wygrać.

— No — rzekłem, pocieszając ją i ujmując jej rękę — ja, com nigdy poprzednio ręki kobiecej nie dotknął, chyba odbierając honoraryum za wypis wyroku — nie rozpaczaj pani... może Bóg zeszle innego obrońcę, który tego samego co ś. p. Wyderko dokazać potrafi.

— Czy pan jesteś biegły w nauce prawa? — spytała, nie usuwając mi ręki, która mnie jak gorące żelazo paliła... mnie jurysprudenta... mnie człowieka nauki i obrońcę przy sądzie pokoju!

— Potrafię to wszystko co ś. p. Wyderko umiał — odrzekłem szybko tej dziwnie pięknej a zrozpaczonej kobiecie. — Niech mi więc pani szczegółowo powie o co chodzi, a pomyślimy...

Nieznajoma ścisnęła mi rękę. — Co się wtedy ze mną stało, nie pamiętam... musiała piekielnica mieć jakiś schowany talizman, bo tyle tylko wiem, że mi się w oczach zaćmiło... krew uderzyła mi do głowy... i... o zgrozo! taki mnie szał ogarnął, że zapomniawszy o Bożym świecie... o trupie Wyderki... o wszystkich moich

sprawach, o tem, że byłem obrońcą przy sądzie pokoju, — wiesz pan com zrobił? aż mi wstyd wyznać.

— Młodość ma swoje prawa — rzekłem, dla zaspokojenia wyrzutów tego anielskiego sumienia — zresztą było to w chwili szału.

— Pocałowałem ją w rękę! — jęknął z głębi piersi kauzyperda, i na wspomnienie tego ohydnego czynu znów zwiesił głowę, zasunąwszy brodę w kołnierze, jak kogut, gdy się do snu nocnego zabiera.

Ja ledwom mu w oczy śmiechem nie parsknął.

— No, ale nad czem tu rozpaczać? Justysiu — pocieszająco wtrącił gospodarz. — Grzechu już nie masz na sumieniu, bo wszakżeś się z tego u Karmelitów wyspowiadał.

— Tak, wyspowiadałem się i nieraz! — westchnął po chwili anioł niewinności. — Była to pierwsza słabość moja, za którą, jak się pan dowiesz, odpokutowałem srodze. Wracając do rzeczy, piękna Czulska opowiedziała mi w krótkich słowach, przerywanych łkaniem i płaczem, że była sierotą bez majątku, że poszła za mąż za człowieka bogatego, choć znacznie starszego, którego nie kochała, ale była przekonaną, że robiąc ofiarę z młodości i wdzięków, mieć będzie wzamian opiekuna uprzedzającego, troskliwego, łagodnego i dogadzającego tym niewinnym pragnieniom, jakie się w młodych żonach starych mężów zwykle wyradzają. Tymczasem najokrutniej się w oczekiwaniach zawiodła; z majątku męża nie korzystała, bo stary sknera dusił gotowiznę w kasie ogniotrwałej, do której nikt klucza dobrać nie mógł, o zabawach mowy być nie mogło, bo gagatek miał katar

chroniczny, w deszcz wychodzić nie chciał, z obawy zamoczenia nóg, a w upał, z obawy przepalenia łysiny, tak, iż się z domu nie ruszał; a że i na śnieg patrzyć nie mógł, bo miał chroniczny katar oczu, więc i zimą i latem, i w pogodę i w słotę, żonka więzioną była w domu.

Stan taki stał się dla niej po roku pożycia nieznośnym, i postanowiwszy, bądź co bądź, rozłączyć się ze starym kutwą, udała się do Wyderki, za jego wskazaniem zrobiła osobiście podanie do prezesa trybunału o rozwód i rozpoczęła akcyę sądową, która trwała lat pięć, a trwała dlatego tak długo, że stary na rozwód zgodzić się nie chciał. Nareszcie, po latach pięciu trwania procesu, gdy przeszedł wszystkie instancye i gdy już wszelka nadzieja odzyskania swobody zdawała się być dla niej straconą, bo powodów prawem wymaganych dla uzyskania rozwodu wynaleźć nie było można, nieboszczyk Wyderko przed tygodniem, na ostatniej z nią naradzie, klasnął naraz w ręce i zawołał uradowany, że znalazł ów punkt, na mocy którego rozwód uzyskać zdoła; polecił więc jej powrócić za tydzień, to jest właśnie w terminie w którym przybywa. Ale los ścigający ją od czasu zamążpójścia, odbiera jej w tej chwili doradcę, a z nim i wszelką szansę wygranej. I to rzekłszy, zaczęła szlochać tak serdecznie, że musiałem ująć obie już jej ręce i obie pocałunkami okrywałem, nie będąc w stanie nawet obliczyć ilości popełnionych w ten sposób grzechów, których liczby, naturalnie przy kwartalnej nawet spowiedzi, udeterminować nie mogłem. Po kwadransie tego błogiego czy też piekielnego milczenia, uspokoiłem ją nareszcie

zapewnieniem, że obronę jej wezmę w ręce, a ponieważ była tak biedną, że na koszta procesu, doręczeń, wezwań, opinii lekarzy i t. p. stać ją nie było, postanowiłem swoim własnym, ciężko uciułanym grosikiem prowadzić jej sprawę, i ani mi przez myśl nie przeszło, z kim się później o koszta obliczę.

Rozeszliśmy się późno, to jest dopiero za nadejściem podsędka, lekarza miasta i dwóch świadków, oddawna te funkcye spełniających. Ja zabrałem się zaraz do dzieła, zapomniawszy o wszystkich innych sprawach, a zwłaszcza o swym własnym procesie działowym, który w sukcesyi po ojcu dostałem. Stan gorączkowego rozdrażnienia, w jaki mnie wspomnienie tej przeklętej kobiety wprawiło, był powodem, że nie obliczając skutków, nie rachując się ani z siłami, ani z zasobami, porzuciłem inne czynności i poświęciłem wszystko com miał, byle do zamierzonego dojść celu. W głowie mojej jakieś dziwne projekta lęgły się jedne za drugimi; zbierając ubiegłe wspomnienia, zdawało mi się, żem widział ciągle jej czarne, utkwione we mnie oczy, które jakby mówiły: „kocham cię!... wyzwól mnie z niewoli... a ja ci się poświęcę bez granic!“ — Nie pojmowałem wprawdzie, do czegoby mnie to doprowadzić mogło i radbym był ten wzrok przeklęty odpędzić od siebie, ale wracał on wciąż uporczywie, a czy to przez litery kodeksu, czy przez tytuły ksiąg, czy wreszcie przez stemple do pozwów, przezierały wszędzie jej oczy, jakby czarne perły w środek sygnetu wprawione, przeszywając mnie nawskróś i wzbudzając we mnie tak błogie uczucie, jak pomyślna sentencya prokuratora, lub... wyrok senatu, przewyższa-

jący wszelkie obrońcy nadzieje. Widywaliśmy się od czasu do czasu w miejscach bezpiecznych, niepostrzeżeni przez nikogo... a za każdym razem, gdy mi ona szczegóły pożycia swego dla toku sprawy wyjaśniała, ja... trzymając w swoich rękach jej dłonie, okrywałem je pocałunkami... z których się już nawet spowiadać przestałem. Wśród takich bezeceństw, rzuciłem raz okiem na jej łabędzią szyję... a na niej ujrzałem w medalionie portret ładnej kobiety.

— Kto jest ta pani? — spytałem.

— To moja najlepsza przyjaciółka — odrzekła mi.

— A gdzie mieszka?

— W tym domu gdzie i my... jedno piętro wyżej.

— Czem jest? — pytałem dalej — panną czy mężatką, i jakie jej zajęcie?

— Jest panną... a pracuje w teatrze miejskim jako figurantka, — odpowiedziała Czulska.

— Mamy go! — zawołałem, ścisnąwszy tak silnie jej ręce, że aż krzyknęła.

— Nie rozumiem — odrzekła zdziwiona — nic nie rozumiem.

— Posłuchaj mnie pani — zacząłem uradowany. — Jeśli ta osoba jest prawdziwą twoją przyjaciółką, to za jej pomocą rozwód jest więcej niż pewny — ale czy zrobi ona co zechcesz?

— Wszystko dla mnie zrobi — odrzekła — choćby największej ofiary było potrzeba... byle nie pieniędzy, bo biedna.

— Do jutra zatem — rzekłem, wstając, tak mi było pilno przygotować plan, wedle którego działać należało.

Zaraz po odejściu Czulskiej zabrałem się do wertowania tytułu VI § 230 kodeksu cywilnego, nad którym przemedytowałem prawie całą noc. Nad ranem plan mój był gotów. Nazajutrz mieliśmy poufną naradę z Czulską i jej przyjaciółką panną Florą, która, wskutek zapadłej decyzyi, zaczęła być od tej pory codziennym gościem u Czulskich.

Panna Flora była wcale nieszpetną, a znając zakulisowe sekrety, umiała być nawet piękną, gdy zwłaszcza litość i spółczucie udawać próbowała. Stary Czulski wzbudził w niej niby dwa te uczucia, tak zresztą u kobiet naturalne. Bywając codziennie, zastawała go zwykle samym, gdyż żona coraz częstsze miewała sprawunki; sam na sam, otaczała Flora starego troskliwością córki i staraniem, na jakie się nie zdobędzie nawet niejedna z żon, pragnących pozbyć się lub oślepić męża. Stary kutwa ani się spostrzegł, jak się do niej przyzwyczaił, a w ślad za tem i przywiązał... że zaś o wynagrodzeniu biednej figurantki pieniędzmi mowy być nie mogło, bo kruszec kochał on więcej niż wszystko, więc zaczął jej się odpłacać mniej kosztownemi westchnieniami, ściskaniem rączek, głaskaniem po twarzy, wreszcie całowaniem nawet, przeciw czemu Flora, wymusztrowana przez nas, nie protestowała wcale.

Stosuneczek ten wzrastał stopniowo... starzec bez sąsiadki ani chwili obejść się nie mógł, a gdy przybywała Flora, pieścił się z nią jak z dzieckiem i tysiączne niewinne wyprawiał figielki.

Gdy już poufałość między nimi doszła do granic nam potrzebnych, naznaczyłem dzień przedstawienia owego żywego obrazu, który nam za punkt rozwodowy miał posłużyć. Obstalowani świadkowie, ja i żona, zjawiliśmy się we drzwiach na umówione z Florą zakaszlnięcie i zastaliśmy czułą parę gołąbków w najromantyczniejszej jaką sobie wyobrazić można postawie. Nastąpiła scena wybuchu zazdrości żony... konfuzya Flory... atak podagry i astmy u starego;... świadkowie *visum repertum* podpisali zaraz na miejscu, z takim dokumentem rozpoczęliśmy akcyę rozwodową, w myśl artykułu 230. Nie było rady dla starego... przy silnem parciu, przy mojej wymowie i skonstatowanym fakcie pozornego przynajmniej wiarołomstwa, sprawa weszła na jak najpiękniejszą drogę, a choć przechodziliśmy przez wszystkie instancye, wygrana była zapewnioną.

Miałem wtedy los w ręku!... — zawołał Szczujski, wyciągając głowę jak indyk, gdy go syk gwizdawki doleci. — Stary, dla uniknięcia skandalu, ofiarował mi 100.000 złotych, abym wszystko ubił w cichości i rozwodu nie popierał. Byłem już kilka razy zdecydowany na tę ofiarę z mych zasad... ale w chwili dotykania się pieniędzy i brania za pióro, piekielne oczy jego żony wytrącały mi je z ręki, a i blask kruszcu zaćmiewały. Odrzuciłem więc kilkakrotnie fortunę i wygrałem sprawę w senacie, ogołociwszy się zupełnie z własnych funduszów, a nawet zabrnąwszy w długi. Gdy wyrok był podpisany i gdy z sentencyą pobiegłem do Czulskiej, już jej w umówionem przez nas miejscu nie było.

Szukałem jej dzień jeden... drugi... trzeci, bie-

gałem jak szalony... ani śladu! Możesz pan sobie moją rozpacz wystawić!... W tydzień dowiedziałem się, że owa szatanka, z piekła rodem, wodziła mnie poprostu za nos, wyzyskując moją pracę, naukę i szczupłe zasoby, a romansując pokątnie z kiepskim kancelistą sądu poprawczego, z którym odjechała na prowincyę, by się tam węzłem małżeńskim połączyć.

Dramat się na tem skończył... zostałem obrzucony ze wszech stron plotkami małego miasteczka... jakiś podły wierszokleta opisał to rymem, a stugębna fama rozniosła całą tę historyę po okolicy. Stałem się przedmiotem żartów, kpinek, anonymów... Władza sądowa postanowiła zasuspendować mnie, ku czemu się i kochani koledzy przyczynili. Straciwszy więc klientelę i przegrawszy przez niedbalstwo proces działowy i resztę schedy matczynej, której przez dwie generacye broniono, a którą jabym umiał przez dziesięć generacyi prowadzić... musiałem w końcu opuścić miasto... ulubione zajęcie... i przybywszy do starego kolegi, by mu pomagać w interesach... ot na czem karyerę swoją skończyłem!

Tu zamilkł Szczujski, spuściwszy znów brodę aż pod same usta w kołnierze... a milczenia tego nie śmieliśmy mu przerywać. Słońce też zaszło już było zupełnie, gdyśmy do sieni zrujnowanego wichłaczewskiego dworku dochodzili.

* * *

W obszernej, od lat wielu niebielonej izbie, zawalonej dokoła woluminami akt, o sterczących różnokolorowych etykietach, stosami ksiąg, pandektów i przeróżnych

papierów, w części przez myszy ponadgryzanych, w części zaś przez muchy zapstrzonych, przy czarnem, koszlawem biurku, którego wytarte i pobryzgane sukno o licznych świadczyło usługach, ślęczał, zatopiony w robocie, znajomy już nam pan Artakserkses Pieniacki.

W jednej ręce trzymał on pióro gęsie, ogryzając je z gorączkowym apetytem — drugą zapuścił w kędziory konopiastej grzywy swojej, która w górę najeżona, robiła zdala wrażenie strzechy, silnym orkanem nastroszonej.

Artakserkses był tak zajęty ważną widać powierzoną sobie czynnością, że gdyby mu kto kulą świsnął był nad uchem, on zaledwie jak od muchy byłby się tylko ognał.

Pieniacki i Szczujski zatrzymali mnie we drzwiach, wskazując dumnie na pracowitego pupila.

— Patrz, delegaciuniu — szepnął mi pierwszy — jak Ksenio pracuje!.. Nieodrodna to latorośl naszego imienia... do prawa ma pociąg naturalny, a dziedziczny w naszym rodzie. Gdybyś pan wiedział jaką on ważną sprawę obrabia!..

— Dałem mu — rzekł cichutko Szczujski — bardzo pouczającą rzecz... redakcyę motywów do skargi o obrachowanie szkód i korzyści straconych, w sprawie bardzo drażliwej; ciekawym też jak daleko postąpił w robocie.

Po tych słowach podsunęliśmy się na palcach ku zamyślonemu Artakserksesowi, przed którym, pomiędzy foliałami akt, leżał arkusz papieru, zagryzmolonego kil-

ku kolumnami pisma, widocznie na wiersze wyglądającemi.

Pieniacki i Szczujski, wyciągnąwszy szyje jak żórawie, chciwym wzrokiem przez ramię delikwenta czytali ową mniemaną redakcyę szkód i korzyści. W miarę rozczytywania się w hieroglifach rękopismu, brwi ich zsuwały się z sobą, oczy dziwnie srogiego nabierały wyrazu, a wpół otwarte usta najwyższe wyrażały zdziwienie.

— Co to jest?! — wrzasnął nagle Szczujski, chwytając za rękę albinosa, ogryzającego pióro.

— To tak miluniu pracujesz nad tem, co o losie naszym stanowi? — zapytał go Pieniacki, chwytając go za drugą rękę.

Artakserkses drgnął jak piorunem rażony, zerwał się z krzesła, nie próbując nawet rąk swych wydrzeć, a na bladą twarz rozkrzyżowanego w ten sposób męczennika, purpurowy wystąpił rumieniec.

— Ach! — jęknął z głębi duszy — jestem zdradzony!

— To memu panu romanse i poezya w głowie? — zapytał Szczujski, wytykając spiczastą brodę — a czy ty wiesz dokąd to prowadzi? czy ty wiesz, że romanse człowieka gubią, jego przyszłość paczą, społeczeństwa podkopują i najszczytniejsze pomysły nauki niweczą?

— I tegom się wstydu doczekał — wtrącił Pieniacki — żeby mój pupilek, zamiast szlachetnej nauki prawa, oddawał się nałogowi wierszoklectwa!.. Och! to okropne!

— Ten chłopiec nawet już zmysły postradał —

rzekł Szczujski, puszczając winowajcę i biorąc przed oczy zabazgrany rękopis. — Niech zginę, jeśli w tem jest sensu za trzy grosze!

— Ha! — dodał pan Onufry — poezyjka może do wszystkiego doprowadzić... to gotowa dróżka do szpitala.

— I do kogo to pisze? — spytał pan Justynian — kto jest ta Petronela?

— Petronelka? Petronelcia? — pochwycił gospodarz domu — więc to do niej?.. po tem co zaszło, ty śmiesz jeszcze do niej pisać, i to w chwili rozpocząć się mającego procesiku?

— Taki *corpus delicti* w rękach strony przeciwnej, to zguba!.. — zauważył Szczujski.

— Ja do niej nie pisałem — bąknął Artakserkses, ochłonąwszy z pierwszego wzruszenia.

— A do kogóż? — spytał opiekun.

— Do jej obrazu — szepnął winowajca.

— Gdzież masz ten obrazek? — szybko zapytał Szczujski — pokażno, pokaż... medalionik, dagerotyp... cobądź... będzie to dla nas dokument wyborny.

— W duszy go noszę — jęknął nieszczęśliwy kochanek.

— W duszy?.. ha! ha! ha!.. — zaśmiał się Szczujski.

— Ja ci go stamtąd wykurzę, miluniu! — krzyknął z grożącym gestem Pieniacki, którego słodycz naraz w dziki zmieniła się gniew.

— Ot co mogą sidła kobiece! — zakonkludował Szczujski. — O, kobiety! gadziny!.. gdybym był prawodawcą, nietylko pozbawiłbym je używania praw cy-

wilnych, jak to uczyniono, ale topićbym je kazał, jak to starożytni z czarownicami robili.

Artakserkses złożył ręce błagalnie, jakby litości dla tej płci słabej miał żebrać — i w tej postawie, za danym mu przez stryja znakiem, cichutko się z izby wysunął. Mnie się żal biednego, ugodzonego w samo serce chłopca zrobiło, a widok dwóch niemiłosiernych starców spółczucie moje jeszcze spotęgowywał.

Z odejściem Artakserksesa nastała chwila milczenia. Pieniacki miętosił w drżących od złości rękach zagryzmolony arkusz, w którym kochanek najdroższe swe zapewne wyśpiewał uczucia; Szczujski zamyślił się, głowę zwiesił, a zielone okulary na sam mu koniec nosa zjechały.

Stałem jak na węglach, choć ciekawy byłem i tej poezyi zakochanego albinosa, i rezultatu konferencyi po tej głębokiej zadumie odbyć się mającej.

— Trza radzić — rzekł po chwili Pieniacki.

— I to w skróconym terminie — dodał Szczujski — bo tu, jakem poczciw, żartów niema... opętała go z kretesem.

— Ale co robić, Justysiu? — zapytał pierwszy.

— Ha... pomyślimy — odrzekł kauzyperda, zerknąwszy na mnie.

— Radbym bardzo usunąć się do mej czynności — wtrąciłem szybko, widząc, że obecność moja nie była im na rękę.

— I owszem... nie przeszkadzamy — ozwał się pan Justynian.

— Zaraz służę potrzebnymi anneksikami — pod-

chwycił Pieniacki — pojmuję dobrze jak kochanemu delegaciuniowi czas jest drogi. Oto mapka... wprawdzie nieco pokreślona, bo tu są małe kontrowersiki... ale przy pomocy Bożej i Justysia, to się zwolna wyreguluje. To jest regestrzyk pomiarowy... wprawdzie cyferki trochę popoprawiane, bo się rozległość od czasu do czasu, wskutek różnych używalności, zmienia... ale delegaciunio, kompetentny w tych rzeczach, dojdzie wszystkiego. Tu są regestrzyki gospodarskie dość szczegółowe, choć także nieco pokreślone, bo w miarę niespodziewanego użytkowania z kontrowersików, sprzęty się od czasu do czasu zmieniają... Słowem wszystko czego potrzeba. Za pół godzinki poprosimy szanownego gościa na kolacyjkę, a tymczasem jest tu obok pokoik gościnny, w którym sobie szanowny delegaciunio najswobodniej wszystkie anneksiki przejrzeć może.

I to rzekłszy, otworzył drzwi do przyległego pokoju, świecę mi na stole postawił i sam czemprędzej do zamyślonego przyjaciela powrócił, zamknąwszy drzwi za sobą.

Ze wstydem przyznaję, że mnie ciekawość napowrót pod same drzwi powiodła, pragnąłem bowiem serdecznie dowiedzieć się ich postanowienia względem biednego kochanka.

Ciekawość moją tem łatwiej było zaspokoić, że wokoło popaczonych drzwi szerokie porobiły się otwory, przez które wszystko prawie widzieć mogłem, a cienkie przepierzenie, oddzielające mnie od kancelaryi pana Onufrego, w niczem akustyki nie tamowało.

— Więc cóż robić, Justysiu? — zapytał ex-obrońcę sądu pokoju wchodzący Pieniacki.

— *Ante omnia* trza zbadać *status rerum*... przeczytajmy więc co on nabazgrał... to nam stan sprawy wyjaśni... Daj mi rękopis, ja przez okulary lepiej dojrzę, a i rękę jego znam dokładnie.

Zasiedli obaj koło stołu, a Szczujski jednostajnym głosem począł czytać:

Petronelo, kwiecie mój,
Pieśń ci szle kochanek twój...
Patrz!.. tu łez i cierpień zdrój,
Najczarniejszych myśli rój.

— Dla Boga! — przerwał Pieniacki — co to znaczy? czy, Justysiu, rozumiesz choć słóweczko?

— Niewiele rozumiem, ale jakem poczciw, ten nicpoń ma dyabli talent... bo kiedy zwykli wierszokleci po dwa zaledwie rymy dobierają, on ich aż cztery naraz wywalił!.. Ale czytajmy dalej:

Żar mnie piecze... zazdrość pali,
Radbym serce zakuć w stali;
Moja przyszłość dziś na szali,
Gmach mych złudzeń już się wali,
Mknę po mętnej życia fali
I cóż widzę tam w oddali?..

— Jezu Chryste! a cóż tych *ali?!* — przerwał, chwytając się za głowę, Pieniacki.

— Czekaj... to jeszcze nie koniec:

I cóż widzę tam w oddali?
Twoje usta, ach! z korali,
Wioskę — gdzieśmy jeszcze mali

Koziołeczki przewracali,
Na murawie tańcowali,
Fijołeczków w niej szukali
I kwiateczki podlewali!

— Słyszałeś?!.. — zapytał rozpaczliwie Pieniacki — co tu końcówek!

— Et!.. co to teraz końcówki rachować — ofuknął Szczujski — tu gorsze rzeczy przebijają.

— Alboż co?

— Jakto co?!.. czyż nie słyszałeś koziołeczków... podlewania kwiatków?.. O zgrozo!

— *Horrendum! horrendum!..* — jęknął stryj.

— A dobrze ci tak!.. — krzyknął Szczujski, ciskając papier — ładnieś pupila pilnował! Kiedyś milczał, gdy oni sobie z panną Petronelą koziołeczki przewracali... kiedyś na takie bezeceństwa zezwalał, to sobie radź teraz!.. Tu żadne kodeksy nie pomogą. Ja z Czulską, jakem poczciw, koziołeczków nie przewracałem, a ot do czego mnie doprowadziła!

— Justysiu... to nie tak straszne — pocieszał pan Onufry. — Czekaj, już jemu się tego wszystkiego odechce... tylko czytaj dalej, a może się jeszcze czego więcej dowiemy.

Udobruchany nieco pan Justynian, wziął napowrót miłosną improwizacyę w ręce, a poprawiwszy okularów, westchnął i dalej czytać począł:

Petronelo, kwiecie mój,
Płacze dziś kochanek twój...

— To już było — przerwał Pieniacki.

— Było coś podobnego, ale tam był łez rój i myśli zdrój, a tu już wyraźnie pisze, że płacze.

— Popłacze on, popłacze! — zagroził Pieniacki — ale inaczej!.. Czytaj tylko.

— No to mi nie przerywaj.

Patrz, tu krwawych cierpień zdrój,
Najczarniejszych myśli rój.

— Ale to już było — przerwał Pieniacki.

— No kiedy było, to mi daj święty pokój — rzekł kauzyperda, ciskając papier na stół...

— Ale nie unoś się, Justysiu... przyznaj sam czy to już nie było.

— Mogło być coś podobnego, ale inna składnia... Zresztą... niech go tam!.. takich wyrazów podobierał, żem od nich kurczów w języku dostał.

— A czy to już koniec? — spytał Pieniacki.

— Nie koniec... to ta zwrotka tylko się powtarza — odrzekł gniewnie Szczujski. — Ale albo siedź i słuchaj, albo sobie sam czytaj.

— No, to już dokończ, Justysiu... bez gniewu... czytaj, kochanie.

Szczujski westchnął głęboko i przysunąwszy świecę, znów czytał:

Jakżeż przeszłość wspomnieć mile,
Kto jak my przecierpiał tyle!..
Na pociechę dziś się silę,
Lecz napróżno, bo się mylę,
Pod ciężarem karku chylę...
Nasze szczęście już w mogile!
O, szczęśliwsze te motyle,

Co w miłości jedną chwilę
Przebujają sobie mile,
Nim śmierć złoży je w mogile!
O szczęśliwsze szczygły, gile,
Co miłosne wiodą tryle!..
Dla nas szczęścia niema tyle,
Nas dwie straszne dzielą mile,
Nas pilnują krokodyle!..

— Co? co?! — wrzasnął Pieniacki — zrywając się z krzesła — o kim ten nicpoń mówi?

— A no, jużciż o tobie, Onuferku... bez kwestyi.

— Ale on chyba zmysły postradał... Jezus Marya!

— I ja jestem tego zdania... kiepsko z nim... tu niema co robić, chyba łeb mu ogolić i basta!

— Jakto? — spytał trwożliwie opiekun — czy istotnie widzisz tu jakie chorobliwe symptomata?

— Oczywisty kandydat do bonifratrów!.. niema co zwlekać!

— Zmiłuj się... a cóż potem?

— A potem... zobaczymy — rzekł po chwili namysłu kauzyperda z zaiskrzonym wzrokiem. — Przychodzi mi pomysł cudowny!.. Na podstawie tego dokumentu możemy, w myśl artykułu 890, wytoczyć akcyę do prezesa trybunału, o pozbawienie tego ptaszka własnej woli... czy ty mnie rozumiesz?

— Ehe — bąknął Pieniacki, pocierając czoła — ale widzisz, Justysiu... to znów byłoby zaostro... bo tak na sumienie rzeczy biorąc... to z mej strony... jako opiekuna... nie wypadałoby...

— Co? nie wypadałoby? — wrzasnął Szczujski — jakto? czy artykuł 890 nie cytuje wyraźnie jako pod-

stawy do ubezwłasnowolnienia czynów niedołęstwa, pomieszania zmysłów, lub szaleństwa? a cóż to wszystko, jeśli nie oczywiste szaleństwo? niech kto chce sądzi.

— No, to prawda, miluniu... — oponował Pieniacki, w którym niegodziwy doradca reszty głosu sumienia zagłuszyć jeszcze nie zdołał — prawnie to tego... ale znów z innej strony, to także ten... tego...

— Eh! bajesz trzy po trzy, jakem poczciw, i basta! Majątek jego masz w ręku, a niech dziś, jako pełnoletni, zechce, lub niech go kto zbuntuje, to jak mię żywym widzisz, gwiżnie ci go z przed nosa aż miło... i przy czem wtedy zostaniesz?.. przy rachunkach z opieki — dodał ciszej — za które możesz jeszcze beknąć kozą... bo ta trocha co nam się okroiła, to na obronę sprawy nawet nie wystarczy. To zaś, gdyby nam się udało, postawiłoby nas odrazu na nogi. Ty, naturalnie, pozostałbyś opiekunem, ja mógłbym być przydanym opiekunem, w myśl art. 895, i podzielilibyśmy się po Bożemu dochodami, dając temu trutniowi tyle, ile mu potrzeba na papier i pióra, żeby sobie dalej bazgrał.

— Hm... hm... — mruczał Pieniacki, kiwając głową i walcząc tajemnie z sumieniem, które pod powłoką pieniactwa tkwiło tam jeszcze na dnie, jak węgiel pod popiołem.

— Niema co myśleć, jakem poczciw — zakonkludował Szczujski — chowam ten cenny dokument, pozbieram jeszcze inne fakty, a świadków na zawołanie mieć będę... Zresztą wiesz, że co zechcę to zrobię. Na twoje głupie skrupuły zważać nie myślę, bo przy nich i ciebie i mnie dyabli wezmą. Siedzę tu już lat

tyle, pracuję jak koń... zmarnowałem młodość, sprawy jedne za drugiemi przeprowadzam, wygrywam i co mam z tego? krwawo uciułanych lichych parę tysięcy złotych. Tfy! jakem poczciw, to i wspominać niewarto! Ta sprawa zaś może być dla nas obydwóch Kalifornią... podzielimy się jego dochodami, jak Bóg przykazał... każdemu najmniej z 10.000 złotych przybędzie, a jak raz zyszczemy wyrok wzbraniający mu stawania w sądach, zawierania tranzakcyi, zaciągania długów, odbierania kapitałów, alienowania, hypotekowania etc... w myśl art. 897, to potem pogadamy z nim i damy mu z łaski, co nam serce i sumienie poradzi, byle gębę zatkać.

Całą tę tyradę wyrzucił Szczujski jednym tchem, a oczy jego zielone jak ogień bengalski błyszczały. Pieniacki milczał, zwiesiwszy głowę brzemienną myślami i opierając ją na obu swych dłoniach. Walki jaka się w nim toczyła dojrzeć nie było można, gdyż wzrok przymrużony utkwił w podłogę.

— No i cóż ty babo tak medytujesz?.. — spytał zamyślonego szatan kusiciel.

— Justysiu — szepnął mu w ucho Pieniacki — to co mi radzisz jest straszne.

— Przyjmuję grzech na siebie... jakem poczciw!

— Ja do tego ręki nie przyłożę...

— A to sobie rękę wraz ze swymi głupimi skrupułami schowaj w kieszeń... ja sam dam sobie radę.

— Powtarzam ci jeszcze raz, że o tem wiedzieć nie chcę i... nie mogę!

— Dobrze... dobrze... nie mówmy już o tem...

mam na dziś dosyć do roboty... Ot najważniejsze... pozwy do Przemysłowic nie posłane.

— Jakto?.. czy ich Artakserkses nie wypisał? — spytał Pieniacki.

— A wszak widzisz co wypisywał! — rzekł Szczujski, wskazując na rękopis zrozpaczonego poety.

— A tu czas wielki wysłać pozwy — wtrącił pierwszy.

— Bądź zupełnie spokojny — odrzekł kauzyperda — dziś mu je podyktuję, a jutro woźny Łapkiewicz przybędzie, bom konia wysłał po niego, to je zaraz jutro doręczy. Zapozwiemy pana Pafnucego o zwrot kosztów ekwipowania Artakserksesa i straconych korzyści, przez zerwany wobec świadków związek z panną Petronelą. Stary Świder beknie grubo, jakem poczciw; zapłaci nie tytuniem, to cykoryą, nie cykoryą, to mąką, nie tem, to zapałkami i wykałaczkami.

— O! co do niego, nie mam najmniejszych skrupułów — rzekł Pieniacki — trzeba drzeć łyka póki czas... Dziś jeszcze jest z czego, ale za rok Wabik z Przemysłowicami zrobi co zechce.

— Idę więc do roboty — zakonkludował Szczujski — od ciebie zaś jednej tylko rzeczy wymagam.

— Wszystkiego... byle nie tego co przed chwilą radziłeś.

— Czekajże, bo gadasz sam nie wiesz co!.. niczego od ciebie nie wymagam, tylko żebyś był dla Artakserksesa jak najłagodniejszy.

— Wszak wiesz jakim dlań zawsze byłem...

— Pozwólże... otóż bądź czulszym niż kiedykol-

wiek... westchnij czasem nad nim z litością i przed ludźmi jak najmniej mów do niego... Oto wszystko czego żądam.

W tej chwili turkot zajeżdżającego wozu i przeraźliwe piski dały się słyszeć przed domem.

— Co to?.. — spytał Pieniacki, biegnąc do okna.

— Co to jest?!.. — zawołał zdziwiony Szczujski, podążając za nim. — Jakiś wóz... naładowany czemś... Czy widzisz jak się coś na nim rusza?

— To cała psiarnia — krzyknął Pieniacki — coby to było? Pójdźmy!

Lecz nim zdołali dojść do drzwi, ukazało się w nich dwóch chłopów.

— Niech będzie pochwalony! — rzekli nowoprzybyli, schylając czapki do ziemi.

— Na wieki wieków! dobrzy ludzie... a skąd to? — spytał gospodarz domu.

— Ze Łgarzewa, wielmożny panie — rzekł pierwszy, podając list.

— A cóż to, przyjacielu, tyle psów ze sobą wieziecie? — wtrącił Szczujski.

— A to nasz dziedzic wielmożnemu dziedzicowi przysyła.

— Mnie? miluniu... poco?

— A to wej w piśmie wypisane pewnikiem — odrzekli chłopi.

Zdziwiony Pieniacki podbiegł z listem do światła, a za nim i Szczujski podążył. Znaną mi była treść listu, śledziłem więc ciekawie wrażenia, jakie on na czytających miał wywrzeć.

Pieniacki na razie usta szeroko roztworzył, brwi zsunął... poczem pięście zacisnął i krew nabiegła mu do głowy tak gwałtownie, że na czoło dwie żyły jak szpagat grube wyskoczyły; Szczujskiemu natomiast oczy wyrazem dziwnej radości zabłysły, a pocierając ręką ryżą czuprynę, zdawał się tworzyć plan jakiś.

— Czytałeś?! — jęknął Pieniacki, padając na krzesło.

— Czytałem i winszuję.

— Jakto?!.. chybaś nie zrozumiał tej hańby, tej zniewagi!

— Prawda... ale jest przytem okazyjka do szczęścia, na jakie nie zasłużyłeś, ty w czepku urodzony.

— Nic nie rozumiem!.. głowę tracę! oszaleję! — bełkotał do żywego dotknięty szlachcic.

— Zrozumiesz mnie zaraz, tylko zostaniemy sami — rzekł Szczujski i obracając się do chłopów, dodał: — Dziś już późno, dobrzy ludzie... idźcie na spoczynek do karczmy, a zwierzątka niech na noc zamkną w sąsieku. Jutro wszystko się załatwi, tak jak sobie kochany pan Pływalski życzy. Idźcie więc... a niech psiątka na dworze nie ziębną, boć to stworzenia Boże... Dobranoc!

Chłopi wyszli przed dom, gdzie się już koło wozu gromada ciekawych ze wsi zebrała. Dziwny ten transport, konwojowany przez całą prawie ludność Wichłaczewa, powędrował w dziedziniec folwarczny, wśród najprzeraźliwszego pisku, wycia, skomlenia i naszczekiwania całej gromady psów nadbiegłych ze wsi, na urąganie czy też na pomoc spółplemienników.

Nareszcie uspokoiło się na dworze, a trwającą w pokoju ciszę i zamyślenie pana Onufrego przerwał Szczujski.

— No i nad czem tak medytujesz? o czem myślisz?

— O czem? — odrzekł zagadniony — no jużciż nie o niebieskich migdałkach. Jestem sponiewierany, zhańbiony!

— Tandem tedy, cóż myślisz począć i co mu zrobisz?

— Co?... co ja mu zrobię?... Oho! wiem co mu zrobię... zrobię mu proces kryminalny! Raz mi się wyślizgnął jak piskorz, kiedy przyjechał w kondolencye, rozsiewając po okolicy żem umarł. Dałem się wtedy zmiękczyć paruset rublami. Ale dziś... oho!

— No cóż oho! — spytał palestrant.

— Jakto no cóż? — odrzekł pan Onufry — wpakuję go żywcem pod ziemię!

— Ty? — spytał Szczujski z uśmiechem — tak łagodny!

— Wszystko ma swój koniec... ma swoje granice!

— Więc koniecznie pragniesz zemsty? chcesz go wsadzić do lochu?

— Bez pardonu!

— I ex re czego? jeśli wiedzieć wolno.

— I ex re czego?... a wiesz, miluniu, że jesteś nieoceniony! Ty mnie się pytasz ex re czego?... A cóż ten liścik, powinszowanie imienin, czy co?... Cóż to, on mnie traktuje jak oprawcę, każe mi psy kurtyzować... i ja mu mam taką obelgę płazem puścić?!

— Najprzód to nie obelga... bo jużcić kazałeś jego suce ogon i uszy oberznąć.

— To nie ja kazałem! — ofunął Pieniacki — twoja to była rada.

— Ale on o tem nie wie... a zresztą to do sprawy nie należy.

— Przecież to co mnie dziś spotyka, jest następstwem owego szalcństwa.

— Więc reasumując to wszystko... cóż ma być ostatecznie?

— Co ma być, miluniu, tom już powiedział... zaskarżę go kryminalnie i basta!

— I cóż za rezultat z tego?

— Rezultat?! wpakuję szlachcica do kryminału i zgnije w więzieniu!

— No, a gdyby i zgnił, to co ci z tego przyjdzie?

— O... mój miluniu... zapominasz, że jestem człowiekiem, a nie świętym. Ja bez pomszczenia tej obelgi nie umarłbym spokojnie, a przy pomocy Bożej tak się zemścić muszę, żeby jego raz dyabli wzięli!

— A no to mścij-że się, kiedyś się taki honorowy naraz zrobił. Ja od tego ręce umywam, skoroś sobie głupstwo ubrdał i mnie o zdanie nie pytasz... mnie... swego najlepszego, jedynego może przyjaciela!

I z ostatniemi słowy Szczujski sięgnął po chustkę, jakby ją dla utarcia spłynąć mających łez przyjaźni pragnął przysposobić.

— To ci tylko powiadam — dodał po chwili, widząc że nadejść mający transport łez nie wzruszał Pieniackiego — i to ci raz ostatni powtarzam, że jakem poczciw, sprawy kryminalnej nie wygrasz, bo do niej niema podstawy prawnej, a choćby ci się jej kto podjął

i wprowadził, to ją przerzniesz, bo niema się czego uczepić. Przegrasz więc sprawę, zbabrzesz się, kosztów sobie narobisz, nie licząc tych korzyści, jakie wyciągnąć mogłeś z tego listu i jakich się samowolnie pozbędziesz.

— Co?... gdzie?... jakie korzyści?... Miluniu, ty chyba majaczysz!

— Nie majaczę — odrzekł kauzyperda, pociągając niuch tabaki — to co mówię opieram na pewnych danych, a jako dowód że na wiatr nie mówię, zrobię ci propozycyę: odstąp mi to co z Pływalsia wyciągnę na drodze cywilnej, a wyliczę ci pięćset złotych.

— Jakto?... chyba żartujesz... skąd i co mógłbyś z tego wyciągnąć?

— Odstępujesz, czy nie? — spytał były obrońca sądu pokoju — dodam ci jeszcze pięćset złotych.

— Ale powiedz-że mi, z jakiej zasady czepiać go się można na drodze cywilnej?

— To już moja rzecz.

— No... ale ja chcę wiedzieć; bo jeśli jest *casus* do sprawy cywilnej, to możebym się namyślił... Znasz moje serce i wiesz z jaką przykrością gubiłbym bliźniego, choćby on moim wrogiem był nawet.

— Jest *casus* — odrzekł pan Justynian — jest, jak mię żywym widzisz. Zrób tylko to co ja ci poradzę, a jakem poczciw, sprocesujemy Pływalsia do butów.

— A no, to mi tak mów, miluniu! — dodał Pieniacki, przysuwając się do Szczujskiego z krzesłem.

— A dasz mi połowę wygranej z objektu spornego i likwidacyi?

— Dam!

— I zrobisz co rozkażę?

— Zrobię, miluniu, jeśli notabene...

— Żadnych jeśli, żadnych notabene! — rzekł kauzyperda. — Zrobisz dosłownie co powiem, a zobaczysz jak Pływalsia skąpiemy.

— No, jeśli obiecujesz go skąpać, to się chętnie z tobą podzielę i zrobię co zechcesz... Cóż mi więc, miluniu, radzisz?

— Oto — rzekł poważnie Szczujski — zachować jutro całą spokojność wobec jego ludzi... pamiętaj ani słówkiem nie zdradzić urazy do Pływalskiego, z całą zimną krwią i słodyczą wypytać się chłopów o urodzaje, o sprzęt kartofli, o zdrowie ich pana i jakby nigdy nic, zabrać się zaraz od rana do operacyi.

— Do jakiej operacyi? — spytał gospodarz.

— Do pokurtyzowania psów — odrzekł spokojnie Szczujski.

— Co?!... — wrzasnął Pieniacki, zrywając się z krzesła, ugodzony w miłość własną, której nawet mania procesowania się ostatecznie nie zabiła.

— Tak — odrzekł spokojnie Szczujski, zażywając tabakę.

— Ale to jest *horrendum!*... ja do tego ręki nie przyłożę!

— A któż ci mówi, żebyś sam rękę przykładał?

— No więc kto to ma zrobić?

— Posłuchaj mnie *lente*... bez uniesień... *sine ira,* boć twoje jedynie szczęście mam na celu.

— A czyż ja wątpię o tem, Justysiu? — rzekł rozrzewniony szlachcic.

— No kiedy nie wątpisz, to posłuchaj. Od samego rana każ urządzić w podwórzu stół, tak jak do strzyży baranów, zawołaj sobie owczarza i owczarków, pasterza i pastuszków... im więcej, tem lepiej, a rozłożywszy po kolei jednego za drugim psa na stole, każ tym zwierzętom uszy i ogony poobcinać. Im dłużej ta operacya potrwa, tem lepiej.

— No, i cóż będzie z tej rzezi?

— Pieniądze, kochanie... grube pieniądze, jakem poczciw — odrzekł Szczujski, wytrzeszczając zielone oczy i wysuwając spiczastą brodę, tak że aż nią czoła pana Onufrego dotknął. Zrobimy mu likwidacyjkę prawną... nasolimy rachuneczek taki, że jeśli przez to ze wsi nie wyleci, to chybaby już sprawiedliwości na ziemi nie było.

— A jest-żeś tego pewny, miluniu? — spytał Pieniacki, chwytając kościstą dłoń przyjaciela.

— Jakem poczciw! — odrzekł uroczyście poczciwy doradca. — A teraz zgoda?...

— Wszystko to dobre... ale urządź, Justysiu, tak mądrze, żebym ja przy tem nie był, — dodał Pieniacki, wstrząsając kilkakrotnie dłonią pana Justyniana i błagalne wznosząc doń oczy.

— Mniejsza o to, poświęcę ci się... i może ja sam poradzę — zakonkludował z zadowoleniem niedoszły mecenas, wstając od stołu i zabierając sporą plikę papierów. Każ podać kolacyę, bo i temu cnotliwemu delegatowi, który używalności kontrowersów nie kontestuje, pewno się jeść zachciało, i ja przetrę zęby, a po wieczerzy zabieram Artakserksesa do pracy. Do zobaczenia więc na sali jadalnej... a pamiętaj o Pływal-

skim wyrażać się grzecznie, życzliwie, uprzejmie... a na Ksenia spoglądać troskliwie i czule.

* * *

W długiej a wązkiej sali jadalnej, której ściany niegdyś bielone, dziś wskutek czasu kolor szaro sinawy przybrały, zdobnej w zielono nakrapiany piec kaflowy i licznych pajęczyn festony, zasiedliśmy do wieczerzy.

Więc na pierwszym planie pan Justynian Szczujski, obok niego Pieniacki z jednej, a pani Otylia z drugiej strony, dalej panna Pulcherya, której wzrok wyrazisty z prawdziwem spółczuciem zatrzymywał się na siedzącym naprzeciwko Artakserksesie, wreszcie wasz najniższy sługa.

Całe grono, pod wpływem przeróżnych myśli, w milczeniu spożywało kwaskowaty bigosik z odgrzewanej skopowinki, z kartoflami, które rozczochrana dziewka odbnosiła dokoła, kąpiąc niekoniecznie czyste paluszki w długim, szarym sosiku.

Gospodarz domu, okazała jego magnifika i Szczujski, niewybredni widać gastronomowie, serdecznie zabrali się do dzieła, a kląskające ich podniebienia przerywały ciszę, jak chlapanie szkap po błocie. Artakserkses, ze zwieszoną na piersi głową, siedział cichutko, topiąc wzrok w podłodze, i od chwili do chwili tłumione z piersi dobywając westchnienia. Ja także nic do ust wziąć nie mogłem, raz że same specyały niekoniecznie mnie nęciły, a głównie może odbierał mi apetyt widok biednego chłopca, którego niekłamane cierpienie i podsłuchane projekta Szczujskiego, w dziwny mnie nastrój ducha wprawiały.

Artakserkses był sierotą po bracie pana Onufrego,

a ojciec jego na śmiertelnem łożu zdał opiekę nad dziecięciem jedynemu swemu bratu. Odległość, jaka obydwóch tych braci dzieliła, była powodem, że się mało znali; nieboszczyk, oddany pracy i wychowaniu dziecięcia, które kochał nad życie, nie przypuszczał, aby się znalazł pod słońcem ktokolwiek, coby mu jaką krzywdę mógł wyrządzić; z tem też większą ufnością powierzył losy sieroty i jego majątku rodzonemu bratu swemu, który, odznaczając się zawsze słodyczą, łagodnością i pobożnością, dawał mu rękojmię, że chłopca i jego mienia jak oka w głowie strzedz będzie.

Były też to dość dawne już czasy, a dla miłości prawdy dodać tu misimy zaczerpniętą od ludzi wiadomość, że pan Onufry Pieniacki nie był jeszcze wtedy takim, jakim go dzisiaj poznajemy, pod wpływem niegodnego doradcy, ukryta bowiem żyłka pieniactwa ograniczała się w nim tylko do dwóch spraw granicznych i kilku rozoranych sąsiadom kopczyków.

W chwili naszego opowiadania już się ludzie i rzeczy zmieniły. Pan Onufry, podżegany przez Szczujskiego, zaplątał się był w przeróżne procesy, które, acz po długim lat przeciągu wygrywane na pozór, kosztowały go jednak tyle, że zwolna podkopywały nietylko jego, ale i powierzony mu sieroty majątek. Gospodarstwo w Wichłaczewie upadało z dniem każdym, bo głowa dziedzica, zajęta procesami, pozwami, wyrokami adjudykacyjnymi, inkwizycyami, opozycyami etc., nie miała czasu pomyśleć nad tem, kiedy i o jakiej porze rolę uprawić i czem ją zasiać należało. Gotówka, jaka była po ojcach, poszła na koszta owych wygrywanych niby procesów; inwenta-

rzy ubywało z każdym dniem; dziedzic w *pandektach* i *księgach* susząc głowę, ani nie spostrzegł, że woły, chociaż łbów *w księgach nie suszyły,* na *księgosusz* wypadły. Kilka fornalek, zamiast orać i bronować, było w ciągłych rozjazdach z woźnymi, komornikami i innemi tego rodzaju pijawkami, które wysysając kieszeń pieniacza, resztki sił z biednych szkapiąt dobywały. Z paruset błąkających się owieczek także wielkiej nie było pociechy, bo co wełny z lata przybyło, to w zimie częścią z głodu, a częścią z brzydkiego nałogu, owieczki jedne drugim zwolna objadły. Nie dziw przeto, że przy takim stanie gospodarstwa, hypotece szczęśliwego procesowicza, jak starzejącej się pannie, coraz nowe przybywały zmarszczki. Więc najprzód zjawiły się małe ostrzeżenia w dziale III, niedozwalające sprzedaży lasu. Gdy mimo to lasek w kieszenie usłużnych żydków powędrował, dodano ostrzeżenie o skutki procesu jaki z tego wynikł, a wylikwidowaną wcale pokaźną kwotę zapisano sposobem ostrzeżenia w dział IV, skąd już nie wyszła, lecz po pewnym przeciągu czasu na czysty wpis zamienioną została. Szczujski wprawdzie wywijał się, jak zając chartom... manewrował całe trzy lata nim do tego przyszło, a i zapisaną sumę zakontestował; ale manewry te taki tylko skutek miały, że wpis i przysądzenie sumy opóźniły, a zato drugie tyle przysporzyły kosztów. Z raz zamazaną hypoteką, to także jak z panną, której serce dziewicze po raz pierwszy występną skaziło się miłością. Za pierwszym wpisem poszedł drugi, za drugim trzeci, a choć pieniacze strzegli hypoteki, jak stara ciotka swego szpica, co się jednak odwlekło, nie uciekło. Zyskano na czasie, ale kto miał się znaleźć,

to się w pergaminowym albumie znalazł i przyszło nareszcie do tego, że wierzyciele, wziąwszy się za ręce, wydali panu Onufremu pozwy subhastacyjne.

Była to jedna z najmilszych może chwil w życiu Szczujskiego, jedna z owych chwil, w których się ongi z ś. p. Wyderką jak żołnierze na placu boju ściskali. Za przybyciem pierwszych pozwów, kauzyperda zrzucił z szyi kołnierze, zawinął rękawy, pociągnął mocny niuch tabaki i psztyknąwszy w palce, zawołał, jak zręczny wódz na widok zbliżającego się wroga: „Mamy go!“ — Pieniacki w pierwszej chwili przestraszył się nieborak, ale widok pewnego siebie Szczujskiego dodał mu otuchy, tembardziej że ciągnący się z gminą sąsiednią wielki proces graniczny, acz wszystkie już instancye po kilka razy obleciał, przedstawiał ciągle perspektywę świetnej wygranej z kosztami, które samą wartość sporną o dwakroć przewyższać miały.

Taki tedy stosunek dwóch tych postaci najlepiej nam tłómaczy powolność, z jaką się Pieniacki na wszystko co Szczujski postanowił zgadzać najczęściej musiał. Co do mnie, czułem wyraźny wstręt do szkaradnego kauzyperdy, a świadomy jego planów względem biednego kochanka, szczerem dla tego ostatniego przejąłem się spółczuciem.

Milczenie dość długie przerwał pierwszy Szczujski, a otarłszy ręką zatłuszczone usta i poprawiwszy zielonych okularów, zwrócił się do Artakserksesa.

— Czemu nic nie jesz? — spytał go łagodnie.

— Dziękuję — krótko odrzekł zagadniony.

— A szkoda... jakem poczciw... bigosik wyśmienity... kwaskowaty, jak raz taki lubię.

— Mógłbyś skosztować, miluniu — dodał pan Onufry.

— Dziękuję...

— Może kuzynek cierpiący? — spytała troskliwa Pulchercia.

— Ee... nie — odrzekł zagadniony, rumieniąc się.

— Nie żenuj się — pytała ponownie pani Otylia — możeś chory, może masz w bołku doleści, chcę mówić w dołku boleści — dodała, poprawiając omyłkę... a omyłki te, jak się później dowiedziałem, były chroniczną wadą pani Otylii, na którą najzawołańsi lekarze prowincyonalni środka znaleźć nie mogli, tłómacząc ją wadliwą organizacyą języka z jednej, a bębenków usznych z drugiej strony.

Artakserkses siedział jak na węglach i słowa zeń dobyć nie było można.

— Jeśliś chory, miluniu, to się połóż w łóżko — rzekł mu troskliwie Pieniacki.

— Ale dziękuję... nic mi nie jest — odparł głośniej zniecierpliwiony tą komedyą chłopiec.

— No, jeśli nic ci nie jest — dodał Szczujski — to pójdziemy po herbatce do pracy... mamy dużo zaległych numerów.

Ciężkie westchnienie Artakserksesa było niemą odpowiedzią na tę propozycyę. Dusza zakochanego rwała się do poezyi, a choć ta grzeszyła częstochowszczyzną, niemniej jednak lepiej przypadała do nastroju jego ducha, niż suche pozwów formułki.

Panna Pulcherya podawała wkoło stołu herbatkę,

której mocny aromat cudnych łąk naszych przypominał wonie.

— Jakżeż się panu podoba Wichłaczew? — zapytała mnie pani Otylia, przerywając chwilowe milczenie.

— Jeszczem się nie miał czasu rozpatrzyć.

— Domek sam — ciągnęła dalej, dmuchając w herbatę — jest nieco opuszczony... ale to dlatego, że mieliśmy nowy budować. Już nawet był założony węgiel kamienny.

— Miałem już nawet cały plan skończony — dodał pan Onufry, rumieniąc się trochę za omyłki żony.

— I czemuż państwo odstąpili od zamiaru? — spytałem.

— Czasy ciężkie — odrzekła z westchnieniem gospodyni — dzisiejsze czasy do dawnych, to jak ziebo do niemi...

— Chcesz powiedzieć, miluniu, jak niebo do ziemi — wtrącił widocznie już zniecierpliwiony małżonek, wstając od stołu, dla przerwania rozmowy.

Ale z panią Otylią nie tak to widać było łatwo... rozmowę lubiła pasyami w chwilach od drzemki wolnych, i im się nią więcej ożywiała, tem też gęstszemi sypała omyłkami.

— Chart chartem, pies żartem — ciągnęła dalej — niema czem bardzo wojować... i na świecie coraz gorzej. Dziś prosty wyrobnik, lada biedak żyje nad stan... dla blichtru... a jak do siakiej takiej fortunki dojdzie, traczaci...

— Chciałaś powiedzieć, miluniu, czas traci — przerwał małżonek, biorąc ją za rękę, z silnem postanowie-

niem zakończenia rozmowy. — Ale i my tu, miluniu, czas tracimy, bo Justyś ma z Artakserksesem robotę, pozwy do Łgarzewa...

— Do Łgarzewa?... — spytała ciekawie pani Otylia.

— Tak, tak... — wtrącił Szczujski — zapomniałem nawet o tem... a rzecz ważna.

— A cóż-to sąsiad Pływalski przeskrobał?

— Ho! ho! ho — zaczął Szczujski.

— Ee... tak sobie — przerwał szybko pan Onufry, w obawie aby się Justyś nie wygadał z historyą psów — głupi szlachcic, jak to zwykle tacy hreczkosieje... a zachciało mu się pode mną dołki kopać.

— A jeśli kołki dopie — zauważyła pani Otylia — to mu nie darujcie.

— Bądź pani spokojną — zakonkludował Szczujski, wstając z krzesła i żegnając się pobożnie, ze wzrokiem w górę wzniesionym, jakby dla podziękowania Bogu za bigosik i dla prośby o natchnienie. — Dobranoc państwu... Artakserkses, pójdź, kochanie!

Artakserkses na ten ostatni wyraz podniósł się zdziwiony z krzesła, nigdy bowiem tak pieszczotliwego nie słyszał przydomku, a po zaszłej scenie to „kochanie“ dziwniej dlań jeszcze brzmiało. W milczeniu opuścili salę, wraz ze Szczujskim.

— I ja radbym zabrać się do swej czynności — dodałem szybko, pragnąc być niewidzialnym świadkiem dalszych rozporządzeń ex-obrońcy sądu pokoju.

— Szanowny delegaciunio ma swój pokoik obok kancelaryjki — podchwycił Pieniacki, zadowolony z mej propozycyi. — Znajdzie się tam łóżeczko... umywale-

czka... mydełko... słowem jak Bóg przykazał... a jeśli nie będzie wygodnie...

— To pan wybaczy — wtrąciła pani Otylia — ale czem chata rogata, tem bada...

— Boję się tylko — przerwał coprędzej pan Onufry — czy Szczujski z Artakserksesem, rozmawiając w przyległym pokoiku, nie przeszkodzą panu.

— Bynajmniej — odrzekłem — czynność tak mnie zwykle absorbuje, że można koło mnie robić co się komu podoba, a nic mi to nie przeszkadza.

— Pódźmyż więc — zakonkludował Pieniacki, biorąc mnie pod rękę — bo Szczujski tam beze mnie nie zacznie.

I skłoniwszy się damom, wyszliśmy z sali jadalnej, udając się każdy do swego pokoju. Ja dawne swoje zająłem stanowisko.

— Od czegóż zaczniemy — spytał pana Justyniana wchodzący Pieniacki.

— Siadaj sobie i nie przeszkadzaj — odrzekł kauzyperda, roztasowując pliki papierów przed sobą. — Artakserkses! pióro do ręki, siadaj i pisz!

Biedny chłopiec, z rezygnacyą pierwszych chrześcijan na stos ofiarny idących, zasiadł z piórem w ręku przy stole, Szczujski zaś, poprawiwszy okularów, tak dyktować począł.

„Działo się jak przy doręczeniu:

„Na żądanie Onufrego Pieniackiego, dziedzica dóbr Wichłaczew, we wsi Wichłaczewie, okręgu N... gubernii N. N. zamieszkałego i zamieszkanie prawnie obiera-

jącego, od którego obrońca Justynian Szczujski stawać będzie...

„Ja niżej podpisany, woźny przy sądzie pokoju okręgu N... przez j. w. prezesa trybunału mianowany i w mieście okręgowem N... przy ulicy Bagno pod nr. 1 mieszkający, — zapozwałem gminę Cielętniki, w osobie jej wójta Marcina Koziołka i sołtysa Bartłomieja Szkódnika, w tejże wsi i gminie zamieszkałych, aby się stawili na audyencyi trybunału cywilnego, w gmachu pod nr. 13 posiedzenia swe odbywającego, w dni 8 od wręczenia tego pozwu, nie licząc czasu na odległość, o godzinie 10 rano, lub kiedy sprawa do sądzenia przypadnie, i na wnioski Onufrego Pieniackiego odpowiedzieć byli gotowi, który żądać będzie:

„Aby w sprawie kontrowersowej między gminą Cielętniki a wsią Wichłaczewem, w miejsce podsędka delegowanego, podsędek innego sąsiedniego okręgu, a w miejsce geometry Tyczkowskiego, geometra Wiechciński wydelegowani zostali, przy włożeniu napozwanych kosztów, wyrokiem pod tymczasową egzekucyą.

„Zasady... i t. d... i t. d... i t. d...

— Napisałeś? — spytał Szczujski, skończywszy dyktować.

— Napisałem — szepnął półgębkiem Artakserkses.

— A zapomniałeś ostrzedz, miluniu, o skutkach zaoczności — dodał Pieniacki, dość już biegły w formułkach prawnych.

— Będzie to zaraz — odrzekł Szczujski — dopisz w konkluzyi: „O skutkach zaoczności ostrzegłem.“ —

dobrze;... teraz zostaw odstęp na podpis woźnego Łapkiewicza i dopisz pod spodem:

„Kopię tego pozwu, na stemplu ceny kop. 15 odpisaną, wręczyłem gminie Cielętniki, w osobach wójta Koziołka i sołtysa Szkódnika, a pod niebytność takowych, oddałem na ręce“... tu zostaw miejsce, to Łapkiewicz dopisze komu wręczył.

— Zabieraj się teraz do drugiego pozwu — mówił dalej kauzyperda, w sztosie będący — i pisz a capite.

„Działo się jak przy doręczeniu:

„Na żądanie Onufrego Pieniackiego, *et caetera, et caetera*, od którego *et caetera* stawać będzie... ja niżej podpisany *et caetera*... mianowany i zamieszkały...“ — od ustępu:

„Zapozwałem Pafnucego Świderskiego, dziedzica dóbr Przemysłowic, w tychże dobrach zamieszkałego, aby się stawił na audyencyi... *et caetera*... w dni osiem... *et caetera*... i na wnioski Onufrego Pieniackiego odpowiedzieć był gotów, który żądać będzie:

„Aby z powodu zerwania umowy o związek małżeński między Artakserksesem Pieniackim a Petronelą Świderską zawrzeć się mający, którego pierwszego stawający Pieniacki jest opiekunem, powrócone mu zostały koszta ekwipowania...

— Co?... — zapytał Artakserkses, zrywając się nagle.

— Pisz, kochanie... koszta ekwipowania i urządzenia...

— Przepraszam... ale...

— Niema ale... miluniu — dorzucił Pieniacki.

— Ja tego pisać nie mogę! — odpowiedział dość stanowczo biedny kochanek.

— Musisz! rozumiesz?!... — wrzasnął Szczujski.

— Musisz, miluniu!... — powtórzył tak samo opiekun.

— Nikt mnie nie zmusi! — krzyknął Artakserkses, ciskając pióro, a w głosie jego taka przebijała stanowczość, że byłbym go zato uściskał.

— Tak powiadasz, miluniu? — spytał słodko Pieniacki.

— Tak — odrzekł zbierając całą swą energię młodzieniec — niech się co chce dzieje!... niech mnie zabiją!... ja do tej podłości ręki nie przyłożę.

— A... a... a... to pan Artakserkses podłością to nazywa? — spytał Szczujski. — To kiedy kto zrywa umowę, wobec świadków, kiedy kto kogo wypędza z domu, to może się zato jeszcze w rączkę całuje?

— Nie, panie — odrzekł młodzieniec — przyznaję, że mnie dotknięto boleśnie, ale to nie upoważnia jeszcze do szukania odwetu w tak nędzny sposób.

— Proszę! — uśmiechnął się Szczujski — droga prawna, to wedle zacnego poety nędzny sposób!... Więc jakiż inny radzisz? może wypalić jaki sonet albo madrygał o piętnastu jednakowych końcówkach?

— Ale czego się, Justysiu, trudzisz na argu-

menta? — zauważył Pieniacki — zrobi się tak jak zechcesz, i basta!

— Przepraszam bardzo — wtrącił Artakserkses, ale tym razem...

— Ty tu nic nie znaczysz! — zawołał gniewnie Szczujski — pozwy wyjdą od twego stryja.

— Ale ja służę za pozór do procesu, więc nie dopuszczę nigdy...

— Powtarzam ci, że nie masz głosu! — przerwał mu Szczujski.

— Owszem, tam gdzie o mnie idzie mam głos!

— Jakto? ty miluniu? — podchwycił Pieniacki — taki młokosik, taki pauperek?

— Jestem już pełnoletnim — rzekł poważnie Artakserkses, prostując się na te słowa.

— A co? — zapytał Szczujski, spoglądając na Pieniackiego znacząco — a co, nie mówiłem?

— Miałeś racyę — odrzekł pan Onufry, zamyślając się.

— Więc nie będziesz pisał? — spytał młodzieńca Szczujski po chwili milczenia.

— Nie!

— Wolałbyś wierszydła bez sensu gryzmolić?

— Cobym wolał to moja rzecz... ale tego pozwu się nie tknę!

— Mniejsza o to — rzekł Szczujski — poradzimy sobie i bez asana. Poezyjka w łeb wlazła... Co tam się z tego ulęże... zobaczymy.

— To nietyle poezyjka — wtrącił Pieniacki — ile Petronelka urocza.

Artakserkses milczał.

— I na to poradzimy, jakem poczciw!... Będziemy cię ratowali, bo nie wiesz, młodzieniaszku, co to jest kobieta... Kobieta to kwiat ostromleczu... oko bawi, a pierś zatruwa... Kobieta to przepaść niewidzialna... gdy się do niej zbliżysz... giniesz!

— Śliczna mi partyjka! — poparł Pieniacki. — Przyniesie ci w posagu trochę zakalcowatych rogalików, parę paczek cykoryi, kilkanaście pudełek zapałek, żeby ci zimno nie było, i wykałaczki do wykłuwania próżnych zębów w głodnej buzi.

— Albo jaką maszynę, na której będziesz sobie mógł w potrzebie łeb uciąć — dodał Szczujski — bo że głupi Świderski zbuduje jeszcze kiedy gilotynę, to jak Bóg Bogiem!

— Czy nic więcej nie masz mi pan do podyktowania? — zapytał znużony walką Artakserkses.

— Na dziś nic... idź spać, bo majaczysz... Sen ci potrzebny, sprowadzi myśl zdrowszą... a jutro, jak się namyślisz, napiszemy pozwy do Przemysłowic.

— Nigdy! — zawołał stanowczo młodzieniec.

— No to woźny Łapkiewicz napisze — zakończył Pieniacki. — Idź sobie, miluniu... obejdziemy się bez ciebie... Pamiętaj tylko, że jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Z ostatniemi słowy obaj pieniacze wyszli z kancelaryi do swego sypialnego pokoju, na dalszą zapewne konferencyę, Artakserkses zaś, ze zwieszoną na piersiach głową, chcąc powrócić do siebie, wszedł zwolna do mego pokoju, przez który przejść mu koniecznie wypadało.

W cierpieniu swojem zapomniał on o mojej bytności w pokoju; sądząc się więc samotnym zupełnie, załamał ręce rozpaczliwie, głowę ukrył w dłonie i łzy rzęsiste puściły mu się z oczu.

Widok biednego chłopca wzbudził we mnie szczere spółczucie; chciałem doń podejść i kilkoma słowy pociechy wlać nieco balsamu w tę świeżą ranę; ale łzy jego wstrzymały mnie jeszcze.

Niech się wypłacze — pomyślałem sobie — to mu najlepszą ulgę przyniesie. Usposobienia limfatyczne, do jakich w ogóle jasnowłosi blondyni należą, z przyczyn fizycznego ich ustroju, podlegają podobnym napadom płaczu, który fizyologia w tym razie za najskuteczniejsze poczytuje lekarstwo.

Artakserkses, acz wojownicze nosił imię, nie mógł być jednak do zastępu bohaterów policzonym. Zdobył się on wprawdzie na chwilową energię, znalazł w sobie trochę siły, by się oprzeć dokonaniu czynu, który podłością mianował; ale energia ta była tylko dziełem chwili. Niedziw więc, że po walce z sobą i przeciwnikami stoczonej, znękany załamał ręce, a organizm jego, wstrząśnięty tym niezwykłym wysiłkiem, sam sobie coprędzej w strumieniu łez skutecznego poszukał lekarstwa.

— O mój aniele! — jęknął po chwili milczenia, ocierając łzy. — Wszystko stracone! — dodał, wlokąc się ku drzwiom zgarbiony.

— Nic jeszcze nie stracone, tylko odwagi i energii — rzekłem cicho, biorąc go za rękę.

— Ach, to pan? — wybełkotał zmieszany, podnosząc na mnie załzawione oczy.

— Nie zdradź mnie pan — rzekłem łagodnie. — Z mej kryjówki słyszałem wiele... reszty się domyślam. Nie rozpaczaj jeszcze, ufaj młodzieńczym siłom, a jeśli energia i wytrwałość w pomoc im przyjdą, zwyciężysz koniecznie, bo uczucie prawdziwe, byle silne a męskie, nie takie łamie zapory.

— Ale pan nie wiesz wcale, do czego ten... za pozwoleniem niegodziwiec, stryja mego doprowadzić jest w stanie. W niepohamowej namiętności procesowania się, zniszczy on ojca zupełnie, a ja... poczytywany nie bez powodu za wspólnika tego haniebnego kroku, nietylko stracę wszelkie względy jej rodziców, ale i jej serce na wieki postradam.

— Otóż — odrzekłem mu — postarać się przedewszystkiem trzeba, aby państwo Świderscy wcześnie o wszystkiem uprzedzeni zostali i aby to wprost od pana wyszło; tym bowiem tylko sposobem zrzucisz z siebie wszelki pozór winy w tej sprawie.

— Ale jakże to zrobić? — zapytał trwożliwie.

— Pojechać śmiało do nich i całą wyznać im prawdę.

— Ja? ja mam pojechać do Przemysłowic?... to niepodobna!... Pan nie wiesz coby mnie tu czekało.

— No, cóżby pana czekać mogło?

— Jużbym się tu więcej pokazać nie mógł.

— To i cóż za nieszczęście?... czy panu tak po Szczujskim byłoby tęskno?

— Nie to — odrzekł — ale jednak... innego kąta nie mam na świecie; tu mój przytułek jedyny... tu mło-

dość swoją przebyłem... Sam na szerokim świecie i znaleźćbym się nawet nie potrafił.

Wahanie się to prześladowanego sieroty było dla mnie z początku niepojętem; zastanowiwszy się jednak nad tem baczniej, zrozumiałem to przyzwyczajenie się do miejsca i otoczenia, w młodzieńcu zwłaszcza słabym, który się na krok samodzielny zdobyć nie był w stanie. Wszakżeż i więzień do swej celi, i pies do łańcucha przywykają.

— No, a nie masz-że tu pan nikogo z bliższych, z domowników, któryby się tej misyi chciał podjąć?

Artakserkses pomyślał chwilę.

— Nikogo... chyba kobietę! — odrzekł wreszcie.

— I owszem! — zawołałem — kobiety to najlepsze posły w takich razach. Któż to tedy?

— Kuzynka moja Pulchercia — odpowiedział.

— Nie... to niepodobna! Dziecię ojca planów nie zdradzi — tego wymagać po niej nie można.

— Ale ona jest moją najlepszą przyjaciółką... wierzę jej bez granic.

— To wszystko być może... ale córka ojca zdradzać nie powinna, nietylko dla brata, ale dla kochanka nawet. Byłaby to zbrodnia, do której ona, o ile ją poznałem, nie byłaby zdolną.

— Jest też tu stara moja piastunka — rzekł znów po chwili namysłu — anioł kobieta!...

— Czy tak?... a to byłby jedyny poseł. I ona tu mieszka?

— Tu we dworze, razem z Pulchercią.

— A możnaby ją dziś widzieć i naradzić się póki czas?

— Dowiem się zaraz — odrzekł, wybiegając szybko.

Powróciwszy po chwili, doniósł mi, że tak panna Pulcherya, jak i Małgorzata, dawna ich piastunka, nie śpią jeszcze i czekają nas z upragnieniem.

— Pójdźmyż więc — rzekłem — ale tak, żeby nas nie widziano.

— Nikt nas nie zobaczy — szepnął mi, idąc naprzód — one mieszkają od ogrodu, a okiennice szczelnie są zamknięte.

* * *

W ubogiej acz schludnej izdebce, obwieszonej dokoła obrazami świętych, ponad którymi palmy święcone liczne tworzyły festony, czekały nas obie kobiety. Młodsza z nich, panna Pulcherya, owijała nici w kłębki, których liczny zastęp na wiszącej spoczywał półce; starsza zaś, wspomniana już przez nas Małgorzata, przędła na kołowrotku, którego wartkie kółko z przybyciem naszem zatrzymało się w pędzie.

Małgorzata liczyła już lat przeszło pięćdziesiąt, ale czerstwe jej oblicze, wypogodzony wyraz twarzy i para ciemnych, ruchliwych oczek, nigdyby tego wieku nie zdradziły, gdyby nie kosmyki białych włosów, niedyskretnie z pod ogromnego wyskakujące czepca.

Małgorzata była niegdyś mamką, a następnie piastunką Artakserksesa w domu jego ojca. Po śmierci tegoż sprowadziła się, stosownie do woli nieboszczyka, pod

dach stryja Onufrego, któremu opieka nad niemowlęciem z natury i z prawa przypadła. Od tej pory, przebywając ciągle w Wichłaczewie, wyniańczyła także później znacznie na świat przybyłą Pulchercię, a siłą czasu tak się z obojgiem zrosła, że ich jak własne swe dzieci kochała. Misya jej od lat dziesiątka z górą spełnioną być się zdawała, bo jako kobieta z gminu, uczyć doroślejszych dzieci nie mogła, a pomoc niańki zbyteczną już była oddawna. Mimo to Małgorzacie nigdy na myśl nie przyszło, iżby się bez niej „dzieci“ obejść mogły; przywiązawszy się do nich całą duszą poczciwą i sercem nieskażonych egoizmem prostaczków, żyła ich życiem, płakała ich łzami, a radowała się ich radością i szczęściem.

W dzisiejszych czasach postępu, równouprawnienia i wyzwolenia się z przesądów, postacie takie coraz się już rzadziej spotykają, bo ani postępowa niańka do dzieci, ani postępowe dzieci do tak zacofanej niańki przywiązaćby się nie mogły.

W dzisiejszych czasach materyalizmu, kilka rubli postąpionych przez kogo innego w zasługach, wystarczyłoby słudze zupełnie do opuszczenia domu, w którym od lat kilku lub kilkunastu przebywała; strona rachunkowa zabiła zwolna stronę uczuciową, która u prostaczków zwłaszcza, silniej częstokroć niż sądzimy rozwiniętą być może. Ale Małgorzata była sługą dawnych czasów... nie nosiła krynolin, nie czytywała Kuryera, nie trzymała na loteryi... więc też ograniczone jej potrzeby czyniły ją zupełnie obojętną na większą lub mniejszą płacę; — myślą nie wybiegała poza obręb wioski i parafii, w której młodość swą spędziła, a marzenia jej nie sięgały da-

lej, nad odchowanie panicza i panienki, w których, acz stryjecznych tylko z sobą, szczere uczucie brata i siostry rozwinąć umiała.

W domu, w którym pan był wyłącznie interesami i procesami zajęty, a pani, z powodu chorobliwej swej otyłości i równie chorobliwego głodu, jedną połowę życia przesypiała, drugą zaś na posilaniu się spędzała, rola Małgorzaty była ważniejszą, niżby się to na pierwszy rzut oka zdawać mogło, bo zastępowała ona dzieciom rodziców i sługę. Dzieci, przez ciągłe z nią obcowanie, tak już do niej przywykły, iż mimo pewnych śmiesznostek, późniejszemu wiekowi właściwych, mimo szorstkiego czasem obchodzenia się z niemi, przywiązanie ich do starej niańki nie znało granic. Dojrzewając zwolna pod jej okiem, ani spostrzegły, że obejście się Małgorzaty z niemi pozostawało zawsze jedno i toż samo. Więc też same co dawniej przysposabiała im grzaneczki, tak samo jak dawniej dysponowała odzież, którą na dzień zimniejszy lub cieplejszy, powszedni lub świąteczny wziąć im na siebie wypadało... i te drobne na pozór szczegóły zespoliły ich z sobą tak silnie, że związek lat dziecinnych pozostał przez to nietkniętym. Gderanie Małgorzaty nie raziło bynajmniej ani Artakserksesa, ani panny Pulcheryi, a czując instynktowo ile tam w sercu starej piastunki gościło dla nich miłości, odpłacali się jej najwyższem zaufaniem, najtroskliwszą czułością.

Innym zupełnie był stosunek starej niańki do pana Onufrego i pani Otylii — oboje żadnej na nią nie zwracali uwagi i nie wiedzieli prawie czy żyje i czem się w domu zajmuje. Żyłka pieniacka u pana domu zabi-

jała, jak zwykle, wszelką myśl inną, związku z procesami nie mającą; głowa, zajęta wiecznie pozwami, wyrokami, opozycyami, relacyami biegłych i tym podobnemi ważnemi rzeczami, nie miała czasu obejrzeć się dokoła siebie na ludzi i przedmioty mniejszej wagi; u pani Otylii zaś nieustający apetyt zobojętniał także wszelką myśl inną, bo żołądek dopominający się wiecznie praw swoich, kazał milknąć na razie wszelkim innego rodzaju pragnieniom. Zaspokoiwszy przyjaciela, byłaby się może pani Otylia dokoła siebie obejrzała, choćby przez prostą ciekawość kobiety; ale wchodził tu znów w drogę nieodstępny morfeusz, który nakarmioną do sytości ofiarę chwytał w swe objęcia, ciskał na pierwszą lepszą sofkę lub fotel, a ukołysawszy snem lubym, przesuwał przed rozmarzoną wyobraźnią nowe powaby wędzonek, gomułek, salcesonów, a choćby wreszcie czarnej rzodkwi ze solą, przy której ją niegdyś przybyły w kondolencye Pływalski miał zastać. Małgorzata więc, dla reszty mieszkańców Wichłaczewa, pozostała prawie niepostrzeżoną i jadała przy drugim stole, przy stole tak zwanym *dla ludzi*... pierwszy bowiem, przez dziwną abnegacyę i zrzeczenie się praw człowieka, nie dla ludzi, ale dla... państwa zwykł służyć. To zupełne odosobnienie jej od reszty otoczenia, tłómaczy nam najlepiej wpływ jaki na Artakserksesa i Pulcheryę wywierała, wpływ, przeciwko któremu nikt z obecnych nigdy żadnej nie stawiał zapory, nie wiedząc o nim najpewniej.

Do tak więc opisanej Małgorzaty weszliśmy z nieszczęśliwym kochankiem, przerywając jej na chwilę zajęcie, które wieszcz Germanii tak upoetyzować potrafił.

Stara skinęła mi życzliwie głową, jak istna pani w swem państewku królująca, i rzekła z uśmiechem łagodnym:

— Siadajcież państwo koło mnie, bo trzeba ciszej mówić, kiedy, jak mi Pulchercia powiada, to takie ważne a sekretne są rzeczy.

Zasiedliśmy koło stolika czystym obrusikiem nakrytego, czekając rozpoczęcia narady, którą i przedmiot sam i członkowie ją składający dość ciekawą dla mnie czynili. Wśród uroczystej ciszy, ozwało się przeciągłe westchnienie Artakserksesa.

— No i czegóż ty tak wzdychasz, kociaku? — spytała piastunka. — Wzdychanie na licho się zdało; oczy masz podpuchłe od płaczu, żeby jaka baba... aż mi wstyd przed panem za ciebie.

I wyjąwszy mu chustkę z kieszeni, otarła oczy Artakserksesowi, który, jak przed laty, czynność tę wykonać jej pozwolił bez oporu.

— Dobre to chłopczysko — mówiła — ale u chłopca to nie jest cnotą być zadobrym... przeciwnie, chłopak powinien mieć trochę złości, inaczej się nie różni od baby. On był zawsze, proszę pana, taki dobry, że jak tę psotnicę piastowałam, to go posadziłam na ziemi, dałam w rękę kijek i łyżeczkę, trochę piasku podsunęłam... i tak sobie kociak godzinami siedział, piasek przesypywał, a żeby raz zapłakał nawet, to nie. To też dziś co chcą to z nim robią... nazwali go przy chrzcie świętym jakiemś imieniem od siedmiu boleści, bodaj nawet czy katolickiem, i on je nieboraczek cierpliwie nosi; a jak przyjdzie komu z chłopów wymówić to imię, to żeby się

dławił siedem razy, nie wymówi; więc go przezwali pan *„Jak chces tak chces“*. i to już mu tak zostało.

— Ale moja Małgosiu — odrzekł Artakserkses — co tam panu takie rzeczy pleść... Ot, mówmy lepiej o tem co boli i radźmy.

— No... no... co tu długo gadać... ty myślisz, że Małgorzata ślepa? Wiem, że ci po głowie i po sercu zaczmerała Petronelcia... zresztą sameś mi się przyznał... Jeszcze to zawczas... ale kiedy już takie dopuszczenie Boże, to nie byłoby co gadać, bo zresztą Pietrusia, dobre dziewczę, choć zanadto oczy przewraca. Ale kto wie, może z dziecka miewała konwulsye i bez to przewracanie oczów tak zostało.

— Ale, Małgosiu —. przerwała jej Pulcherya — pan tego nie ciekawy... tu chodzi o ważniejszą rzecz.

— No... no... dobrze... cóżem chciała mówić... więc dobrze... Na Pietrusię nic złego nie wiem, i raz ci już pozwoliłam na kochanie, byle uczciwe, z wolą Pana Boga i jej rodziców... Ale teraz, kiedy mi Pulchercia mówiła, że jej rodzice są na ciebie zagniewani i nie chcą pozwolić, to niema nad czem medytować, ino z głowy sobie wybić *moranse* i basta, bo przez pozwoleństwa rodziców i przez błogosławieństwa ich, żadna uczciwa dziewczyna z domu za mąż nie wyjdzie.

— Otóż, moja Małgosiu — odrzekł ze łzami w oczach Artakserkses — to wam się tak łatwo wymówi: „wybić ją sobie z głowy i basta“. Ale jak kto kocha, to się tak naraz szczęścia i nadziei wyrzec nie może. Choć tam chwilowo jej ojciec się pogniewał, ja jednak nadziei nie

tracę i tracić nie chcę, bo gdyby mi ją kto odebrał... to... tobym umarł!...

Z ostatniemi słowy łzy puściły mu się znowu strumieniem.

— Masz tobie! — krzyknęła zafrasowana piastunka — już znów płacze i o śmierci gada... A czy skaranie Boże?... Któż ci odbiera nadzieję... poco wzywać śmierci?... ona i tak nieproszona przyjdzie... Nie maż się, a spróbuj przeprosić ojca Pietrusi.

— Właśnie, kochana Małgosieczku — wtrąciła panna Pulcherya, o to mu teraz głównie chodzi... Ale jakby to zrobić?... Ja sama gotowabym paść im do nóg i za braciszkiem prosić;... ale ja się tam dostać nie mogę, a ojciec wiecie, że przestał tam bywać.

— A tem bardziej czas nagli — podchwycił uspokojony już Artakserkses — że jutro odejdą pozwy do Przemysłowic, i jeśli się burzy nie zażegna, a złego nie uprzedzi, to po odebraniu pozwów stosunek na wieki zerwany!

— A o cóż te pozwy? — spytała niańka — czy znów jaki *kontrewers?*

— Wcale nie... Stryj chce go skarżyć o stratę z zerwanego małżeństwa.

— Chryste Jezu! — zawołała, klasnąwszy w dłonie — a to herezye z tem prawowaniem się!...

— To nie ojciec... nie!... — przerwała Pulchercia, w której ozwało się uczucie córki — to sprawka tego niegodziwego Szczujskiego!

— Oj ten Szczujski!... do czego on nas jeszcze doprowadzi! — westchnęła Małgorzata — to istny dya-

beł w ludzkiem ciele!... Jak zobaczę tę ryżą czuprynę, te zielone ślepie i ten kusy fraczek dyabli, to się zawsze przeżegnam w cichości serca, taki mnie skryty strach bierze.

— Otóż widzicie, Małgosiu — mówił Artakserkses — ten pan życzliwy jest dla mnie... bo rozumie co to kochać... i powiada, że nim pozwy odejdą, trzeba radzić, bo potem będzie zapóźno.

— No ale co radzić i jak radzić — przerwała piastunka — niech mi pan powie swój koncept.

— Mojem zdaniem — rzekłem — wypadałoby dziś zaraz uprzedzić państwa Świderskich i pannę, żeby się mieli na baczności, bo pozwy będą jutro wydane. Trzeba ich także upewnić, że pan Artakserkses w niczem tu nie jest winien... że to sprawka pana Szczujskiego, który w tem szuka przyjemności czy też zysku... a nareszcie trzeba im podać środek do pokrzyżowania tych projektów, zagrażających ich majątkowi.

— No, pierwsze to najłatwiejsze — odparła Małgorzata — od czegóż pisanie... możnaby im to napisać... Zresztą mam ja tam w Przemysłowicach pociotka organistę, to gotowam i sama pojechać.

— Poczciwa Małgosiu! — zawołali oboje młodzi, tuląc ją do siebie tak, że aż jej się czepek na prawe ucho przekrzywił.

— Dajcież pokój! — zawołała, wyrywając im się z uścisku i poprawiając czepiec — nie macie jeszcze za co dziękować... Bo i cóż?... pojadę... no to pojadę... powiem im, że ich chcą pieniać... no to po-

wiem... ale com chciała mówić?... burzy się tem nie zażegna.

— Ale można ją zażegnać — wtrąciłem — jest na to sposób.

— Jakiż to sposób? — zapytali oboje młodzi.

— Niech mi pan poda sposób... aby jaki nie głupi.

— Głównym powodem procesu — rzekłem naiwnej piastunce — jest pretensya pana Pieniackiego o stracone korzyści z zerwanego związku... otóż gdyby małżeństwo to przyszło do skutku i gdyby pan Świderski, dla uniknienia procesu, dał po raz drugi swoje przyzwolenie, to punkt sporny upada sam przez się, a tem samem proces nie będzie miał miejsca.

— Co za cudowna myśl! — podchwycił Artakserkses — wszak to jasne jak na dłoni!

— Zrozumiała Małgosia o co chodzi? — spytała panna Pulcherya.

— A cóż to ja gęś jaka jestem, żebym nie zrozumiała? Jużci punktów tam żadnych w sprawie nie rozumiem... ale to rozumiem, że jakbyśta się pobrali, to nie byłoby o co spierki.

— No więc jedźcie, najdroższa Małgorzato... nie traćcie czasu!...

— Ta... ta... ta... jedź... nie trać czasu... — przerwała piastunka — z czemże pojadę?... Albo ja wiem czy oni zezwolą? albo ja wiem naprawdę, o co się pan Świderski na ciebie rozgniewał? Przyznaj mi się, ty winowajco, coś tam zbroił?

— Przysięgam Małgosi, że nie wiem... i żem nic

nie zbroił... Ni stąd ni z owąd, przy oglądaniu jakiejś maszyny, którą za pozwoleniem okropnie czuć było... ja się odezwałem, chcąc go się spytać, którędy się tam nawóz kładzie... a on jak bomba wpadł na mnie, że mu ubliżyłem... że z niego żartuję... i nimem się zdołał usprawiedliwić, już zerwał małżeństwo nasze, a stryj jeszcze go bardziej rozgniewał swoją grzecznością i dokonał dzieła.

— Ojciec jest dla wszystkich grzecznym — wtrąciła Pulchercia — czasem nawet zagrzecznym... ja to nieraz mówię... ale cóż, kiedy to już taki jego zwyczaj.

— Niema o czem gadać — przerwała Małgorzata — musiało tam być coś gorszego, kto cię tam wie... No, ale stało się... trzeba to naprawić... Jadę więc... zaraz cichaczem wezmę Kubę ze wsi i stamtąd prosto pojadę, żeby turkotu nie słyszeli... Ale i ty musisz jechać ze mną.

— Ja?... ja?... — bąknął zmieszany Artakses... kses...

— No przecież ja za ciebie na kolana nie padnę. ojca i matki nie przebłagam, ani panny nie uproszę.

— Ale moja Małgosiu... jak się stryj dowie... a jeszcze jak się Szczujski dowie... gwałtu!...

— Hm... co prawda to prawda, że to grzeszna iść na poprzek woli starszych; ale kiedy stryj raz zezwolił, to już widać, że był za tem... a że się teraz rozeszło, to ino bez tego dyabła Szczujskiego, który pewnikiem kręci, żeby się miał o co prawować. Więc jak tylko grzechu niema, to kociak pojedzie ze mną.

— Ale — bronił się Artakserkses — jabym wolał, Małgosiu, żebyście to sami zrobili, a jabym potem...

— Ja sama nie pojadę i basta! — rzekła, uderzywszy w stół. — Jakto? to ja, kobieta prosta, mam za ciebie jechać, za ciebie gadać, a może jeszcze i za ciebie się ożenić?!... A wstydź się!... dobrze cię nazwali *„Jak chces tak chces“*... to też z tobą co kto chce, to robi... Pfe! taki mężczyzna!

Uwaga ta zbyt szorstka, a zwłaszcza w mojej obecności zrobiona, dojęła Artakserksesa do żywego; wstał więc, walcząc z sobą, oparł się o stół, dla podtrzymania opuszczających go sił, i zebrawszy całą swą energię, rzekł głosem, przez który, obok trwogi, pewna stanowczość przebijała:

— Więc jadę!

— A tak to rozumiem — zakonkludowała piastunka, wstając z krzesła. — Idź więc i ubierz się. A pamiętaj — wołała za odchodzącym — żebyś wziął na siebie to cieplejsze ubranie brązowe, bo noce zimne... o zaziębieństwo nietrudno.

Artakserkses cichaczem wysunął się do siebie po zmianę odzieży, zadysponowanej przez troskliwą Małgorzatę... ta ostatnia szybko węzełek podróżny zawinęła, a po kwadransie czasu oboje wymknęli się na wieś do Kuby, skąd już prosto odjeżdżać mieli, żegnani i błogosławieni na drogę ręką poczciwej Pulcherci.

Nazajutrz, od samego rana, dolatujący zdala zgiełk niezwykły, śmiechy, piski i przeraźliwe wycia zbudziły mnie ze snu. Wybiegłem przed dom coprędzej, podążając

w stronę, skąd ten gwar różnorodnych tonów pochodził, i następujący oczom moim przedstawił się widok.

Na długim stole, jakich się zwykle do sortowania wełny i tryków sztamowych używa, leżało rozciągnięte i sznurami skrępowane biedne psisko, z zakneblowanemi szczękami, a domorośli chirurgowie respective pan majster i jego pomocnik, z poblizkiego miasteczka wezwani, dopełniali na uszach i ogonie operacyi, przez pana Polikarpa Pływalskiego zażądanej. W około stołu gromada ludzi przypatrywała się nawpół uśmiechnięta, nawpół oburzona, tej ohydnej scenie, którą szpecił jeszcze stokroć więcej widok kilkudziesięciu piesków, oczekujących na sforach podobnież smutnego losu. Biedne stworzenia! Ofiary przemocy... przelewać krew niewinną musiały, dla kaprysów dwóch zwaśnionych sąsiadów!...

Uwagi te, nastręczające mi się mimowoli, szybko rozwiał widok Szczujskiego, który z papierami w ręku stał przy krawędzi stołu, otoczony, jakby jakim sztabem generalnym, trzema świadkami, pilnie śledzącymi cały przebieg tej operacyi. Jeden z nich, chłop barczysty, w szarej sukmanie i baraniej, na ucho naciśniętej czapie, był to pan Bartłomiej Gorzała, sołtys Wichłaczewa; drugi, żydek w szarym kitlu i ongi w tumakowej czapie, z pod której brzeg wytartej aksamitnej krymki ściskał zorane marszczkami czoło i parę igrających z wiatrem pejsów, był rodzajem handlującego starzyzną, zbożem, skórami i czem Bóg da, a zarazem totumfackim, alias faktorem, w poblizkiem miasteczku zamieszkałym; wreszcie trzecie, wysokie, wychudłe i przygarbione indywiduum, w szaraczkowym płaszczyku i takiejże czapce, zielonym obwie-

dzionym lampasem, był to pan Jacenty Łapkiewicz, woźny przy sądzie pokoju, który na wezwanie najlepszego swego klienta stawił się był przed chwilą.

Pana Onufrego Pieniackiego przy tej operacyi nie było. Przebył on ciężką scenę, oponując w tej mierze po raz pierwszy Szczujskiemu... ale na pochwałę jego dodać musimy, że mimo gróźb, próśb i odgróżek swego doradcy, namyśliwszy się przez noc, zanadto odczuł on całą obrzydliwość sytuacyi i palnąwszy pięścią w stół, krzyknął:

— Idź sobie, Justysiu... kiedy chcesz... ale daj mnie święty pokój! Żaden z moich przodków nie asystował takiej czynności, a i ja się do tego stopnia nie spodlę! — I odwróciwszy się tyłem do Szczujskiego, usiadł w milczeniu, opuszczając głowę na piersi.

Szczujski, oburzony do żywego, sam wtedy przed dom wyleciał, wydając dyspozycye owczarzom i owczarkom do podjęcia się operacyi... ale i na ich pochwałę wspomnieć musimy, że stanowczo mu posłuszeństwa odmówili, w ślad za czem musiał on aż po pana majstra i jego pomocnika posłać do poblizkiego miasteczka.

Operacya trwała długo, bo Szczujski dał instrukcyę panu majstrowi, aby jej wolno a pięknie dokonał, obiecując sute honoraryum, po złotemu od pary uszów, a po półzłotku od ogona. Rozwijał też pan majster całą gracyę szlachetnego swego kunsztu, a piesek z pod jego instrumentów wyszły był tak kusy i elegancki, jak powiatowy fircyk, na bal prowincyonalny wystrojony.

Skończył się nareszcie ten sądny dla psiego rodu dzień; chłopi ze Łgarzewa, uczęstowani obficie, zabrawszy anglezowaną psiarnię na wozy, ruszyli ku domowi, ki-

wając głowami, Szczujski zaś, z dwoma świadkami i woźnym podążyli do kancelaryi, w której biedny Pieniacki, jak głaz nieruchomy, w apatycznem pogrążony był milczeniu. Ja zająłem miejsce w obserwatoryum.

— No — rzekł kauzyperda, wchodząc do izby i poprawiając okularów. — Wszystko załatwione jak Bóg przykazał... pieski wróciły już do domu... piękne, eleganckie, jak kupidynki. Żałuj, żeś nie widział, panie Onufry... jakem poczciw.

Pieniacki obejrzał się tylko, a ruszywszy ramionami, milczał ciągle.

— A teraz do dzieła, przyjaciele! — zawołał Szczujski na obecnych trzech świadków — siadajcie, siadajcie proszę!

Pan Mordka i Bartłomiej Gorzała usiedli pod oknem, a Łapkiewicz, z respektu dla adwokata, trzymał się przy drzwiach.

— Gdzie Artakserkses? — zapytał Szczujski, rozłożywszy notatki na stole — potrzebnym mi będzie do pisania.

— Proszę cię nie wzywać go do tego — odrzekł cicho Pieniacki — wiem że się jego miłość własna obruszy na to... Niech Łapkiewicz pisze.

— Wiesz co, panie Onufry — szepnął groźnie kauzyperda — że mnie tym swoim jakimś dziwnym punktem honoru zaczynasz niecierpliwić... Jeszcze jedno słowo z twej strony, a jakem poczciw... rzucę wszystko do dyabła i zostawię cię na opiece Boskiej.

Była to najstraszniejsza dla biednego Pieniackiego pogróżka. Los jego zależał zupełnie od niegodziwego do-

radcy, który, wplątawszy go w matnię procesów, sam jeden tylko mógł je prowadzić. Zamilkł więc nieborak, westchnąwszy głęboko, a Szczujski skinął na Łapkiewicza.

— Co pan adwokat rozkaże? — zapytał woźny, nadbiegając z pośpiechem.

— Będziesz chciał pisać za mojem dyktandem?

— I owszem, panie adwokacie — odrzekł, zginając się w kabłąk — to nawet z korzyścią dla mnie, że przy doręczeniu pozwów motywa będą mi trochę znane.

— Masz racyę, kochany panie Łapkiewicz... siadaj więc i pisz.

„Działo się et caetera“...

Łapkiewicz, włożywszy na prawą rękę wytarty kitajkowy rękawek, którego zwykł był używać, dla zaoszczędzenia sobie munduru, zaczął pisać znaną sobie dokładnie formułkę protokółu.

— Kochany sołtysie — rzekł tymczasem Szczujski, podając chłopu sporą miarkę wódki — byliście obecni przy operacyi, jaką dokonaliśmy na pieskach pana Pływalskiego?

— A no jużci — odrzekł chłop, odchrząknąwszy i ocierając usta rękawem — ale te pieski nie były pana Pływalskiego, ino wiejskie.

— Tu nie idzie o ich rodowód, ani tytuł własności — przerwał kauzyperda. — Wszystko nam jedno czyje one są... dosyć że zostały nam przysłane przez szanownego sąsiada pana Pływalskiego, z prośbą, aby je kazać skurtyzować.

— A cóż, proszę pana, szkodziło dziedzicowi, że pieski nosiły ogony i uszy? — spytał chłop.

— To nie nasza rzecz badać przyczyny.

— Pewnie że nie szkodzowało... — podchwycił Mordka. — Pański kaprys i fanaberye i baste! A co to kiemu szkodzowało, jak my nosili pejsy i brody, a jednak po miastach kazali poobrzynać... i baste!

— Ma racyę pan Mordka... widzicie, sołtysie.

Ten argument przekonał sołtysa, który też dalszych objekcyi zaprzestał.

— Otóż, mój sołtysie — ciągnął dalej Szczujski — patrzyliście na to, jak tym pieskom poucinano ogony i uszy?

— A bogać nie... toć się tego zebrał łepski koszyk... od biedy toby człowiek z tego jaki kożuch na zimę podszył.

— Ny... to niech pan mi sprzeda te ogonki... — podchwycił szybko Mordka, któremu nowy rodzaj geszeftu błysnął nagle przed oczyma.

— Nie mogę — odrzekł Szczujski — muszę je mieć jako aneksa do likwidacyi, w razie zakontestowania jej. Otóż, mój sołtysie, przed wami, jako przed władzą administracyjną, spisze się tu maleńki protokólik, a pan Mordka i Łapkiewicz jako świadkowie podpiszą... Rozumiecie, mój sołtysie?

— A no... toć — bąkał niezadowolony reprezentant gminy.

— Pisz tedy, panie Łapkiewicz, co następuje:

„Przede mną Bartłomiejem Gorzałą, sołtysem wsi Wichłaczewa, stawili się:

Onufry Pieniacki...

— Zmiłuj się, Justysiu! — szepnął błagalnie Pie-

niacki, zrywając się z krzesła — nie mieszaj mnie do tej sprawy psiej... ja protokółu nie podpiszę, choćby mnie na pal wbito!

— No... no — rzekł Szczujski protekcyonalnie, robiąc niby łaskę — to ja się za ciebie poświęcę. Pisz tedy, panie Łapkiewicz:

„stawili się:

a) Justynian Szczujski, jako pełnomocnik Onufrego Pieniackiego, dziedzica dóbr Wichłaczewa z przyległościami i przynależytościami.

b) Jacenty Łapkiewicz, woźny przy sądzie pokoju.

c) Mordka...

— Jak nazwisko pańskie? — spytał.

— Mordka Ohnefinger — odrzekł żydek, wskazując łapę w cztery tylko palce zdobną — nazywamy sobie tak oddawna, bo wszystkie z naszego rodzie mieli po cztery palców.

— Dobrze... dobrze... — odrzekł Szczujski. — Więc Mordka Ohnefinger, handlujący czem?...

— Ny, co się trafie... trochę z garderoby... zajęczych skórek... pośladu... stare żelaztwie... co Bóg da.

— Więc handlujący różnymi objektami... Obaj świadkowie z osoby mnie sołtysowi znani i wyłączeniu nieulegający, stwierdzili co następuje:

„Listem z dnia wczorajszego do wielmożnego Pieniackiego pisanym, którego oryginał zaprodukowanym mi został, wielmożny Polikarp Pływalski dziedzic dóbr Łgarzewa, wezwał wielmożnego Pieniackiego do odbycia operacyi poucinania ogonów i uszów, przysłanych przezeń czterdziestu siedmiu psom. Taka operacya, wobec wyż

wymienionych świadków, przede mną sołtysem dokonaną została, i psy, po należytem ich opatrzeniu i nakarmieniu takowych, wraz z ludźmi konwój stanowiącymi, odesłane przy dobrem zdrowiu właścicielowi zostały. W dowód czego zeznanie protokólarne niniejsze, jako we wszystkich punktach zgodne, świadkowie wraz ze mną podpisem stwierdzają, obowiązując się w każdym razie poprzeć takowy przysięgą".

— Podpisz, panie Łapkiewicz — dodał, skończywszy dyktować.

— Podpisałem — odrzekł woźny, wstając.

— Podpisz i ty, panie Mordka.

— Ja nie umiem żelaznem piórziem pisać.

— No to weź tamto gęsie pióro.

— Ny... albo ja wiem czy to z koszernej gęsi... ja sobie strefnię.

— No to zrób stalowem piórem kółko — rzekł Szczujski, zrozumiawszy powód oporu i wsuwając Mordce rubla w łapę.

Na taki argument i talent kaligraficzny się znalazł, a żyd, choć czterema tylko palcami, wcale okrągłe zrobił kółko.

— Podpiszcie, sołtysie — dodał Szczujski, zwracając się z nową miarą wódki do chłopa.

— Kiej nie umiem pisać — bronił się pan Bartłomiej Gorzała.

— Wypij tylko, to się zdolność znajdzie.

Bartłomiejowi Gorzale dwa razy tego powtarzać nie było trzeba... oblizał się więc, wychylił sporą miarę szpagatówki jednym tchem, a otarłszy gębę rękawem, wziął

pióro do ręki i zrobił wcale kształtny krzyżyk, także zapewne dzięki nektarowi.

Spełniwszy misyę, obaj z żydem skłonili się i wyszli do sieni.

— A nie rozgadujcież tego co się zrobiło z pieskami — dodał, wybiegając za nimi, zafrasowany pan Onufry.

— Niech Pan Bóg obroni — odrzekł żyd — o takiego geszefte niema co gadać.

— Czy już koniec nareszcie? — zapytał powracający Pieniacki.

— Zaraz... zaraz — odparł Szczujski, zacierając ręce. — Siadaj, kochany panie Łapkiewicz, i pisz na tym stemplu:

„Likwidacya operacyi na czterdziestu siedmiu psach, na żądanie w-go Pływalskiego i na jego koszt dokonanej:

a. Przywiązanie każdego pieska, po 3 ruble od sztuki . . . . . rs. 141 kop. —
b. Skneblowanie pysków, z narażeniem się na kalectwo, po 10 rubli od sztuki „ 470 „ —
c. Ucięcie jednego ogona idem . . . „ 470 „ —
d. Zagojenie takowego specyalnemi specyfikami, po rs. 5 . . . . . „ 235 „ —
e. Ucięcie 47 par uszu, z narażeniem się na ukąszenie, po rs. 15 od pary „ 705 „ —
f. Zagojenie takowych specyalnemi specyfikami, po rs. 10 od pary . . . „ 470 „ —
g. Koszta karmienia 47 psów, po 3 ruble od sztuki za dobę . . . . . „ 141 „ —
h. Koszta karmienia 6 ludzi, po 1 ru-

	blu od głowy za dobę	rs. 6	kop. —
i.	Zużycie przyrządów chirurgicznych	„ 15	„ —
k.	Strata w robociźnie, przez odejście ludzi dworskich od roboty i przyglądanie się operacyi	„ 275	„ 50
l.	Strata ewentualna w rezultatach gospodarskich, spowodowana niewykonaniem robót na czas oznaczony . .	„ 848	„ 35
m.	Stempel do likwidacyi	„ —	„ 15
	Razem rubli srebrem	3,769	kop. —

„Z zastrzeżeniem oddzielnego poszukiwania kosztów kuracyjnych, nastąpić mogących wskutek rozstrojonego słuchu, spowodowanego wyciem i piskiem czterdziestu siedmiu psów“.

— Skończyłem — rzekł woźny, poprawiając rękawka.

— Dobrze... wyśmienicie!... A teraz, kochany panie Łapkiewicz, napisz jeszcze na tej ćwiartce papieru te kilka słów:

„Wielmożny mości dobrodzieju!

Piśmienne polecenie w. pana wykonanem zostało punktualnie, i załączając likwidacyę kosztów stąd powstałych, upraszam o bezzwłoczny zwrot takowych przez oddawcę niniejszego.

Z szacunkiem“.

— Z szacunkiem — powtórzył woźny.

— Dobrze... wybornie! — rzekł Szczujski, odczytawszy likwidacyę i list i podpisawszy oba te dokumenty,

jako pełnomocnik Pieniackiego. — To jest jedno — dodał, pociągnąwszy niuch tabaki — a teraz, kochany panie Łapkiewicz, pisz na tym drugim stemplu, a śpiesznie, bo czas drogi. Musisz mi dziś jeszcze te dwa pozwy doręczyć i list wraz z likwidacyą do Łgarzewa odnieść.

— Panie adwokacie dobrodzieju — wstrącił woźny — co do Łgarzewa, to się nie podejmuję.

— A to czemu?

— Ten łgarzewski dziedzic ma łapę jak niedźwiedź... a jego syn Wisuś, nie przesadzam, jak dwa niedźwiedzie... Oni są znani z tego w naszem mieście. Otóż w razie gdyby ich ten list miał trochę rozgniewać...

— To cóż?

— No, to jak Bóg Bogiem, wlepią mi co.

— I owszem... niech się tylko ważą... o to, to, to... dalibyśmy im wtedy... zrobilibyśmy wtedy *visum repertum* i poszukiwalibyśmy podwójnie, na drodze cywilnej i kryminalnej.

— Tymczasem co wlepią to wlepią — rzekł woźny, dbały o swoją skórę. — Panie adwokacie dobrodzieju, niech już z tem kto inny jedzie.

— Niema co gadać... pojedziesz waść i basta! — krótko zakonkludował Szczujski. — Zresztą zajmij stanowisko strategiczne, tak abyś w razie gwałtu lub napaści miał drzwi w odwodzie, a konia i biedkę do rejterady.

— Jeżeli robię tę ofiarę — rzekł woźny — to tylko dla jednego pana adwokata...

— I nie pożałujesz tego... dostaniesz pewien procent od sumy wylikwidowanej, a widziałeś, że jest pokaźną i bynajmniej nie przesadzoną.

— O co do tego, to znana jest skrupulatność pana adwokata dobrodzieja...

— Siadaj-że więc i pisz:

„Działo się jak niżej...

„Na żądanie Onufrego Pieniackiego et caetera... ja niżej podpisany woźny... et caetera... zapozywam Pafnucego Świderskiego, dziedzica dóbr Przemysłowic... w okręgu... gubernii et caetera... tamże zamieszkałego i zamieszkanie prawne et caetera... aby się stawił na audyencyi et caetera... który żądać będzie...

— Który żądać będzie — powtórzył Łapkiewicz, kończąc formułkę.

Szczujski dyktował dalej:

„Aby pozwany zwrócił powodowi, jako opiekunowi Artakserksesa Pieniackiego, koszta wyekwipowania, urządzenia domu i przygotowań na przyjęcie przyszłej jego małżonki poczynionych, co wszystko wskutek zerwania umówionego i zaakceptowanego obustronnego związku pomienionego Artakserksesa Pieniackiego z Petronelą Świderską nastąpiło, a który to fakt zerwania umowy słownej, obustronnie zaakceptowanej, przez ojca panny pozwanego Świderskiego, skonstatować przez świadków, wyłączeniu nieulegających, powód się obowiązuje“.

— A capite:

Likwidacya.

a. Kupno czterech koni siwych, w jabłka, do konkurencyi używanych, a przez zajeżdżenie dziś już do użytku niezdolnych . . . . . rs. 625 kop. —

b. Rozbity przez ciągłe jazdy nocami

koczobryk żółto lakierowany, na niebieskich kołach, w czerwone sprychy, o dwóch latarniach i czterech resorach . . . . . rs. 427 kop. 50

c. Liberya stangreta granatowa z czerwonemi wyłogami i żółtemi wypustkami, zniszczona przez spanie w niej stangreta . . . . . „ 48 „ 35

d. Bat firzbinowy czterokonny, zepsuty przez trzaskanie zeń, przy zajeździe konkurenta przed dom panny . . „ 9 „ 15

d. Zasługi i żywienie stangreta, którego przez respekt dla konkurującego nie używało się do innych robót . . . „ 112 „ —

f. Strawne na drogę i pobyt w Przemysłowicach, gdzie nie było zwyczaju dawać jeść stangretom . . . „ 23 „ 63

g. Żywienie czterech koni, które, aby fantazyi nie traciły, do żadnych innych robót używane nie były . . „ 602 „ 17

h. Kucie koni na cztery nogi przez cały rok . . . . . „ 30 „ —

i. Smarowidło koczobryka . . . . . „ 12 „ —

k. Świece do latarń przy powracaniu nocą . . . . . „ 4 „ —

l. Trzy różne garnitury odzieży nowej dla konkurującego, sprawione u najpierwszego krawca w miasteczku, Icka Fuszera, wedle najświeższych żurnali paryskich, po rs. 31 . . . „ 93 „ —

m.	Bielizna nowa wszelkiego rodzaju i użytku	„ 101	„	20
n.	Odrywki od gospodarstwa pana Onufrego Pieniackiego, pod którego nieobecność straty przybliżone w gospodarstwie ocenić się dziś dają w objektach skradzionych na . .	„ 1,231	„	10
	a w niedopatrzonych robotach rolnych na	„ 976	„	—
	Razem	rs. 4,295	kop.	10

Z zastrzeżeniem zwrotu kosztów kuracyi, jeśliby konkurent popadł w chorobę, wskutek tęsknoty za panną.

„Kopię niniejszego, której oryginał et caetera...

— Dokończ resztę jak wiesz, panie Łapkiewicz, a o skutkach zaoczności nie zapomnij ostrzedz. A co? — dodał Szczujski, odwracając się do Pieniackiego, którego oblicze przy dyktowaniu likwidacyi dla Przemysłowic zwolna rozchmurzać się zaczynało. — A co, panie Onufry?... rubli srebrem 4,295 i 10 kopiejek!... Czyś kontent z likwidacyi?... no?!

— Justysiu... jesteś i byłeś mistrzem!... — rzekł pan Onufry, wyciągając doń rękę — zawsze ci to mówiłem, i każde twe słowo było i będzie dla mnie wyrocznią... Tylko ta jedna sprawa o pieski...

— Sza!... ani słowa o tem! — przerwał Szczujski. — Tę sprawę ja wziąłem sam na siebie... Pojmuję twoje sąsiedzkie skrupuły, więc gotów byłem poświęcić się dla ciebie... A jednak, jak ci połowa tamtej likwidacyi wpadnie do kieszeni... coś tak około 2,000 rubli, to przecież nie odrzucisz, hę?

— No... któżby odrzucał?... Tylko widzisz, pewne względy rodowe...

— Już dosyć... Ty o niczem wiedzieć nie potrzebujesz; twój przyjaciel myśli o tobie we dnie i w nocy, we śnie i na jawie... tylko wiary i zaufania więcej...

— Justysiu!... wierzę ci, tak jak sobie samemu!

— Dobrze... *satis!* A teraz, panie Łapkiewicz, skończyłeś już?

— Skończyłem właśnie — odrzekł woźny, wstając i zdejmując kitajkowy rękawek, który w trąbkę zwinięty, powędrował do kieszeni pismaka. — Czy to już wszystko, panie adwokacie?

— Na dziś wszystko. Nie trać więc czasu, bo pragnąłbym mieć nad wieczorem wiadomość ze Łgarzewa, żeby jutro zaraz pozwy im wydać. Jedźcie najprzód do Łgarzewa, potem do Cielętnik z pozwami, stamtąd do Przemysłowic, i staraj się dziś koniecznie wrócić. Sprawy, jak widzisz, naglące są i ważne.

— Postaram się, panie adwokacie... postaram... Ale prosiłbym o mały forszusik na drogę, bo panu wiadomo, że woźnego, choćby mdlał, nikt kroplą wody nie poczęstuje.

— To słusznie... Onuferku, daj-no z parę rubli.

Pan Pieniacki poskrobał się w głowę, otworzył szufladę, objechał cztery jej kąty ręką, a wynalazłszy parę podartych papierków rublowych, wsunął je w łapę woźnemu.

— Jedź więc, panie Łapkiewicz — zakonkludował Szczujski — a spraw się dobrze i wracaj dziś koniecznie.

Wszyscy trzej wyszli przed dom, a za chwilę za-

turkotała dwukołowa biedka, w chudą zaprzężona kobyłę. Był to ekwipaż odjeżdżającego z pozwami woźnego.

Ja, doczekawszy się końca sesyi, do swojej zabrałem się czynności. Była ona trudniejsza, niżby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Obszerności Wichłaczewa dojść było niepodobieństwem, od północy bowiem, południa, zachodu i wschodu kontrowersy, jedne zawilsze od drugich, sięgały w sam środek pól folwarcznych, na których, acz zasiewano bezspornie pewne gatunki zbóż, to jednak, gdy do sprzętu przychodziło, *jure caduco* tylko, i to nocną porą, każda ze stron pretendujących trochę porywała zboża.

O kopcach granicznych naturalnie i mowy być nie mogło, bo czego siła czasu nie zniweczyła, to usłużna ręka prawujących się wiecznie sąsiadów zręcznie zrównała z ziemią.

Chcieć dojść ilości zasiewów i sprzętów, było także czystą mrzonką; skoro jeden siał to, czego nie miał sprzątać, a drugi sprzątał to, czego ani on, ani jego przodkowie nie siali. Przy takich więc stosunkach, zrobienie sobie jakiegokolwiek obrazu było niepodobnem. Siedziałem kilka godzin, susząc sobie głowę napróżno i dochodząc jedynie do rezultatu, że pożyczki żadnej przyznać nie będzie można... gdy nagle wszedł pan Pieniacki ze Szczujskim.

— Czy niema tu Artakserksesa u szanownego delegata? — zapytał pierwszy.

— Nie panie — odrzekłem — cóżby tu robił?

— Sądziłem, że może pan użyłeś go do pomocy, dla dojścia cyfry zbiorów, zasiewów...

— Na nicby się to nie zdało — wtrącił Szczuj-

ski — bo to chłopak chory na umyśle... piątej klepki mu brakuje... Mamy nawet pewne o niego obawy...

— Czy tak? — spytałem naiwnie — tem niebezpieczniejszą jest jego nieobecność. I dawno go już niema?

— Ja go od wczoraj nie widziałem — rzekł stryj, nieco zmieszany.

— Ale ja dziś widziałem go przy operacyi piesków — kłamał Szczujski, pragnący uspokoić w ten sposów słuszne poniekąd obawy opiekuna. — Może gdzie w kląbie siedzi ukryty i kończy przerwaną poezyę.

— Ah! — zawołał Pieniacki, uderzając się w czoło — pobiegnę jeszcze do starej Małgorzaty, jego dawnej mamki, on tam czasem zachodzi; najpewniej tam go zastanę. Idźcie panowie na obiadek, który już czeka na stole, a ja pójdę do baby i sprowadzę zgubę.

Poszliśmy z panem Szczujskim na salę jadalną, gdzie już Pulchercia rozlewała na talerze dymiącą zupę szczawiową, którą wygłodniała gospodyni chciwie pożerała oczyma.

— Czekamy na panów — rzekła do nas pani Otylia — czas już wielki... zupa stygnie... A gdzież mój mąż?

— Poszedł szukać Artakserksesa — odpowiedział Szczujski.

Spojrzałem na Pulchercię, która, pobladłszy nagle, spuściła oczy, by się z tajemnicą nie zdradzić.

— On pewnie gdzie wiersze pisze.

— Czy to pan Artakserkses ma pociąg do poezyi? — spytałem, udając zdziwienie.

— Od wczoraj wykryliśmy w nim ten dar — rzekł pan Justynian.

— To wielki dar nieba — zauważyłem — trzeba to umieć uczcić i uszanować.

— O! my też to czynimy, i dlatego dziś nawet nie odrywałem go do zajęć prawnych, żeby mu natchnienia nie popsuć. Ja się znam na poezyi i mogę pana zapewnić, że tak obfitych rymów jak jego nie czytałem nigdy. Czy dasz pan wiarę, że u niego końcówki sypią się jak z rękawa, nie po dwie, ale po dziesięć naraz, jakem poczciw... tylko niestety, dostrzegam w nim pewien rozstrój umysłu, pewien brak spójni w myślach. Wzrok jego mi się nie podoba... jest jakiś błędny...

— Jak zwykle u poetów — dorzuciła z usty pełnemi łazanek pani Otylia — poeci to są waryaty... mizerne stworzenia... Znałam jednego, co był tak chudy, że możnaby go było przez pierścień przeciągnąć... a pisał śliczne wiersze, na karmelkach miętowych drukowane... Nie wiem co się z nim stało... najpewniej skończył u bonifratrów.

— Mam te same obawy o Artakserksesa — dodał Szczujski.

— Wartoby się poradzić doktora; a mamy tu wybornego. Jabym się sama do niego przejechała, bo pragnęłabym się i dla siebie poradzić na brak apetytu... ale taka teraz złoga dra...

— Chcesz pani powiedzieć droga zła... W istocie, okropna. Ale gdzież jest pan Onufry?... Kaśka, idź-no po pana i po pana Artakserksesa.

— Pan zaraz idzie — odrzekła wchodząca z pierogami dziewka — a co pana Jaktochcesa to niema.

— Jakto... czy go wcale w domu niema?

— A niema nigdzie... przepadł jak kamień w wodę — rzekł wchodzący Pieniacki, na którym widoczne znać już było zafrasowanie, jako opiekun bowiem stałby się był odpowiedzialnym wobec prawa za zniknięcie z domu siostrzana.

— No... a u Małgorzaty? — spytała pani Otylia.

— Małgorzata chora leży w łóżku u siebie i nie widziała go wcale.

Panna Pulcherya odetchnęła swobodniej, jedyny bowiem ślad, po którym prawdy dojść było można, znikał w ten sposób.

— Poczekajmy do wieczora — radził Szczujski. — Jeśli się nie zjawi, zdamy o tem raport miejscowej policyi i sądom, ogłosimy fakt zniknięcia prawnie skonstatowany w dzienniku gubernialnym i rozpoczniemy akcyę o uznanie go za zbiegłego. Ale któż to przed dom zajechał? — dodał, wysuwając spiczastą brodę z obróży, którą ogromne kołnierze stanowiły — jakaś bryka w jednego konia zaprzężona... Coś mi znajomego, ale nie mogę dojrzeć fizyognomii, bo podróżny, owinięty w burkę, zeskoczył szybko z bryki.

W tej chwili dały się słyszeć w sieni kroki, szurganie nogami po słomiance... drzwi się roztworzyły i oczom naszym ukazał się w progu oberżysta z Poczekajki.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł we drzwiach, zrzucając z siebie burkę.

— Na wieki wieków! — odpowiedzieli razem pieniacze — prosimy! prosimy!

Wabik, bez dłuższej ceremonii, podbiegł ku nim, skłoniwszy się szybko... zaczem ucałował pulchną rękę

pani Otylii, ujął obiema rękami podaną sobie dłoń pana Onufrego, a najpoufalej uścisnął ręce pana Justyniana, z którym ściślejsze łączyły go widać stosunki.

— Cóż tu porabiasz, panie Wabik kochany? — zapytał go kauzyperda.

— Do pana adwokata przyjeżdżam, w bardzo pilnym i ważnym interesie — odrzekł oberżysta, siadając przy stole i ocierając pot z czoła, twarz jego była bardzo zmienioną, a ściągnięte brwi i chmurny wyraz oczu, zdradzały wielki jakiś frasunek.

— O cóż to chodzi? — zapytał ciekawie Szczujski, wietrząc w Wabiku nowo mu przybywającego klienta.

— Interes bardzo wielkiej wagi... potrzebuję rady i pomocy pana adwokata.

— To możebyśmy poszli na osobną konferencyę?

— Nie... nie, panie adwokacie... możemy o tem tu przy obecnych pogadać, tembardziej, że pan delegat był nawet przypadkowym świadkiem i wie najlepiej, co i jak się stało.

— Ja? — zapytałem zdziwiony, zapominając w tej chwili o scenie dnia ubiegłego.

— Tak jest, pan dobrodziej — odrzekł Wabik. — Otóż wystawcie sobie państwo, zostałem najhaniebniej oszukany, okradziony przez pana Pokropowicza ze Łgarzewa.

— Ty? — spytał Szczujski — taki mądry człowiek, przez takiego barana?

— Ja... ja... tak jest, panie adwokacie... przez moją uczciwość i łatwowierność — odrzekł, wzdychając czule; uczciwy oberżysta.

— Cóż to było takiego? — odezwali się obecni.

— Wystawcie sobie państwo — począł bezczelny kłamca, nastrajając potulną minkę — byłem wczoraj w Łgarzewie; w przejeździe wstąpiłem tam w interesie ubocznym... Naraz, wszedłszy, zastaję tę przeklętą czarownicę, pannę Kunegundę Przeszkodzińską, przy kładzeniu kabały. Ja, człowiek prosty, kabałom wierzę, jak zwyczajnie łatwowierni prostaczkowie. Akurat wykartowało się, że pan Pokropowicz wygrał na loteryi, — a że trzymał los, o tem wiedziałem od niego. Pan Pokropowicz częstował mnie wódką... nawet raz czy dwa spirytusu 80 próby nalał... W głowie mi zaczmerało... wszystko kręciło się koło mnie, tak, że nie wiedziałem czy żyję. Naraz, ni stąd ni z owąd, pan Telesfor Baryłkiewicz, pewno w zmowie z nimi będący, proponuje mi, żebym tę wygraną na loteryi odkupił. Człowiek pijany zdolnym jest i z drugiego piętra skoczyć; gdybym nie był upojony przez pana Pokropowicza, byłbym się tylko roześmiał na taką głupią propozycyę, bo człek, pracując w pocie czoła, nie może ryzykować krwawej pracy; ale podpojony podstępnie przez pana Edwarda, nie wiedziałem o Bożym świecie... dałem się więc wziąć na kabałę... i wydarli ze mnie wszystko com miał... 9.000 złotych!

— Co ty mówisz, miluniu? — zawołał Pieniacki — dałeś im dziewięć tysięcy, za ten wiatr co wieje?

— A dałem, jak rany Boskie kocham! Radź mi więc, panie adwokacie najserdeczniejszy... nie żałuj starań... Niech mnie proces kosztuje, ale niech odbiorę wydarty mi krwawy grosik.

— A masz-że jaki skrypt w ręku?

— Mam cesyę tej wygranej, podpisaną przez pana Pokropowicza.

— Daj-no ją... daj... zobaczymy... może się co poradzi.

Wabik wyjął z wypoconego pugilaresu cyrograf stryja Edwarda, który Szczujski ciekawemi przebiegał oczyma. Czytanie to, acz kilku tylko wierszy, trwało dość długo, Szczujski bowiem wyraz każdy kilkrotnie odczytywał, ważąc dobrze gdzieby taki kruczek wynaleźć można, a nikt z otoczenia uroczystej nie przerywał mu medytacyi. Wabik siedział blady, jak pacyent na łożu boleści, oczekujący wyroku doktora, który mu albo powrót do zdrowia, albo śmierć niechybną ma zwiastować. Pieniacki śledził bacznie wrażenia, jakie cyrograf na przyjacielu wywierał; wiecznie zaś głodna pani Otylia zrobiła tym razem ustępstwo ciekawości i położywszy łyżkę, nie spuszczała także oka ze Szczujskiego.

Tłumiłem w sobie oburzenie, wywołane kłamliwem opowiadaniem Wabika, nie prostowałem jednak tych fałszów, wiedząc, że Szczujski sprawy, choćby najpodlejszej, ze szpon nie puści, że więc głos mój na nicby się nie zdał.

Nareszcie, po dziesięciu blizko minutach milczenia wielkiego augura, Szczujski złożył cyrograf w czworo i schowawszy go w kieszeń, rzekł do Wabika:

— Postąpiłeś sobie jak student.

— To wiem... przyznaję, panie adwokacie.. ale jest-że sposób odebrania tej wydartej mi krwawej pracy?

— Jest sposób ... ale kosztowny. Conajmniej z parę tysięcy złotych.

— A to i owszem! — rzekł uradowany Wabik.— Wolę wydać dwa, a choćby i trzy tysiące, niż stracić dziewięć... I jakiż to sposób?

— Procesik — odrzekł Szczujski.

— Wybornie, najdroższy panie adwokacie... a jako zasadę może pan wziąć podejście mnie... spojenie... oszustwo... ba, wszak to nawet kryminalne rzeczy!

— Ja się w kryminalne rzeczy nie bawię, bo te rezultatu materyalnego nie przynoszą; poprostu zapozwiemy go cywilnie, o sprzedaż wartości której właścicielem nie był, kiedy tymczasem w cyrografie pisze o niej stanowczo, tak jak o swej absolutnej własności.

— I wygrana jest możebną? — spytał coraz więcej uradowany Wabik.

— Jak dwa razy dwa cztery — odrzekł spokojnie Szczujski, zabierając się do pochrzepcizny z pasternakiem — dziś zaraz pozwy napiszę, jak tylko Łapkiewicz wróci.

— A gdzie on jest?

— Pojechał z pozwami.

— I daleko? — pytał niecierpliwy oberżysta.

— Do Łgarzewa, do Cielętnik i do Przemysłowic.

— Ale! ale! — zawołał Wabik, uderzając się w czoło i sięgając do kieszeni — mam ja tu listy z Przemysłowic do panów, od pana Świderskiego i od pana Artakserksesa.

— Co?!... Artakserkses w Przemysłowicach?! —

krzyknęli pieniacze, zrywając się z krzeseł z takim hałasem, że pani Otylii pochrzepcizna z ust wypadła.

Pulchercia wymknęła się z pokoju...

— To panowie o tem nie wiedzą?—spytał oberżysta.

— Nic nie wiemy, miluniu... — odrzekł Onufry.

— Nic, jakem poczciw! — powtórzył Szczujski.

— A to mnie bardzo dziwi — mówił dalej Wabik — to może i o tem panowie nie wiecie, że interes podobno ubity?

— Co?... gdzie?... jaki interes?

— A no, małżeństwo pana Artakserksesa z panną Petronelą. Podobno na zapowiedzi dziś dali... tak mi mówił posłaniec, co przyniósł od nich listy dla pana dziedzica... Oto są.

Pieniacki i Szczujski, zachmurzeni i do najwyższego stopnia zdziwieni tą niespodziewaną wiadomością, porwali listy, biegnąc z nimi do okna. Kauzyperda, poprawiwszy okularów, czytał w głos co następuje:

Szanowny sąsiedzie Pieniacki!

„Mając głowę ważniejszemi rzeczami zajętą, puszczam w niepamięć obelgę wyrządzoną memu dziełu przez pańskiego siostrzeńca, który się zresztą dostatecznie usprawiedliwił. Zezwalam więc na związek mojej córki z nim, kładąc tylko za pierwszy warunek szybkie zakończenie tego wszystkiego, bo mi pobyt obcego człowieka i w ogóle te konkury przeszkadzają niezmiernie w wykończeniu rozpoczętej niedawno wielkiej maszyny uniwersalnej, która przejdzie wszystko cokolwiek dotąd zbudowano. W tym celu dałem już na zapowiedzi... je-

szcze z tydzień, a koło rozpędowe gotowe będzie... Ślub może się odbyć w wichłaczewskim kościołku... gdybym zaś koła rozpędowego nie zdołał wykończyć, to założę tymczasowo z drugiej maszyny. Jeśliby proboszcz wichłaczewski robił trudności, to już niech się u nas odbędzie; w każdym razie wesele ma być jak najkrótsze, bo tryby i trybiki są strasznie skomplikowane, i pojmiesz sąsiad dobrodziej, dlaczego tak się śpieszyć muszę z ukończeniem tych ceremonii, gdy mu powiem, że wedle obliczeń mego buchaltera jedno koło mieć musi 742 zęby główne i 1484 zębów pomocniczych!

Z winnym szacunkiem
Pafnucy Świderski m. p.

— A to okropność! — jęknął Szczujski, któremu ten nagły zwrot sprawy wszystkie szyki w uplanowanym procesiku pomieszał.

— To rzecz niesłychana! — powtórzył tak samo Pieniacki. — Powiedz mi, Justysiu, czy też taki smarkacz może bez mego zezwolenia zawrzeć związek?

— A czy nie jest on pełnoletnim? — zapytał naiwnie Wabik.

— A choćby i był! — krzyknął Szczujski — od czegóż artykuły 146, 180, 181, 183, 185, 1113 i 1114?

— Więc jest na to sposóbeczek? — pytał dalej Pieniacki, któremu szansa procesu o zwrot straconych korzyści i kosztów uśmiechała się także ogromnie, zwłaszcza przy coraz bardziej rozstrajających się jego interesach finansowych.

— Nie jeden tylko, ale sto sposobów! — zawołał

pan Justynian. — Primo opuszczenie tajemne miejsca prawnego zamieszkania... stąd akcya o zbiegostwo... Dalej dowody nieprzytomności, szaleństwa, w poezyach po dziesięć końcówek mających... stąd akcya o ubezwłasnowolnienie... Następnie brak zezwolenia opieki prawnie ustanowionej, a nie wyekspirowanej... wreszcie kontestacya metryki, nie zalegalizowanej przez władzę sądową... stąd argument małoletności w chwili czynu... unieważnienie przyjętych zobowiązań...

— Jezus Marya! — przerwał Wabik, chwytając się oburącz za głowę. — Cóż ten pan Świderski sobie myśli, dając tak lekkomyślnie na zapowiedzi.

— Albo on wie co robi? — rzekł Szczujski — *mente captus* i basta!... Na mocy tego listu wyrobiłbym nań kondemnatę... wyrok pozbawiający go własnej woli... mógłbym mu łeb ogolić i do bonifratrów zapakować!

— Golić tam na łbie niema co, — zauważył Wabik — bo przy mechanice swojej wyłysiał jak kolano.

— Więc nie dopuścisz związku, Justysiu? — zapytał Pieniacki.

— Tu mi włosy na dłoni wyrosną, jeśli się oni pobiorą! — krzyknął rozogniony kauzyperda. — Niech tylko Łapkiewicz wróci... wystylizuję ja mu pozew... wymotywuję referacik taki, — taki mu dam orzech do zgryzienia, że nietylko swymi zębami, ale i tymi tysiącami zębów maszynowych go nie zmiele.

— Ale zobaczmy jeszcze co Artakserkses pisze.

— A prawda — rzekł Szczujski, odpieczętowywując drugi list — czytajmy:

„Kochany stryjaszku mój!

Spełnił się mych marzeń rój;... gwiazda szczęścia mi przyświeca... przebłagałem jej rodzica... dał mi swoje przyzwolenie i za tydzień już się żenię!... Z panną, z matką poszło gładko, obie tak mi są dziś rade, że już na krok nie odjadę... Lecz do szczęścia zupełnego, brak mi przyzwolenia Twego — brak mi fraka i lakierów, trochę grosza i cukierów, które, jak każą zwyczaje, narzeczony zwykle daje. O to więc mą prośbę wnoszę; a po ślubie Cię przeproszę za ten pośpiech... lecz Bóg świadkiem, żem się bardzo musiał śpieszyć, bo już Bzdurscy tu ukradkiem zamierzali buty mnie szyć... Zresztą, stryju, o tem potem... A teraz rączki Wasze całuję i najszczęśliwszym z ludzi się czuję.

Artakserkses.

— Zrozumiałeś? — spytał Pieniackiego Szczujski, miętosząc list.

— Ile mnie się zdaje — odrzekł tenże — to to także wierszykami pisane.

— Et co tobie głupstwa w głowie — zawołał Szczujski — najprzód nie wierszem tylko prozą, bo jednym ciągiem pisane. Ale nie o to tu chodzi... sens moralny tego listu jest primo, że on sobie widocznie kpi z ciebie, że myśli się żenić za tydzień, a ciebie prosi dla formy o pozwolenie, o frak, o buty i o cukierki, stawiając to wszystko na równi.

— O nicpoń!... o smyk!...

— Dalej, że z listu widocznym już jest drugi stopień szaleństwa w tym smarkaczu, i że z takim doku-

mentem w ręku, łeb mu ogolę bez kwestyi. Niech tylko Łapkiewicz nadejdzie...

— A, otóż i on!... — zawołał Pieniacki, usłyszawszy turkot i biegnąc do okna, z którego widać było zieloną czapkę woźnego, kiwającego się na skaczącej jak piłka biedce.

— Chwała Bogu! — rzekł Szczujski, otwierając drzwi, w których się znajomy już nam woźny ukazał — grackoś się spisał, panie Łapkiewicz.

— A gracko... gracko... niech dyabli wezmą — odrzekł przybyły, siadając już bez proszenia.

— Cóż się stało? — zapytali obecni.

— Stało się to com przewidział — mówił urywanym głosem zmęczony Łapkiewicz. — W Cielętnikach dobrze poszło... Wójt Koziołek i sołtys Szkódnik byli akurat w karczmie... dobrze pijani i w dobrym humorze... więc poczciwe kmiotki przyjęły pozew, częstując wódką i piwkiem. W Przemysłowicach pan zajęty przy śrubsztoku... Pracuje to biedaczysko gorzej jak prosty kowal... a widziałem też tam i tutejszego panicza... chodzili z panną po ogrodzie... i co chwila całowali się z sobą... Nie wiem czy to nie zepsuje motywów pozwu.

— To już nie twoja rzecz — wtrącił Szczujski — ale doręczyłeś?

— Doręczyłem jakiemuś Niemiaszkowi, który, nie wiedząc o co chodzi, wziął pozew, cyfry zesumował, a że się zgadzały na kopiejkę, mruknął „richtig“ i podpisał.

— To bardzo dobrze; a w Łgarzewie?

— Ach!... w Łgarzewie! — jęknął woźny, otrząsając się, jak po paroksyźmie febry — przepowiadałem

sobie dużo, ale nigdy tego co mnie spotkać mogło, gdyby nie mój spryt i nie kasztan, który, chociaż nadchwacony, zmykał jak żaden koń angielski na wyścigach. Trzeba nieszczęścia, że przybyłem do Łgarzewa właśnie w chwili, w której nadjechały chłopy z pokurtyzowanymi psami. Cała wieś zleciała się koło fury: jedni płakali nad swymi psami, inni się śmieli, że pieskom z tem do twarzy, a ojciec z synem częstowali lud gorzałką na przeproszenie i uspokojenie. Wśród tego hałasu zajechałem przed zameczek i na szczęście moje, wykręciwszy kasztana z biedką łbem do wrót, sam podszedłem z listem pana adwokata. Pan Pływalski zaczął czytać rachunek... brwi mu się zsunęły do kupy, wąs nasrożył jakby u suma i krzyknął:

— Wisuś!... wiesz ty czego ten... za pozwoleniem żąda?...

— „Za pozwoleniem“... aha, dobrze... Cóż to za wyraz powiedział? — pytał Szczujski.

— No... brzydkie słowo, panie adwokacie, niema co i powtarzać.

— Owszem... owszem!

— No... ale bardzo paskudne słowo.

— Ale powiedz, powiedz... nie żenuj się.

— To potem, w razie potrzeby, powiem przy protokole... Otóż pytał pan Pływalski syna: wiesz ty ile żąda za pokurtyzowanie psów?... blizko tyle, co dobry folwark wart.

— Czy to być może?! — wrzasnął syn, przyskakując do mnie z pięściami. — Jak ty śmiesz, trutniu?

— Ja o niczem nie wiem — odrzekłem jak naj-

grzeczniej—wręczam likwidacyę i proszę o pokwitowanie z odbioru.

— Ja cię tu pokwituję! — krzyknął stary, i jak mnie palnie pięścią w plecy, tak mi zagrało w piersiach, niby na ryczowolskim organie. Niewiele myślący, dałem drapaka na biedkę i dalej we wrota... a tu jak mnie ktoś palnie kamieniem w plecy... myślałem, że kula armatnia... Żeby tam była głowa, to byłoby już po mnie.

— Czekaj!... psia wiaro! — wołali za mną Pływalscy — powiedz temu... za pozwoleniem... że kiedy on tak drogo od psów liczy, to my darmo mu uszy oberżniemy... żeby wyglądał na to czem jest!

— O to, to! — szepnął Szczujski, zacierając ręce z uśmiechem najwyższego zadowolenia — odgróżki!... odgróżki!... czekam na to...

— Okropność! — jęknął zgorszony Pieniacki, niepodzielający radości swego przyjaciela.

— I cóż dalej? — spytał Szczujski.

— Dalej nic już nie słyszałem... bo poszczuli na mnie całą tę pokurtyzowaną psiarnię... a szelmy psy czy mnie po czapce poznały, żem stał tu przy operacyi, czy je jakie licho opętało... nie wiem, dość, że rzuciły się na biedkę i na kasztana z taką wściekłością, że mnie kaptur od burki, a kasztanowi kawał ogona urwały.

— Dobrze!... wybornie!... wszystko poszło jak najlepiej, kochany panie Łapkiewicz — zakonkludował Szczujski. — Strat nie żałuj... wynagrodzimy ci je sowicie... kapturek nowy się znajdzie, a kasztan bez ogona będzie taki ładny jak był. Pójdźmyż teraz do kan-

celaryi... mamy dla Pływalsia nową sprawę... a pogadamy i o starych także... Pan Bóg łaskaw, nie zapomina o nas... Onuferku, wszystko idzie jak z płatka... zobaczysz dokąd zajedziemy teraz!

I z ostatniemi słowy rozogniony kauzyperda, nie zważając na moją obecność i na chrapiącą już na dobre w fotelu panią Otylię, chwycił Pieniackiego pod jedną, Łapkiewicza pod drugą rękę, i szybko wyszedł z nimi z pokoju.

Zostałem na sali sam na sam z panią Otylią, którą Morfeusz w miłosne chwycił objęcia i do słodkiego ukołysał snu.

Misya moja była skończoną — rozpatrywać się dalej w regestrach nie miałem już potrzeby, bo przyznanie pożyczki, przy nieuregulowanych granicach, przy tak zawikłanym stanie interesów i przy ciągłem rozpoczynaniu nowych spraw, było niemożebnem. Z drugiej strony ciekawość moją nateraz dostatecznie już zaspokajała wiadomość o związku Artakserksesa, a dłuższy pobyt w tem pieniaczem gnieździe odrazę budził już we mnie.

W Szczujskim widziałem typ znikających dziś już na szczęście kauzyperdów, którzy niegdyś sieli swary i kłótnie między sąsiadami, sami tylko obfite zbierając z tego plony; w Pieniackim ofiarę powolną podszeptom złego ducha, która raz pchnięta na manowce procedury, jak ćma koło płomienia krążąca, czepiała się palestrantów i pokątnych doradców, choć ją z ich ręki nędza i zagłada czekały.

Ileż to najzacniejszych rodzin szlacheckich, przez pieniaczą żyłkę jednego protoplasty, zeszło do kija i żebra-

czej sakwy!... Ileż to najpiękniejszych majątków rodzinnych, gniazd, w których się po kilkanaście pokoleń wychowywało... przeszło skutkiem swarów i procesów w ręce obcych przybyszów!... Popioły ojców, kości obrońców kraju przed tatarskiemi zagony, depcze dziś stopa cudzoziemców, a potomkowie tych, którzy te lasy sieli, drzewa przy drogach sadzili i święte figury wznosili... tułają się od kąta do kąta, szczęśliwi jeśli im *Rittergutsbesitzer* miejsce ekonoma lub pisarza zaofiarować raczy.

Pieniactwo było niegdyś rakiem toczącym szlacheckie społeczeństwo nasze i jedną z największych może plag kraju... prawo, przy kazuistycznem traktowaniu takowego przez pokątnych doradców i złej wiary ludzi, było drogą do największych bezprawi wiodącą.

Dziś, dzięki wszechstronnemu wykształceniu humanitarnemu kierunkowi adeptów pięknej nauki prawa, stało się ono obroną słabszego przeciw wybrykom samowoli, stało się utrwaleniem stosunków społecznych i zapewnieniem własności przed napaścią łupiezcy; a jeśli udało nam się odszukać typy Szczujskiego i Pieniackiego, były to na szczęście typy dość już odległej epoki, wyrosłe w deskami zabitym zakątku kraju, gdzie ani nowy prąd pojęć, ani nowe zasady nauki prawa, na chrześcijańskiej oparte idei, sięgnąć nie zdołały.

Pod wpływem takich, mimowolnie nasuwających mi się myśli, wyszedłem cichaczem z pokoju, aby uśpionej pani Otylii słodkich nie przerywać marzeń, i poleciwszy zaprzęgać Grzesiowi, sam udałem się do izdebki Małgorzaty, dla pożegnania jej i poczciwej Pulcherci, oraz do-

wiedzenia się szczegółów przybycia Artakserksesa do Przemysłowic. Zastałem starą piastunkę w łóżku, a u nóg jej siedzącą Pulchercię.

— Czy nie przeszkadzam? — zapytałem we drzwiach.

— Owszem... prosimy!... prosimy! — rzekły obiedwie.

— A cóż to?.. choroba jaka zawitała po nocnej wycieczce?

— Gdzież tam, paniczu — odrzekła z uśmiechem piastunka — zdrowa jestem jak byłam, ledwie już doleżę, bom nigdy przez całe swoje życie nie wylegiwała się za dnia w łóżku; ale muszę udawać chorą, żeby mnie o co nie posądzili. Gotowiby mnie wygnać stąd na stare lata, a jabym już przez Pulcherci nie wyżyła. Jak da Bóg i ją za mąż wydam, to wtedy nie będę tu miała co robić i odjadę sama do swej panienki, żeby osiąść przy niej i wypiastować jej dzieciaki, bo mam do tego szczęśliwą rękę.

— Jakżeż się odbyło przeproszenie pana Świderskiego? — spytałem Małgorzaty — czy pan Artakserkses dobrze się brał do dzieła?

— A paniczku!... miałam z nim krzyż Pański... Przez całą drogę musiałam go okrywać, bo się wciąż rozpinał, mówiąc, że mu serce bije jak młotem. Nareszcie, gdyśmy nad ranem przyjechali do Przemysłowic, zesiadłam z nim do swego pociotka organisty, bo we dworze jeszcze spali, i wysłuchaliśmy rannej mszy do św. Antoniego patrona ludzi strapionych. Gdy się łepski dzień zrobił, poszliśmy we dwoje do dworu. Pietrunia była właśnie w oknie. Zobaczywszy nas wchodzących,

padła na krzesło i przewróciła oczy tak strasznie, żeśmy ją cucić musieli. Artakserkses zbladł jak ściana i rozpłakał się jak bóbr... No, mówię panu, miałam ja z obojgiem ciężką biedę.

Gdy nareszcie matka córkę, a ja swojego chłopca do spokojności przywróciliśmy, powiedziałam pani Świderskiej o co chodzi, po co przyjechałam, co im grozi, a Artakserkses padł przed nią na kolana, prosząc, aby męża przebłagała. Poczciwa pani Świderska, rozczulona jak matka, obiecała mu pomoc i poszliśmy zaraz wszystko czworo do pokoju pana Świderskiego, a raczej do jego kuźni... bo to panie istna kuźnia ten jego pokój... same śrubsztoki, kowadła, pilniki, cęgi, szczypczyki i Bóg wie nie co.

Pan Świderski siedział obok jakiegoś Niemca w kusym kaftanie, piłował coś żelaznego z okropnym piskiem, a tak był tą robotą zajęty, że nas ledwo dojrzał. Gdy mu żona powiedziała o co chodzi, on sobie zrazu nic nie mógł przypomnieć... ale zrozumiawszy nareszcie o co go proszą, pozwolił na wszystko, byleśmy się zaraz wynieśli z tej kuźni, a dla prędszego pozbycia się nas napisał list do pana Pieniackiego, któryśmy wysłali zaraz oberżyście z Poczekajki, żeby go przywiózł tutaj. Artakserkses, uszczęśliwiony, napisał także po długiej medytacyi o błogosławieństwo i o ubranie, a choć mi przeczytał, ale takie to było jakieś jednakowe, żem ja nic z tych herezyi nie zrozumiała.

Jak tylko się to załatwiło, posłaliśmy zaraz pieniądze na zapowiedzi, bo panu Świderskiemu ten zawrót przeszkadza i chce żeby mu się jak najprędzej umknęli

— Jakżeż ojciec przyjął tę wiadomość? — zapytała mnie panna Pulcherya.

— Źle... bardzo źle — odrzekłem. — Szczujski zapewniał go, że ten związek zerwie.

— O co to, to wątpię — przerwała Małgorzata. — Artakserksesa już stamtąd żadna siła nie wydobędzie, bo się przylepił do panny, jak plaster... Mogą się prawować, to swoją drogą; ale żeby mieli zerwać, to już jako żywo nigdy!

— Zresztą ja ojca przebłagam — wtrąciła Pulchercia — wystawię mu skutki podszeptów Szczujskiego... Może też się raz otrząśnie z tej opieki i posłucha głosu tych osób, które go całem sercem kochają.

— Daj to Boże! — odrzekłem, żegnając kobiety i odchodząc ku drzwiom — z duszy tego pani życzę, bo rady złego człowieka, jak Szczujski, mogą gorsze niż sądzimy sprowadzić następstwa.

Tymczasem Grzesio zajeżdżał, a turkot bryczki sprowadził przed dom pana Onufrego, w ślad za którym i Szczujski nadszedł.

— Co to?.. szanowny delegaciunio odjeżdża? — spytał mnie gospodarz.

— Odjeżdżam, łaskawy panie, bo muszę podążać do domu.

— No, a czyś pan doszedł wszystkiego?... graniczek, wysiewów, sprzętów?

— Co się dało zebrałem... reszty w domu dopełnię.

— A ileż mogę się spodziewać pożyczki? — spytał znowu.

— Tego dziś oznaczyć nie jestem w możności... dopiero po bliższem rozpatrzeniu się...

— Tylko uprzedzam pana — dodał Szczujski, — że kontrowersy pod literą *C* żółte, *D* fioletowe, *E* czarne są zakontestowane, a co do kontrowersu *G* seledynowe, *H* białe, *I* cynamonowe, używalność ich w peryodach prawnych przerywaną była... Niech więc to nie zraża pana w oznaczeniu szacunku, bo takie kontrowersy nietylko nie zmniejszają szacunku wsi, ale w rękach naszych wartość jej w trójnasób powiększają. Radzę też panu nie lekceważyć swego kontrowersiku... nie pozwalać na użytkowanie... owszem, od czasu do czasu wpaść choćby nocą, porwać przewróconą na grunt pański brzózkę... sprzątnąć choćby parę snopków zasianego zboża... wpuścić czasem bydlątka i owce, choćby dla spaceru, a to wszystko wobec kilku świadków... byle tylko sąsiadowi bezspornej nie zostawić używalności.

— Za rady pańskie dziękuję — odrzekłem Szczujskiemu — choć na nie nie zasłużyłem sobie... ale uprzedzam pana, że korzystać z nich nie będę, bo według mnie lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces. I tobie, panie Pieniacki, życzę i radzę także zaprzestać na prawo i lewo rozpoczętych procesów, których obyś gorzko kiedyś nie pożałował.

— Nie pański to kłopot!.. — szepnął mi Szczujski, zgrzytnąwszy zębami i przeszywając mnie jaszczurczym swym wzrokiem. — O profany! profany! — dodał głośniej, zwracając się ku Pieniackiemu. — I cóż ty milczysz na to, Onuferku?

— Gdybym nie miał przy sobie takiego przyja-

ciela i doradcy — odrzekł, wychodząc z zamyślenia, Pieniacki — może nieraz byłbym zrobił niepotrzebne ustępstwo; ale tak wytrawnych ludzi jak Justyś, cała palestra nie miała i mieć nie będzie!... Póki też on sprawami mojemi kieruje, jestem o nie aż nadto spokojny... Jeszczem żadnego procesu nie przegrał.

— I nie przegrasz, póki ja żyję! — zawołał Szczujski, ciskając na mnie poruujące wejrzenie i uprowadzając z sobą zaślepioną ofiarę swoją, w obawie, abym jej oczów nie otworzył.

Pozostawiłem pana Onufrego z jego doradcą, i skoczywszy na brykę, puściłem się kłusem ku domowi.

Zakończenie.

Upłynęło lat parę od opisanych przeze mnie wypadków. Odległość w jakiej mieszkałem nie dozwoliła mi wywiedzieć się o dalszych losach trzech sąsiadujących z sobą dziedziców; zacierały się też zwolna wrażenia stamtąd wyniesione, jak się wszystko na świecie siłą czasu zaciera.

Nadeszły siewy ozime, a z niemi epoka walnych jarmarków. Inwentarzy ubyło mi trochę przez czas mojej włóczęgi, bo gdzie brak pańskiego oka, tam szkapa chudnie, wołek marnieje, a i niejedna owieczka kopytka zadrze. Spłaciwszy więc dług sprawie publicznej, obejrzałem się po gospodarskim okólniku, a dostrzegłszy po stajniach i oborach kilkanaście łańcuszków u koryt sa-

motnie dyndających i parę niezajętych w owczarni pośników, postanowiłem udać się po dokompletowanie inwentarzy na walny jarmark do Ł...

Jarmark!... wielkie to i magiczne słowo dla spokojnego wioski naszej mieszkańca.

Chłop polski jarmarki wszystkie zna na pamięć, bo tam go czeka zaopatrzenie się w baranią czapę i kożuch, sprzedaż kulawego konia lub dychawicznego wołu, nabycie trzy dni niedojonej krowy i przyjrzenie się kramom, tyatrom małp i ludzi, czarownikom i dziadom żebrzącym, których melodyjne pienia rozrzewniają go do łez i rozwiązują mu supełek, zwłaszcza jeśli alembikówka przychodzi temu w pomoc.

Szlachcic, który przez cały rok, jak Rej z Nagłowic, poza obręb powiatu nosa nie wytykał, czeka także z upragnieniem walnego jarmarku, bo sobie na nim wspomnienia lat młodzieńczych odświeży, dawnych po szerokim kraju porozrzucanych koligatów przypomni, wybada widoki na ceny zboża i okowity, wskutek wiadomości z różnych stron zaczerpniętych, a choć najczęściej przechwałki jednych, lub chroniczne utyskiwanie drugich najfałszywszy przedstawią mu obraz, mimo to, powróciwszy z jarmarku do rodzinnego kąta, cytuje on nadbiegłym sąsiadom, z matematyczną pewnością, że w Płockiem pszenica sypie półtora korca z kopy, w Lubelskiem 24 garnce, w Opoczyńskiem 20, a w Kaliskiem zupełnie nie obrodziła, skąd wniosek, że trzymać się w cenie należy, bo kiepsko jest i ceny ogromnie pójdą w górę. Czy tam się tego kto usłucha, lub czy wreszcie Mośko i Berek, dawszy już na święty Jan zaliczenie na zieleninę, pozwolą

doczekać się owych spodziewanych cen ogromnych, to rzecz inna; zawsze jednak powrót sąsiada z walnego jarmarku i wiadomości przezeń zebrane, przez czas jakiś podawane są z ust do ust, tak, że ostatni z sąsiadów płacze już nad biednem Kaliskiem, że się bez bułek obejść będzie musiało, gdy ono tymczasem, wożąc sobie pszeniczkę Niemcom, mienia bite talary na szmatki u Immerwahra, lub na więcej pożyteczne Cegielskiego wyroby.

Otóż jarmark, a zwłaszcza walny, i dla mnie wiele zawsze miał powabu. Nie ciągnęły mnie tam ani harf teutońskich dźwięki, ani kuszące jarmacznych garkuchni specyały, ani kramy stołeczne, strojne w blichtr i tandetę, ani pociągały mnie tam hufce króla Faraona, przy zielonym stoliku rozsiadłe. Lubiłem jarmarki, bo lubiłem ich fizyognomię, mającą zupełnie coś odrębnego... ich konie z wymoczonemi grzywami, zdobne w nabijane ćwieczkami uzdeczki... ich handlarzy rozwijających cały kunszt szachrajski w sprezentowaniu starej szkapy za młodą, ślepej za jasnowidzącą, chromej za tanecznicę z cyrku, podpaloną za źrebną... lubiłem dziadów i baby, rozwodzących najfałszywsze pienia w imię religii i litości, na nutę dawno już zapomnianych polonezów i drabantów... lubiłem wreszcie owe piękne, ogorzałe twarze przybyłej z różnych stron kraju poczciwej naszej szlachty, która na jarmarku, jakby na rodzinnym jakim sejmie, zbijała się powiatami w kupki, razem wertując politykę Zachodu, razem utyskując nad wiecznym nieurodzajem i nieplonem, razem pijąc kwaśnego węgrzyna, przy akompaniamencie całusów na oba policzki wyciskanych, razem oglądając konia, którego jeden chciał kupić a dzie-

sięciu targowało... razem dając się orznąć na kontraktowane nowe zboże i okowitę... razem wreszcie trując się specyałami jarmarcznych parzygnatów, którzy pod szumnem mianem restauracyi, restaurowali rzeczywiście kieszenie swoje tylko, kosztem zdrowia wygłodzonych podróżą przybyszów.

Zjechałem tedy na ów walny jarmark i z tradycyjnym prętem, godłem jarmacznych bywalców, przechadzałem się między szeregami stajen, z których rżenie koni, przysięgi żydów i śmiechy szlachty dolatywały mnie ze wszech stron — gdy nagle... wśród dość licznego grona ciekawych, spostrzegam stojącego na góreczce konia, a za nim szlachcica w brązowej kurtce ze złotymi guzikami, w jasnych łosiowych rajtuzach, w palone zapuszczonych buty, w żółtej kamizelce, zdobnej w kilka olbrzymich palm tureckich i w pseudo-tyrolskim kapeluszu, którego kogucie pióro rozkosznie bujało w powietrzu. Twarzy widać mu nie było, bo ją łeb koński zasłaniał; jedną ręką wywijał, gestykulując prętem bardzo żywo, drugą zapuścił w kieszeń rajtuzów, brząkając od czasu do czasu kluczykami.

— Nogi ruszone, jakem szlachcic! — mówił głosem, który mi się dziwnie znajomym wydawał — na zadniej prawej widoczny ma pipak.

— Skąd pipak, jaśnie panie — bronił się handlarz — gdzie tu na zadniem nogie pipak?.. aj waj! Żeby mnie ino Pan Bóg na wszystkich zadnich nogach takimi pipakami skarał!

— A co gorzej — ciągnął dalej szlachcic, macha-

jąc szkapie przed okiem — ona bodaj na prawe oko nie widzi.

— Zaco nie widzi? herste! — wołał żyd.

— A jużci że ślepa na to oko!.. — mówiła szlachta obecna, machając biednemu koniowi kolejno nad oczyma.

— Widzisz żydzie — powtarzał pierwszy.

— Nu... a choćby i tak?.. — bronił się handlarz, to na co jej widzieć?.. Cóżto kobyła gazecie ma czytać, czy co?

— Widzieliście — mówił szlachcic do obecnych, co to za szczęście żem dostrzegł... byłbym ślepą szkapę kupił.

— Ny... a co za nieszczęście dla jaśnie pana, że kobyłe ślepe?.. to jest nieszczęście dla kobyłe, ale nie dla jaśnie pana.

— Cicho, ty cyganie! — wołał szlachcic. — No, ale kiedy przyznajesz że ślepa, to teraz gadaj uczciwie co chcesz za nią.

— Nie cenić jaśnie panu?

— Nie, bo ja się targować nie lubię — odrzekł, brząknąwszy znów w kieszeni.

— Dwieście rubelków — szepnął, patrząc mu w oczy, żyd.

— Co?!.. oszalałeś?..

— A ziebym nie dojechał stąd do świńskiego targu, jeżeli ta kobyłe mnie samemu nie kosztuje więcej.

— A to ją sobie trzymaj do sądnego dnia — mówił szlachcic, machnąwszy prętem.

— No, a niech słyszę jaśnie pana godne słowo.

— Chcesz pięćdziesiąt rubli, to dobrze.

— Pięćdziesiąt rubli?!... hę?! A żebym ja to miał w moim majątek, co ja dziś miałem za nią więcej...

— A to ją sprzedaj.

— Ny, a tysiąc złotych jaśnie pan daje?...

— Ani grosza więcej.

— Aj waj!... ja wiem na co jaśnie pan ciągnie... Jaśnie pan chciałby tak sobie kobyłkę za sto rubelków kupić...

— Ani myślę.

— Ny... ny... już ja to z jaśniego pana szlachetnych oczów widzę... ale dalibóg... na moje sumienie... nie mogę!

— Jak sobie chcesz — odrzekł szlachcic, brząknąwszy raz jeszcze w kieszeni, zapewne dla zwabienia żyda dźwiękiem metalu, i wysunął z poza kobylej głowy parę kruczego połysku wąsów, ukazując mi w całej pełni... o dziwo! znajomą postać pana Telesfora!

Ucieszony nad wszelki wyraz spotkaniem tej chodzącej encyklopedyi nowin, podbiegłem doń szybko.

— Pan delegat! jak Boga kocham!.. — wrzasnął Baryłkiewicz, roztwierając ręce i rzucając się na mnie z serdecznością niekłamaną, znamionującą tak wybitnie poczciwego szlachcica polskiego.

Szlachta obecna temu aż wąsów z radości pokręciła, widząc to serdeczne spotkanie .. Niejeden już chustki dobywać zaczął... inny przygotowywał się w duszy do hupki z okazyi takiego spotkania... choć, niestety, napróżno.

— Cóż tu robisz, kochany delegacie? — spytał

mnie Baryłkiewicz, po dwukrotnem wycałowaniu się na obie strony.

— Przyjechałem kupić trochę inwentarzy... ale i pan Telesfor widzę targuje.

— A cóż robić... muszę konia dokupić, bo jednego straciłem... Byłem przez 24 godzin w gościnie u jednego szlachcica-literata, korespondenta Gazety rolniczej, czy innego jakiegoś licha. Wygłodziłem się jak na rekolekcyach, ale i szkapy przez całą dobę literaturą tylko żyły... umykając więc stamtąd, wpadłem do Bzdurskich, którzy, jak wiesz, rozumem literackim nie grzeszą. To też po Bożemu się tam podjadło... Mnie to poszło na zdrowie... ale szkapa wygłodzona jak się dorwała żyta, schwaciła się na miejscu i adiu!

— To nie przeszkadzam panu... kończ pan tranzakcyę.

— Eh... niema nic pilnego... ta kobyła mi nie ucieknie, bo ślepa — dodał z uśmiechem. — Ot, kontent jestem, do stu piorunów!... żem pana spotkał. Toć to już kawał czasu od naszej wizyty w Łgarzewie.

— A tak... już parę lat... i nic nie wiem co się tam w tamtych stronach dzieje.

— O, to ja panu masę nowin opowiem.

— Będę panu niewypowiedzianie wdzięczny... Możebyśmy gdzie sobie poszli?

— A i owszem... pójdziemy gdzie pod dach... — rzekł Teluś, biorąc mnie pod rękę.

— Ale pan nie sam — zauważyłem.

— Nic nie szkodzi, znajdę się wśród nich jeszcze nieraz. Są to moi przyjaciele z Augustowskiego, z któ-

rymi już wczoraj cały dzień hulałem; dziś kolej na Płockie... jutro na Lubelskie... bo trzeba się każdemu choć potrosze udzielić... Ale na to mam czas, pana zaś nieradbym stracić z oczu, bo kto wie kiedy się znów zo baczymy.

— A dokąd pójdziemy? — spytałem.

— Pójdźmy do Kapuścińskiej... mają tam dziś świeże garnuszkowe flaki, i na szczęście tylko dwie Niemki na arfach brzęczą... Ty zaś, żydzie, namyśl się!... — śmignąwszy prętem po szkapie, która, zadarłszy ogona, podążyła wraz z żydem do stajni.

Przez całą drogę Teluś spotykał znajomych... na prawo i lewo machał ręką, przesyłając pocałunki od ust. — „Jak się masz? co się też za fasa z ciebie zrobiła!“ — mówił jednemu. — „Co tu robisz? — pytał drugiego. — Cóżeś tak schudł?... pewnieś się ożenił.“ — „Aa!... i ty tu?“ — wołał do trzeciego. — „No, to już koniec świata, kiedy cię z domu żona puściła.“ — „Widzisz go?!.. Maciuś! — krzyknął czwartemu nad uchem — i trzeźwy jeszcze?!... A to dalibóg w kominie węglem zapisać“. — A każdy z zagadnionych odpowiadał na przywitania Telusia szczerym uśmiechem i serdecznem ściśnięciem ręki.

— Pan tu znasz widać cały jarmark — rzekłem po chwili.

— Człowiek tyle już się lat między ludźmi kręci, że niema kąta w Polsce, gdziebym kogo nie znał.

Przyszliśmy nareszcie do restauracyi pani Kapuścińskiej, w której szlachta przy kilku już stołach dość gęste odprawiała libacye, a towarzyszące toastom śmiechy

i okrzyki głuszyły melodyę arfy i skrzypiec, na których dwie podstarzałe Niemki, w niebieskich pończochach i takichże mitenkach, utkwiwszy wzrok w sufit, brzdąkały.

— Siadajmy tu w kąciku — rzekł Teluś, wskazując na próżny stolik — nikt nam nie przeszkodzi, bo mnie tu nie dojrzą... a trzeba panu wiedzieć, że tych wszystkich biesiadników znam. Ci czterej to z Kurpiów... ręczę że jedzą baraninę z czosnkiem, bo to ich specyał; tamtych trzech wąsalów, to Hrubieszowiaki... jakbyś pan widział na talerzach zrazy z kaszą hreczaną; ta kupka to szlachta z Krakowskiego... oj, będą też tam jagły w robocie!... tamci znów, to Kaliszanie... delikaciki... pewno ptaszki ogryzają i kompocikami przeplatają, bo to już franty od niemieckiej granicy.

— No, a my co zjemy?... — przerwałem mu.

— Wszak jużeśmy się z góry umówili na flaki... Hej, Zuzia! podaj-no dwie porcye garnuszkowych!

— A przedtem wódeczki nie?.. — spytała dziewczyna.

— No absyntu... wszak prawda?... — rzekł Teluś.

— Co tylko pan zechcesz... — odparłem — byle prędko.

— Więc gdzieżeśmy się to ostatni raz widzieli? — począł Teluś, odchrząknąwszy po sporej miarce absyntu.

— W Łgarzewie.

— A prawda... prawda... było to tej pamiętnej nocy, w której się tak Wabik załapał, pan pojechałeś stamtąd do Wichłaczewa, na tę sławną psią operacyę...

— Tak jest — odrzekłem i od tej pory nic nie wiem, co się tam dalej stało.

— No, to ja panu opowiem, bom był przed paru tygodniami w Łgarzewie, u młodych Pływalskich.

— Jakto? — spytałem — czy się Wisuś ożenił?

— A ożenił... ożenił... i wiesz pan z kim?... z Pulchercią Pieniacką.

— Proszę... więc do zgody przyszło nareszcie?

— A przyszło... ale dopiero wtedy, gdy już pan Onufry ze wsi wyleciał.

— Czy tak skończył?... nic o tem nie wiem.

— Ee... to słuchaj-że pan. Po owej operacyi, dokonanej na łgarzewskich pieskach, Pieniacki, a raczej Szczujski na jego rachunek, prawował się z Polikarpem o należność i koszta. Wylikwidował mu ten urwipołeć przeszło dwadzieścia tysięcy złotych!... Tymczasem drugi proces, jednocześnie prowadzony ze Świderskim, przerznął Pieniacki w trybunale, w apelacyi i w senacie, bo po ślubie Artakserksesa nie było zasady prawnej do poszukiwania kosztów i straconych korzyści. Próbował wprawdzie Szczujski dowodzenia sądownie, że Swiderski waryat, że Artakserkses także waryat... że tranzakcya przez waryatów podpisana nie ma znaczenia... że regent aktu intercyzy nie powinien był wcale przyjmować... ale to wszystko było gołosłownem dowodzeniem, a choć tam, Bogiem a prawdą, Pafnusiowi brakło piątej klepki we łbie i choć Artakserkses pisał wiersze... co już wedle mnie kwalifikowałoby szlachcica do bonifratrów, sądy jednak nie uznały tego i Pieniacki przegrał całą tę sprawę, zapłaciwszy ogromne koszta, na których i Szczujski niemało naobrywał. Jednocześnie gmina Cielętniki wygrała długi proces graniczny i zabrała mu blizko połowę folwarku

aż pod sam ogród, tak że ze dworu kopiec graniczny widać było. W trakcie tego wierzyciele Pieniackiego, widząc że coraz mniej z Wichłaczewa zostaje, wzięli się ostro i na wspólny koszt do popierania procesu subhastacyjnego, i jednego pięknego poranku wyrzucili go z bebechami za płot.

— A cóż robił przyjaciel jego, pan Justynian Szczujski? nie umiał-że go już bronić?

— Ten łotr! — ciągnął dalej Teluś — ten nicpoń, który, nawiasem mówiąc, był głównym sprawcą ruiny biednego Onuferka, nabił sobie kabzę dobrze, a widząc po eksmisyi Pieniackiego, że to już trup, przy którym on się nie pożywi, założył z za płota opozycyę, i sam drapnął gdzie pieprz rośnie... bo nawet wszelki słuch o nim zaginął.

— Przepowiadałem to... Cóż się dalej stało z Pieniackim?

— Otóż został biedny szlachciura na rozstajnej drodze z żoną i córką... a szkoda go, bo Pieniacki sam z siebie nie był tyle zły, ile głupi człowiek i tak słabego charakteru, że się temu łotrowi dał powodować. Znalazłszy się naraz bez dachu, udał się do najbliższego miasteczka, z zamiarem dalszego popierania przynajmniej sprawy przeciw Pływalskiemu, jako jedynej, z której coś jeszcze mogło mu się okroić. Ale procesowanie się szło już gołemu trudniej, bo u nas prawo nie żartuje, a koszta procesów zjadają nieraz szlachcica ze wsią i z manatkami razem. W miasteczku cienko im było. Pani Otylia nie dojadała i nie dosypiała jak się należy przez tydzień... dwa... i trzy... nareszcie czwartego popadła

w gorączkę... piątego chudnąć zaczęła... szóstego tygodnia coraz już dłużej zasypiała, aż też siódmego zasnęła snem wiecznym. Pieniacki był już wtedy tak biednym, że żony nie miał prawie za co pochować. Przyszedł mu wtedy w pomoc Artakserkses, który przy subhastacyi Wichłaczewa ocalił połowę schedy po swym ojcu, resztę bowiem stryjek, przy pomocy Szczujskiego, przepalił na procesy. Coraz biedniejszy Pieniacki, choć się wstydził sprawy z Pływalskim, wbrew jego woli przez Szczujskiego rozpoczętej, chwycił się jej jednak, jak ostatniej deski zbawienia... ale że popierać nie miał już czem, musiał się więc zgodzić ostatecznie na kompromis, do którego i mnie zaproszono.

Kiepski to był kompromis... ani kapki wina... jedzenie od siedmiu boleści... nie tak jak to zwykle na kompromisach, gdzie strony jedna przez drugą się sadzą, aby sędziów uraczyć i ugościć; ale co było robić... Zjechaliśmy się więc na ten kompromis... przyjechał i Pływalski z Wisusiem, który wtedy po raz pierwszy poznał Pulchercię. Znałeś pan ją... dziewczyna rumiana, żeby ćwikła w chrzanie... a pulchna, żeby pulpety w rosole... Wisuś też chłop jak dąb... zerknęli na siebie, może tam i co z sobą poszeptali, tego nie wiem... dość że się sobie spodobali wzajemnie, tak że kiedy sędziowie na drugi dzień jeszcze nie mogli dojść do ładu z otaksowaniem rzeczywistej wartości operacyi, stawili się naraz Wisuś z Pulchercią, wprowadzeni przez jej starą niańkę, i padli do nóg zwaśnionym ojcom, prosząc o błogosławieństwo. Sędziowie polubowni w ręce z radości klasnęli, a superarbiter, szlachcic-fasa, aż się z radości i wzruszenia roz-

płakał. Sąd więc zakonkludował, że Pieniacki ma dać córkę Wisusiowi, a Pływalski gospodarstwo... zgodzono się na to, bo to był wyrok w ostatniej instancyi. Pływalski wyekscypował sobie tylko rupiecie archeologiczne zameczka, to jest zbrojownię i nagromadzone w niej skarby, Wisusiowi oddając gospodarstwo całe; zdesperowany zaś Pieniacki osiadł na dewocyi w klasztorze Karmelitów bosych, przeklinając procesa... Szczujskiego... kodeksy... całą palestrę i służąc codzień do mszy (gdyż znał ministranturę wyśmienicie) z głębokiem namaszczeniem grzesznika, ciężko pokutującego za grzechy. Oto jaki był koniec procesowicza.

— Przepowiadałem mu to na odjezdnem — rzekłem Telusiowi — ale ani słuchać nie chciał... Szczujski, jak jastrząb, porwał go w swoje szpony i czemprędzej uprowadził, abym mu biednej tej ofiary nie wyrwał.

— Ja miałem zawsze odrazę do tego łotra — rzekł Teluś.

— A cóż się stało z Przemysłowicami po ślubie Artakserksesa? — spytałem.

— Ho... ho... i tam zmiany zaszły ogromne. Przypominasz sobie, delegacie, zakłady fabryczne Pafnusia... Szło to wszystko siako tako, póki lasu stało... ale jak się las powoli na zapałki i wykałaczki wypaskudzał, a czego nie wyrobiono, to chłopi rozkradli, coraz ciężej było poruszać tą głupią machinę przemysłową. Więc brakło nasamprzód pieniędzy na kupno zboża, a że swego coraz mniej sprzątano, zamknięto przedewszystkiem młyn parowy; w ślad za zamknięciem młyna poszło zamknięcie piekarni i to szczęście dla okolicy, bo gdyby tak te za-

kalcowate rogale były się rozchodziły podczas jakiej epidemii, to kiep jestem jeśliby się cała ludność nie była co do nogi wytruła!... Po zamknięciu piekarni, przyszła kolej na fabrykę mączki kartoflanej... Trafił się jeden mokry rok, kartofle wygniły, kupić też nie było za co... nie było więc z czego i mączki robić. I to Opatrzność Boska, bo mówię panu, kluski z tej mączki były tak ciężkie, że raz całą noc rzymski rumianek po nich pić musiałem.

Teluś się na to wspomnienie otrząsnął i podszedłszy do bufetu, pociągnął drugi kielich absyntu, dla poprawienia sobie smaku, zepsutego wspomnieniem rzymskiego rumianku.

— Przyszła nareszcie kolej — mówił dalej — na fabrykę cykoryi, która że cuchnęła tytuniem, pies jej kupować nie chciał. Mimo tego wszystkiego, Pafnuś mańdrował sobie jeszcze w swojej kuzience... ale i to się urwało, bo buchalter Niemiec, obliczywszy sobie że zaległej półrocznej pensyi nie będzie już na czem poszukiwać, zawiązał jednego wieczora swoje pluderki w czerwoną kraciastą chustkę i zawiesiwszy ją na kiju, wyniósł się cichaczem. Pafnuś bez Niemca został jak bez prawej ręki... stukał, dłubał i wiercił jeszcze czas jakiś, ale postradawszy rachunek trybików, zębów i kółek, opuścił ręce i popadł w taką melancholię, że dziś całemi godzinami siedzi w swojej pracowni, kiwając tylko głową nad jakimś rysunkiem maszyny, której już bez Niemca wykończyć w żaden sposób nie może.

— A któż się gospodarstwem zajmuje?

— Artakserkses, zięć jego. Miał on nieborak cięż-

kie przejścia... A najprzód sam o mało ze wsi nie wyleciał, bo po ślubie, zamiast gospodarki pilnować, pisał wiersze do żony... żona do niego... gdy tymczasem chłopi kradli i robili co chcieli. Po roku dopiero zaprzestali poezyi i zabrali się do roboty, jak już Wabik zaczął pieniać Świderskiego o należne mu parękroć sto tysięcy.

— Proszę!... to Wabik tyle miał u niego?

— A pan co myślałeś?... czy wiesz delegat czem dziś jest Wabik?... jest dziedzicem połowy Przemysłowic; zabrał resztę lasu z tartakiem, przeniósł tam fabrykę tytuniu, którą dalej na swoją rękę prowadzi, przezwał się Wabickim i jeździ do kościoła koczem na stojących resorach. Jak mi Bóg miły!

— A cóż się stało z Poczekajką?

— Poczekajkę dzierżawi pan Edward Pokropowicz.

— Co pan mówisz?!... Pan Edward?!

— Tak jest, delegacie... jak cię kocham... i od czasu jak tam Edziulko nastał, wyborna jest wódka... a dyabeł przestał straszyć chłopów w przemysłowickim lesie, z którego już tylko krzaki zostały.

— Ale skądżeż się tam stryj Edward dostał? — spytałem Telusia.

— Najprostszą drogą... Wabik, alias Wabicki, procesował go o owe 9,000 złotych. Przyszło do kompromisu i zaproponowano ażeby Wabicki, jako właściciel tej części Przemysłowic, do której Poczekajka należy, wypuścił Edziowi w dzierżawę propinacyę wraz z gruntem, a on ze swej strony sumę przysądzoną Wabickiemu do zwrotu wypłacać będzie częściowo przy każdej racie dzierżawnej. Obie strony zgodziły się na to... i ot były karczmarz

dziś pan całą gębą... a człowiek, szlachcic z krwi i kości, tłucze się po traktach przez całe życie, szukając jakiego interesu, i jak niema nic odpowiedniego, tak niema...

— No — rzekłem, pocieszając Telusia — ale panbyś przecie na propinacyi nie siedział.

— A niechże mnie Bóg broni!... a tobym sobie dogodził... w mojem stanowisku niktby mi ręki nie podał.

— To też pocieszaj się pan tem — rzekłem, tając śmiech — że choć nie dorobiłeś się majątku, to przynajmniej umiałeś się utrzymać na honorowem stanowisku.

— Rozumie się — westchnął Teluś — co innego Pokropowicz, bibuła... bez edukacyi...

— Ależ — wracając się do niego — czy wiesz, panie Telesforze, że mam obawę aby się nie zapił na śmierć?

— Nie bój się pan... jeśli łyknie czasem, to tylko w sekrecie przed żoną.

— Jakto? więc się i pan Edward ożenił?

— A jakże — odrzekł Teluś — z panną Kunegundą... Ale otóż i flaki!... Patrz, delegacie, jak apetycznie wyglądają... Zuziu, imbieru i pieprzu, bo bez tego flaki licha warte.

W milczeniu spożyliśmy flaki, a że do pani Kapuścińskiej coraz więcej gości napływało, a i Teluś coraz liczniejszych spotykał przyjaciół, nie chciałem go więc dłużej zatrzymywać, zwłaszcza że nadciągało już Płockie, któremu Baryłkiewicz dzień dzisiejszy poświęcał. Uregulowawszy więc rachunek i podziękowawszy mu serdecznie za towarzystwo i za tak pożądane dla mnie wiadomości, zabierałem się do odejścia.

— Do zobaczenia, kochany delegacie — rzekł Teluś, ocierając usta. — Wszak prawda że wyśmienite flaki?... Na jutro o tej samej godzinie daję ci tu *rendewu*... będzie sławny bigos z kapustą... Może mi się jeszcze co przypomni to ci chętnie wszystkiego dopowiem. A pragnąłbym wiedzieć także, w które strony będziesz wydelegowany, to możebyśmy się przypadkiem gdzie zjechali.

— Mam jeszcze kilka delegacyi przed sobą — odrzekłem mu — ale nie wiem kiedy się z domu wybiorę, bo przez tę włóczęgę gospodarstwo moje wiele ucierpiało.

— Et!.. pal dyabli gospodarkę teraz! — zakonkludował pan Telesfor — toć widzę co się dzieje... Coraz to ona gorzej idzie... Ja sam jestem w trakcie kupienia majątku — dodał, brząknąwszy kluczykami — ale na nic się zdecydować nie mogę... Głupich ludzi, którzyby tanio sprzedali, coraz mniej... Jeżeli wioszczyna jaka taka, to jej się szlachcic trzyma jak pijany płotu... a złej ja znów nie kupię, bo ze złą wsią, to tak jak ze złą żoną... dostać najłatwiej... ale o pozbyciu się potem ani myśleć...

— Prawda — odrzekłem — ale jak najczęściej zły mąż złą sobie żonę urobił, tak też zwykle zła wieś złemu tylko gospodarzowi to zawdzięcza... O granicę widzimy żółte piaski, pięknym łubinem odarnione... błota osuszone i kobiercem kwiatów usłane... Wytrwałość i zamiłowanie zawodu, oszczędność i poczucie obowiązku, jaki rolnik względem matki-karmicielki i całego społeczeństwa zaciąga, winny być bodźcem do postępu w tym najpiękniejszym i najużyteczniejszym, acz nie bez trosk i mozołów

zawodzie. To poczucie instynktowe tkwi na dnie serc poczciwej naszej braci po pługu. Nawiedzani burzami i klęskami, jak rozbitki do masztu, tulą się oni do tej roli, z którą łączy ich tradycya kilkunastu pokoleń... pieśń nad kolebką posłyszana... i krzyż, pod którym kości ich przodków spoczywają. Orzmyż więc ją dalej w pocie czoła, nie zrażając się małym jeszcze owocem zabiegów, a może też, przeszedłszy szkołę pracy, otrząsnąwszy się zwolna z wad i nałogów, którym się podlegało... dojdziemy nareszcie do tego, że praca produkcyjniejszą, a ziemia wdzięczniejszą nam się okaże.

Skończywszy tę tyradę, która mi się z piersi wyrwała mimowoli, podniosłem wzrok i ujrzałem kilkunastu koło siebie zgromadzonej szlachty... Zawstydziłem się kaznodziejskiej swej roli i ścisnąwszy w milczeniu rękę Telusia, pobiegłem ku drzwiom.

— Kto to? kto to? — pytano Baryłkiewicza ze wszech stron.

— To wcale niezły człowiek — odrzekł ciszej — tylko, jak widzicie, trochę weredyk, a może też trochę przewrócone ma we łbie.

KONIEC.

SPIS RZECZY

do tomu I.

łówko od Autora 1
/stęp 7
lichtrowo 11
obkowice 30
uflewo 70
dwiedziny 123
rzemysłowice 142
garzew 237
Vichłaczew 311
akończenie 423

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0473009